

Lydia Netzer

W BŁASKU GWIAZD



Dla Benny'ego i Sadie

Jesteśmy jak maki pośród zbóż.

Maxon Mann

W bezkresnej ciemności majaczyło światełko. On zaś unosił się na pokładzie statku kosmicznego, wewnątrz tego światełka. Było mu zimno. Jego kości przenikał chłód kosmosu. Przez okrągłe okienka rakiety wciąż widział Ziemię, co jakiś czas dostrzegał też zbliżającą się do niego bryłę Księżyca. Ziemia obracała się powoli wokół własnej osi, podobnie jak statek, który sunął naprzód, prędkością dostosowując się do wszystkiego, co go otaczało. On sam nie mógł teraz nic zrobić, nie miał na to wszystko najmniejszego wpływu. Stał się bowiem częścią statku, który zmierzał w kierunku Księżyca. Zamiast zwykłych tenisówek miał na nogach ciężkie białe buty. Zamiast bielizny nosił skafander. Był tylko człowiekiem, drobiną mięsa o długich kościach, smutnych oczach i kruchym ciele. Został wystrzelony z Ziemi i unosił się teraz w przestrzeni kosmicznej. Wyrzucono go w górę, z ogromną siłą wypchnięto gdzieś bardzo daleko.

Maxon rozmyślał o domu. Jego długie stopy unosiły się w powietrzu gdzieś za jego plecami. Mocno chwycił krawędzie okrągłego okienka i spojrzał w dół, wprost na Ziemię. Unosiła się w oddali, pośród chmur, tysiące mroźnych kilometrów od niego. Wszystkie kraje Ziemi wydawały się z tej perspektywy rozmyte, zwały się ze sobą pod koronką bieli. Pod tą wzburzoną powłoką dyszały rozgrzane miasta tego świata, połączone ze sobą drogami, połączone kablami. Tam w dole, w Wirginii, chodziła, żyła i oddychała jego żona Sunny. Przy sobie miała ich małego synka. A w jej brzuchu rozwijała się jego mała córeczka. Nie mógł ich zobaczyć, ale wiedział, że tam są.

Będzie to opowieść o astronautcie, który zagubił się w kosmosie, i o żonie, którą zostawił na Ziemi. To również opowieść o odważnym człowieku, który przeżył awarię pierwszej rakiety wysłanej w kosmos w celu skolonizowania Księżyca. To opowieść o gatunku ludzkim, który w jakimś szaleńczym zrywie wypchnął w kosmos maleńką metalową łupinę i kilka pulsujących komórek, o gatunku, który wysłał je ku odległym, pograżonym w ciemności rubieżom wszechświata, w nadziei, że ta łupina wytrzyma każde uderzenie, że maleńkie pulsujące komórki w jakiś sposób zdołają to przetrwać. To opowieść o planie, który miał rozkwitnąć, tak jak kwiat rozwijający się z pąka. To historia o podjętej przez ludzkość próbie skolonizowania ciała niebieskiego, o nierozwiniętym jeszcze kwiecie, który wystrzelono w przestrzeń kosmiczną, i o tym, co stało się z owym pąkiem, co stało się z Ziemią, z Matką Ziemią – po tym, jak pąk niespodziewanie eksplodował.

W zabytkowej dzielnicy Norfolku, położonego u wybrzeży stanu Wirginia, we wspaniałej kuchni odrestaurowanego pałacu w stylu georgiańskim, nad granitową wyspą pochyliły się trzy jasno-włose głowy. Jedna z tych głów należała do Sunny. Była najjaśniejsza spośród nich wszystkich. Z góry, z miejsca, w którym wisały monotonne, idealne rzędy miedzianych garnków, na trzy kobiety sączyło się delikatne światło. Ściany były pokryte polerowanymi szafkami kuchennymi, a w blat wpuszczono zlew ze stali nierdzewnej. Nad nim, w oknie wychodzącym na ogród, ros-ły zioła. Świeciło słońce, a granitowy blat był rozgrzany. Stojąca na nim kostkarka do lodu potrafiła wyrzucać z siebie kostki okrągłe lub kwadratowe. Kobiety siedzące na stołkach przy kuchennej wyspie miały długie włosy, starannie upięte albo lekko pofalowane. Skupiły się wokół najniższej spośród nich, tej, która płakała. Kurczowo ścisnęła stojący na blacie kubek z herbatą, a jej ramiona nie przestawały drżeć. Przyjaciółki poprawiały jej włosy i pomagały otrzeć łzy. Sunny poprawiała własne włosy i pomagała jej otrzeć łzy.

– Po prostu tego nie rozumiem – powiedziała ta najniższa, pociągając nosem. – Obiecał, że tego lata zabierze mnie do Norwegii. Do Norwegii!

– Do Norwegii – powtórzyła ta w żółtozielonym kardiganie, po czym przewróciła oczami. – Co za brednie. – Miała haczykowaty nos i małe oczy, ale dzięki starannemu makijażowi, ładnej figurze i drogim butom ludzie i tak uważali ją za atrakcyjną. Nazywała się Rachel, ale dziewczyny mówiły do niej Rache. To ona jako pierwsza w całej okolicy mogła się poszczycić naprawdę porządną domową siłownią.

– Ale ja chcę jechać do Norwegii! – zaprotestowała ta niska. – Pochodzi stamtąd moja rodzina! Tam jest pięknie! Są tam wspaniałe fiordy.

– Jenny, kochanie, przecież tu nie chodzi o Norwegię – zauważyła trzeźwo Rache. Pochyliła się, a gładkie złote loki spłynęły kaskadą na jej ramiona i opalony dekolt, pod którym rysowały się wydętne piersi. – Skup się na tym, co istotne.

– Nie. – Jenny znowu zaczęła łkać. – Chodzi o tę dziwkę, z którą on kręci. Kim ona jest? On nie chce mi powiedzieć!

Sunny, która miała na sobie szenilowy szlafrok, jedną ręką sprawnie operowała sprzętami kuchennymi, drugą zaś trzymała na ciężowym brzuchu. Wstała na chwilę, odwróciła się i poszła po dzbanek, dołała Jenny herbaty i podała jej chusteczkę. To były jej najlepsze przyjaciółki: Jenny i Rache. Wiedziała, że prowadzą właśnie normalną rozmowę, rozmowę o mężu Jenny i o jego niewierności. To był absolutnie normalny temat. Ale stojąc tam w kuchni, w jednej ręce trzymając dzbanek, a drugą opierając na brzuchu, zauważyła nagle coś niepokojącego: dziwne pęknięcie na ścianie przy spiżarni. Pęknięcie, -które -pojawiło się w murach starego georgiańskiego pałacu.

– Jenny, tak naprawdę wcale nie chodzi też o nią, niezależnie od tego, kim jest ta kobieta – powiedziała Rache. Sunny rzuciła jej surowe spojrzenie nad głową odwróconej do niej plecami Jenny, ale Rache niewinnie uniosła brwi.

– To palant – rzuciła Jenny. – Tak, o to tak naprawdę chodzi – dodała, po czym wydmuchała nos.

Sunny zastanawiała się, czy jej przyjaciółki zauważyły pęknięcie. Biegło w górę, rozdzierając gładką powierzchnię kremowego tynku. Tego pęknięcia jeszcze wczoraj tu nie było, a przecież wydawało się całkiem szerokie. I chyba dość głębokie. Sunny wyobraziła sobie, jak ten potworny zygzak rozpruwa nagle jej dom, rozrywa i przepoławia spiżarnię. Torebki z soczewicą. Słoje z burakami. Warzywa korzeniowe. Co by zrobiła?

Jenny nie przestawała płakać.

– Po prostu nie wiem, co robić! – powiedziała po raz trzeci. – Muszę myśleć o dzieciach! Dlaczego on dopuścił do tego, żebym się o wszystkim dowiedziała? Dlaczego nie był ostrożniejszy?

Sunny wyobraziła sobie, jak dom się rozpada, a ona stoi na linii uskoku. Może odkąd Maxon wyruszył w kosmos, dom przestał zachowywać jakiegokolwiek pozory? Może bez niego, bez osoby odgrywającej rolę męża, postanowi nagle runąć, najzwyczajniej w świecie się zawalić? Wszystko się zmienia, wszystko się rozpada: mąż Jenny, rakiety wystrzelone na Księżyc, mur, za którym znajduje się spiżarnia...

– Cii – szepnęła Rache. Sięgnęła po pilota i pogłośniła telewizor. Sunny zauważyła, że zegar mikrofalówki wskazywał dwunastą. Mocniej naciągnęła na siebie szlafrok i poprawiła grzywkę. Właśnie zaczynały się wiadomości.

– Och – wymamrotała Jenny. – Czas na Lesa Weathersa.

– Oto człowiek, który nigdy by cię nie skrzywdził – ogłosiła Rache, przechylając głowę i puszczając oko do telewizora. Kobiety przez kilka minut wpatrywały się w milczeniu w wysokiego blondyna z kwadratową szczęką i błyszczącymi niebieskimi oczyma, który informował właśnie o jakimś lokalnym pożarze. Siedział wyprostowany przy biurku i żywo

gestykulował długimi rękami. Wyglądał na autentycznie przejętego pożarem, z niekłamanym podziwem mówił o dzielnych strażakach. Miał szerokie ramiona i klatkę piersiową kształtem przypominającą coś w rodzaju trapezoidu. Był jednak kimś więcej niż tylko kolejnym ubranym w garnitur facetem z telewizji – był dla nich kimś ważnym i z pozoru bliskim, bo mieszkał w budzącej podziw szarej rezydencji przy tej samej ulicy, trzy domy dalej, ukryty za grubymi czerwonymi drzwiami.

– On jest jak Herkules – powiedziała Jenny przez łyżę. – Tak, właśnie z nim mi się kojarzy. Les Weathers jest Herkulesem.

– Umalowanym Herkulesem – rzuciła z rezerwą Sunny.

– Przecież go uwielbiasz! – zawołała Rache oskarżycielskim tonem.

– Zamknij się. Nie jestem jedną z jego szalonych wyznawczyń – odparła Sunny. –

Rozmawiałam z nim tak naprawdę jeden jedyny raz: wtedy gdy poprosiłam go w styczniu, żeby zdjął wreszcie ten swój wieniec.

– To nieprawda! Przyszedł na przyjęcie halloweenowe u Jessiki! – wtrąciła Jenny, w jednej chwili zapominając o wszystkich swoich zmartwieniach. – A poza tym zrobił z tobą wywiad, kiedy Maxon promował misję!

– Chodziło mi o prywatną rozmowę – wyjaśniła Sunny. Miała wrażenie, że cały jej dom zaczął chwiać się w posadach. Z piwnicy dochodziły dziwne szmery. Pałac powoli się rozpadał. Może jakiś pociąg przejeżdżał za blisko i sprawił, że szczelina się rozszerzyła? Dotarła już pod sufit, aż do listwy wieńczącej. Czy takie właśnie uczucie będzie towarzyszyło Sunny podczas porodu? Ostatnim razem miała znieczulenie zewnątrzoponowe i rodziła ze szminką na ustach. Tym razem zamierzała przyjąć jeszcze silniejsze znieczulenie i rodzić w perłach na szyi.

– Ja na przykład nigdy nie odbyłam z nim prywatnej rozmowy – powiedziała Rache, przedrzeźniając Sunny. – Musisz być jego kochanką.

– Czy możemy już przestać rozmawiać o kochankach? – zapytała Sunny, wskazując na Jenny.

– Powinnam zadzwonić do Lesa Weathersa – wymamrotała Jenny, nie odrywając wzroku od telewizora. – Siedzi zupełnie sam w tym wielkim, pięknym domu i leczy złamane serce.

Na ekranie Les Weathers odsłonił właśnie dwa rzędy śnieżnobiałych zębów, po czym zwrócił się do współprowadzącego program, rzucając od niechcienia jakiś żart.

– Nie dzwoń do niego – powiedziała Rache. – Nie pozwól, żeby twój mąż znalazł sobie kolejny pretekst.

– Myślisz, że on potrzebuje pretekstów? – zapytała Jenny.

Les Weathers zniknął z ekranu i zaczęła się reklama pieluch.

– Tak czy inaczej – przerwała im Sunny, zbierając filiżanki z blatu – muszę teraz odebrać Bubbera ze szkoły, a potem jechać do mamy do szpitala.

– Jak się czuje twoja mama? – zapytała Rachel. Kobiety podniosły się i zaczęły poprawiać ubrania. Wygładziły mankiety i zapięły guziki swoich kardiganów.

– W porządku. Zupełnie w porządku. Wydawałoby się niemal, że z każdym dniem jej stan się poprawia.

– Myślałam, że jest podłączona do respiratora – odezwała się Jenny.

– Tak. I respirator świetnie działa – powiedziała Sunny.

Odprowadziła je pospiesznie do drzwi i pożegnała, a kiedy wyszły, wróciła do kuchni i zaczęła uważnie badać szczelinę palcami. Nie było tak źle. Nie powiększała się. A może była tam od dawna? Może po prostu Sunny jej wcześniej nie zauważyła, może nie widziała, jak pięła się powoli w górę, jak rozrastała się, wypełniając cały jej dom, całe jej życie i sprawiając, że wszystko mogło się w każdej chwili zawalić? Sunny usiadła na stołku, który zajmowała

wcześniej Rachel, rozpuściła włosy i pozwoliła im opaść na ramiona, tak jak robiła to jej przyjaciółka. Wyciągnęła dłoń z pomalowanymi paznokciami w kierunku miejsca, gdzie siedziała przedtem Jenny, tak jakby chciała objąć nieobecny już postać. Skinęła głową i zmarszczyła brwi, dokładnie tak, jak to miała w zwyczaju Rache. Podniosła wzrok i przekonała się, że pęknięcie nie zniknęło. Wyprostowała się. Złączyła kolana. Rozwichrzyła sobie grzywkę. Na ekranie telewizora Les Weathers żegnał się właśnie z widzami. Jeżeli wierzyć pogłoskom, niedawno porzuciła go ciężarna żona, która wolała zamieszkać z jakimś innym facetem w Kalifornii. Później nawet nie pokazała Lesowi dziecka. Trudna sprawa. Ale przecież każda kobieta w promieniu sześciu przecznicy od jego domu marzyła teraz tylko o tym, żeby móc cerować jego skarpetki. Sunny zaczęła się zastanawiać, jak właściwie ceruje się skarpetki. Sama, kiedy pojawiała się taka potrzeba, kupowała po prostu nowe i ukrywała te niezacerowane na dnie kubła ze śmieciami, żeby nikt ich przypadkiem nie zobaczył.

Po raz ostatni spojrzała na ścianę spiżarni, zgasła światło, sięgnęła po torebkę, kluczyki i książki Bubbera, a następnie wsiadła do swojego minivana, z trudem wsuwając brzuch za kierownicę. Raz jeszcze patrząc w lusterko, poprawiła włosy, uruchomiła silnik i ruszyła w kierunku przedszkola.

Drzewa o rozłożystych koronach ciągnęły się wzdłuż całej ulicy, a ich cienie tańczyły na frontonach okazałych ceglanych rezydencji. Trzmielce bzycały pośród kaskad azalii we wszystkich odcieniach różu i bieli. Czyste chodniki rozgrzewały się powoli w jesiennym słońcu. Jadąc przez swoją dzielnicę, Sunny zwalniała przed każdym skrzyżowaniem i dopiero po chwili dodawała gazu. Minivan poruszał się naprzód, przecinał przestrzeń niczym przenośny salon, powietrzny trapez lewitujący nad ziemią. Ona zaś siedziała w środku i wprawiała go w ruch. Zapomniała już o szczelinie w jednej ze ścian swojego domu. Zapomniała o żonie Lesa Weathersa. Każda godzina wydawała jej się idealnym prostokątem. To wszystko przypominało ćwiczenia z mate-matyki.

Na zewnątrz świat był pełen ruchu i kolorów. Wzdłuż ulicy stały stare, zabytkowe domy o majestatycznych bryłach. Wysoko w górze unosiły się rozłożyste korony dębów, a rosnące wzdłuż chodników mirty opuszczały swoje gałęzie ku ziemi. Równoległe i prostopadłe linie tworzyły ułatwiającą nawigację siatkę, którą można się było posługiwać z wykorzystaniem liczb. Liczby parzyste po prawej, liczby nieparzyste po lewej. Maxon powiedział kiedyś: „Liczba działek w obrębie jednego kwadratu ulic pomnożona przez pierwiastek kwadratowy z płyt chodnikowych leżących przed każdą z tych działek musi się równać szerokości pojedynczego podjazdu mierzonej w decymetrach. Do tego należy dodać Francisca Bacona”. Nie miał żadnego szacunku dla dostojnego majestatu miejskich dzielnic. Grupy ludzi żyjących w rzędach. Jedzenie, spanie i gotowanie w szeregach. Jeżdżenie samochodem w szeregach i parkowanie w szeregach. Maxon mówił, że marzył o domku myśliwskim w Touraine, otoczonym głęboką fosą i chronionym przez ognistą brzoź. Ale zaakceptował to rozwiązanie. Cóż innego mógłby zresztą zrobić? Miasto było przecież listem miłosnym do planimetrii.

Bardzo niewiele sąsiadów kiedykolwiek rozmawiało z Maxonem, ale ze zdaniem Sunny liczyli się wszyscy mieszkańcy tej ulicy. Żyło jej się tu naprawdę swobodnie. Robiła wszystko wyjątkowo profesjonalnie. Sąsiedzi twierdzili, że kiedy przeprowadziła się do tego miasta, wszystko znalazło się wreszcie na swoim miejscu. Organizowano grille. Kupowano plastikowe pudełka na jedzenie. Kobiety jeździły azjatyckimi minivanami, a mężczyźni niemieckimi sedanami. Indyjskie restauracje, budki z lodami i sklepy zoologiczne koncentrowały się wokół jedynej w okolicy kina studyjnego. Wszystkie domy przemierzały przestrzeń spokojnym, miarowym tempem, w czasie gdy Ziemia obracała się wokół własnej osi, a stan Wirginia obracał się wraz z nią. W Wirginii, mawiali ludzie, możesz jadać posiłki na tarasie przez okrągły rok.

W trudnych chwilach, kiedy źle się działo, Sunny miała zawsze do dyspozycji opiekunki do dzieci. Od czasu do czasu rozlegało się ciche pukanie do drzwi i zjawiali się kolejni sąsiedzi z domowymi potrawami. Odsiecz zjawiała się też wtedy, gdy jej matka trafiła do szpitala. Mogła również liczyć na pomoc, kiedy Maxon wyruszył na Księżyc. Był to dobrze naoliwiony mechanizm, skuteczny system, w ramach którego wszyscy wywiązywali się ze swoich obowiązków.

Sunny usiadła przy szpitalnym łóżku swojej chorej matki. Tego dnia włożyła brzoskwinowy przewiewny sweterek i spodnie -capri w kolorze khaki. Do tego sandały ze skórzanymi rzemieniami i okulary z szylkretowymi oprawkami. Kiedy usiadła, na ramiona opadła jej kaskada jasnych włosów. Była uwięziona w ciele zatroskanej i kochającej córki, miała jedno dziecko na kolanach, a drugie w brzuchu. Jej matka leżała na łóżku, przykryta kołdrą. Zamiast okularów i sweterka zostało jej tylko to, co bez pytania wpięto w jej ciało. Nie odzyskała bowiem przytomności od trzech tygodni.

W ciele matki czaiła się śmierć. Ale Sunny tak naprawdę o tym nie myślała, bo z zewnątrz jej matka pozostawała piękna. Sunny widziała pnącza, które wyrastały z leżącego na łóżku ciała, z ust, z klatki piersiowej. Pnącza, które utrzymywały jej matkę przy życiu, oplatały jej ciało i zmierzały w kierunku drzewa stojącego przy łóżku. Leżały na podłodze, pozwijane, splątane, pokryte mokrymi od rosy kwiatami i skręcającymi się wąsami. Przy ścianach wyrastały pod sufit całe kępy drzew, uginające się na łagodnym wietrze, a z ich koron opadały na ziemię złote liście. Siedzący w kącie pokoju drożdź nucił swoją piosenkę, która zlewała się z piskami i chichotem Bubbera.

Bubber był synem Sunny i Maxona. Miał cztery lata, rude, niemal pomarańczowe włosy i był ostrzyżony na jeża, przez co mogło się wydawać, że nosi na głowie szczotkę ryżową. Bubber cierpiał na autyzm. Tyle mniej więcej o nim wiedzieli. Dzięki lekarstwom zachowywał się dość spokojnie. Potrafił przemierzać w milczeniu szpitalne korytarze i siedząc na kolanach Sunny, czytać babci książki. Mógł – przynajmniej czasem – uchodzić za normalne dziecko. Brał leki rano, brał leki w południe, przyjmował leki kontrolujące jego psychozy i leki wspomagające trawienie. Sunny wyprostowała się, patrząc na siedzącego na jej kolanach Bubbera, który czytał coś monotonnym głosem. Dziecko, które miała w brzuchu, przeciągnęło się i obróciło, najwyraźniej nie wiedząc jeszcze, czy będzie autystyczne, czy nie. Czy będzie przypominało raczej Maxona, czy może jednak Sunny? Czy będzie pasowało do ich otoczenia? To wszystko nie zostało jeszcze ustalone.

Szum respiratora przynosił Sunny ukojenie. W pewnej chwili poczuła zapach roślin zimozielonych. Łagodny podmuch wiatru lekko uniósł jasne włosy, opadające jej na ramiona. Mogła umieścić okulary przeciwsłoneczne na czubku głowy, zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że jest w niebie. Mogła wyobrazić sobie, że jej matka już na zawsze pozostanie w tym zaczarowanym lesie, a ona będzie mogła codziennie ją odwiedzać, siadać przy niej i patrzeć na jej spokojną twarz.

Sunny opuściła szpital. Kiedy doszło do wypadku, jechała właśnie w stronę domu. Trzymała kierownicę gładkimi dłońmi o pomalowanych paznokciach. Jej lewa stopa leżała płasko na podłodze. Sunny siedziała wyprostowana, czujna, uważna. A mimo to doszło do wypadku. Na rogu majestatycznej Harrington Street i dostojnej Gates Boulevard w bok jej dużego srebrnego mini-vana uderzył nagle czarny SUV. Wydarzyło się to na tej samej ulicy, przy której stał jej dom. Wydarzyło się to tamtego popołudnia, dzień po tym, jak Maxon wyruszył na Księżyc. Choć w tym wypadku nikt nie zginął, wyrócił on do góry nogami życie wszystkich jego uczestników. Nie dało się już cofnąć czasu, wrócić do momentu sprzed zderzenia i udawać, że nic się nie stało. Samochody są jak meteoryty. Czasem uderzają w ciebie niespodziewanie

i nie możesz nic na to poradzić.

Po wizycie w szpitalu Sunny posadziła synka na jego miejscu w minivanie i zapięła mu pasy. W czasie jazdy tłumaczyła mu jakąś błahostkę. Starła się jak najwięcej czasu poświęcać na mówienie do Bubbera, choć on wcale nie starał się poświęcać równie wiele czasu na odpowiadanie jej. Rozmowy były jedną z tych rzeczy, o które starali się dbać, żeby pomóc Bubberowi.

– Nie ma znaczenia, które krzesło dostajesz, rozumiesz? – wyjaśniła. – Wystarczy, że powiesz po prostu: „No dobrze!”. I usiądziesz na pierwszym krześle z brzegu. Bo jeżeli zaczniesz szaleć i wściekać się o to jedno krzesło, nie skończysz swojej pracy na plastykę, prawda? A poza tym to tylko krzesło, prawda? Miło jest mieć krzesła w różnych kolorach. Nieważne, które dostaniesz. Po prostu mówisz: „O, świetnie. To tylko krzesło. Następnym razem dostanę to niebieskie!”. A potem siadasz na czerwonym krześle. Bubber, powiedz: „O, świetnie!”.

– O, świetnie – powtórzył Bubber.

Wymówił te słowa głośno i brzmiał trochę jak kaczką – o ile kaczki przemawiają w sposób podobny do robotów. Na czas jazdy samochodem musiał wkładać kask. W przeciwnym razie zaczynał uderzać głową w siedzenie, raz za razem, podczas gdy koła przesuwały się po łączeniach na drodze. Ten huk był przerażający. Sunny nie chciała go już nigdy więcej słyszeć.

– A potem siadasz – tłumaczyła dalej. – I nie myślisz o tym, jaki kolor ma krzesło, na którym siedzisz. Po prostu skupiasz się na rysowaniu. No bo co jest przyjemniejsze: wpadanie w szal i wściekanie się czy rysowanie?

– Rysowanie – powtórzył Bubber kaczym głosem.

– Więc po prostu mówisz: „O, świetnie!” i siadasz.

Sunny machnęła ręką, usiłując zilustrować swoje słowa. Bubber buczał na tylnym siedzeniu. Rola matki Bubbera pochłaniała ją bez reszty i wiązała się z ogromną liczbą obowiązków, a przecież w swoim brzuchu Sunny nosiła teraz jeszcze drugie dziecko. To dziecko miało serce i to serce biło. Kontury tego dziecka mogła oglądać na monitorze w gabinecie lekarskim. Z zewnątrz widziała jednak tylko swój ogromny brzuch, który leżał na jej kolanach jak koszyk. Od góry i od dołu oplatały go pasy. Nie mogła na to nic poradzić. Po prostu tam był. Niezależnie od tego, że dałoby się temu zapobiec, niezależnie od jej przekonania, że kolejne dziecko to nie najlepszy pomysł – stało się, a brzuch robił się coraz większy. Wkrótce miała zostać matką dwojga dzieci, matką o jasnych włosach, prowadzącą minivana w kształcie trapezu i mieszkającą w majestatycznej rezydencji. Choć Bubber nie wyszedł tak, jak powinien, choć kable w jego mózgu okazały się splątane i wadliwe – było ich gdzieś trochę za dużo, a gdzieś trochę za mało – Sunny miała znowu zostać matką. Przecież wszyscy pragną dwójki dzieci. Jedno to po prostu za mało.

W dzieciństwie Sunny nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie miała dzieci. Nigdy nie wcielała się w rolę matki. Często bawiła się w siostrę, ale nigdy w matkę. Może to właśnie ze względu na Bubbera chciała urodzić drugie dziecko. Może chciała w ten sposób sprawić, żeby nie musiał być jedynakiem tak jak ona.

Do wypadku samochodowego doszło na skrzyżowaniu. Sunny zatrzymała się, rozejrzała w lewo, w prawo i znowu w lewo. Nikogo nie dostrzegła. Ruszyła przed siebie, nagle jednak, z ulicy, którą właśnie mijała, wystrzelił w jej kierunku czarny land rover. Samochód wbił się w jej vana z miażdżącą siłą. „To już koniec – pomyślała Sunny. Koniec mnie i koniec dziecka, które noszę w brzuchu. I koniec Bubbera”. Nie będzie żadnej rodziny. Tyle pracy, tyle wysiłków, a na koniec tak smutny finał. Wydawało się to potworne, wprost niewiarygodne. Sama ta myśl nią wstrząsała. „Biedny Maxon – pomyślała, kiedy poduszka powietrzna uderzała gwałtownie w jej klatkę piersiową. – Dlaczego to sobie zrobiliśmy?” W wypadku, do którego doszło właśnie

w tamtej chwili, w tamtym miejscu i w tamtych okolicznościach, było coś brutalnie osobliwego, wyjątkowego. Miała wrażenie, że jej serce nagle przestało bić.

W tamtej chwili promienie słońca nadal przemierzały tysiące kilometrów, mknąc przez przestrzeń kosmiczną, żeby ogrzać przednią szybę samochodu Sunny, ale mimo to na jej twarzy pojawił się taki grymas, że wyglądała jak potwór. Jej okulary przeciwsłoneczne zwrócone były w stronę, w którą zmierzał pierwotnie van. Ziemia obracała się w przeciwnym kierunku, a van sunął po szalonym, zakrzywionym torze. Po zderzeniu oba samochody nadal się poruszały, teraz już wolniej i w przeciwnych kierunkach. Odwróciły się wektory. Poduszki powietrzne syczały. Młode drzewko zostało przygięte do ziemi. I nagle, w tym przerażającym momencie, perfekcyjna blond peruka spadła Sunny z głowy, wyleciała przez okno i wylądowała na ulicy w kałuży pełnej liści. Pod peruką Sunny nie było niczego, z wyjątkiem łysiny.

Jej matka właśnie umierała, jej mąż przebywał w kosmosie, jej syn musiał nosić kask, a ona nie miała włosów. Czy taka kobieta naprawdę mogła istnieć? Czy życie takiej kobiety miało jakiegokolwiek uzasadnienie? W tamtej chwili Sunny miała dość czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić.

W tamtej chwili wysoko na niebie, w przestrzeni kosmicznej, Maxon wirował zgodnie z harmonogramem. Zawsze dokładnie wiedział, która jest godzina, choć w kosmosie nie istniały dzień ani noc. W momencie wypadku w Houston była piętnasta dwadzieścia jeden. Przypomniawsobnie, jak krótko i rzeczowo pożegnał się z nim chłopiec, Bubber. „Do widzenia, tato”. Jak pozwolił się pocałować, tak jak go nauczono – i jak Maxon go pocałował, tak jak nauczono jego. Tak właśnie powinien zachowywać się ojciec, tak powinien się zachowywać syn, a oto, co następuje, kiedy ojciec wyrusza w kosmos. Przypomniawsobnie, jak wzrok chłopca szybko powędrował ku jakiejś innej atrakcji, jak Bubber zajął się liczeniem kafelków na podłodze, mierzeniem długości cieni czy czymś podobnym – podczas gdy jego ramiona nadal otaczały szyję Maxona.

To był zwykły dzień, nieróżniący się niczym od każdego innego dnia pracy. Niemal słyszał cicho wypowiedziane przez nią słowa: „Pożegnaj się ze swoim tatą”. Takie zwyczajne. Umysł cztero-letniego chłopca mógł to pojąć, ale sam chłopiec nie miał szans tego zrozumieć. Po co się żegnać? Po co mówić „do widzenia”? Co w ogóle znaczy „do widzenia”? Przecież nie przekazuje się w ten sposób żadnej informacji. Mówiąc „dzień dobry” albo „do widzenia”, nie nawiązuje się żadnego połączenia. Oczywiście, oczywiście, to tylko głupia konwencja. Tam w górze, oddalony od Ziemi o tysiące kilometrów, Maxon czuł narastające w nim pragnienie. Pragnienie zobaczenia swojej żony i dziecka. Pragnienie zobaczenia ich konturów, ich sylwetek w drzwiach, kiedy wchodzili do pokoju. Unosząc się pośród gwiazd, wtłoczony w tę maleńką metalową łupinę, czuł, że jego rodzina znacząco różni się od reszty planety. Tak jakby Sunny była pinezką wyznaczającą punkt na mapie, a Bubber kolorowym konturem terytorium, które ona nakreśliła. Nie mógł ich zobaczyć, ale wiedział, że gdzieś tam są.

Wiele lat wcześniej, w dniu, w którym urodziła się Sunny, doszło do całkowitego zaćmienia Słońca. W jednej chwili zniknęło całe Słońce. Po chwili wróciło – równie gorące co wcześniej.

Nieczęsto się zdarza, by Księżyc całkowicie zasłonił Słońce. Tak naprawdę dochodzi do tego bardzo rzadko i nawet wtedy zaćmienie jest zauważalne tylko w niektórych częściach kuli ziemskiej. Na pozostałych kontynentach czas płynie normalnie. Nawet tysiąc kilometrów dalej poranek trwa w najlepsze, bez żadnych zakłóceń. Ale w Birmie w 1981 roku doszło do pełnego zaćmienia – Słońce zniknęło na ten krótki czas potrzebny do przyjścia dziec--ka na świat. U podnóża Himalajów nadszedł brunatny zmierzch, a na niebie pojawiła się jasna korona. Pewnego dnia w Birmie dojdzie do kolejnego zaćmienia. Ale nigdy nie narodzi się dziecko takie jak Sunny. Sunny była jedyna w swoim rodzaju i jej matka wiedziała o tym od samego początku.

Dopiero kiedy zapadła całkowita ciemność, kobieta, która miała lada chwila wydać dziecko na świat, zaczęła wreszcie przeć. Leżała w państwowym szpitalu, w którym znajdowało się sto łóżek. Przez wiele godzin walczyła z myślą, że będzie musiała wreszcie uwolnić dziecko, wypuścić je ze swojego ciała. Na zewnątrz cień góry Rung kładł się na płataninę uliczek miasteczka Haka, stopniowo stawał się coraz wyraźniejszy. Słońce zmieniło się w półksiężyc, maleńki odprysk, wygięty rząd koralików. W ludziach narastał niepokój. Pałace cygara kobiety patrzyły w niebo. Mężczyźni w stożkowatych kapeluszach przerwali uprawę maków. Korona Słońca płonęła i rozlewała się wokół czarnego dysku Księżyca niczym długie włosy syreny.

Zaczęła wreszcie przeć, kiedy za sprawą Księżyca nadeszła umbra. Światło słońca całkowicie zniknęło i wystarczyło kilka porządnych pchnięć, by spomiędzy jej nóg wyłoniła się maleńka, twarda główka, otoczona szyjką macicy jak jajko w zaciśniętej pięści. Główka wystrzeliła na zewnątrz, po chwili uwolniły się też ramiona. Dziecko wydostało się na zewnątrz. Położna szybko opatulila dziewczynkę, położyła ją na piersiach matki i podbiegła do okna.

Księżyc zaczął się już przesuwać, a Słońce powoli się zza niego wyłaniało, zalewając kolejne doliny. Było równie mocne jak przed zniknięciem, równie gorące co zwykle – a wszyscy musieli spuścić wzrok, żeby nie oslepnąć. Życie wróciło na porzucone przed chwilą tory, a kobieta, która jeszcze niedawno nie była matką, właśnie nią została. Trzymała w ramionach swoje łyse dziecko.

– Ona nie ma włosów – powiedziała położna. – To wyjątkowe dziecko.

Jeszcze tego ranka, zanim nadeszło zaćmienie, Emma Butcher była pogodzona z myślą, że resztę życia spędzi w Birmie. Zamierzała tu żyć, oddychać, uśmiechać się i ostatecznie umrzeć. Po urodzeniu dziecka zdecydowała jednak, że wcale nie chce zostać w Birmie. Wstała z łóżka jako matka, gotowa walczyć do końca swoich dni. Jakże mało znaczy dla kobiety rezygnacja z siebie, życie w pełnym pokory milczeniu, w zgodzie z własnymi wyborami i z decyzjami, które podjęła. Ale kiedy ta sama kobieta zostaje matką, nie może dłużej bezwolnie przyjmować powolnego gnicia, wygasania. Nikt nie skrzywdzi jej dziecka. A jeśli ktoś spróbuje, będzie musiał liczyć się ze straszliwymi konsekwencjami – z zemstą matki.

Tego samego wieczoru ojciec dziecka wpadł zdyszany do szpitalnego pokoju. Przyniósł doniczkę z niewprawnie zasadzonym strobilanthesem. Zerwał tę roślinę w dżungli, w pobliżu plaży i zabrał ją ze sobą w góry, żeby poprawić żonie nastrój. Roślina była mała, pozbawiona kwiatów, a jej szerokie fioletowe liście lekko opadały w przyćmionym szpitalnym oświetleniu. Postawił doniczkę przy oknie. Miał coś fascynującego, naprawdę fascynującego do

opowiedzenia, a pod jego pachami gromadził się pot – dowód wysiłku, jaki włożył w to, żeby się tu dostać i zobaczyć swoje nowo narodzone dziecko. Okazywał ten charakterystyczny, nieco żenujący entuzjizm starszego mężczyzny, który wreszcie został ojcem.

– Wymyśliłem idealne imię – oznajmił. – Nazwiemy ją Ann. Czy to nie wspaniały pomysł? – Podszedł i wyciągnął swoje różowe dłonie w stronę dziecka.

Świeżo upieczona matka spojrzała na niego i na stojący na oknie kwiat. Jej mąż miał na sobie czarną, rozpiętą lnianą koszulę, spod której wзираła jego naga klatka piersiowa, a na głowę postanowił założyć idiotyczny kapelusz rybacki. Dziecko spało na jej ramieniu, opatulone długą pomarańczową tkaniną. Pozbawione rzęs oczy dziewczynki były zamknięte i upodabniały ją do posągów przedstawiających świętych, którzy też często nie mają włosów ani rzęs. Jasne włosy matki, gładkie i lśniące jak wypolerowana skała, opadały na poduszkę i otaczały je obie niczym metalowa kurtyna. Przyglądała się mężowi niebieskimi oczyma i rozchyłała usta w radosnym uśmiechu. Zamiast zakrwawionej koszuli miała teraz na sobie zwiewny jasnoróżowy szlafrok. Leżąc na łóżku, wyglądała jak długi, cienki nóż. Na czubku tego noża znajdowała się jej piękna głowa, wyrzeźbiona w kości. Ogarnął ją spokój podobny do niczym niezmaconej taflí wody.

Pozwoliła mężowi wziąć dziecko na ręce. Patrzyła, jak podniósł dziewczynkę do światła, zajrzał jej głęboko w oczy i zbliżył swoje obwisłe policzki do nosa dziecka. Obserwując tę scenę, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest stary. Zastanawiała się, co skłoniło ją do poślubienia tak starego człowieka i urodzenia mu dziecka właśnie tutaj, w upalnej Birmie. Dlaczego to sobie zrobiła? Gdyby dziecko przyszło na świat ciemnoskóre i pomarszczone, gdyby głośno miauczało, gdyby okazało się brzydkim gdakającym rudzielcem, serce nie biłoby jej tak mocno jak teraz. Kiedy zobaczyła, jak jej mąż trzyma to dziwne niemowlę w swoich spoconych szponach, zrozumiała, że musi zabrać córkę do Ameryki. Tylko tam zdoła zapewnić jej godne życie. Birma była marzeniem, a ich misja – ucieczką. Wiedziała, że jej dziecko ruszy z impetem, pomknie w górę jak rakieta i natychmiast spali się w tej atmosferze, w tej rzeczywistości. Zdecydowała, że jej córka nie zatonie w wypowiedzianych szeptem modlitwach swojego ojca. Nie będzie powoli marniała w dżungli. Buddyjskie pielęgniarki odeszły, więc gdy tylko odzyska siły i wstanie, będzie mogła stąd uciec. Ostatecznie uciec. Przemyśleć wszystkie decyzje. Urodzenie dziecka skłania do takich posunięć.

Zamiast tego jednak wrócili razem do chatki u podnóża wysokiej góry i wspólnie zajmowali się domem. Okazało się, że wcale nie tak łatwo wyjechać z Birmy. Okazało się, że przez cały ten czas była tu uwięziona. Nazwała córkę Sunny, na pamiątkę zaćmienia Słońca. Ojciec musiał ustąpić. W końcu nie było go, kiedy dziecko się rodziło. Pozostawał wtedy na wybrzeżu, gdzie zbierał próbki do swoich badań. Tak oto zadecydowano, że dziewczynka będzie się nazywała Sunny Butcher.

Sunny skończyła dwa lata i wraz z matką nadal żyły w Birmie. Dziewczynka nadal nie miała włosów, nadal była karmiona piersią i nadal sypiała w ramionach matki. Matka plotła dla niej kapelusze z trzciny i przędzy. Zatrudnili opiekunkę, Nu, która pomagała Emmie zajmować się dzieckiem i domem. Sunny spacerowała z osłoniętą głową, a jej okrągły brzusek wystawał spod szafranowego sarongu. Miała elfie rysy i figlarną twarz, delikatne rączki i nóżki – i ogromną głowę. Była dzieckiem szczególnym, dzieckiem o nietypowej urodzie. Miejscowi, członkowie plemienia Czin, uśmiechali się do niej i przyjaźnie kiwali głowami. Przypominała im mnichów, którzy bez przerwy zjawiali się w okolicy, żeby nawracać ich na buddyzm. Mężczyźni wyciągali do niej ręce. Kobiety dbały o to, żeby nie dotykać jej ubrań. Choć plemię Czin czciło głównie chrześcijańskiego Boga, pozostawało też wierne własnej, lokalnej tradycji.

Ojciec chciał dać dziecku na imię Ann, żeby upamiętnić Ann Judson, jedną z pierwszych

misjonarek, które dotarły do Birmy. Ann Judson często chorowała i ostatecznie zabiła ją właśnie gorączka. W czasach, w których żyła, prześladowano chrześcijańskich misjonarzy. Wieszano ich do góry nogami i unoszono w górę, tak żeby z podłożem stykały się jedynie ich ręce. Ponieważ torturowanych w ten sposób ludzi dręczyły krwiożercze komary, mało kto wychodził z tego cało. To wszystko działo się, jeszcze zanim Birmę zajęli Brytyjczycy, a po nich komuniści. W tamtym stuleciu do Birmy i do stanu Czin wciąż przyjeżdżało wielu chrześcijan.

Ostatnim misjonarzem, który się tam zjawił, był ojciec Sunny. Towarzyszyła mu piękna żona. Kiedy zamieszkali w miasteczku Haka, Emma miała dwadzieścia trzy lata, a Bob czterdzieści. Zbudowali ładny drewniany kościół, który sąsiedował z osiedlem przemysłowym. Chrześcijanie spotykali się w budynkach rozrzuconych po całej Birmie przez ponad sto pięćdziesiąt lat. Kościół Butcherów był po prostu jednym z wielu kościołów. Na tyłach świątyni pracował pojedynczy, okrągły wiatrak. Emma siedziała zwykle w pierwszym rzędzie. Nosila kapelusze w amerykańskim stylu i tęskniła za kruchymi, nietropikalnymi owocami. Mąż usiłował nauczyć ją języka czin i nalegał, żeby posługiwali się nim przy stole, jedząc ryż i warzywa.

Rok po ich przyjeździe z Birmy wydalono wszystkich misjonarzy. Kraj oczyszczono z obcokrajowców, zarówno z duchownych, jak i z tych, którzy robili tam po prostu interesy. Mężczyźni w szarych mundurach przybyli z gór, zapukali do drzwi Butcherów i kazali im opuścić ich własny dom. Małżonkowie wszystko porzucili i uciekli do Indii, gdzie Bob nadawał z kuchni swoich przyjaciół misjonarzy program radiowy w języku czin. Starał się unikać terminu „kontrewolucja”. Emma zastanawiała się z niepokojem, czy będą musieli wracać do domu. Mogła żyć u boku swojego pełnego entuzjazmu męża w Birmie, ale czy potrafi to samo robić w Ameryce? Czy zdoła być żoną pastora i organizować w swoim domu spotkania, podczas których studiuje się Biblię? Modliła się o to, by pozostali w Azji. Takie rozwiązanie wydawało się mimo wszystko prostsze.

W Indiach trzymała się z boku i nuciła tylko w czasie hymnów. Ponieważ góry zakłócały sygnał radiowy, Bob Butcher wrócił do Stanów. Emma nie chciała mu jednak towarzyszyć. Zostawił więc swoją piękną żonę o czerwonych ustach w Indiach, pod opieką innych misjonarzy, a sam wyruszył do domu, z twardym postanowieniem, by wrócić z wiarygodną przykrywką, jako biznesmen, naukowiec albo dyplomata. Pod jego nieobecność Emma sypiała w hamaku na otoczonym moskitierą ganku. Uczyła miejscowe dzieci czytać, ale nigdy nie przypuszczała, że mogłaby mieć własne dziecko. Nie mieściło jej się w głowie, żeby to, co robili, mogło prowadzić do późniejszych narodzin dziecka. Nie chciała, żeby seks z Bobem miał jakiegokolwiek konsekwencje. Każdego ranka, wstając z łóżka, starała się uciec jak najdalej od wspomnień minionej nocy i od tego, co pozostało na prześcieradle. Nigdy o tym nie rozmawiali. Do zbliżeń dochodziło tylko nocą, dopiero gdy zdołała już zasnąć. Tak jakby Bob potrafił się na to zdobyć, tylko kiedy spała.

Tak samo było wtedy, gdy przyszedł do niej po raz pierwszy, w środku nocy, gdy spała w domu swojego ojca w Indianie.

Po studiach wróciła na niezwykle wydajną farmę swoich surowych rodziców. Bob, straszący ogniem piekielnym kaznodzieja, który rzucał na kolana cały kościół, przyjechał na tygodniowy cykl spotkań modlitewnych. Znała go od dziecka – zjawiał się co roku, a oni zawsze gościli go u siebie w domu. Najpierw przyjeżdżał z żoną, ta jednak zmarła w połogu, zabierając ze sobą także dziecko. Później przyjeżdżał już sam, odgrywał dramatyczne sceny pełne teatralnych gestów, gwałtownie przewracał szklanki podczas kolacji i udzielał Emmie błogosławieństwa, kładąc dłoń na jej głowie. Tamtej nocy, kiedy wróciła do domu po ukończeniu studiów, właśnie był u nich w odwiedzinach. Wieczorem przykryła się swoją cytrynową narzutą i poszła spać. Kiedy obudziła się nagle w środku nocy, zobaczyła go w swoim pokoju. Słyszała

tykanie zegara przy swojej głowie, a na suficie pojawił się cień.

– Wybieram właśnie ciebie, Emmo – powiedział zachrypniętym głosem. Jeszcze nigdy nie mówił tak cicho. Dotąd słyszała tylko, jak krzyczał, ciskał gromy, błagał, a nawet płakał. – Wybieram cię, abyś pojechała ze mną do Birmy.

Była tak oszołomiona, że ciarki przeszły jej po plecach. Czy to sen? Widywała go dotąd tylko w garniturze, kiedy z ambony wygłaszał płomiennie kazania, koncentrując na sobie uwagę wszystkich zgromadzonych. Widywała go też przy kolacji, w koszuli z podwiniętymi rękawami, w poluzowanym krawacie, jak opowiadał niezliczone historie i anegdoty. Kiedy miała dwanaście lat, została ochrzczona w rzece i przy tej okazji powzięła postanowienie, że będzie poważniej podchodziła do wiary – nie tylko w słowach, ale przede wszystkim w czynach. Tamtego dnia jechała na pacy jego ciężarówce, razem z pozostałymi dziećmi, które przez cały rok czekały, aż zostaną ochrzczone podczas tygodnia odnowy religijnej. Patrzyła, jak jego szerokie ramiona podskakiwały na wybojach, przyglądała się, jak spokojnie jechał przed siebie, jedną rękę trzymając na kierownicy, a drugą wczepiając się w górną krawędź drzwi, tak jakby się bał, że jeżeli rozluźni chwyt, straci swoje miejsce na tym świecie.

A teraz był przy niej, w jej pokoju, w ciemności. To była intymna chwila, która należała tylko do nich. Czuła się sparaliżowana – a zarazem wyjątkowa. Jak mogłaby czuć się inaczej? W zamkniętym świecie ich kościoła, ich wspólnoty, chrześcijańskiego college'u, w którym uczyła się razem z niedojrzałymi, targanymi poczuciem winy chłopcami, uchodził za prawdziwą gwiazdę. Wiedziała, że rodzice będą z niej dumni. Co innego mogła zrobić? W porównaniu z nim nikt nie był chyba do końca żywy. Czuła się tak, jakby znowu miała dwanaście lat. Była zdenerwowana, niepewna, ale jednocześnie dumna, że stała się w jego oczach kobietą. Dumna, że wiedziała, co robić. Nigdy dotąd nie zamieniła z nim przecież więcej niż kilka słów. A teraz mogła okazać się tą, która pojedzie z nim do Birmy, zostanie jego towarzyszką i zajmie miejsce jego nieżyjącej, świętej żony.

Ciężko oddychał. Stał przy łóżku bez koszuli, a Emma widziała tylko górną część jego ciała: szeroką klatkę piersiową lśniąca w słabym świetle księżyca. Czuła swoje ciało, leżące płasko na łóżku, bezwładne jak szmaciana lalka. Jak to będzie? Dreszcz przeszedł jej przez brzuch. Jego oddech wypełniał całe pomieszczenie.

– Czy mogę do ciebie dołączyć, Emmo? – zapytał.

Zauważyła, że zmarszczył brwi. Skinęła głową.

Uniosł koldrę, a ona poczuła na swoim ciele chłód powietrza. Popatrzył na nią z góry, spojrzał na jej brzuch, na jej nogi. A po chwili leżał już w jej łóżku, otaczając jej ciało kolanami. Jedną dużą dłonią rozpiął sobie pasek, drugą zaś przycisnął do jej obojczyka, który zaczął masować. Penis wysunął mu się ze spodni, a ona poczuła jego ciepło na swojej nodze. Był gładki i rozgrzany, poszturchiwał ją, przesuwając się po jej majtkach. Widziała tylko kwadratowy podbródek, bo Bob podciągnął się już w górę. Uniosła biodra, żeby wyjść mu na spotkanie, otoczyła go ramieniem, a swoją małą dłoń położyła nisko na jego ciepłych plecach. Zdjął swoją rozgrzaną rękę z jej obojczyka i przesunął ją w dół, na jej pierś, a następnie jeszcze niżej, pospiesznym ruchem, w miejsce, w którym jego palce niecierpliwie się w nią zagłębiły. Otworzył ją. Czuła na sobie ciężar jego ciała, czuła w jego ruchach siłę i potrzebę dominacji. Jego czoło dotykało teraz jej ramienia, jego biodra rytmicznie się poruszały, a z jego ust płynęły jęki. „Och, och – powtarzał. – Och, Boże, to wspaniałe”. A przecież mógł zachować się delikatnie. Mógł powiedzieć: „Och, kochanie, wiem, że to boli”.

Po roku spędzonym na wygnaniu Bob sprowadził swoją żonę z powrotem do Birmy. Założył tam niewielkie laboratorium, w którym miał pod auspicjami Uniwersytetu w Chicago badać lecznicze właściwości orchidei. W tamtym okresie Czerwona Gwardia paliła kościoły

w Chinach. Był to czas prześladowań i udręki. Chrześcijanie musieli się ukrywać. Zamiast szerzyć swoją religię, skupiali się na zdecydowanie bardziej przyziemnych zajęciach, o ile w ogóle potrafili je znaleźć. W przeciwnym wypadku musieli pozostawić obowiązek głoszenia Ewangelii miejscowym, w nadziei że będą samodzielnie rozpowszechniali Dobrą Nowinę. Oficjalnie Bob Butcher był teraz naukowcem, w tajemnicy pozostawał jednak misjonarzem i organizował spotkania w sypialni ich nowego dwuizbowego domu w miasteczku Haka. Wierni przystępowali do komunii zbici w ciasną gromadkę wokół ich wąskiego łóżka.

Butcherowie prowadzili proste życie przez dwanaście lat. Emma uprawiała herbatę w ich małym ogródku. Bob wygłaszał szeptem kazania i łączył ze sobą zawartość probówek, destylując olejki. Para zawsze kładła się spać osobno, każde z nich zamykało się we własnej przestrzeni. Później jednak, w środku nocy, Emma była często gwałtownie budzona. Wielkie, zdesperowane dłonie chwyciły ją za ramiona albo biodra, a rozgrzane usta przywierały do jej ust. A potem następowały pełne zachwyty okrzyki: „Dziękuję, och, Boże, dziękuję!”. Czasem miała wrażenie, że nadal śni. Czasem wybudzała się dopiero w chwili, gdy jego ciało spływało już potem, a on twardo się w nią wbijał.

Po tym, jak jego pierwsza żona zmarła podczas porodu, Bob zdecydował się na wazektomię. W tamtym czasie uważał, że taka jest wola Boża. Emma wiedziała zatem, że nigdy nie będą mieli dzieci, czuła, że pisane jest jej zostać żoną tego człowieka, któremu tragedia odebrała pragnienie rozmnażania się. Ilekroć zaczynała marzyć o dziecku, odpychała od siebie te myśli, a seks postrzegała jako coś kompletnie niezwiązanego z posiadaniem dzieci. Ale nagle, wtedy, w wieku trzydziestu siedmiu lat, cudem zaszła w ciążę. Nikt się tego nie spodziewał. Oboje przyjęli tę wiadomość z pewną rezerwą i każde z nich ogarnęło przerażenie. Mąż natychmiast poinformował swoich wiernych o tym niezwykłym wyczynie. „Moja żona Emma jest w ciąży”, oznajmił. Kiwali głowami i uśmiechali się z aprobatą, poklepując się po ramionach.

Czy i ona umrze przy porodzie? Czy na świat przyjdzie spocony, dominujący mały mężczyzna? Nie. Na świat przyszła Sunny, która rosła jak na drożdżach i uczyła się chodzić po miasteczku. Siadywała pośród wyliniąłych psów w swoich pięknych sarongach. Nu prała jej pieluchy i składała ofiary bogom, paląc owoce na ganku na tyłach domu. U podnóża gór dnie robiły się coraz dłuższe. Ze strony mieszkańców miasteczka nic im nie groziło, bo większość ludu Czin z uporem trzymała się chrześcijaństwa i popierała ich tajną misję. Niezależnie od tego, jak wiele egzemplarzy Biblii palono, to jeszcze więcej sprowadzano z Indii albo ze Stanów Zjednoczonych. Wydawało się, że nic im nie grozi i że rodzina zostanie tam już na zawsze, do czasu, aż Sunny będzie dorosłą kobietą, jej nakrycia głowy zniszczą, a matka umrze.

Sunny była kobietą bez włosów. Urodziła się bez włosów i włosy już nigdy jej nie wyrosły. Nie miała rzes, nie miała owłosionych pach ani nóg. Nie miała ani jednego włosa na głowie. Czasami zastanawiała się, czy zdoła w pełni cieszyć się światem, będąc całkowicie łysą. Kiedy indziej czuła jednak, że jej życie niczym nie różni się od życia innych ludzi. Teraz zbliżała się do trzydziestki. Choć nie była jedyną łysą kobietą na świecie, nikomu nie udało się wyjaśnić ani zbadać, co tak naprawdę jej dolegało. Sunny nie potrafiła tego zrozumieć. Przez całe dzieciństwo i cały okres dojrzewania, a także później, kiedy była mężatką, a potem urodziła dziecko, ten osobliwy, niewyjaśniony brak włosów wzbudzał w niej odrazę. Jej matka chorowała jednak na coś dużo bardziej pospolitego. Miała raka. Jej życie zmierzało ku końcowi. Również tego Sunny nie potrafiła zrozumieć.

W ludzkim ciele panuje ciemność. To, co się w nim dzieje, pozostaje niewidoczne. Psucie narządów, powstawanie zatorów albo wylewów odbywa się zwykle w absolutnej ciszy, z dala od światła. Bez świadków. W ciele panuje wilgotna cisza. Czy pojawiają się jakiegokolwiek dźwięki? Czy wątroba ma zmysł dotyku? Każde dziecko spędza w tej ciemności swoje pierwsze miesiące. Każdy syn macha rączkami przed ślepą twarzą, każda córka otwiera usta, nie wydając żadnego odgłosu. A wewnątrz dziecka tkwi kolejny mrok. Brak dźwięku. Człowiek rozwija się i więdnie w ciemności i ciszy, uwięziony we własnej skórze. Sunny urodziła się łysa i pozostała łysa przez całe życie. Przyszła na świat w określonym momencie, a w innym momencie, w przyszłości, miała też umrzeć. To, co działo się między tymi dwoma punktami, było długim epizodem bez włosów.

Podczas gdy zwykli ludzie mieli włosy na głowie, ona nie miała ich wcale. Jeżdżąc samochodem, chodząc po sklepach, ukrywała swój sekret: coś było z nią nie tak. Coś się nie zgadzało. Dzięki peruce nikt w Wirginii nie poznał jej tajemnicy, nikt z wyjątkiem kilku najbliższych osób, które musiały ją poznać. Jej mąż. Jej lekarz. Jej matka i dziecko. Nie każdy mógł po prostu oglądać jej łysinę, tak jak patrzy się na kobietę z dziwną naroślą pokrywającą pół twarzy albo na mężczyznę z blizną na uchu czy faceta z oderwaną ręką. To był inny rodzaj tajemnicy – tajemnicy ukrytej głęboko pod peruką.

Kiedy w wyniku zderzenia peruka spadła nagle z jej głowy i wylądowała w kałuży, nie było w okolicy nikogo, kto mógłby jej pomóc. Maxon rozmyślał o robotach gdzieś w przestrzeni kosmicznej. Dzieci zostały oczywiście na swoich miejscach, ale nie mogły jej w żaden sposób pomóc. Bubber potrafił krzyczeć, szaleć i informować, która jest godzina, bez patrzenia na zegarek. Dziecko, które w sobie nosiła, umiało machać rączkami i marzyć. Nie było jednak nikogo, kto wyciągnąłby rękę i przytrzymał perukę, kiedy ta postanowiła opuścić jej głowę. Wypadek samochodowy okazał się zbyt niespodziewany.

Land rover mknął w ich stronę. Najpierw było zaciśnięte gardło Sunny i jej napięte ramiona, szamoczące się z kierownicą. Potem rozległ się zgrzyt i chrzęst, a po chwili poczuła gwałtowne szarpnięcie. Wystrzeliła poduszka powietrzna. Zleciała peruka. Wszystko znieruchomiało. Sunny natychmiast odzyskała głos, jeszcze zanim zdążyła na dobre zapaść cisza.

– Nic nam nie jest. Nic nam nie jest, wszystko w porządku, w porządku, nic ci nie jest – powiedziała. – Nic ci nie jest?

– Zatrzymaj go! – zawołał Bubber.

– Bubber. Ktoś wjechał w nas samochodem, ale nic się nie stało. Nic nam nie jest.

Nie oglądając się za siebie, wyciągnęła rękę do tyłu i położyła dłoń na jego kolanie,

mocno je ściskając, tak żeby na pewno poczuł jej dotyk.

– Zatrzymaj go, zatrzymaj! Zatrzymaj ten samochód! – krzyknął Bubber. Próbował rozpiąć pasy, zaczął kierować rękę w stronę klamki. Był jak najdalszy od płaczu. Jego piegowata twarz zrobiła się czerwona, a usta wygięły się w oburzeniu. – TY! – krzyknął Bubber przez przyciemnioną szybę. – UDERZYŁEŚ W NASZ SAMOCHÓD. NIE POWINIENIEŚ TEGO ROBIĆ!

– Bubber, przestań – poprosiła Sunny, dławiąc się i krztusząc.

– Mamusiu, czy teraz zwymiotujesz? WYMIOTOWANIE DO RĘKI JEST BARDZO NIEDOBRE.

– Nie – odpowiedziała. – Zostań w samochodzie. Zostań na swoim miejscu.

Rozejrzała się wokół siebie. Zmusiła się, by położyć obie ręce na kierownicy i przestać dotykać swojej głowy. Usiłowała nacisnąć pedał gazu i cofnąć samochód, może nawet pojechać do domu. Fantazjowała o tym, że ludzie miną perukę, że nikt nie zwróci na nią uwagi, a Sunny, kiedy dotrze wreszcie do domu, wczołga się do środka przez otwór dla kota i przedostanie się na dół, do piwnicy. A tam, pod ziemią, w ciemności, będzie mogła żyć bezpiecznie przez całą wieczność. Może będzie warczała na nieznanym, pożerała bezpańskie psy i odwiedzała nocą Maxona, przedostając się przez jeden z otworów wentylacyjnych. Pewnie wracałyby do swojej nory, kiedy Maxon szedłby spać. Jej skóra stałaby się ciemniejsza za sprawą gliny, która sprawiała, że w ich ogrodzie nie mogły rosnąć paprocie. Sąsiedzi słyszeli by opowieści o dziwnym zombie z czerwoną twarzą, chodzącym czasem w środku nocy do skrzynki pocztowej, żeby wysłać pocztówki. Potem przekształciłyby się w oposa. A jeszcze później stałaby się wiewiórką. Oczywiście van nie chciał się ruszyć, więc Sunny po prostu wyłączyła silnik.

Otworzyła gwałtownie drzwi. Kilku sąsiadów zdążyło już wybiec z domów. Ktoś ruszył w jej kierunku. Zrobiło jej się niedobrze, miała wrażenie, że tym razem naprawdę zwymiotuje. Rozpięła pas, który otaczał jej brzuch. Czowała się tak, jakby jej wnętrze trawił wściekły, dziki ogień, jakby szalały w niej potężne prądy, jakby mknęła przez jej ciało kometa, jakby dziecko przybrało postać potwora z płomieni. Po jej plecach rozlał się ból. Wysunęła z samochodu drżącą nogę, a potem niepewnie postawiła na ziemi drugą. Poprawiła okulary przeciwsłoneczne. Stojąc tak na środku ulicy, tak blisko domu, przyglądała się, jak jej znajomi i sąsiedzi wybiegali po kolei z domów niczym brudni chłopcy: przepaszający, rozchełstani, przestraszeni. Poczwała podmuch wiatru na swojej łysej głowie. Oczywiście, jak zawsze przyjemnie było zdjąć na chwilę perukę. Co do tego akurat nie było wątpliwości.

Rozejrzała się po ulicy, spojrzała w jedną i w drugą stronę. Z drzew opadały liście. Na ulicy stał duży kontener z odpadami powstałymi podczas remontu któregoś z domów. Sękaty korzenie drzew szczelnie wypełniały całą przestrzeń pomiędzy alejką dla pieszych a krawężnikiem. Spomiędzy nich wyrastały niezliczone paprocie i małe krzaczki, na ziemi leżały też nadgniłe żołądki. Podjazdy, dawniej tak proste, regularne, wydawały się teraz kompletnie przekrzywione. Domy pochylały się ku sobie, a ich cętkowane dachy zsuwały się w dół jak książki na głowach niezdarnych nastolatków. Usłyszała syrenę. Usłyszała krzyk dziecka. Chwiejnym krokiem odeszła od vana, choć przez cały czas towarzyszyła jej obawa, że zaraz runie pod jakimś dziwnym kątem, prosto w objęcia śmierci.

Jakiś mężczyzna pędził w jej stronę po chodniku. Natychmiast rozpoznała tego człowieka. To był ich sąsiad, prowadzący dziennik telewizyjny Les Weathers: wysoki, krzepki, jasnowłosy. Pewnie dopiero wrócił z pracy. Nie zdążył nawet zdjąć swojego złotego krawata i niebieskiego garnituru z jedwabną chusteczką w kłapie. Jego zaczesane do tyłu włosy odsłaniały opaloną twarz. Jego mina zdradzała w pełni uzasadnione w tej sytuacji troskę

i mieszanie. Sunny ruszyła chwiejnym krokiem w kierunku kałuży, w której leżała jej peruka, przypominająca w tej chwili zdechłego jasnowłosego kota. Gdyby tylko zdołała włożyć ją sobie z powrotem na głowę...

– Proszę pani, nic pani nie jest?! – krzyknął Les Weathers, który nadbiegł ku niej jak Superman. Powoli zbliżali się do nich kolejni ludzie. Pojawiły się Rache i Jenny, które wyszły ze swoich ceglanych bliźniaków, pełnych skórzanych mebli oraz neutralnych kolorów, i zaczęły ostrożnie okrążyć kałużę na chodniku.

Sunny skinęła głową. Nie rozpoznał jej. Nie wiedział, kim jest.

– Czy jest pani ranna?

Sunny odwróciła się i spojrzała Lesowi Weathersowi w oczy, po czym zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

– Jesteś Sunny? Sunny Mann? – zapytał, a w jego oczach malowało się zdziwienie.

Uśmiechnęła się.

– Sunny, jesteś łysa – powiedział.

Spośród wszystkich sytuacji, w których wypowiedziano te słowa w ciągu całego jej życia, ten moment był chyba najlepszy. Lepszy niż tamta chwila, kiedy matka szczerze ją o tym poinformowała, lepszy niż dzień, w którym niania powiedziała jej o tym tak troskliwie i delikatnie, lepszy niż te liczne okazje, kiedy dzieci z podstawówki wypowiadały te słowa na wiele różnych sposobów. W pewien sposób cała ta scena wydawała jej się niesamowicie śmieszna. Nosila blond perukę od pięciu lat, odkąd przyjechała do tego miasta niedługo po tym, jak zaszła w ciążę, odkąd zjawiała się tu w różowych spodniach, pasującym do nich sweterku z dekoltem w serek i szarych czółenkach. Nosila ją niezależnie od okoliczności, bez przerwy, a wszyscy ci ludzie w milczeniu pozwalali jej to robić. Miała perukę z kucykiem, miała perukę z kokiem i wystającymi z niego szpilkami, a także taką z długimi jasnymi falami, która służyła jej na co dzień. Nosila perukę nieprzerwanie, odkąd pozwoliła komuś zamieszkać w swojej macicy. Ale jak słusznie zauważył Les Weathers, tak naprawdę była łysa. Łysa jak kolano.

Wielokrotnie zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby przemaszerowała po tej samej ulicy w swoich starych czerwonych okularach, z łysą głową świecąca wszystkim po oczach – ale nie brała pod uwagę, że mogłoby do tego kiedyś naprawdę dojść. Pięć lat spędzonych w peruce może naprawdę sprawić, że dziewczyna zacznie czuć się blondynką. Te trzy pełne zdziwienia słowa, które wyszły przed chwilą z ust Lesa Weathersa, rozciągnęły się w czasie. Sunny. Jesteś. Łysa. Sprawily, że cofnęła się do początku swojego życia, a potem wybiegła naprzód, dotarła do jego kresu, mijając po drodze wszystkie te sytuacje, w których je wypowiedziano i w których miały jeszcze zostać wypowiedziane, dzwoniąc jej w uszach jak dzwonki. Musiała ich słuchać.

Sunny podeszła do kałuży, podniosła perukę, zdjęła z niej kilka mokrych liści i złamany patyk, po czym otrzepała ją lekko i wcisnęła sobie z powrotem na głowę.

– Zadzwońcie na policję – poprosiła. – I wezwijcie pomoc drogową. Van jest kompletnie rozpieprzony.

Jenny zamrugła i szeroko otworzyła oczy, słysząc, jak Sunny przeklina w obecności dziecka.

– Rache już dzwoni – zapewniła.

Wszystkie matki, które stały wcześniej przy kuchennych blatach i zastanawiały się, co ugotować na obiad, podczas gdy ich dzieci skakały w chodzikach, oglądając filmy z serii *Baby Einstein*, wybiegły teraz na trawniki przed swoimi domami. Les Weathers, prezydent dziennika telewizyjnego, elegancki, czysty i w krawacie, lekko się cofnął. Wszyscy patrzyli na Sunny. Pozostawała łysa tylko przez sześćdziesiąt sekund. Teraz znowu miała na głowie perukę, a po jej twarzy ściekała brudna woda.

– Dobrze – powiedziała. – To świetnie.

Wróciła do vana i otworzyła Bubberowi drzwi. Jej syn kołysał głową w przód i w tył, raz za razem. Poruszał nią dziwnymi, mechanicznymi szarpnięciami, a jednocześnie poklepywał się po kolanach. Rozpięła mu pas, otoczyła go ramionami i wyjęła z samochodu. Nagle stanęła przed kobietą z czarnego -SUV-a, kobietą, która uderzyła w jej samochód i zrzuciła jej z głowy perukę. Okazała się po prostu kolejną matką, głupszą, zwyczajniejszą, młodszą, nieliczącą się matką z innej ulicy, matką, która jechała odebrać dziecko od babci, bo skończyła właśnie swoją błahą pracę w niepełnym wymiarze godzin w którejś z księgarni w centrum. Tylne siedzenie jej samochodu było puste. Nikt nie został ranny. Nic złego się nie wydarzyło. Karetka okazała się niepotrzebna.

Kiedy jednak Bubber zobaczył kobietę z drugiego samochodu, opuścił podbródek, a następnie zaczął wydawać pomruki i głośno warczeć, tak jakby chciał ją zabić. Był rozwścieczony i wyglądał tak, jakby zamierzał rzucić w nieznajomą kamieniem. Sunny bała się postawić go na ziemi, więc cały czas go trzymała. Usiadła na krawężniku i czekała, aż zjawią się policja i pomoc drogowa. Wiedziała, że musi najpierw załatwić sprawy z policją i pomocą drogową, a dopiero potem będzie mogła wrócić na piechotę do domu, posadzić Bubbera przed komputerem, spokojnie napić się wody i obejrzeć najnowszy odcinek *Oprah*. Będzie mogła patrzeć na ludzi zgromadzonych na widowni i zastanawiać się, kim tak naprawdę jest.

Nagle jednak jej brzuch stwardniał, opadł, a po jej plecach rozlał się ból. Nie ulegało wątpliwości, że poczuła skurcz. Poza peruką nosiła również dziecko – które najwyraźniej próbowało się z niej teraz wydostać.

Któregoś dnia, gdy uprawiali seks, Maxon właśnie dochodził do siebie po wypadku rowerowym, a Sunny miała okres.

– Przykro mi – oznajmił. – Mam wyciek z tegadermu[1].

– Maxon – powiedziała. – Zaczynasz nawet mówić jak robot. Masz wyciek z tegadermu. Mnie leci krew z macicy. Na tym polega różnica między nami.

Sunny siedziała na miejscu pasażera w złotym lexusie Lesa Weathersa, który postanowił zawieźć ją do lekarza. Bubber został pod opieką niani, a minivana właśnie odholowywano. Wszystko było pod kontrolą. Czy potrzebowała karetki? Nie, nie potrzebowała. Les Weathers zaproponował, że podrzuci ją do przychodni, i ruszyli bez chwili zwłoki. Okolica zamknęła się nad jej łysą głową, tak jak wody jeziora zamykają się nad kamieniem, który powoli opada na dno. Ludzie zrobili to, co umieli najlepiej. Kiedy już wszystko wróciło do normy, łysa głowa, która spoczywała na karku Sunny Mann, znowu stała się dla wszystkich niewidoczna.

Mogli próbować pamiętać ją taką, jaką znali ją dawniej, kiedy wybierała daty rozwieszania świątecznych dekoracji i daty ich zdejmowania. Żadnego Bożego Narodzenia przed Świętem Dziękczynienia. Żadnego Halloween po drugim listopada. Żadnego Święta Niepodległości przed początkiem lipca. Wszystkie te zasady wydawały się bardzo rozsądne. Sąsiedzi zastanawiali się teraz, czy żona astronauty będzie mogła nadal prowadzić Ligę Lego. Rozważali, czy przyjęcie bożonarodzeniowe w ogóle się odbędzie. A co z warsztatami rękodzieła? Wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Jak mieli teraz zapytać, czy dobrze się czuje? Jest przecież coś niezwykle dziwnego i krępującego w rozmowie z kimś, kto nosi perukę, jeżeli nie masz pojęcia, dlaczego ją nosi. Czy czuli się oszukani? Zdradzeni? A może byli po prostu sfrustrowani, bo nie mogli dłużej traktować jej jak przyjaciółki?

– A więc – zapytał Les Weathers – od jak dawna jesteś łysa?

– Byłam łysa przez całe życie – odpowiedziała Sunny.

– Maxon wie? – zapytał. Jego dłoń przesunęła się na chwilę z kierownicy na kolano, po czym wróciła na kierownicę. Po chwili zaczął bawić się skrzynią biegów.

– Oczywiście, że Maxon wie.

– A co z Bubberem? – zapytał Les Weathers.

– A co ma być z Bubberem?

– Czy on wie?

Kilka tygodni wcześniej wspólnie przygotowywali w kuchni lunch. Bubber siedział przy swoim dziecięcym stolczku. Sunny dała mu szufladę ze sztućcami, a on bawił się łyżkami i konstruował z nich wieżę, przekładając każdą łyżkę widelcem. Maxon stał obok i spuszczał na podłogę kolejne przedmioty, starając się wytłumaczyć Bubberowi, na czym polega grawitacja. Bubber tymczasem wpatrywał się w swoje widelce i łyżki. Kiedy mu się o czymś opowiadało, zawsze patrzył na coś zupełnie z tym niezwiązanego. Terapeuci tłumaczyli jednak jego rodzicom, że mimo to w takich sytuacjach mógł korzystać z widzenia obwodowego. Maxon po raz kolejny podniósł w górę ołówek, po czym wypuścił go ze swoich kościstych palców i pozwolił mu spaść na ziemię.

– No dobrze, czy możesz mi powiedzieć, czym jest grawitacja? – zapytał Bubbera.

– Ciepła – odpowiedział Bubber. – Grawitacja jest ciepła.

Sunny zachichotała zza drzwi lodówki, z której wyjmowała właśnie sałatę do kanapek. Maxon powiedział:

– Grawitacja to siła, którą ma każdy przedmiot. Wszystko, co ma masę, ma też siłę grawitacji.

– To przyciąganie – wtrąciła Sunny. – Ciepło jest ciepłe. Grawitacja to przyciąganie.

– Kiedy coś ma siłę grawitacji – mówił dalej Maxon – to znaczy, że przyciąga do siebie inne obiekty, a im większa jest ta rzecz, tym większą ma siłę grawitacji i tym więcej rzeczy do

siebie przyciąga.

Bubber otworzył usta, po czym je zamknął, a następnie zaczął rozkładać swoją wieżę z łyżek i widelców. Po chwili powiedział szybko:

– Jowisz ma największą siłę grawitacji. Jowisz to największa planeta. To gazowy olbrzym. Jowisz ma masę trzysta razy większą od Ziemi i objętość ponad tysiąc razy większą od Ziemi.

– Nawet mamusia ma siłę przyciągania – ciągnął Maxon. – Widzisz?

Ich pies Rocks podszedł do Sunny, węsząc za jedzeniem.

– Zobacz, przyciągam Rocksa do siebie dzięki swojej sile grawitacji – powiedziała Sunny, po czym złapała psa i przyłożyła go do swojego dużego brzucha.

– Mamusia jest Jowiszem – oznajmił Bubber, nawet nie podnosząc głowy.

– Nie jestem Jowiszem. Dlaczego muszę być Jowiszem? Dlaczego nie mogę być czymś ładniejszym, na przykład Wenus?

– Oho! – Maxon odskoczył w jej stronę, udając, że Sunny zaczęła go nagle przyciągać. – Wygląda na to, że i mnie złapało pole grawitacyjne Wenus!

Sunny i Maxon złączyli się i zaczęli wirować wokół osi wyznaczonej przez jej brzuch, a bezradny pies tkwił między nimi. Wyglądali jak dwoje tańczących, pijanych ludzi. Wpadli do salonu, runęli na fotel i głośno się roześmiali. Bubber wstał z krzesła i ruszył w ich stronę.

– Bubber, nie! Ratuj się! Nie daj się pochłonać przez atmosferę mamusi!

Popędził w ich stronę, ale zaczął biegać wokół nich. Ręce trzymał wzdłuż ciała i wywijał nogami jak wielkimi nożycami.

– Nie martw się, tatusiu – oznajmił. – Ja jestem tylko księżycem. Zmieniłem się w księżyc.

To było jedno z najwspanialszych zdań, jakie kiedykolwiek wypowiedział. Tamtego wieczoru Sunny zapisała je w dzienniku terapii, zwracając uwagę na użycie słowa „ja”. W tamtej chwili nie miała na sobie peruki.

Sunny dotknęła twarzy dłońmi, a następnie przesunęła je na głowę i zdjęła perukę. Położyła ją sobie na kolanach, po czym zaczęła ją otrząpywać i wygładzać. Nagle poczuła kolejny skurcz – czwarty, odkąd doszło do wypadku. Czekala, aż minie. Plecy bolały ją tak, jakby ktoś postanowił porąbać je siekierą.

– Tak, Bubber wie – odpowiedziała.

– Więc to działa trochę jak ze sztuczną szczęką – zauważył Les Weathers. – Zdejmujesz ją do snu?

– Jak ze sztuczną szczęką – powtórzyła głucho. – Wiesz co, Les, mógłbyś tu na chwilę stanąć?

Wysiadła z samochodu. Zbliźali się do Granby Street Bridge. Przeszła na drugą stronę ulicy, mijając bloki na nabrzeżu, po czym ruszyła dziarskim krokiem w kierunku wody. Nachyliła się nad balustradą i spojrzała w dół na kolejną pełznącą odnogę kolejnej leniwie płynącej rzeki, oplatającą Norfolk jak bluszcz. Trzymała perukę w prawej ręce. Obejrzała ją dokładnie, wewnętrzną i zewnętrzną stronę, po czym rzuciła ją do wody tak daleko, jak tylko mogła. Peruka wylądowała cicho na powierzchni, nasiąknęła i zaczęła się unosić. Sunny jeszcze przez moment jej się przyglądała, a potem wróciła do lexusa Lesa Weathersa, wsiadła z trudem do środka i zatrzasnęła drzwi. Przed chwilą przeszła czterdzieści sześć kroków bez peruki pod gołym niebem Wirginii.

Kiedyś, kiedy Bubber był jeszcze mały, a Maxon wyjechał na konferencję, ona i jej syn w tym samym czasie zapadli na grypę. Nie działały żadne leki, które miała w domu, nie mogła też uśpić Bubbera, więc zdecydowała się pojechać z nim do apteki. Wtedy postanowiła nie

wkładać peruki. Była po prostu zbyt chora i zbyt zmęczona, żeby się nią przejmować. Narzuciła bluzę z kapturem i okulary przeciwsłoneczne, mocno zawiązała troczek, wzięła maleńkiego Bubbera na rękę, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła do apteki w innej dzielnicy, gdzie nie mógł jej rozpoznać nikt z sąsiadów. W chwili gdy wyciągała Bubbera z fotelika, jakiś starszy człowiek krzyknął coś do niej z drugiego końca parkingu, po czym ruszył w jej kierunku.

– Hej, mamuśka! – powiedział.

– Hej – odrzekła cicho, ukryta pod kapturem i za okularami.

– Dlaczego się ze mną nie przywitasz? – zapytał, zbliżając się do niej chwiejnym krokiem. Zorientowała się, że jest pijany.

– Hej – powiedziała głośniejszym głosem i zmusiła się do uśmiechu. Zastawił jej drogę do apteki.

– To mój SIÓSTRZENIEC! – krzyknął starszy człowiek. – To dopiero śmierdzące gówno! Przybij piątkę.

Wyciągnął rękę w górę, a Sunny ruszyła w jego stronę. Przechodząc, dotknęła jego dłoni – była sucha, twarda, zimna. Nie zatrzymała się. Szła z determinacją w kierunku apteki.

– Ty! Ty! – zawołał za nią. – Pozostań piękna i się nie zmieniaj, słyszysz? Pozostań piękna.

W aptece siedzący w wózku Bubber z wymiotował, strużka niewinnych dziecięcych wymiotów zaczęła ściekać mu po twarzy, a ona nie miała nawet, czym go wytrzeć. To była kompletna katastrofa. Tamtej nocy Sunny zrozumiała, że nigdy już nie może wyjść z domu bez peruki. Nie dało się tego obejść. Musiała dać z siebie wszystko.

– *Wow*, jesteś jak narkomanka, która wyrzuca swoje narkotyki do toalety – powiedział Les.

– Mam w domu więcej peruk.

– Domyślam się, do dziś jeszcze nigdy nie widziałem cię bez tej peruki – odparł.

– To ten sam model, ale każdy z nich imituje inny typ fryzury. Wiesz, kucyki, warkocze i tak dalej.

Przychodnia znajdowała się tuż za mostem. Les Weathers wysadził ją przy głównym wejściu. Zanim wysiadła, położył dłoń na jej dłoni.

– Nie zacznę myśleć o tobie inaczej tylko dlatego, że jesteś łysa.

– W porządku – odpowiedziała Sunny.

– Chodzi mi o to, że pewnie nie mam pojęcia, jak to jest. Ale chciałbym spróbować zrozumieć, przez co przechodzisz. Oczywiście gdybyś miała ochotę o tym pogadać.

Sunny spojrzała na jego dłoń, która dotykała jej dłoni. Cofnęła ją.

– Chcesz, żebym wszedł z tobą? Posiedziałbym chociaż z dziesięć czy dwadzieścia minut. Potem muszę wracać do studia, żeby nagrać wstępniaki, ale mogę do nich zadzwonić i uprzedzić, że zjawię się na planie trochę później. Martwię się o ciebie. Maxon chciałby na pewno, żeby ktoś się tobą w tej sytuacji zaopiekował.

Sunny usiłowała sobie wyobrazić barczystego, jasnowłosego i idealnie zbudowanego Lesa Weathersa siedzącego obok niej pod gabinetem. Nachylałby się w charakterystyczny dla siebie sposób, gestykulując, splatałby palce i pytał, jakie rozwiązania mają do wyboru. Stałby przy drzwiach, cierpliwie zerkając na zegarek, podczas gdy ona rozmawiałaby z lekarzem. Szczerzyłby zęby w szerokim telewizyjnym uśmiechu. Podczas tych niezwykle rzadkich okazji, kiedy udawało jej się wreszcie zaciągnąć Maxona do lekarza, jej mąż siedział zwykle w poczekalni i bawił się tabletem ukryty za jedną z roślin doniczkowych albo dziarsko przemierzał korytarze, tnąc powietrze niczym brzytwa.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. – Nic mi nie będzie. Rache po mnie przyjedzie. Mam przy sobie telefon.

Co powie Rache, kiedy się dowie, że Sunny wyrzuciła perukę i że nie zamierza jej więcej używać? Może powie, że na pewno podjęła pochopną decyzję pod wpływem stresu, że mogą wrócić do domu po inną perukę i o wszystkim zapomnieć. Rache będzie zdenerwowana, będzie chciała, żeby wszystko wróciło do normy. „W porządku, w porządku, w porządku – zapewniła ją wcześniej Rache. – Po prostu jedź. Wszystko w porządku”. Tak jakby zależało jej przede wszystkim na tym, żeby łysa Sunny zniknęła z jej pola widzenia. Natomiast Les Weathers nigdy nie przestawał być Lesem Weathersem. Wyglądało na to, że naprawdę chciał zostać i pomóc. Sunny wyciągnęła rękę i opuściła lusterko nad swoim siedzeniem. Ostrożnie zdjęła swoje sztuczne rzęsy i brwi, po czym wrzuciła je do torebki. Spojrzała na niego, zamrugła pozbawionymi rzęs oczami, po czym wysiadła z samochodu.

– Do zobaczenia, Łysinko – powiedział Les Weathers, żegnając ją swoim charakterystycznym ruchem palca wskazującego, tak jak to robił każdego wieczoru na zakończenie programu. – Do zobaczenia niebawem.

Powiedziawszy to, ruszył przed siebie.

Sunny weszła do przychodni i usiadła w poczekalni, naprzeciwko drzwi i tyłem do okna. Musiała usiąść, bo nadchodził właśnie kolejny skurcz. Recepcjonistka jej nie poznała, nie wiedziała, kim jest. Może wzięła ją za mężczyznę. Sunny wyciągnęła bladą dłoń i oparła ją na niskim stoliku. Ta dłoń miała ochotę chwycić lampę. Ta dłoń miała ochotę roztrzaskać lampę. Nie pomagał w żadnym stopniu fakt, że to miejsce przypominało sklep z meblami. Wszystko wyglądało tu tak idealnie, naprawdę idealnie. Pluszowe dywany, figurki z brązu... To pomieszczenie pozostawało w idealnej harmonii z samym sobą. Gdyby wymienić dywan, wyglądałoby jak przeciętny salon w okolicy, w której mieszkała Sunny. To była przychodnia udająca jeden wielki salon. Ten, kto urządzał to miejsce, starał się najwyraźniej myśleć tak jak ciężarna kobieta.

– Dzień dobry, czy wszystko w porządku?

– Nie – odpowiedziała Sunny.

Lekarz wiedział o Sunny wszystko, bo badał ją, prowadził jej ciążę i tak dalej. Ale recepcjonistka niczego nie wiedziała – była więc kolejną tego dnia osobą, w której łysina Sunny wywołała głębokie zdziwienie. To zjawisko rozchodziło się niczym zmarszczki na tafli do niedawna jeszcze spokojnego jeziora. Mnóstwo spraw do omówienia. Mnóstwo szczegółów do zapamiętania i opowiedzenia nieco później, przy kolacji. Sunny siedziała tam jak skaza na jednym z pejzaży zdobiących ścianę, jak mały, budzący niedowierzanie punkt w samym centrum perfekcyjnej halucynacji. Wstała, sięgnęła po torebkę i wmaszerowała prosto do gabinetu, choć pielęgniarka wcale jej tam jeszcze nie zaprosiła. Lekarz spojrział na nią znad swojego magnetofonu. Miał gęste, kręcone loki w miodowym kolorze, a włosy unosiły się nad jego głową niczym chmura piaskowa. Stała naprzeciw niego i stanowczo oznajmiła:

– Nie mogę urodzić tego dziecka. Musi pan temu zapobiec. Nie może do tego dojść.

Wiedziała to od chwili, w której poczuła pierwszy skurcz – stało się to, kiedy siedziała na krawężniku przy swoim rozbitym vanie, a po jej szyi płynęła chłodna woda z kałuży. Nie chodziło o to, że nie chciała już dziecka. Po prostu nie mogła go mieć.

Przez tyle lat żyła swoim cichym i spokojnym, idealnym życiem w peruce. Tak jakby przez cały ten czas pozostawała w uśpieniu. Śniła o mężu, o dziecku, o wybieraniu wentylatorów sufitowych, o specjalnym pokoju na niezliczone folie i plastikowe opakowania. W tym śnie dryfowała w kierunku zbioru łuków i orbit, wewnątrz których mogła odgrywać zachowania odpowiednie do roli żony i matki. Ale kiedy peruka sfrunęła jej z głowy, Sunny przebudziła się z tego snu, wypadła ze swojej orbity, rozsypała się po niebie po każdym możliwym wektorze. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że w jej ciele żyła mała osoba, mały człowiek. Wiedziała, że ta osoba ma się z niej wydostać przez dziurę o wielkości ćwierćdolarówki. To przecież niemożliwe z matematycznego punktu widzenia. To nie może być zdrowe. Nikt nie ma prawa tego od niej oczekiwać. Czuliła się tak, jakby cofnęła się w przeszłość, do czasu, kiedy jeszcze nie była matką. Nie miała włosów. Była po prostu przestraszonym dzieckiem.

– Sunny, dlaczego nie nosisz swojej peruki? – zapytał doktor.

– Spadła mi z głowy – odpowiedziała. – Miałam wypadek samo-chodowy i peruka wylądowała w kałuży. Gdy tu jechałam, wrzuciłam ją do rzeki.

– A teraz czujesz się tak, jakbyś nie mogła urodzić dziecka?

– Tak. To nie jest naturalne. To nie jest normalne.

– No cóż – powiedział lekarz o kręconych włosach. – Uważam, że nie masz racji. Wydaje

mi się, że jesteś po prostu wzburzona i roztrzęsiona. Musimy cię oczywiście zbadać i zadbać o to, żeby te skurcze ustały. Ale nic ci nie będzie.

Sunny usiadła na krześle. Jej łysa głowa świeciła w różowym świetle tego wyjątkowo nieszpitalnego pomieszczenia, w którym stało prawdziwe drewniane biurko i które oświetlały lampy o zielonych abażurach.

– Nie jestem osobą, która rodzi dzieci – oznajmiła Sunny. – Nie jestem do tego odpowiednio przygotowana. Nie nadaję się.

– Przecież już to robiłaś, Sunny. Siłą rzeczy.

– To co innego. Maxon był wtedy przy mnie. I wszystko działało. Teraz nic nie działa.

Długo się na to przygotowywałam i wie pan... muszę zacząć wszystko od nowa. Cała moja praca poszła na marne. Wszystko zostało wymazane. Muszę zacząć od nowa i włożyć w to jeszcze więcej pracy. Potrzebuję więcej czasu, żeby się przygotować.

– Dziecko to nie tablica, którą można w dowolnej chwili wytrzeć – zauważył lekarz. – Nie da się po prostu zacząć od nowa.

– Boję się o dziecko – wyznała Sunny.

„Nie nadaję się do tego – myślała. – Ani moje ciało. Ani moja głowa. Nie ja, nie ta osoba. Nie nadaję się, żeby być matką. Nie wiesz, kim tak naprawdę jestem”.

W tej samej chwili nadszedł kolejny skurcz, więc Sunny wczepiła się w gustownie obite poręcze fotela i zacisnęła zęby. Lekarz ze współczuciem się nad nią pochylił.

– Zróbmy USG i sprawdźmy, jak ułożone jest dziecko – zaproponował. – Potem położymy cię i podamy ci płyny. A później zastanowimy się, co dalej robić.

I wtedy Sunny się rozpląkała. Jej twarz zrobiła się czerwona i pomarszczona. Sunny doskonale o tym wiedziała.

Po chwili leżała już na łóżku w szpitalnej koszuli, przygotowana do badania USG. Kobieta, która nie ma włosów, zaczyna oddalać się od swojej płci. Czekwała, ubrana w niebieską szpitalną koszulę w paski, ze świecą łysą głową, a postronnemu obserwatorowi trudno byłoby określić, czy Sunny jest kobietą, czy mężczyzną. Z pewnością nie pomagał tu fakt, że była wysoka i miała wąskie biodra. Nawet w ciąży pozostawała płaska jak deska. Równie dobrze na łóżku mógł leżeć jakiś niezdarny kosmita z dzieckiem w brzuchu. Pod koszulą miała ogromne spodnie chirurgiczne. Zjawił się lekarz, zapytał, czy jest gotowa, i wydawało się, że długo i uważnie się jej przyglądał. Miała ładny nos, delikatny podbródek, duże, ciemne oczy i różowe policzki. Ale bez brwi i rzęs jej twarz przypominała twarz posągu osadzoną na ciele należącym do mężczyzny lub kobiety.

Lekarz podjechał do niej na okrągłym stołku i podwinął jej koszulę. Na dole, na środku jej ogromnego białego brzucha, nadal znajdował się otwór, wgłębienie wyznaczające miejsce, w którym połączona była z matką, gdy przebywała w jej łonie. Co dzieje się z przewodem pod pępkiem, kiedy przecięta zostaje pępowina? Sunny wiedziała, że w jej przypadku pozostał on na swoim miejscu i miał tam pozostać już na zawsze, donikąd nie prowadząc. Odprowadzając. Podczas ciąży ta dziura wywróciła się do góry dnem. Stało się tak, kiedy nosiła w brzuchu Bubbera, i stało się tak również teraz, za drugim razem. Kiedy była w ciąży z Bubberem, zdała sobie sprawę, że tam głęboko, na dnie tej okropnej, żalostnej dziury w miejscu, w którym połączona była kiedyś z matką, w którym była kiedyś do niej przywiązana, znajdował się mały, maleńki pieprzyk. Ten mały, ciemny pieprzyk w głębi jej pępka stał się dla niej realny, dopiero kiedy ciąża wywróciła jej pępek do góry dnem – dopiero wtedy zobaczyła go po raz pierwszy. Tej właściwości ciąży badacze nie potrafili wytłumaczyć. W jaki sposób idealna parabola jej ciążowego brzucha mogła zostać powiększona o ten dodatkowy guzek i dlaczego ten guzek miał swój własny guzek? Powiedziała Maxonowi, że gdyby weszła prosto w ścianę, to właśnie

pieprzyk zetknąłby się z tą ścianą jako pierwszy.

Maxon zauważył:

– Kochanie, po co wchodzić w ścianę, skoro w rezultacie zakwestionujesz tylko integralność swojej paraboli?

A ona odpowiedziała:

– No dobrze, w takim razie styczna. Styczna.

Lekarz włączył ultrasonograf, zbliżył go do niej, a następnie wycisnął na jej skórę żel nawilżający. Przyłożył białą głowicę maszyny do tej zimnej galaretki i spojrzał w kierunku małego monitora, na którym pojawił się ziarnisty obraz.

– Tak – powiedział. – Tak.

Poruszał głowicą w przód i w tył, w przód i w tył. Rytmicznie ją przesuwiał. Sunny, która leżała płasko na plecach, czuła, że z jej ciałem jest już teraz lepiej. Skurcze minęły. Ziarniste kształty na monitorze przesuwają się powoli i spokojnie nad sobą przepływały. Tylko odpowiednio przygotowane oko zdołałoby tam zidentyfikować jakiekolwiek narządy. Sunny mogłaby równie dobrze patrzeć na góry księżycowe. Rybie wnętrzości. Ciemne lasy. Czy gdyby towarzyszył jej Maxon, ściszałby jej dłoń? Czy gdyby towarzyszył jej Les Weathers, naprawdę byłby Lesem Weathersem, prezenterem wiadomości Kanału 10?

– Nie chcesz zobaczyć dziecka? – zapytał lekarz.

– A wszystko z nim w porządku? – odpowiedziała pytaniem.

– Spójrz.

Gdyby Maxon patrzył w tej chwili na ekran komputera gdzieś w przestrzeni kosmicznej, w kabinie statku, który miał go zabrać na Księżyc, może zobaczyłby to samo, co ona. Mógłby skupić wzrok na białej plamie na monitorze i dostrzec kontury dziecka, rozpluwające się na dzień dobry. „Hej!” – mógłby zawołać, marszcząc twarz i szczerząc zęby w uśmiechu. Może nawet by krzyknął. Może wzniósłby triumfalnie pięść. Ale tak się nie stanie. Nie zadzwoni do swoich kolegów astronautów, nie pokaże im ekranu komputera, tak jakby pokazywał zdjęcie w portfelu. Nie. Nie pokaże jej brzucha swoim kolegom z pracy, żeby pochwalić się, co w nim umieścił, co w nim za jego sprawą rośnie. Nie, nie. Siedzi w ciszy, zgarbiony, ma przekrzywione okulary i wszystko analizuje w samotności. Do nikogo nie zadzwoni. Musi wykonać niezbędne pomiary, odnotować zmianę średnicy czaszki, która nastąpiła od czasu ostatniego badania. Wyciąga palec, żeby dotknąć bijącego serca. Zasłania je, a po chwili odsłania.

Sunny wreszcie postanowiła się odwrócić i spojrzeć na monitor. Wnętrze własnego brzucha wydało się jej obce, zrobione z plastiku, wyprodukowane gdzieś poza nią, wszczepione w jej ciało przez obcych ludzi.

– Spójrz – powiedział doktor i wskazał niewyraźną plamę światła. – Tu jest dziecko, a tu jego serce. Biję, widzisz?

Kształt, który miał być sercem dziecka, robił się na przemian biały i czarny, zgodnie z rytmem uderzeń.

– Twoje dziecko ma nadal do dyspozycji mnóstwo płynu owodniowego, w którym może się poruszać. Ale przyjęło ułożenie pośladkowe. Chcielibyśmy, żeby główka znajdowała się o tu, w dole, przy kanale rodny, a tymczasem jest w tym miejscu, na górze.

– I co w związku z tym? – zapytała Sunny.

– Musimy powstrzymać poród. – Lekarz na chwilę zamilkł. – Nie chciałaś poznać płci dziecka, kiedy robiliśmy poprzednie USG. Czy zmieniłaś zdanie?

– Tak, chcę poznać płęć – powiedziała Sunny.

– Twoje dziecko to mała dziewczynka.

Dziewczynka. Czuła się tak, jakby nie mogła się poruszyć. Krew w jej żyłach zmroziły

miłość i strach.

W tygodniach poprzedzających wystrzelenie rakiety do Maxona i Sunny zwracali się z prośbami o wywiady przedstawiciele różnych mediów. Plan zaludnienia Księżyca robotami, a w dalszej perspektywie ludźmi: ta historia miała potencjał. Nie było żadnej innej żony astronauty NASA o równie idealnym wyglądzie. Żaden astronauta NASA nie prezentował się przy swojej żonie tak smukło. Na wspólnych zdjęciach Maxon i Sunny wyglądali seksownie i pociągająco, co skłaniało ludzi do interesowania się misją na Księżyc. Czy naprawdę chodziło o fakt, że rakieta miała wkrótce zabrać na swoim pokładzie roboty, by te mogły zamieszkać na Księżycu? A może chodziło po prostu o tę ładną, elegancką kobietę i jej wysokiego, charyzmatycznego męża astronautę?

Maxon, który współpracował z ludźmi odpowiedzialnymi za kampanię PR-ową całej misji, pojechał do Nowego Jorku na osiemnaście godzin, żeby wystąpić w popularnym talk show. Żartował, uśmiechał się, prowadził small talk i nie odczytywał podtekstów seksualnych, co musiało się wydawać dosyć komiczne. Sunny jednak natychmiast odmówiła jakichkolwiek publicznych występów.

– Jestem w ciąży – oznajmiła. – Nie mogę latać.

Kiedy program *Today* zaproponował, że przyśle ekipę do jej domu, początkowo też się wzdrgała. Nie chciała zakłócać życia swojego dziecka w jeszcze większym stopniu, niż robił to jego ojciec, który postanowił lecieć w kosmos. To właśnie powiedziała ekipie telewizyjnej i wydawało się, że ludzie, z którymi rozmawiała, rozumieli jej punkt widzenia.

W końcu zgodziła się udzielić wywiadu lokalnej stacji telewizyjnej z Norfolku. Uznała, że dzięki temu nie będzie podejrzewana o unikanie rozgłosu. Wyjdzie na wspierającą, godną szacunku żonę. Tak właśnie będą o niej mówili. Będzie aż skrzyła się poświęceniem. Włożyła swoją najwspanialszą perukę, prezentującą fryzurę, na którą mógł sobie pozwolić tylko ten, kto zdecydował się zapłacić fryzjerowi przynajmniej dwieście dolarów. Miała na sobie ubrania w koralowym odcieniu, który podobno korzystnie ociepla się w świetle reflektorów studia telewizyjnego. Założyła też perły.

Siedziba stacji znajdowała się w ceglany budynku przy Granby Street, miejscu niewyróżniającym się niczym, z wyjątkiem ogromnego logo stacji na dachu. Samo studio okazało się dużym, chłodnym pomieszczeniem o ciemnych ścianach i wysokich sufitach, pod którymi zainstalowano ogromne lampy. Kable wiły się między kamerami, wokół sceny i po całej podłodze. Przypominały czarne rzeki płynące przez ciemne pomieszczenie. -Sunny, podtrzymywana przez Maxona, próbowała utorować sobie drogę pomiędzy nimi.

– Co dziś włożysz, Maxon? – zapytała tego ranka.

– Mój skafander kosmiczny – oznajmił. – Zawsze go noszę, kiedy występuję jako astronauta.

– Nawet nie masz tu skafandra – zauważyła, zbyt skupiona na swoich brwiach, żeby zorientować się, że żartował.

– No cóż, w takim razie włożę czerwone ogrodniczki i słomkowy kapelus.

– Ach tak?

– I zaśpiewam *Gwiazdzisty sztandar*.

– Maxon, ja naprawdę nie chcę tego robić – wyznała.

– Dlaczego? Na pewno świetnie ci pójdzie. Zobacz, jak doskonale sobie radzisz na co dzień. Nic nie jest w stanie wytrącić cię z równowagi. Zachowujesz się jak maszyna.

– Maxon, dlaczego mówisz coś takiego?

– To znaczy co?

Sunny odcepiała jedną z brwi i przykleiła ją z powrotem, odrobinę wyżej.

– Boję się. Nie chcę się nagle rozplakać, zwymiotować ani zrobić czegoś podobnego.
– Ale dlaczego miałabyś to robić?
– Wyruszasz w kosmos. Martwię się. Ludzie martwią się, nawet kiedy ich mężowie albo żony jadą w podróż służbową do Kansas City.

– No cóż, w Kansas City jest całkiem niebezpiecznie. Grawitacja jest tam o jedną dziesiątą mniejsza niż w Wirginii.

– To na pewno nieprawda.

– Mogę się założyć, że umiałbym wmówić to prenterowi.

– Zamknij się.

– Dobrze, ale mogę się założyć.

Ostatecznie postanowił włożyć granatowe spodnie i koszulkę polo z logo NASA. Kiedy weszli do studia telewizyjnego, Sunny szybko oceniła jego wygląd i uznała, że jest zadowolający.

– Całkiem przywoicie się prezentujesz – powiedziała. – Nie zacznij tylko opowiadać o robocie, który rozumie tango, i wszystko będzie w porządku.

– Na pewno dobrze ci pójdzie – zapewnił Maxon.

Les Weathers wskoczył na plan. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą go uczesano i zrobiono mu makijaż. Nadal miał za kołnierzem chusteczki, które chroniły jego świeżo wyprasowaną, białą koszulę.

– Witajcie, moi drodzy! Jak się dziś czujemy? – zapytał. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, podał rękę Maxonowi, a potem Sunny. Miał ciepłą, silną dłoń. Sunny wiedziała, że jej mąż nie lubi podawać ludziom ręki. Widząc, jak biała pięść Maxona zaciska się wokół opalonej dłoni Lesa Weathersa, Sunny na chwilę zamarła.

„Oto mężczyzna, za którego wyszłam – pomyślała. – Jego ręka przypomina szpony jastrzębia. Oto mężczyzna, za którego nie wyszłam. Ma skórę taką jak lew wygrzewający się na słońcu”. Zastanawiała się, czy ręce Lesa Weathersa też pokryto fluidem.

– Świetnie – odpowiedział Maxon. – Czujemy się świetnie.

– Bardzo dziękuję, że zgodziliście się na tę rozmowę – dodał Les, po czym zwrócił się porozumiewawczo do Sunny: – Co za temat!

– Co za temat – powtórzył Maxon.

– Les, to bardzo miło z twojej strony, że nas zaprosiłeś i pozwalasz nam opowiedzieć światu o wyprawie Maxona w kosmos. Jestem ci za to bardzo wdzięczna – zapewniła Sunny, szeroko się uśmiechając, a następnie usiadła na krześle między Maxonem a Lesem Weathersem, krzyżując kostki tylko po to, by jej korkowe sandały dobrze się prezentowały. Zamierzali nagrać tę rozmowę i pokazać ją podczas wieczornych wiadomości, które gromadziły zwykle najliczniejszą widownię. Dzięki temu wywiad mógł zostać sprzedany do wszystkich oddziałów na terenie całego kraju. Może pokaże go nawet program *Today*.

– Wszystko zależy od tego, jak potoczy się sama misja – powiedział producent.

– To znaczy? – zapytała Sunny.

Czyżby Les Weathers chciał wykorzystać misję Maxona, żeby zdobyć rozgłos? Wystarczył jeden gorący temat, jedno błysnięcie białych zębów, by człowiek o gęstych jasnych włosach mógł odnieść wielki sukces. Ale do tego musiałyby się stać coś strasznego. A przynajmniej coś niespodziewanego. Losy prezentera zależą od tragedii albo od rewolucji. Sunny spojrzała na Maxona, przeniosła wzrok z powrotem na Lesa Weathersa i wtedy przeszedł ją dreszcz.

– Wszystko w porządku? – zapytał Les Weathers.

– Och, to przez ciążę – wyjaśniła. – Nic mi nie jest. Dziękuję za troskę.

Producent wyjaśnił im, w którą stronę mają patrzeć (na Lesa Weathersa lub na siebie

nawzajem), gdzie nie powinni patrzeć (w obiektyw kamery), jak mają się uśmiechać i zachowywać.

– Wyobraźcie sobie po prostu, że rozmawiacie ze znajomym na przyjęciu – poprosił producent. – Jesteśmy szczęśliwi. Lecimy na Księżyc!

Wcześniej też udawali, że Les Weathers jest ich znajomym. To nie powinno być trudne.

Rozpoczęła się rozmowa. Co ta misja oznacza dla Ameryki? Co oznacza dla świata? Maxon odpowiadał na podstawie scenariusza, który wcześniej powtarzał. Brzmiał niemal jak humanista mówiący z pasją o tym, że przyszłość ludzkości jest pośród gwiazd. Przedstawił wspaniałą wizję, zadziwiająco skutecznie ukrywając swój prawdziwy charakter. Na krótką chwilę przestał być oszczędnym w słowach, kościstym facetem, który miał po raz pierwszy opuścić Ziemię. Przeobraził się w człowieka pełnego życia, pogodnego – niemal radosnego. Nie powiedział: „Mam za sobą cały gang robotów, z którymi zamierzam podbić Księżyc”. Nie powiedział: „Właśnie tak przebiega ewolucja. W ten sposób przekształca się nasza kultura”.

Zamiast tego powiedział poważnie: „To wielki krok dla ludzkości”. Powiedział dowcipnie: „Wreszcie możemy umeblować nasze drugie, zapasowe mieszkanie”. Powiedział poetycko: „Maszyny na szarej pustyni horyzontu czasu”.

Sunny uśmiechała się i kiwała głową, lekko ściskając kolana, a koralowy sweterek opinał się na jej dużym ciężowym brzuchu. Poczuła, jak pod jej peruką zaczęła spływać kropelka potu. Mocne oświetlenie sprawiło, że w studiu zrobiło się gorąco.

– A jak ty się z tym wszystkim czujesz? – zapytał ją serdecznie Les.

– Les – odpowiedziała – wyszłam za człowieka po uszy zakochanego w robotach. Czy naprawdę powinnam się dziwić, że ulatnia się z haremem robotów, aby zaludnić niebo?

Wszyscy się roześmiali. Gdyby Sunny wyszła za mężczyznę pracującego jako prezenter telewizyjny, mężczyznę w starannie wyprasowanej koszuli opinającej się na umięśnionych ramionach, byłaby oczywiście głęboko zszokowana, gdyby ulotnił się z haremem robotów, by zaludnić niebo. Spodziewałaby się raczej, że wyjadą wspólnie do Norwegii, gdzie naprawdę mieliby swoje drugie mieszkanie – prawdziwe mieszkanie z garażem, a nie takie, które znajdowało się na innym ciele niebieskim.

– Porozmawiajmy o tobie, Sunny Mann – powiedział Les Weathers. – Ta misja odbywa się w trudnym dla twojej rodziny momencie. – Wskazał jej ogromny ciężowy brzuch, po czym uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem, ale jednocześnie ujmująco.

– No cóż, datę wystrzelenia statku kosmicznego Maxona zaplanowano na długo przed tym, zanim dowiedziałam się o terminie porodu – odrzekła miękko Sunny. – A Księżyc na nikogo nie czeka.

– Nie boisz się zostawiać żony w takiej chwili? – naciskał Les.

Sunny dotknęła suchej, chłodnej ręki Maxona. Miał twarde dłonie i długie, silne palce.

– Les – powiedział Maxon – termin misji musieliśmy dostosować do orbity Księżyca, to element kluczowy dla przebiegu całej wyprawy.

To były bzdury. Sunny doskonale o tym wiedziała. Poczuła, jak serce załomotało jej w piersiach.

– Najdrobniejsza choćby zmiana terminu mogłaby wiązać się z różnicą w sile grawitacji, co z kolei w znaczącym stopniu rozchwiałoby telemetrię. Wiesz, na tej samej zasadzie co różnice obserwowane w ziemskiej grawitacji. Wszyscy wiemy doskonale, że na przykład w Kansas grawitacja jest o jedną dziesiątą słabsza niż w Wirginii. W niektórych częściach Oklahomy grawitacja jest jeszcze słabsza.

– Och – powiedział Les Weathers. – Nie wiedziałem o tym.

Maxon zrobił minę mówiącą: „Wtajemniczyłem cię w pewien sekret”. Po czym puścił

oko do kamery, w którą nie miał przecież w ogóle patrzeć.

– Nie martwię się o poród – zapewniła Sunny. – Nie martwię się też o Maxona. Zabierze swoje roboty na Księżyc, a kiedy wróci, powita go nowo narodzone dziecko.

– Wiecie już, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

Sunny łagodnie się roześmiała.

– Les, byliśmy tak zajęci przygotowaniami do wyprawy Maxona, że nie zdążyłam się nawet upewnić, czy to dziecko jest na pewno człowiekiem.

„Są trzy rzeczy, których roboty nie potrafią robić”, napisał Maxon. Niżej na tej samej kartce narysował trzy kropki. Przy pierwszej kropce napisał: „Dawać komuś pierwszeństwo bez powodu (-KOCHAĆ)”. Dalej: „Podawać w wątpliwość racjonalne decyzje (ŻAŁOWAĆ)”. I wreszcie: „Ufać danym pochodzącym z niepewnego źródła (WYBACZAĆ)”.

Kochać, żałować, wybaczając. Podkreślił każde z tych słów trzema grubymi liniami i trzykrotnie postukał się długopisem w każdą z brwi. Nie zauważył nawet, że miał przez cały czas szeroko otwarte usta. Nie skończył jeszcze trzydziestu lat i był z całą pewnością najmłodszym astronautą NASA.

„Robię to, czego roboty nie potrafią robić – pomyślał. – Ale dlaczego to robię?”

Statek kosmiczny zmierzał w kierunku Księżyca. Maxon spisywał swoje refleksje. W notesie znajdowały się setki list, tysiące punktów, kilometry podkreśleń. To był jego sposób myślenia. Stał w swojej kabinie, wyprostowany i przypięty pasami do łóżka. Pozostali czterej astronauta przebywali teraz w kapsule i wdrażali kolejne procedury. Nikt z wyjątkiem Maxona nie lubił spędzać czasu w kabinach. Jemu zaś sprawiało to przyjemność. Nie nadszedł jeszcze czas gaszenia świateł, ale rakieta zmierzająca na Księżyc kończyła już powoli swój pierwszy dzień w kosmosie.

Sporządzona przez Maxona lista rzeczy, których nie potrafi robot, wydawała się bardzo krótka – przynajmniej teraz, kiedy zdołał już okroić zdecydowanie dłuższą listę, na którą składały się tak wyrafinowane czynności jak „wyrażanie znaczących, choć irracjonalnych preferencji kolorystycznych” czy „opłakiwanie współpracownika”. Maxon robił wszystko, żeby jego roboty pracowały lepiej i działały dłużej, dlatego starał się maksymalnie upodobnić je do ludzi. Ludzie są przecież produktem końcowym długiego procesu ewolucji. Z logicznego i biologicznego punktu widzenia nic nie działa lepiej niż człowiek. Maxon wyszedł zatem z założenia, że każda pozorna wada, każde dziwactwo występujące u ludzi musi wyrażać jakąś niezbędną funkcję. Szybkie mruganie Maxona. Kocie ziewnięcie Sunny. A nawet uczucie zamarzania. To wszystko ma znaczenie i sprawia, że ciało może funkcjonować zarówno samo-dzielnie, jak i w połączeniu z innymi, współistniejącymi ciałami.

Dlaczego mężczyzna, który klaszcze w teatrze, pragnie, żeby siedząca obok niego kobieta również zaczęła klaskać? Dlaczego kobieta, która wstaje podczas meczu baseballowego, oczekuje, że mężczyzna siedzący po jej lewej stronie również poderwie się z miejsca? Dlaczego robią te wszystkie rzeczy jednocześnie, dlaczego wstają, dlaczego klaszczą, wiwatują? Maxon nie miał bladego pojęcia. Wiedział, że ich motywacje są w tym wypadku nieistotne. Robią to, więc muszą mieć po temu jakiś powód. Klaszkanie w nieodpowiednim momencie w teatrze może powodować zdziwione spojrzenia, zmarszczone brwi i porozumiewawcze szturchnięcia. Dlatego Maxon napisał:

ORIENTACJA (GRUPA)

MACIERZ A

$$\begin{bmatrix} a_{11} & \cdot & \cdot & \cdot & a_{1n} \\ \cdot & \cdot & & & \cdot \\ \cdot & & \cdot & & \cdot \\ \cdot & & & \cdot & \cdot \\ a_{m1} & \cdot & \cdot & \cdot & a_{mn} \end{bmatrix}$$

Jeżeli grupa (ludzie) jest zorientowana w macierzy $n \times m$, to zachowanie dowolnego członka a_{mn} powinno być identyczne z zachowaniem wszystkich innych członków w macierzy a_{nm} . Jeżeli a_{11} klaszcze, $a_{12} \dots a_{mn}$ też powinni klaszcze.

Niech ktokolwiek w jakimkolwiek teatrze odważy się temu zaprzeczyć.

– Co porabiasz, Geniuszu? – zapytał Fred Phillips, który wetknął głowę do kabiny Maxona. Jego ciało unosiło się na zewnątrz, on sam zaś trzymał się framugi drzwi.

– Pracuję, Phillips – odpowiedział Maxon.

– Nie pracujesz. Marzysz. – Phillips uśmiechnął się radośnie, zerkając na kartkę, którą miał przed sobą Maxon. – Marzysz, że będziesz kochał się ze swoimi robotami. Ale nie możesz skłonić ich do tego, żeby odwzajemniły twoją miłość.

– Po pierwsze – odparł Maxon – widziałem twoją kartę medyczną. Twoje IQ jest na poziomie IQ geniusza, więc przewisko, które mi wymyśliłeś, „Geniusz”, jest po prostu bezsensowne. Po drugie, nie marzę o robocie, który mógłby kochać. Każdy potrafiłby zaprogramować takiego robota. Wystarczyłoby określić nielogiczną preferencję. Sytuacja, w której robot cię kocha i wybiera cię spośród wszystkich innych ludzi, jest analogiczna do sytuacji, w której robot kocha kolor pomarańczowy ponad wszystkie inne kolory. Mogłem tego dokonać wiele lat temu. Ale takie zachowanie nie miałyby po prostu sensu. Więc z tego zrezygnowałem.

W jaki sposób miłość do Sunny różniła się od miłości do koloru pomarańczowego? Phillips nie potrafiłby tego pojąć.

– Nieważne, Geniuszu – powiedział Phillips. – Houston chce, żebyśmy przeprowadzili symulację procedury dokowania na orbicie. Chcesz przyjść popatrzeć czy jesteś zbyt zajęty? Wszyscy dobrze wiemy, że nie masz nic do roboty, przynajmniej do czasu, aż spotkamy się na orbicie z twoimi dziewczynami.

Phillips wydostał się z kabiny Maxona, podniósł nogę, umieścił ją w uchwycie, po czym odbił się i odepchnął w kierunku śluzy prowadzącej do modułu dowodzenia. Ich kabiny rozmieszczone były wokół ścian rakiety, a pomiędzy nimi, na środku, znajdowało się cylindryczne przejście. Maxon nie miał klaustrofobii. Był doskonale przystosowany do podróży kosmicznych i zawsze nosił skafander, kiedy występował jako astronauta.

– Roboty nie płaczą, Geniuszu – oznajmił Phillips, powoli wycofując się w kierunku modułu dowodzenia. – Przypomnij sobie prawa robotyki Ita: roboty nie potrafią płakać, roboty nie potrafią się śmiać, roboty nie potrafią śnić.

Maxon westchnął. Wiedział, że to przynęta, ale odpinał już pasy, żeby ruszyć za Phillipsem. Haczyk tkwił już w jego mózgu. Maxon stworzył roboty zdolne do robienia wszystkich tych trzech rzeczy. James Ito był zwyczajnym pismakiem, pseudospecem od sztucznej inteligencji, który pracował dla jakiegoś koncernu samo-chodowego. Jego książka była po prostu farsą. Zwykła popkultura, a nie nauka. Kiedy Maxon poznał Ita, nie spodobała mu się twarz tego faceta. Humanista. Ten typ, który malował przyszłość w jasnych barwach, przewidując, że transformacja, jaką oferowały roboty, oznaczała tak naprawdę powrót do dawnego świata. Żona robot była żoną sprzed epoki feminizmu. Robotnik robot był robotnikiem sprzed nastania socjalizmu. Ten gość nie miał pojęcia, co czaiło się za rogiem. Inny świat – ani lepszy, ani gorszy, ale całkowicie odmieniony.

Roboty mogą się śmiać, płakać, śnić i robić wszystko inne. Maxon stworzył między innymi robota o imieniu Hera. Sześć egzemplarzy Hery czekało na niego na orbicie okołoksiężycowej, w ładowni rakiety, którą wystrzelono w ubiegłym tygodniu i z którą mieli się wkrótce połączyć. Hera śmiała się, słysząc bezsensowne zestawienia, takie jak „gruby człowieczek w ciasnym płaszczu” albo „taczka pełna bitej śmietany”. Jej śmiech nie był nic nieznaczącym dźwiękiem, który dociera do ludzkiego ucha przez głośnik i ma wzbudzić uznanie i aprobatę. Była to reakcja wewnętrzna, systemowa, ściśnięcie stawów, lekkie drżenie poszczególnych elementów, chwilowe zawieszenie funkcji. –Mog-ło się to rozpowszechnić pośród pozostałych modeli Hery, mogło się rozejść jak zaraza pośród całej ich grupy.

– To nieprawda – powiedział Maxon, ruszając w ślad za Phillipsem. – Hera się śmieje. Właśnie to czyni Herę tak wiarygodną.

– Nie wierzę w to – oznajmił Phillips. – To bez sensu. Robot, który się śmieje. Co to za absurd?

Po chwili Phillips siedział już przypięty pasami do swojego fotela.

– Houston, możemy zaczynać – powiedział. – Rakieta Eneida jest gotowa do przeprowadzenia symulacji. Cała załoga obecna.

Maxon dobrze znał język niedowiarków. Bali się. Czasem zdradzały to ich twarze, na których pojawiała się konsternacja. Marszczyli brwi i unosili podbródki. Kiedy zaprogramował Herę, niektórzy uważali to za aberrację. Inni twierdzili, że to tani chwyt reklamowy. Interesowały ich moment obrotowy i rozciągłość materiału, z którego został wykonany robot, jego wielkość i skład. W artykule opublikowanym w „International Journal of Robotics Research” pogardliwie nazwano Maxona „psychologiem robotów”. Nie przeczytał artykułu, bo już sam jego tytuł kazał mu przypuszczać, że nie przypadnie mu do gustu. Z perspektywy Maxona nieistotne były tu

kwesie dobra i zła, ani nawet znalezienie przyczyny. Chodziło po prostu o odpowiedź na pytanie o to, co dalej, a tak naprawdę – o historię. O historię ludzkości i wszystkich wyborów, jakich dokonywał człowiek.

Później pojawił się model Juno, który doświadczał podobnego zgrzytania zębatek i zaciskania elementów hydrauliki, kiedy zostawiało się go na pewien czas w samotności, z dala od pozostałych modeli. Płacz Juno przypominał w dużym stopniu śmiech Hery – tyle że nie rozprzestrzeniał się jak wirus. Czujniki wzrokowe tego robota ulegały uszkodzeniu i musiały być oczyszczane przez niego samego albo przez inną Juno, którą do ewentualnej pomocy mogły skłonić jej wewnętrzne mechanizmy analizy sytuacji. Opublikowany w czasopiśmie „Wired” artykuł zatytułowany *Samotny robot* opisywał spotkanie Juno z innym modelem Juno i sposób, w jaki oba roboty zaczęły dygotać, kiedy je rozdzielono. Nastąpiło to, jeszcze zanim kod Juno został wprowadzony w ramę konstrukcyjną, ostatecznie zaprogramowany. Czasopisma interesują się tylko humanoidalnymi funkcjami humanoidalnych robotów. Wystarczy upodobnić je do buldożerów – i wszystko ujdzie ci na sucho.

Maxon nie przykładął szczególnej wagi do kształtu i wyglądu swoich robotów. Jak umieścić w ich wnętrzu mikroskop. Jak je zmniejszyć, powiększyć, jak sprawić, by mogły pracować w ludzkim krwiobiegu, jak uprościć dwunożną mobilność. Miał do dyspozycji dziesiątki asystentów, którzy zajmowali się tego rodzaju technicznymi szczegółami. Jego praca polegała na programowaniu, myśleniu, kodowaniu i wypełnianiu list. Krążył między laboratoriami w Langley niczym zjawa z brudnymi włosami opadającymi wzdłuż zapadniętych kości policzkowych i długimi, zwisającymi rękami. Godzinami jeździł na rowerze, opracowując na płytach chodnikowych sekwencje komend, a każdy metr kwadratowy był dla niego jak czysta tablica, którą mógł zapisać, a potem wytrzeć.

– Houston, jesteśmy gotowi – powiedział George Gompers, dowódca misji. – Czekamy na sygnał.

Monitory zamigotały i zamiast wyraźnego obrazu przestrzeni kosmicznej zobaczyli projekcję holograficzną: wyłoniły się przed nimi Księżyc oraz moduł transportowy przewożący wszystkie roboty, które mieli zabrać na jego powierzchnię. Ich zadanie polegało na zadokowaniu tego modułu na orbicie, wydobywaniu trzech kontenerów, a następnie przekształceniu modułu dowodzenia w lądowisko księżycowe. Podczas gdy pilot, inżynier i dowódca misji powtarzali rozkazy i sekwencje, wystrzelili rakiety oraz ustawiali i wyrównywali statek, realizując symulację dokowania, Maxon wpatrywał się w swój wypełniony robotami moduł transportowy.

Zastanawiał się, co tam robiły, o czym śniły.

Wszystkie roboty Maxona, podobnie jak sam Maxon, potrafiły śnić. Losowo generowana wiązka kodu łagodnie stymulowała ich procesory, w czasie gdy były one wyłączone. W ten sposób, podczas gdy obwody elektryczne pozostawały zamknięte, można było testować chemobioniczne reakcje. Osiągnięcie tego stanu rzeczy okazało się dziecinnie proste. Roboty pamiętały poszczególne wydarzenia ze swojego życia, przechowywały ogromne ilości danych. W snach przedstawiały liczby, przywoływały sekwencje, które nigdy nie mogłyby wspólnie zaistnieć w normalnych okolicznościach – i w ten sposób, po „obudzeniu”, miały często nowe „pomysły”, które przybierały postać wzorów i połączeń, wydobywanych z gmatwaniny ich snów.

Im bliżej im było do człowieka, tym lepsze się stawały – niezależnie od tego, czy chodziło o mikroskopijnych rozmiarów nanorobota wykonującego operację wymiany zastawki serca, czy o robota tak dużego jak obdarzony czuciem dźwięk portowy. Ludzie sprawnie funkcjonują. Stanowią ewolucyjny sukces. Im bardziej ewoluują, tym skuteczniejsi się stają. Dawniej Maxon zakładał, że na tym etapie misji, w sytuacji, w której miał lada chwila wylądować na Księżycu, zdoła wykreślić ze swojej listy rzeczy, których nie potrafiły roboty,

wszystkie bez wyjątku pozycje. Zakładał, że do tego czasu pojęcie „kwintesencja człowieczeństwa” straci swoje znaczenie. Nie zważając na protesty, uparcie tworzył śniące, pozbawione twarzy, śmiejące się roboty, które nieubłaganie doganiały ludzkość.

Sztuczna inteligencja była czymś oszałamiającym. Nawet najwięksi sceptycy musieli to przyznać. Roboty Maxona robiły to, czego nie potrafiły inne roboty, myślały o tym, o czym nie potrafiły myśleć inne roboty. Właśnie dlatego mimo młodego wieku zdobył on tak wiele patentów i miał konto bankowe tak astronomicznych rozmiarów. I co najważniejsze, właśnie z tego powodu został zatrudniony przez NASA i zmierzał teraz na Księżyc. Roboty Maxona mogły tworzyć inne roboty. Nie tylko je konstruować, ale też wymyślać.

Żeby założyć kolonię na Księżycu, potrzeba naprawdę wielu robotów. Robotów, które zbudowałyby stację kosmiczną, robotów, które by ją obsługiwały, robotów, którym nie przeszkadzałyby atmosfera Księżyca i panujące tam temperatury, robotów, które zajmowałyby się odwiedzającymi je ludźmi. Nie ulegało wątpliwości, że kolonia na Księżycu miała przez wiele nadchodzących lat należeć właśnie do robotów. Ludzie mieli być ich gośćmi. Problem polegał na tym, że nikt nie potrafił przetransportować na Księżyc robota wystarczająco dużego, żeby zbudował tam kolonię. W rakiecie nie wystarczyłoby po prostu miejsca na wszystkie niezbędne koparki, dźwigi i tłocznie.

Postanowiono zatem wystrzelić w kosmos robota, który mógłby zbudować innego, odpowiednio dużego robota. Juno i Hera miały się stać robocimi matkami – stalowymi, szumiącymi i wirującymi matkami, stworzonymi po to, by wydobywać niezbędne materiały i konstruować prawdziwe roboty, prawdziwych budowniczych, którzy odtworzyliby świat na Księżycu. Tylko śmiejący się, płaczący i śniący robot mógł zostać matką. Ta myśl budziła w niektórych przerażenie. Perwersja. Aberracja. Ale przecież właśnie dlatego wszyscy inni ponieśli porażkę. Całe to gadanie o ludzkiej duszy. Tak jakby to wszystko nie sprowadzało się do elektryczności. Maxon nie przypominał sobie, by kiedykolwiek uznał coś, co zrobił robot, za złe albo straszne.

Maxon obserwował symulację procedury dokowania, przyglądał się zbliżającemu się w ich stronę hologramowi modułu transportowego, słuchał, jak inżynier i pilot spierali się o kąty ustawienia i współczynniki. Zdjął skuwkę z długopisu i napisał w swoim notesie: „Jesteś słabym, chorym człowiekiem, a twoja wątpliwość pośród ciemności kosmosu haniebnie zawstydza twój gatunek”. „Pamiętaj o tym”, pomyślał. Ale czy naprawdę w to wierzył? Usiłował rozprostować swoje długie nogi, lecz jego kolana ocierały się o ścianę. Nie mógł się odpowiednio ułożyć i jedno z jego kościstych ramion wystawało, wbijając się w tył siedzenia Phillipsa. Wewnątrz jego białego skafandra, wewnątrz klatki jego kości, uwięzione było jego żywe, bijące serce.

Patrzył na mężczyzn, wsłuchiwał się w sposób, w jaki ze sobą rozmawiali, zauważył, że Gompers bardziej lubi Toma Conrada, pilota, niż Phillipsa, inżyniera. Widział, jak każdy z nich wytapetował własny kawałek przestrzeni zdjęciami, jak każdy z nich słuchał na laptopie podcastów, które przysyłały im żony, i jak każdy z nich się modlił.

„Jesteś człowiekiem takim samym jak oni – myślał. – Kochasz, żałujesz, wybaczasz. Stopniowo psuje ci się wzrok. Czasem zdarza ci się nawet o czymś zapominać”. Miłość, żal, przebaczenie. To były trzy krwawe, brudne plamy, które szpeciły jeszcze ciągle śnieżnobiałe płótno jego badań. Trzy sprawy, którymi musiał się dopiero zająć: miłość, żal, przebaczenie.

– Geniuszu, tak bardzo uwielbiamy twoje roboty. Kiedy skonstruujesz nam robota, który odwzajemni naszą miłość...? Jeśli wiesz, co mam na myśli – powiedział kiedyś do Maxona Phillips, żartując z niego podczas ćwiczeń, gdy siedzieli i czekali, aż kapsuła znowu zacznie wirować i trząść się, testując ich reakcję na siłę grawitacji.

– To nie jest niemożliwe, Phillips – odparł Maxon. – Świat jest wyłącznie elektryczny

i magnetyczny.

– W porządku. Więc dlaczego nie?

– Nie rozumiesz – odparł Maxon. – To wszystko tylko prąd. Pytanie brzmi zatem: dlaczego?

– Nie nadążam, Geniuszu – powiedział Phillips. – W twoich ustach najpierw brzmi to wszystko bardzo prosto, a potem zachowujesz się tak, jakby wcale nie było takie proste.

Maszyna znowu zaczęła nimi obracać. Z początku niezbyt szybko.

– Proszę się przymknąć, poruczniku. Proszę się zamknąć, doktorze Mann – wciąż się Gompers, który zawsze chętnie przypominał Maxonowi o tym, że nie ma on żadnego stopnia wojskowego. Maxon zaczął już jednak mówić i nie zamierzał przerywać.

– Słuchaj. Wszystko jest elektrycznością: od najgłębszych, najdrobniejszych synaps w ludzkim mózgu aż po interakcje galaktyk ze wszechświatem. Jeżeli zdołasz ujarzmić potęgę elektryczności, bez problemu zduplikujesz dowolny impuls na świecie. Robot może ziewać, pragnąć, osiągać orgazm. Może robić dokładnie to, co człowiek, dokładnie w ten sam sposób. Naprawdę chcesz, żeby robot cię kochał? Chcesz, żeby się z tobą pieprzył, kiedy ty go pieprzysz? Tak jak kobieta? Tłumaczę ci zatem: nie ma różnicy między węglem a stalą, między wodą a płynem wypełniającym wnętrze robota. Przy liczbie zdań warunkowych bliskiej nieskończoności można zreplikować każdy wybór, choćby najbardziej przypadkowy. Jedynym trudnym elementem podczas tworzenia bardziej wyrafinowanej sztucznej inteligencji jest uzyskanie przestrzeni niezbędnej do przechowywania tych miriadów możliwości. Mózg człowieka niczym się nie różni od mózgu robota. Absolutnie niczym.

W tym momencie maszyna wirowała już tak szybko, że policzki zaczęły im trzepotać. Pozostali siedzący w module mężczyźni milczeli, byli mocno skoncentrowani. Wszyscy mieli otwarte oczy. Ich twarze przypominały szkielety – skóra była tak napięta, jakby ktoś z tyłu ciągnął ich za uszy.

– ROZUMIESZ?! – wrzasnął Maxon.

Fred Phillips zdołał przewrócić oczyma nawet w takich warunkach.

Kiedy maszyna się zatrzymała, Phillips powiedział:

– Mann, koleś, naprawdę współczuję twojej żonie.

– Dlaczego jej współczujesz? – zapytał Maxon.

Dlaczego roboty nie kochały? Dlaczego nie miałyby choć raz czuć się dobrze same ze sobą? Dlaczego nie miałyby wybrać konkretnego bytu, wynosić jednego elektrycznego epicentrum ponad wszystkie inne tylko dlatego, że robienie tego sprawiało im przyjemność? Maxon doskonale wiedział dlaczego. Nie mogły kochać, bo ich tego nie nauczył. Nie nauczył ich kochać, bo nie rozumiał, dlaczego miałyby kochać. Nie rozumiał, dlaczego on sam powinien kochać, dlaczego ktokolwiek powinien kochać. To nie było logiczne. To nie było racjonalne, nie przynosiło żadnych korzyści. Tak przedstawiała się sprawa. Zdecydował, że nie będą kochały, ponieważ miłość zaprzeczała podstawowej zasadzie, której zawsze się trzymał: skoro robią to ludzie, to musi być w tym jakiś sens.

Okazywanie preferencji jedynie w konkretnych, uzasadnionych celach, dokonywanie wyborów wyłącznie na podstawie dostępnych informacji, podejrzewanie źródła o podawanie nieprawidłowych danych, jeśli robiło to już w przeszłości – takie zachowania przynosiły korzyści zarówno robotom, jak i ludziom. Kochanie bez powodu, żalowanie decyzji podjętej na podstawie racjonalnych przesłanek, wybaczenie, okazywanie litości, ufanie na przekór zdrowemu rozsądkowi – te wszystkie działania są potencjalnie szkodliwe. Jeżeli ludzie w ten sposób postępują, to z jakiego powodu?

Rozumiał znaczenie miłości, jaką matka darzy dziecko. Bez trudu można wskazać

określoną korzyść, która jest konsekwencją takiego uczucia. Ale struktura rodziny miała tak fundamentalne znaczenie dla cywilizacji, a solidność więzów rodzinnych stanowiła na tyle istotny element przetrwania cywilizacji, że wybieranie partnera na podstawie jakichś absurdalnych kaprysów i zachcianek wydawało się kompletnym szaleństwem. Wydawało się wręcz destrukcyjne. Dlaczego tak było? A mimo to on sam, Maxon Mann, „psycholog robotów”, twórca androidów, uznawszy, że jakakolwiek romantyczna miłość stoi w sprzeczności z nadrzędną zasadą przetrwania gatunku – zakochał się. Zakochał się głęboko, beznadziejnie, bez pamięci, zakochał się w Sunny, jeszcze zanim na dobre rozpoczął własne życie. Ponad siedem tysięcy obrotów Ziemi temu. I z całą pewnością stało się to, zanim na dobre zrozumiał konsekwencje swoich elektro-biologicznych zachowań.

Tamtej nocy, drugiej nocy spędzanej w kosmosie, każdy oddech sprawiał mu ból, a przestrzeń, w której się znajdował, wydawała się tak ciasna, że przy głębszym oddechu niemal miażdżył sobie kościstą klatkę piersiową o półkę, na której stały przypięte pasami laptop i prowadzony przez niego dziennik misji. Pozwolił, by jego głowa opadła na ścianę, a jego sztywne loki otarły się o jego kark. Jedną dłonią zakrył oczy, w drugiej zaś nadal trzymał długopis, który zawisł nad tymi trzema słowami: miłość, żal, przebaczenie. Kiedy wreszcie Maxon zaczął zasypiać, ukołyszany przez cykliczne obliczenia mknące pod jego powiekami, raz jeszcze z charakterystycznym chrzęstem przesunął długopisem po papierze, w ostatnim na wpół świadomym zrywie. Najpierw był Asimov i jego fikcyjne prawa robotyki, spisane po to, by chronić ludzi przed sztuczną inteligencją, którą mogliby wykreować. Potem prawa Ita, dające wymówkę programistom, którzy nie mieli dość odwagi, by podjąć próbę odtworzenia ludzkiego umysłu. A teraz prawa Maxona – bo tylko on wiedział, kiedy przestać wciskać przyciski, które sam skonstruował. Trzy prawa robotyki Maxona Manna. Robot nie potrafi kochać. Robot nie potrafi żałować. Robot nie potrafi wybaczyc.

Skurcze minęły. Sunny podano płyny. W końcu wróciła do domu. Nadeszła noc i wszyscy zasnęli. Nadszedł ranek i niania zabrała Bubbera do przedszkola. Wyszedł w swoim kasku, wysuwając głowę do przodu, z drugim śniadaniem i zapasowymi spodniami spakowanymi do plecaka w kształcie konia, któremu nadał imię Słowo. Sunny miała jak najwięcej leżeć – i tak też zrobiła. Położyła się w swojej sypialni w kolorze dyni. Oparła łysą głowę na haftowanej jedwabnej poszewce, z taką dbałością dobranej zarówno kolorem, jak i stylem do dziwnego podnóżka, który znalazła na jakimś pchlim targu. Podnóżek z kolei był pieczołowicie dopasowany do fotela z regulowanym oparciem, stojącego w kącie pokoju, przy lampie z abażurem w kolorze dyni. Główny motyw wystroju sypialni unosił się w powietrzu jak delikatna elipsa, łącząca serię idealnie zorientowanych punktów. Karnisz, prawidło do butów, budzik – każdy przedmiot zajmował na tym wykresie ściśle przypisane mu miejsce. W telewizji leciała właśnie wyciszona transmisja z misji NASA, ale Maxona nie było na ekranie.

Sunny zasnęła i śniła o macierzy, w której znajdowały się wszystkie dzieci, jakie mogła w tej chwili nosić w swoim łonie. Potencjalne dzieci wypełniały sobą trójwymiarowy sześcian. W punkcie zero, zero, zero znajdowało się normalne ludzkie dziecko płci męskiej, które wyglądało dokładnie tak jak Maxon. Wysokie, blade dziecko o szalonych oczach i długich kończynach. Z tego punktu rozchodziły się po trójwymiarowej siatce, która rozciągała się w całym sześcianie, kolejne, coraz bardziej różniące się od siebie dzieci. W każdym punkcie przecięcia czekało następne mizerne niemowlę, siedzące w kucki, nagie i pomarszczone. Kolor oczu, kolor włosów, dłonie pianisty, guzowate nogi, krótka szyja. Im dalej wzdłuż tej osi, tym bardziej były pomarszczone. Im dalej wzdłuż tamtej osi, tym więcej miały włosów. Oczywiście nie mogła odbywać się stopniowa zmiana płci, dlatego jedyna dziewczynka – niemowlę z dużymi oczyma i łysą głową kosmity, sztywnymi palcami oraz krótkimi nóżkami – siedziała samotnie w przeciwległym krańcu sześcianu. Podobnie jak pozostałe dzieci kręciła się wokół własnej osi, tyle że w przeciwnym kierunku. Już na tym etapie się wyróżniała.

Obudził ją telefon. Okazało się, że dzwonił dyrektor przedszkola.

– Pani Mann – powiedział – bardzo by mi zależało na tym, żeby odwiedziła nas pani, kiedy będzie pani odbierała dziś Bubbera. Zorganizowałem pani spotkanie z naszym szkolnym psychiatrą.

Nie wiedział o wypadku samochodowym. Skąd miał wiedzieć, skoro mu o nim nie powiedziała? Nie wiedział też o peruce.

Podniosła się, mocno przycisnęła słuchawkę do ucha i powiedziała:

– Nie.

– Pani Mann – głądził dalej dyrektor – dziś rano Bubber miał napad wściekłości. Teraz już wszystko w porządku, ma na głowie swój kask i nikomu nic się nie stało, nie ma powodów do niepokoju. Ale muszę przyznać, że zachowania, które u niego obserwujemy, stają się coraz bardziej niepokojące.

– A co takiego niepokojącego zrobił? – zapytała Sunny.

– Z całym szacunkiem, pani Mann, prowadzimy placówkę dostosowaną do specjalnych potrzeb, dysponujemy wieloma udogodnieniami – powiedział dyrektor – ale nie możemy akceptować tego typu zachowań ze strony Bubbera.

– Myślałam, że panna Mary miała z nim pracować.

Sunny wydawała na szkołę swojego syna mnóstwo pieniędzy. Panna Mary była jednym

z tych wielu udogodnień, o których wspomniał jej rozmówca.

– Wspomniała pani o panie Mary – podjął dyrektor. – Otóż podczas dzisiejszego spotkania chciałaby ona z panią porozmawiać o wynikach kilku testów. Trzeba je dokładnie omówić.

Bubbera poddawano niezliczonym testom, a Sunny omawiała je z lekarzami wszelkiej maści. Zazwyczaj przy takich okazjach wyszukiwała stosowne dokumenty i materiały, przygotowywała odpowiednie dane i liczby, które miały zostać porównane z najnowszymi wynikami.

Tym razem jednak Sunny powiedziała:

– Wie pan co? Koniec z testami.

Jednocześnie pomyślała: „Oni się na to na pewno nie zgodzą”. Odłożyła słuchawkę, wstała i przeciągnęła się jak kot. Każdego innego dnia włożyłaby teraz na głowę nową perukę, rozczesałaby ją, rozgościła się w niej. Zamiast tego ubrała się, wsiadła do samochodu Maxona i pojechała odebrać Bubbera z tego bardzo specjalnego przedszkola z licznymi udogodnieniami. Dzięki łysej głowie czuła się silniejsza. W tamtej chwili myślała tylko o tym, żeby Bubbera przestano poddawać testom. Była wściekła, że znowu uznają go za nieprzystosowanego.

Sunny należała do tych matek, które miały na samochodzie magnes z wielokolorową wstążką, symbolem aktywizmu. Dotychczas Sunny pozostawała wielką zwolenniczką testów.

Kiedy dotarła do przedszkola, pozostali rodzice czekali już na swoje dzieci. Wyglądało to jak zorganizowany na przedszkolnym parkingu zlot minivanów. Samochody były w większości srebrne. Niektóre bordowe. Kilka w kolorze morskim. Maxon marzył zawsze o czarnym, ale kiedy mieli podjąć ostateczną decyzję, -Sunny zaprotestowała.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś jeździł czarnym minivanem – powiedziała. – Musimy wtopić się w otoczenie.

– No cóż, skoro nigdy nie widziałas, żeby ktoś jeździł czarnym minivanem, to może właśnie dlatego, że czarne minivany tak świetnie wtapiają się w otoczenie? – oponował Maxon.

Ostatecznie jednak kupili srebrny samochód. Na autostradach był właściwie niewidzialny. Peruka i srebrny minivan były dla niej dotychczas czymś w rodzaju czapki niewidki. Mijając rzędy samochodów z wielokolorowymi wstążkami na zderzakach i naklejkami z miejsc, w których ich właściciele mieli okazję spędzać wakacje, Sunny przypomniała sobie pierwszą z trzech okropnych rzeczy, które powiedziała Maxonowi w przeddzień jego wyprawy: „To twoja wina, że tu nie pasujemy. Robię, co mogę. Więc o co chodzi, Maxon? O ciebie. Nie wykonujesz żadnego wysiłku. Nawet nie próbujesz?”. Spośród wszystkich dzieci w przedszkolu tylko Bubber cierpiał na autyzm. To właśnie Bubber nieustannie wystawiał na próbę cierpliwość dyrekcji, to on nieustannie przesuwał granice. Bez przerwy jej o tym przypominano.

Minęła ją grupa dzieci, wśród nich kilka dziewczynek z małymi, błyszczącymi od brokatu plecakami, migocącymi spinkami do włosów, skrzypiącymi skórzanymi bucikami. Każda z nich trzymała wyższego, znużonego, nijakiego rodzica za rękę i ciągnęła go naprzód. Dzieci nie zwracały na Sunny uwagi. Przechodziły obok niej obojętnie. Równie dobrze mogła być mówiącym jastrzębiem albo nosorożcem. Przypominały małe, włochate animatroniczne istoty, maszerujące po chodniku i myślące wyłącznie o obiedzie. Tymczasem ich rodzice nie mieli czasu ukryć zaskoczenia, jakie wywoływała w nich łysina Sunny. To właśnie z tymi kobietami plotkowała dzień w dzień, czekając w deszczu na Bubbera, odbierając go po bożonarodzeniowym spektaklu albo stojąc w sklepie spożywczym nad koszem z grejpfrutami. Nie знаła imion ich wszystkich, ale rozpoznawała mamę Taylora, mamę Connora, mamę Chelsea. Mimo że się znały, kobiety mijaly ją w milczeniu, przechodząc tuż obok niej. Ostrożnie odwracały wzrok i lekko się uśmiechały, zacis-kając zęby. Z jakiegoś powodu w przedszkolu

zjawiała się dziś szalona łysa kobieta.

Sunny weszła do środka. Na korytarzu dyrektor rozdawał właśnie prace z plastyki, które dzieci miały zabrać do domów, upewniał się, czy nikt nie zabrał cudzego swetra, i wręczał lizaki bez sztucznych barwników. On także był człowiekiem bez włosów. Miał co prawda brwi i bródkę, lecz jego głowa była łysa i lśniąca. Wprawdzie Sunny o tym nie zapomniała, ale odkąd postanowiła pozbyć się peruki, zdecydowanie mniej uwagi poświęcała innym łysym ludziom.

Dawniej miałyby ochotę powiedzieć w takiej sytuacji: „Hej, przybij piątkę, bracie”. Peruka była po prostu kolejną fryzurą, jedną z wielu fryzur, spośród których my, zwykli ludzie, możemy na co dzień wybierać. Teraz zaś czuła się jak zwierzę, które identyfikuje innego osobnika należącego do jego gatunku.

Rodzice powoli opuszczali budynek razem ze swoimi dziećmi. Po chwili na korytarzu pozostały już tylko trzy łyse osoby: dyrektor przedszkola, Sunny i dziecko, które w sobie nosiła. Dyrektor nazywał się „pan Dave”. Rozpoznał ją, mimo że nie miała na głowie sztucznych włosów, które dotąd tak starannie układała każdego ranka.

– Dzień dobry, pani Mann – powiedział dyrektor.

– Jestem łysa – oznajmiła Sunny. – Przez cały ten czas nosiłam perukę. Nie mam nawet brwi ani rzęs.

– Proszę usiąść – zaproponował pan Dave. – Dobrze się pani czuje?

– Wszystko w porządku. Po prostu peruka zleciała mi wczoraj z głowy. Bubber i ja mieliśmy wypadek. Peruka... no cóż, postanowiłam więcej jej nie zakładać.

Pan Dave skinął głową ze zrozumieniem. Pan Dave nigdy nie podnosił głosu. Nigdy na nią nie krzyknął, nie wymachiwał przy niej pięścią ani nie pozwalał, by podczas żarliwej tyrady kropelki śliny wytryskiwały z jego ust. Mimo pewnych różnic zdań zawsze odnosił się do niej niezwykle uprzejmie. Zastanawiała się, czy pan Dave potrafi się w ogóle zirytować. Zawsze ceniła go za spokój, który umiał zachować – niezależnie od okoliczności.

– Czy Bubber zdaje sobie sprawę, że podjęła pani taką decyzję? – zapytał.

– Tak, on o wszystkim wie – odrzekła Sunny. – Był obecny przy tym, jak peruka spadła mi z głowy.

– Czy wydawał się zdenerwowany tym zdarzeniem? – spytał pan Dave. – Bubber był dziś bardzo zdenerwowany. Zastanawialiśmy się, czy mogło to mieć związek z pani mężem.

– Mój mąż jest w kosmosie. Przedwczoraj wyruszył na swoją misję.

– Wiem – odparł pan Dave.

– No cóż, uznaliśmy z mężem, że nie powinnam oglądać z Bubberem transmisji z wystrzelenia rakiety. Wydawało nam się, że to byłoby dla niego za dużo.

– Oczywiście – powiedział pan Dave. – Rozumiem.

Sunny zamierzała usiąść na jednym z krzeseł na korytarzu, ale pan Dave poprosił, żeby ruszyła za nim do jego gabinetu, który znajdował się w głębi budynku.

Psychoterapeutka już tam na nich czekała. Miała długie, siwe włosy, które niczym kurtyna otaczały jej zbyt duże okulary, jej ciemnoróżowe usta i pokryte zmarszczkami policzki. Zamknęła teczkę, którą trzymała na kolanach, i wstała, żeby się przywitać. Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając pożółkłe zęby, i wyciągnęła dłoń w kierunku Sunny.

– Oczywiście poznała już pani pannę Mary – powiedział pan Dave.

– Miło mi znów panią widzieć, pani Mann – powitała ją psycho-terapeutka. – Miałam okazję przeprowadzić bardzo interesującą rozmowę z pani synem Robertem.

– Nazywamy go Bubber. Gdzie jest teraz Bubber?

– Jest z panną Tanyą – wyjaśnił pan Dave. – Przedłużyliśmy lekcję plastyki, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

– Nie wiedziałam, że znów poddawano go testom – powiedziała Sunny. – Nie zdawałam sobie sprawy, że możecie to robić bez mojej zgody, o niczym mnie nie informując.

– Chcieliśmy się po prostu przekonać, co dokładnie dzieje się z Bubberem – wyjaśnił pan Dave. – To ułatwi nam podjęcie dalszych decyzji i określenie, co będzie dla niego najlepsze.

– A co takiego dzieje się z Bubberem?

– Może pani usiądzie? – Panna Mary zaprosiła Sunny do biurka, po czym podała jej kartkę papieru. – Pani Mann, poprosiłam dziś Bubbera, żeby narysował mi swoje ulubione zwierzątko. Oto, co mi dał.

Rysunek, wykonany atramentem, przedstawiał niewątpliwie ich psa Rocksa. Pies był czarno-biały, pozbawiony ogona, miał lekko wklęsnięty nos i sterczące uszy nietoperza. Rysunek wydawał się dziecinny, nieco karykaturalny. Bubber odwzorował na nim jednak – również prostą, dziecinną kreską – wszystkie narządy wewnętrzne zwierzęcia. Przedstawił każdy z układów, włącznie z układem limfatycznym. Kolejne narządy nachodziły na siebie, przez całe ciało zwierzęcia przebiegały naczynia krwionośne, a każdy element został starannie opisany zgodnie z wymową. W komiksowym dymku obok pyska psa pojawiły się słowa: „Hał, hał”.

Panna Mary podała Sunny inną kartkę.

– A oto rysunek, który wykonał Bubber, kiedy poprosiłam, żeby narysował swoją mamusię.

Sunny wzięła od niej kolejną kartkę. W rogu zobaczyła małą, dziwną postać z twarzą otoczoną włosami, trójkątem w miejscu spódnicy i napisem: „Mamusia”. Całą resztę strony wypełniało coś, co przypominało mapę, na którą nałożony został topograficzny rysunek. Znajdowały się tam budynki, gospodarstwa i wiele, wiele małych ciężarówek poruszających się po drogach, które łączyły poszczególne budynki i gospodarstwa. Były to niedbałe, dziecięce gryzmoły, ale zostały tu oddane wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły – każde koło w każdym z samochodów, a także rozmaite towary, które te samochody przewoziły: świnia, góra worków, dziwna maszyna... Były tu też napisy. Umieszczone w nawiasach objaśnienia. Znaki.

– On widzi mnie jako osobę z włosami – powiedziała Sunny.

Oniemiała z wrażenia. Zastanawiała się, co pomyślałaby jej matka, gdyby się o tym dowiedziała. Czy czułaby rozczarowanie? A może rezygnację? Czy mówiłaby, że to tak, jakby cały wysiłek włożony w wychowanie Sunny poszedł na marne? W umyśle jej wnuka, we wszystkich jego wyobrażeniach, jej córka miała włosy. Czy poniosła porażkę jako matka? Sunny przypomniała sobie drugą straszną rzecz, jaką powiedziała Maxonowi w przeddzień jego lotu w kosmos: „Moja matka nigdy nie wierzyła, że będziesz dobrym mężem. Ty i te twoje przeklęte roboty. Mówiła, żebym za ciebie nie wychodziła. Spójrz, gdzie teraz przez to jesteśmy. Nigdy nie będziemy szczęśliwi. Żadne z nas”.

– No cóż – powiedziała psychoterapeutka, zbierając kartki – do naszego przedszkola uczęszcza wiele wyjątkowych dzieci, dzieci o szczególnych talentach, ale nie ulega wątpliwości, że Bubber jest prawdziwym geniuszem. Czterolatki w ten sposób nie rysują.

– Ach, geniuszem – odrzekła Sunny. – Ale to chyba nie stanowi dużego problemu. Więc musi być coś jeszcze, prawda?

– Oto ostatni z rysunków. – Panna Mary wyciągnęła kolejną kartkę. – Poprosiłam Bubbera, żeby narysował swoich przyjaciół.

Obrazek przedstawiał sześciokąt. Przy każdym z jego wierzchołków znajdowało się koło, a w nim duża litera. Punkty były ze sobą połączone liniami biegnącymi na zewnątrz figury, a niektóre spośród nich łączyły też linie wewnątrz sześciokąta. Poszczególne linie miały różną grubość. Przy niektórych pojawiały się cyfry lub litery. Były tam całe szeregi liter przedzielone przecinkami. Niektóre punkty nie zostały połączone z żadnymi innymi. Na samym dole Bubber

spisał imiona, po których następowały ciągi iksów. Ben XX. Sarah XXXXX. Jacob X. Zoe XXXX. Sam XXX. I tak dalej. Przypominało to szyfry, które Bubber tak często tworzył. Nieustannie wymyślał własne techniki wyrażania i opisywania różnych zjawisk.

– Co to jest? – zapytała panna Mary, wskazując sześciokąt.

– Hmm, sama nie wiem – odpowiedziała Sunny – ale przypuszczam, że Bubber ma sześciu przyjaciół, a te linie i symbole wskazują sposoby, na które są oni wzajemnie ze sobą powiązani. A może ma pięciu przyjaciół, a on jest tym punktem połączonym z wszystkimi pięcioma. Tak, w tym kółku znajduje się litera B.

– Dobrze, ale czy rozumie pani, co mam na myśli? – zapytała panna Mary.

– Co ma pani na myśli?

– Z jednej strony musimy wziąć pod uwagę wszystkie te rysunki. – Panna Mary wskazała ręką kartki, które przed chwilą oglądały. – A z drugiej strony dochodzą do tego jeszcze reakcje na bodźce słuchowe. Te reakcje są takie jak w przypadku niesłyszących dzieci.

– Ale przecież on nie jest głuchy – zaprotestowała Sunny.

– Nie, nie jest głuchy, a mimo to nie słyszy. Nie potrafi reagować. Nie reaguje. Krzyczy, kiedy nie może dostać krzesła, które akurat sobie upatrzył, nawet jeśli wszystkie krzesła są niebieskie. Nawet jeśli wszystkie ołówki są czerwone, Bubber zaczyna krzyczeć, kiedy nie otrzymuje tego, który chciał. Wczoraj z wściekłości zrzucił kubek pani Kim na podłogę. Ona się naprawdę przestraszyła! Zachowanie Bubbera wykracza poza zakres tego, na co jesteśmy przygotowani. Nie radzimy sobie z tym wszystkim... i...

– Pani Mann – wszedł jej w słowo pan Dave – wszyscy tu kochamy Bubbera. To naprawdę niezwykle dziecko.

– Ale przecież on najwyraźniej zna imiona tych dzieci – zauważyła Sunny. –

A przynajmniej litery, od których zaczynają się ich imiona.

– Chodzi nam o to, pani Mann, że Bubber wymaga opieki, której nie jesteśmy w stanie mu zapewnić. Bubber to naprawdę wyjątkowe dziecko. Pani lekarze...

– Nie wszystkie niebieskie krzesła mają ten sam odcień – zaprotestowała Sunny. – I nie wszystkie czerwone ołówki są równie długie. Bubber dostrzega różnice, których nie zauważają inne dzieci. To wszystko. Chcecie mu podać kolejne leki? O to chodzi? Przecież już przyjmuje adderall, deksedrynę... Jedyne, co jeszcze zostało, to...

– Haldol – podsunął pan Dave tonem tak łagodnym, jakby proponował wyprawę żagłówką w słoneczne popołudnie.

– Pani mąż jest inżynierem, prawda? – zapytała panna Mary.

– Jest astronautą – odpowiedziała Sunny, nieco mijając się z prawdą.

– No cóż, jest w każdym razie związany z technologią – zauważył pan Dave.

– I?

– To kolejny element układanki – wyjaśniła panna Mary.

Sunny przypomniała sobie ostatnią okropną rzecz, jaką powiedziała Maxonowi w przeddzień jego wyjazdu. „To wszystko twoja wina, to przez ciebie on taki jest. To przez ciebie. To ty nawaliłeś. Ty! To twoje pieprzone geny, twój mózg. Przecież to tak, jakby urodził się nowy, mały Maxon. Powiedz, że tego nie widzisz. Powiedz, że nie widzisz siebie, kiedy na niego patrzysz. To twoja wina. Zrobiłeś to naszemu dziecku. On jest taki jak ty. A teraz spróbuj odgadnąć, jaka mina byłaby odpowiednią reakcją na moje słowa”.

– Panno Mary, dziękuję za pani uwagi – powiedział pan Dave. – Chciałbym teraz porozmawiać z panią Mann na osobności.

Psychoterapeutka wyszła z gabinetu, a Sunny sięgnęła po leżące na biurku rysunki. Zostali sami: ona i pan Dave. Dwoje łysych ludzi, którzy mieli omówić możliwe scenariusze.

W sąsiednim pokoju mały chłopiec z gęstą rudą czupryną sterczącą wysoko w górę przesuwiał pędzel po kartce papieru, pod czujnym okiem około czterdziestoletniej blondynki z warkoczykami.

– Pani Mann – zaczął dyrektor – mamy nadzieję, że uda nam się osiągnąć kompromis i skoncentrować na skutecznej współpracy. Możemy wprowadzić pewne zmiany w terapii Bubbera, poświęcać mu jeszcze więcej czasu, tak żeby częściej przebywał sam na sam z nauczycielami. Ale pani z kolei musi porozmawiać z lekarzami, którzy się nim opiekują, i skupić się na jego lekach. To najwyższa pora.

Sunny wstała. Miała ochotę zagryźć zęby tak mocno, żeby zmielić je na pył.

– Gdzie moje dziecko? – zapytała.

Po chwili dyrektor przyprowadził Bubbera, podskakującego na jednej nodze.

– MAMUSIU! – zawołał, po czym rzucił się jej w ramiona.

Przykucnęła i objęła go, a on jakby nigdy nic pogłaskał rączką jej czoło. Wzięła od niego akwarelę, nad którą pracował. Obrazek nie zdążył jeszcze wyschnąć, ale Sunny zobaczyła na nim rakieta, a także zlewające się ze sobą podpisy, które jej synek usiłował namalować zbyt grubym pędzlem.

– Rakietka – wyjaśnił głośno.

Mocno go przytuliła i choć była w ciąży, podniosła go razem z jego małym plecakiem, po czym ruszyła do drzwi. Idąc, pomyślała: „Nigdy tu nie wrócimy. Znajdziemy inne przedszkole, takie, w którym będą doceniali twoje szalone rysunki i w którym nigdy nie zabraknie niebieskich ołówków odpowiedniej długości. Znajdziemy je, choćbyśmy musieli polecieć w tym celu na Księżyc”.

Jeszcze tydzień wcześniej, jeszcze dzień wcześniej, z jasnymi lokami opadającymi na jej ramiona i wijącymi się wokół jej uszu, Sunny grzecznie poprosiłaby o kolejne spotkanie z dyrektorem. Kupiłaby kolejną brązową buteleczkę i podawałaby Bubberowi kolejne leki. Z uśmiechem na ustach odwoziłaby go do szkoły, odbierałaby go, dostosowywałaby się i nagięła do otoczenia. Pojechałaby do domu, tłumaczyłaby swojemu dziwnemu mężowi, co powinien mówić i robić na przyjęciach, dobierałaby mu ubrania i podkreślała, jak ważne jest trzymanie się reguł. Teraz jednak czuła, że wszystko się zmieniło. Zaczęła się tym wszystkim niecierpliwie. Spoważniała. Miała wrażenie, że żyła dotąd w gęstej powłoce chmur albo głęboko pod wodą, że docierały do niej przytłumione dźwięki i że wszystko oglądała jedynie z daleka, jakby zza szyby. Bez peruki zobaczyła nagle, jak okropny jest świat. Nie musiała dłużej udawać, że wszystko wygląda tak, jak powinno. Czuła się koszmarnie, kiedy przypominała sobie, jak potraktowała Maxona. Zrobiłaby wszystko, żeby móc cofnąć czas.

Usiłowała spojrzeć na świat tak, jak patrzył na niego Bubber. Każdy znak drogowy, każdy billboard, szyld sklepowy, napis na domu i samochodzie był tylko zbiorem liter i cyfr. Cóż on takiego widział w tych zbiorach? Czy rzucały mu się w oczy, litera po literze, jak pomarańczowe motyle albo pędzące naprzód kule? Czy były skrzącymi się tęczkami albo stroboskopowymi światłami rozbłyskującymi w jego mózgu? Czy widział w nich dźwięki harfy? Nieustająca obserwacja liter mogłaby przytłoczyć każdego. Sunny zastanawiała się, czy gdyby Bubber miał taką możliwość, to wybrałby inne życie. Czy Bubber zmieniłby się w jakikolwiek sposób, gdyby ktoś mu to zaproponował. I czy po odstawieniu tabletek stanie się szalonym Bubberem, który kołysze się i śpiewa.

Bubber niezwykle sprawnie czytał – robił to odruchowo i mimowolnie. Potrafił zapamiętać każdy szczegół. Wyglądało to na dziwne uwarunkowanie genetyczne, choć lekarze nie wykluczali, że nadeszło ono już po urodzeniu, kiedy Bubber był niemowlęciem. Podobno pomagały na to pigułki – albo i nie. To był autyzm albo coś innego, co wszyscy nazywali autyzmem. To było coś, czego nigdy wcześniej nie spotkano na Ziemi, coś niezwykłego, całkowicie nowego. Sunny obwiniała się, czuła się odpowiedzialna, ale w głębi serca odczuwała też ponurą satysfakcję i dumę. Może społeczeństwo jeszcze do tego nie dojrzało, może miało zbyt słabo rozwiniętą świadomość. Może nie odbywały się doroczne zbiórki pieniędzy na leczenie tego typu schorzeń. Nie ulegało jednak wątpliwości, że chodziło o dziecko z niezwykle umysłem uwięzionym w niebieskim kasku. Sunny uznała, że dość już wizyt u kolejnych lekarzy. Skończy z tymi głupotami, a przede wszystkim raz na zawsze skończy z włosami.

Wiele lat wcześniej, kiedy jeszcze nie miała dzieci, Sunny nie nosiła peruki. Nawet nie brała takiej możliwości pod uwagę. Tak ją wychowano. Chodziła do szkoły, wyjechała na studia i żyła na Ziemi, nie przyklejając sobie sztucznych rzęs ani sztucznych brwi. Matka powiedziała jej, że noszenie peruki w tym wypadku w niczym by się nie różniło od noszenia kostiumu klauna. W szkole średniej, kiedy każdy ma swoje momenty słabości, Sunny płakała i prosiła o perukę. Jej matka zapytała wtedy, czy chciałaby też dostać duże czerwone chodaki, kwiat, z którego przyska woda i piszczący nos. A może wolałaby mały samochodzik, pierdzącą poduszkę i ujadającego pieska? Sunny nie chciała. Była więc łysą prymuską, najlepszą uczennicą w szkole.

Później, na studiach, łysa głowa zainspirowała ją do tego, by projektować oryginalne peruki dla innych ludzi. Były to peruki artystyczne, które nie miały ukrywać łysiny ani udawać włosów. Srebrny okręt, zbudowany z kwadratowych kawałków folii aluminiowej... Tygrysia głowa z miedzianego drutu. Bukiet fraktalnych kwiatów. Symbol pi wykonany z piór. Niektórzy nazywali je kapelusami, dla Sunny były jednak perukami i tak właśnie o nich mówiła. Została łysą perukarką. Niesamowite doświadczenie! Zorganizowano jej nawet pokaz w szkolnej galerii. Nigdy nie nosiła swoich peruk, choć były lekkie i wygodne. To tak, jakby próbowała sama siebie połaskotać. Nikt nie potrafi sam siebie połaskotać. To po prostu nie działa. Studiowała matematykę i sztukę. Wyszła za Maxona. I nadal nie nosiła peruk. Aż pewnego dnia Maxon uznał, że powinni zacząć starać się o dziecko.

– To dobry czas na dziecko – oznajmił.

Tamtego spokojnego wiosennego popołudnia wybrali się na publiczną plażę w Evanston. Ciepła bryza poruszała wody jeziora Michigan, ale nie wzbijała w powietrze piasku. To był idealny dzień, żeby beczynnienie leżeć, odpoczywać i wygrzewać się na słońcu. Sunny miała na

sobie miętowe bikini, a Maxon dziurawy T-shirt i brązowe, workowate szorty. Siedział obok niej ze skrzyżowanymi nogami. Sunny ułożyła się na plażowym ręczniku i wyciągnęła swoje długie nogi. Zawiązała bikini na supełki, a nie na kokardki. Na nosie miała okrągłe okulary, a nad nimi wznosiła się biała kopia jej łysej głowy, która lśniła od kremu z filtrem. Sunny przybierała pozę manekina, co zawsze bawiło Maxona. Również i tym razem się uśmiechnął.

– Nie chcę – powiedziała Sunny, znacząco przeciągając samogłoski. – Nie zmuszaj mnie do tego, zły człowieku.

– To niewłaściwa reakcja na moje słowa. Twoja odpowiedź byłaby do przyjęcia w sytuacji, w której poprosiłbym cię, żebyś umyła samochód – oznajmił Maxon. – W tym przypadku nie możesz po prostu nie chcieć.

– Tego też bym nie chciała. Przestań o tym mówić.

Wyciągnęła dłoń i poklepała go po kościstych plecach.

– Już najwyższy czas na dziecko – powiedział Maxon. – Chciałbym, żebyśmy mieli dziecko. I uważam, że powinnaś mnie posłuchać.

– Wyobraź mnie sobie – rzekła Sunny, rysując dłońmi niewidzialną wypukłość na swoim brzuchu – z wielkim białym pagórkem w tym miejscu.

– Masz już jeden wielki biały pagórek w tym miejscu – zauważył Maxon, dotykając palcem jej czaszki. – A może wolałabyś nosić dziecko w swojej głowie?

Sunny przewróciła się leniwie na brzuch.

– Potrafisz sobie wyobrazić to dziwaczne dziecko, które by stąd wypelzło? – zapytała go leniwie. – Naprawdę chcesz zrobić to światu?

Z początku opór Sunny wynikał z czystej arytmetyki. Siedzieli w swoim mieszkaniu w Chicago i jeździli po gabinecie na fotelach biurowych. Gabinet był największym pokojem w całym mieszkaniu, a wzdłuż jednej z jego ścian ciągnęły się wielkie, przemysłowe okna. W środku szumił odwilżacz powietrza, a uschłe kwiaty powoli obracały się w pył. Maxon od czasu do czasu przynosił do domu rośliny, ponieważ uważał, że w każdym mieszkaniu powinny się znajdować rośliny. Sunny ukradkiem je zabijała, dolewając do doniczek środki czystości albo zachęcając kota, żeby wykorzystywał je jako kuwetę. Kiedyś udało jej się uśmiercić średniej wielkości drzewko pomarańczowe. Umierało bardzo długo, a kiedy już uschło, stało w kącie jeszcze przez pół roku. W tamtym okresie Sunny nie lubiła roślin domowych. Uważała, że powinny rosnąć na dworze, w prawdziwej ziemi. Później zrozumiała, że trzeba mieć rośliny. Ale to działo się wcześniej – jeszcze zanim zaczęły do niej docierać tego typu rzeczy.

– Jeden plus jeden nie równa się trzy – powiedziała Sunny, jeżdżąc w tę i w tę i odpychając się obcasami od wyłobionego, twardego drewna. – Jeden plus jeden równa się dwa. Ty i ja. Dwa. Jeden plus jeden równa się dwa.

– Och, na miłość boską, kobieto, rozłóż wreszcie nogi – zażartował Maxon.

Wypowiedział te słowa charakterystycznym dla siebie dowcipnym tonem. Trzymał w dłoni metalową łamigłówkę, którą na przemian otwierał i zamykał.

– Natychmiast je rozłóż, i to naprawdę szeroko, jeżeli zdołasz wskazać mi przypadek, w którym jeden plus jeden równa się trzy.

– To niemożliwe – odpowiedział Maxon. – Ale co powiesz na to?

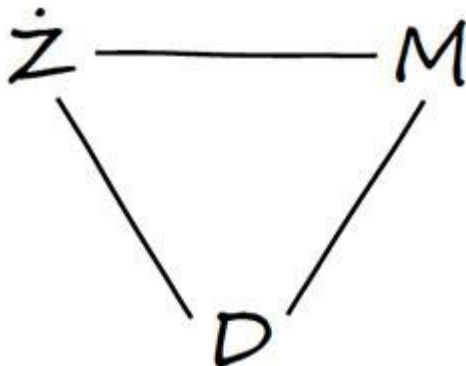
Wyciągnął marker, podszedł do tablicy i narysował dwa połączone linią punkty. Był ubrany w zsuwające mu się z bioder spodnie malarskie i biały T-shirt z wyblakłymi czarnymi rękawami oraz spranym logo uniwersytetu na jego szerokiej wklęsł-niętej klatce piersiowej.

S ————— M

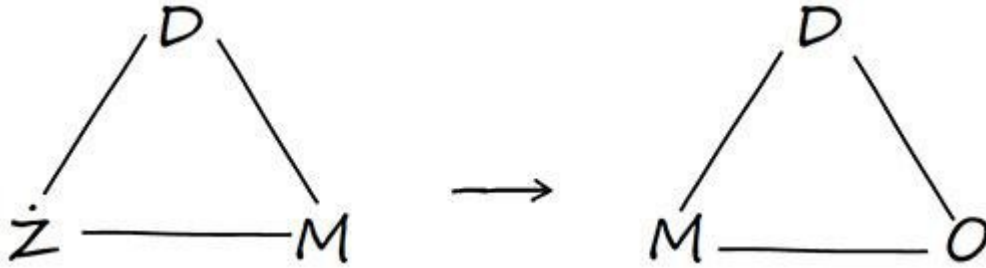
- Oto i my – wyjaśnił. – ty i ja. I nasz wspaniały związek.
- Świetnie – powiedziała Sunny. – Oznacz mnie.
- Maxon oznaczył jej punkt literą „S”.
- Nie, nie jestem już „S”, teraz jestem „Ż”. Żoną.
- Maxon wytarł „S” pięścią i poprawił podpis. Siebie oznaczył literą „M”, jako męża.

Ż ————— M

- A tutaj – powiedział, umieszczając kolejny punkt na linii łączącej „Ż” i „M” – tutaj pojawi się dziecko, które spłodzimy. Dokładnie w tym miejscu.
- Więc dziecko nas rozdzieli. Świetnie. Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego pragniesz dziecka.
- Dlatego że nadszedł czas na dziecko. Powinno się teraz pojawić. Właśnie tak postępują ludzie.
- Tak przynajmniej twierdzisz.
- Czekaj – powiedział Maxon. – Spójrz. Zobacz. To nasze dwa punkty, ale musimy je wspólnymi siłami pchać ku sobie. Pchać, pchać, pchać... Wiesz, na czym to polega?
- Tak, coś mi to mówi – zapewniła Sunny.
- I w miarę, jak się do siebie zbliżamy, to maleńkie dziecko powoli się przemieszcza, zostaje wypchnięte, przesunięte w dół i w ten sposób powstaje... kształt... Trójkąt.
- Maxon skończył rysować kolejny schemat, na którym umieścił litery „Ż”, „M” oraz „D” w nowo oznaczonym punkcie. Rozmieszczył je na planie trójkąta i połączył punkt „D” z punktami „Ż” i „M”.



- A teraz spójrz – poprosił Maxon, raz jeszcze łącząc ze sobą „Ż” i „M”. – W tej konfiguracji są jeszcze bliżej siebie.
- Dwa razy bliżej – zauważyła Sunny.
- Teraz już jesteś gotowa?
- Nie.
- Wyjęła Maxonowi marker z ręki i popchnęła go na krzesło. W swojej czerwonej sukience muskającej podłogę wyglądała zmysłowo i elegancko. Narysowała jeszcze jeden trójkąt, z punktami „M”, „O” i „D”, po czym dorysowała strzałkę prowadzącą z jednego trójkąta do drugiego.



– Jak przejść od tego do tego? – zapytała. – „Matka”, „ojciec”, „dziecko”. Jak do tego dojść?

– Wydaje mi się, że powinnaś zacząć od tego, żeby mąż był nad żoną – zasugerował.

– Dlaczego „M” ma być nad „Z”? Dlaczego nie „Z” nad „M”? – zapytała.

– Nie zapładnia się żony, jeśli żona jest na górze. Żona musi być na dole.

– A więc „M” przez „Z” równa się „O” przez „M”?

– Tak. Zobacz, wszystko rozwiązaliśmy.

– To nie może być takie proste.

– To naprawdę jest proste – powiedział Maxon. – Właśnie dlatego tak wielu głupich ludzi potrafi to zrobić.

– Boże, czekaj. Nie, już widzę problem. To nie to, co sądzisz, ale brakuje tu czegoś.

Czegoś ważnego. – Tym razem to ona wytarła pięścią część tego, co wcześniej napisała i poprawiła schemat:

$$\frac{M}{Z + M_1} = \frac{F}{M}$$

– „Z” plus co?

– Zobaczysz – oznajmiła ponuro. – Zobaczysz.

Najpierw poprosiła Maxona, który od lat golił się na лыso, żeby przestał to robić. Włosy zaczęły powoli pokrywać jego głowę. Sunny pielęgnowała je, przeczesywała rękoma, ciągnęła, rozwichrzała i stroszyła palcami. Rano podjeżdżała do niego na fotelu biurowym, siadała naprzeciwko i przykładła czoło do jego czoła. Pocierała głowę o głowę Maxona i czuła na skórze dotyk jego włosów. Bawili się w to od zawsze: krążyli wokół siebie na fotelach biurowych, stykając się głowami, spleceni ze sobą jak bliźnięta syjamskie. Ich fotele przypominały czarne, plastikowe księżycy. Wzajemnie się podtrzymywali i trwali tak do czasu, aż Sunny zaczynało kręcić się w głowie i wybuchała śmiechem. Teraz jednak się nie śmiała. Jego włosy ją drapały. Zastanawiała się, jak to jest, kiedy trawa wyrasta ci ze skóry jak kukurydza. To musi być okropne. Brud, którego nigdy nie zdołasz oczyścić. Plaga. Problem. Ona i Maxon często bawili się w ten sposób. Zachowywali się jak dzieci. Myślała, że kiedy zostaną rodzicami, kiedy oboje będą mieli włosy, przestaną się w to bawić, przestaną wirować wokół siebie na fotelach. Będą musieli pielęgnować porastającą ich głowy kukurydzę, dotykać ją i czesać.

Kiedy gęste, złotobrzowe włosy Maxona miały już ponad dwa centymetry i powoli zaczynały mu się kręcić nad czołem, Sunny weszła właśnie w fazę owulacji. Pojechała do sklepu z perukami i kupiła jedną z nich. Na kupno pierwszej peruki czekała, odkąd była na tyle duża, by rozumieć, że nie ma włosów i że peruka pozwoliłaby jej to ukryć. Marzyła o tym, by móc spacerować w tłumie przez nikogo niezauważona. Wyobrażała sobie, jak siedzi na ławce obok innych ludzi, trzymając kolana w tej samej linii co oni, a jej głowa, niczym nieróżniącą się od ich

głów, kończy się w tym samym punkcie na ścianie za ławką. Musi bardzo uważnie im się przyglądać, żeby odróżnić własne ciało od ich ciał. Mimo to kiedy już znalazła się w sklepie z perukami, ogarnął ją głęboki smutek. Wiedziała, że matka z pewnością miałaby jej to za złe. Wiedziała, że matka powiedziałaby, że Sunny robi coś głupiego. Spośród wszystkich miłych i dodających otuchy rzeczy, które słyszała przez całe swoje łyse życie, najbardziej zapadły jej w pamięć właśnie tamte słowa: „Jesteś tym, kim jesteś, Sunny. Jesteś tym, kim jesteś. A ja jestem z ciebie dumna. Każda twoja część jest częścią ciebie. To wszystko”.

W sklepie z perukami nie musiała niczego tłumaczyć. Kiedy łysa osoba wchodzi do sklepu z perukami, może chcieć kupić tylko jedną rzecz. Nie chodzi o szalik. Chodzi o perukę. Sunny wybrała tę z jasnymi, długimi i prostymi włosami, bo najbardziej przypominała jej fryzurę, na którą mogłaby się zdecydować przedszkolanka. Właśnie taką fryzurę mogłaby mieć matka niemowlęcia. Wszyscy myśleli, że będzie chciała od razu założyć perukę na głowę i wyjść w niej ze sklepu. Ale nie. Zrobiła to później. Najpierw raz jeszcze przejechała się samochodem, raz jeszcze przeszła się chodnikiem we własnej łysej głowie. Ostatnie wejście po schodach do ich dużego mieszkania. A potem wkroczyła do sypialni, zaciągnęła zasłony i zgasiła światła, rozebrała się i założyła sobie perukę na głowę. Kiedy znowu zapaliła światło, peruka znajdowała się już na swoim miejscu. Nosila ją od tamtego czasu. Widziała ją, ilekroć patrzyła w lustro.

Maxon wrócił do domu z przejażdżki rowerowej. Zaskoczył go jej widok. Była wciąż naga, czekała na niego – tylko ona i jej peruka. Stał u wejścia do sypialni, wypełniał je całym sobą. Był spocony, wysoki, jego ciało opinał strój z lycry. Oparł dłonie na framugach, tak jakby usiłował się utrzymać, tak jakby Sunny, w swojej nagości i nowych włosach, stała się falą, która miała go lada chwila porwać.

– Co robisz? – zapytał.

– Czekam, aż mnie zapłodnisz.

– Dlaczego masz na sobie perukę?

– Dlatego że chcę, żeby to zadziało.

– „M1” to włosy?

– Tak.

– To błąd. Nie musisz nosić peruki. Dlaczego miałabyś nosić perukę?

– Dobrze, po prostu się pieprzmy, a potem wyrzucimy perukę.

– Poczekaj, pójdę tylko pod prysznic.

Później jednak nie wyrzucili peruki. Maxon próbował ją do tego namówić, ale ona przysiadła na krawędzi swojego fotela biurowego, wciąż mając w sobie jego nasienie. Jasne włosy opadały na plecy i ramiona Sunny. Czowała łaskotanie: to było przyjemne i zaskakujące uczucie.

Maxon zaczął klikać w klawiaturę swojego komputera. Przerwał na chwilę i zmierzył ją wzrokiem.

– Sunny, nie musisz nosić peruki, żeby zostać matką. To zostało już udowodnione. Układ rozrodczy i skóra człowieka to dwie odrębne sprawy.

– Nie masz o tym pojęcia – powiedziała Sunny. – Skąd możesz wiedzieć, czego potrzebuję, żeby zostać matką?

Mówiąc to, opatulila się włosami jak płaszczem. Tego gestu nie wykonała jeszcze nigdy, przez całe swoje długie, szczęśliwe życie. Zrobiła to odruchowo, tak jakby musiała wykorzystać ten nowy potencjał. Maxon zobaczył, co zrobiła. Może powinien czuć się zawstydzony – zawstydzony swoim udziałem w całej tej sprawie, zawstydzony sposobem, w jaki umieścił perukę na jej głowie i zawiązał fartuszek wokół jej bioder. Zawstydzony tym, jak bardzo zmienił się ich świat, kiedy zaczęli mówić o dziecku. Zawstydzony tym, że stojąc na szczycie wzgórza,

kopnął nagle piłkę, która mknęła teraz w dół w niekontrolowany sposób, odbijając się i podskakując. Najprawdopodobniej nie czuł jednak wstydu. Wiedział po prostu, że właśnie tak postępują ludzie – i nie wiedział nic więcej. Żadnych wątpliwości, żadnego żalu. Czują, jak pod peruką jej ciało stopniowo się zmieniało, jak przybierało kształt idealny do tego, by zmieścić w sobie młodą rodzinę. Czują, jak zamienia się z „Ż” w „M”. Wiedziała, że od tej chwili będzie inaczej chodzić, inaczej mówić, porzuci wszystko, co mogłoby się okazać szkodliwe. Będzie chroniła życie, które próbowało ukształtować się w jej brzuchu.

Było tam duże, okrągłe jajko w wąskiej rurce i byli mali pływacy, którzy usiłowali dostać się do jego wnętrza. Tędy, tędy, w górę, a potem tam, w dół, w dół, naprzód, jeszcze dalej. Połączyli się w ciągu trzech godzin. Jajeczko przepłynęło przez nią i zagnieździło się w ścianie macicy. Komórki ulegały kolejnym podziałom, przekształcały się w żywą istotę. Stopniowo powstały rączki, nóżki i nerki. Powstały giętkie kości maleńkiej czaszki. W ciemności formowała się skóra. W ciemności drgały tkanki, z których składało się serce. I wreszcie, pewnej magicznej nocy, kiedy peruka Sunny była starannie rozczesana i leżała na swoim miejscu, głowa płodu pokryła się bujnymi włosami, ognistymi jak kometa, rudymi jak zachód słońca na Południu. A w końcu dziecko wyskoczyło z jej brzucha – i na świat przyszedł Bubber. Wydawał jej się idealny. Był małym Maxonem. Tak się to przedstawiało.

Nadeszła długa, ciemna noc. Maxon spał niespokojnie, przypięty pasami do łóżka. Statek kosmiczny powoli się obracał, mknąc w kierunku Księżycy po delikatnym łuku. Maxonowi śniło się, że stoi w głębokim dole i nie może się wyprostować. Zaciął powieki, czując, że coś łapie go za gardło i że puchnie mu język. Śniło mu się, że znowu znalazł się w tym wilgotnym kanale i nie może się ruszyć, musi mocno przyciskać ręce do ciała. Miał ochotę wyrzucić je w górę i uderzyć w ściany, ale wiedział, że wtedy się obudzi, że nie będzie tam żadnych kamiennych ścian, bo znajdował się na pokładzie statku kosmicznego. Nie miał klaustrofobii, bo nie bał się ciasnych, zamkniętych przestrzeni. Nie bał się ciasnych, zamkniętych przestrzeni, bo nie miał klaustrofobii. -Tautologia koszmarów. Wreszcie zapaliły się światła w jego kabinie, a Maxon zrozumiał, że nadszedł ranek.

Spojrzał na zegarek. Jakie znaczenie miał czas w drodze na Księżyc? Jakie znaczenie miał fakt, że Ziemia obracała się wokół własnej osi, skoro tutaj, w przestrzeni kosmicznej, służyło to, podobnie jak prawa fizyki, wyłącznie do nawigacji? Jakie znaczenie miał dla ludzkiej świadomości fakt, że gdzieś daleko Ziemia obróciła się wokół własnej osi? Że poruszyła się, podczas gdy jego stopy po niej nie chodziły, podczas gdy jego ciało znajdowało się zupełnie gdzie indziej, podczas gdy nie spał na brzuchu, ze stopami jak zwykle wystającymi poza łóżko i głową jak zwykle uderzającą o ścianę.

Człowiek tak wysoki jak on musiał nieustannie na coś uważać. Bez przerwy wpadał na różne przedmioty. Choć cierpliwość Maxona miała jeszcze większy rozmiar niż jego nogi, zdarzały się sytuacje, w których nawet on nie wytrzymał – zwykle miało to związek właśnie z brzękiem i stukotem, który rozlegał się w chwili, gdy jego kończyny zderzały się z jakimiś bibelotami. W jego rodzinnym domu roilo się od przedmiotów. Sterty papierów, półki zastawione słoikami, pudełka po butach, puste puszki, splątany sprzęt wędkarski, skrawki skóry i wszechobecny bałagan nieodłącznie związany z obecnością młodych chłopców. Dlatego właśnie Sunny i Maxon woleli postawić na prostotę i brak dekoracji. Wszystkie powierzchnie były u nich gładkie i czyste – wyjątek stanowiły pojawiające się gdzieś tam świeczki albo bukiety z eukaliptusa, starannie układane przez Maxona w taki sposób, by zminimalizować wrażenie chaosu. Ozdób mieli tylko tyle, by wewnątrz kojarzyło się z normalnym domem. Kiedy wzięli ślub, to wszystko nie miało dla Sunny żadnego znaczenia. Nie obchodziło jej, co stoi na blatach. Kompletnie nie zwracała na to uwagi.

Zacząła wprowadzać pewne zmiany po tym, jak przeprowadzili się do Wirginii. Prosiła na przykład, żeby Maxon przestawiał przedmioty w zależności od pór roku. Kupiła stary zegar, który postawiła między dwiema świeczkami tak, by znajdował się w różnej odległości od każdej z nich. Kupowała kolejne rzeczy, zjawiali się też kolejni wykonawcy. Maxon zrozumiał, że Sunny się zmieniła, że zaczęła dbać o dom. Stało się to wtedy, gdy przenieśli się do Wirginii, aby mógł pracować w laboratorium w Lang-ley. I kiedy wspólnymi siłami stworzyli chłopca.

Maxon spojrzał na notatnik, w którym pisał zeszłej nocy. Zobaczył następujące słowa: „Wielkie rozczarowania Sunny”, poniżej zaś trzy punkty. „Ja”, „Moje zachowanie”, „Mój materiał genetyczny”. Dalej przeczytał: „Sunny powiedziała”, a poniżej znajdowały się trzy kolejne punkty. „Dlaczego, do cholery, nie możesz zachowywać się jak normalna istota ludzka?” „To twoja wina, że Bubber jest, jaki jest”. I wreszcie: „Nienawidzę swojej matki za to, że miała rację. Ale miała rację!”

Maxon wiedział, że na innej stronie swojego notatnika napisał:

KOMPLEMENT = „Jak miko, że to mówisz”;
WDZIĘCZNOŚĆ = „Dziękuję, że to mówisz”;
jeżeli (OPINIA = KOMPLEMENT),
odpowiedzieć KOMPLEMENTEM;
jeżeli (OPINIA = KRYTYKA),
odpowiedzieć WDZIĘCZNOŚCIĄ;
zapamiętać (OPINIA)

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś – odpowiedział na słowa Sunny, po czym bez wahania przewrócił kartkę i rozpoczął kolejny dzień pracy. Myślał przez chwilę o matce Sunny, o jej gładkich złotych włosach, o jej surowych uwagach, o jej długiej chorobie – ale potem wyrzucił ten obraz ze swojej głowy.

Jak w każdy wtorek i czwartek, odebrawszy Bubbera z przedszkola, Sunny pojechała z nim na basen i przebrała go w kąpielówki. Rozkład dnia Bubbera był czymś świętym i niezmiennym, pomagał mu przystosować się do świata. Przebrany w kąpielówki chłopiec przeskakiwał niecierpliwie z nogi na nogę, trzymając rękę na drzwiach i czekając, aż Sunny skończy się przebierać i ruszy w ślad za nim. Basen miał kształt litery „L”. W jego płytkiej, bocznej odnodze bawiły się zwykle dzieci, a prostopadła do niej, głęboka część służyła bardziej doświadczonym pływakom. Bubber miał jasnozielone okulary pływackie i kąpielówki w czerwone i żółte robaki. Gdy tylko dotarli na skraj wody, bez chwili wahania wskoczył do niej, pograżony we własnym świecie. Sunny czuła zapach chloru, patrzyła na rdzę pokrywającą odpływy i na kalekiego mężczyznę, który leżał w jacuzzi ze skrzywioną, zawziętą miną. Zanim wyszła z przebieralni, zdążyła dokładnie przejrzeć się w lustrze. W świetle fluorescencyjnych lamp jej głowa wydawała się bardziej spiczasta i szara.

Sunny, która miała na sobie ciężowy kostium kąpielowy ze spódniczką, stała przy prowadzącej do wody rampie dla wózków inwalidzkich. Jej ogromny brzuch wbijał się w barierkę. Zawsze stawała w tym miejscu. Zgodnie z zasadami obowiązującymi na basenie rodzic tak małego dziecka jak Bubber musiał pozostawać blisko niego. A więc tam właśnie czekała. Bubber pływał doskonale – od zawsze. Nigdy nie bał się wody. Wręcz przeciwnie: kiedy był jeszcze młodszy, ku przerażeniu wszystkich wokoło postanowił wejść prosto do basenu. Szybko nauczył się pływać i stał się prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie. W wodzie zachowywał się niezwykle spokojnie. Nigdy nie miał ataków. Nigdy nie zaczynał w nic uderzać ani wrzeszczeć. Właśnie dlatego przychodzili tu dwa razy w tygodniu.

Zazwyczaj Sunny miała na głowie perukę i stała przy rampie, uważając, żeby w żadnym wypadku nie zmoczyć włosów. Dzisiaj, gdyby tylko chciała, mogłaby opaść na samo dno basenu. Przechyliła swoją białą głowę i zerknęła na Bubbera. Trzymał w rękach niewielką plastikową żabę, której pomagał podskakiwać na małym kółku do pływania. Każdemu podskokowi towarzyszyły odgłosy przypominające nieco dźwięk przewijania taśmy magnetofonowej. Żaba zeskakiwała z kółka do wody, po czym z powrotem na nie wskakiwała – i powtarzała ten manewr w nieskończoność. Wydawało się, że Bubber nigdy nie znudzi się tą zabawą. Sunny zrobiło się chłodno. Stała przy jednym z ogromnych otworów wentylacyjnych i na jej głowę leciało zimne powietrze. Czuła się tak, jakby miała zamarznąć.

Może teraz, kiedy zrezygnowała z peruki, stanie się matką gotową zanurzyć się w wodzie i rozkoszować się tym, jak ciepło oplata się ona wokół jej ciała. A może na obecnym etapie swego macierzyństwa, na tym etapie przyzwyczajenia do peruki, zdążyła już sobie wyryć w głowie prawdziwy i jedyny cel swojego życia: zaciśnięcie zębów i czuwanie nad własnym dzieckiem. Bubber cieszył się wodą, a Sunny musiała tylko stać przy nim i pilnować, żeby nie spotkało go nic złego. To było jej miejsce. Stała w ciele mamusi, na miejscu przeznaczonym dla mamusi. W każdy wtorek i czwartek, między pierwszą a drugą, miała tylko zajmować się swoim dzieckiem. Czy musiała się w tym czasie dobrze bawić? Nie. Czy musiało być jej w wodzie przyjemnie? Nie. W ciągu swojego życia wiele razy dobrze się bawiła, wiele razy było jej w wodzie przyjemnie. Teraz jednak nadszedł czas, by chronić własne dziecko i dbać o to, żeby to ono było zadowolone. Wizyty na basenie wiele Bubberowi dawały, rozwijały jego umysł i ciało. Dlaczego zatem miałyby w jakikolwiek sposób mącić tę radość, skupiając się na własnym komforcie lub dyskomforcie? Peruka bądź brak peruki. Właśnie to sobie powtarzała, usiłując powstrzymać się przed wskoczeniem do wody, zejściem na samo dno basenu i zabawą własnymi stopami.

Przypomniała sobie okres swojego życia, w którym nikt jeszcze się nie zastanawiał, czy Sunny będzie dobrą żoną i matką. W tamtym czasie świetnie bawiła się na plaży. Sunęła w bikini po rozgrzanym piasku, poruszając się w taki sposób, jakby to ona wynalazła nogi. Spacerowała beztrudnie, trzymając w dłoni oklapły kapelusz i świecąc głową nawilżoną olejkami kokosowym. Pływała jak delfin. Nie musiała nosić czepka, a włosy nie wpadały jej do oczu i nie owijały się wokół okularów. To były piękne chwile – ale kogo to tak naprawdę obchodziło? Są ludzie, którzy nie mają kończyn, są ludzie, których dzieci wypadły przez okno i zginęły, są ludzie, którzy nie mogą chodzić na basen, bo mieszkają w jakiejś zapadłej dziurze, zapomnianej przez Boga i ludzi. Zanim została matką, nigdy nie przypuszczała, że będzie się tak bardzo martwiła o własne dziecko. Że będzie towarzyszył jej ciągły niepokój.

Jako dziecko Sunny uczyła się pływać. Jej matka uważała, że każde dziecko powinno pływać, jeździć konno i grać na pianinie. Co zajmowało umysł jej matki podczas tych niekończących się lekcji? Czy siedziała i patrzyła, jak Sunny z wysiłkiem przecinała wodę, wysłuchując wrzasków stojącego nad nią instruktora? Sunny nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Czy matka o niej wtedy myślała? Czy porównywała jej umiejętności z umiejętnościami pozostałych dzieci? A może powtarzała sobie: „Oto moja córka. Moja łysa córka”. Emma doskonale pływała. Mówiła po francusku. Była najlepszą uczennicą w klasie. Sunny pływała bardzo kiepsko, a najbardziej lubiła leniwie dryfować i dawać unosić się prądom. Słabo mówiła po niemiecku i poszła na studia, które jej matka uważała za kompletną stratę czasu.

Emma nie chciała, żeby Sunny nosiła perukę, ale to peruka rozbudziła w Sunny ambicje. Dążyła przede wszystkim do tego, żeby wychować dobre dzieci, szlachetne dzieci, normalne dzieci. W peruce wyglądała jak zwykła kobieta. Bez niej wyglądała jak coś zupełnie innego. Zastanawiała się, czy gdyby miała wybór, wolałaby żyć innym życiem. Czy gdyby dostała buteleczkę magicznych pigułek, zmieniłaby w sobie cokolwiek? Co by się stało, gdyby włosy zaczęły jej rosnąć tak jak u wszystkich innych ludzi, gdyby pojawiały się na jej skórze coraz liczniejsze kępki i łodygi, powoli torujące sobie drogę, by zakiełkować i wystrzelić w górę? Czy powitałaby tę zmianę z radością? Co powiedziałby Maxon, gdyby po powrocie z kosmosu odkrył, że wyhodowała na głowie włosy? Co by powiedział, gdyby po powrocie dowiedział się, że wyrzuciła wszystkie swoje peruki?

Bubber bawił się teraz w dzikiego konia i spokojnego konia. Zwykle towarzyszył mu w tym Maxon. Bubber siadał okrakiem na swoim kółku do pływania, a jego ojciec mocno bujał nim w górę i w dół, w tę i we w tę (dziki koń) albo zataczał nim łagodne kręgi (spokojny koń).

Teraz Bubber oddawał się uproszczonej wersji tej zabawy. Dziecko bawiące się z ojcem krzyczy głośniejsze, śmieje się donośniej, skacze wyżej i we wszystko angażuje się dużo mocniej. Dziecko bawiące się samotnie prowadzi wewnętrzny dialog i wygląda tak, jakby czemuś się przysłuchiwało, nawet kiedy krzyczy.

– Bawię się w dzikiego konia i spokojnego konia – poinformował głośno Bubber stojące obok niego dziecko, które nie rozumiało, o co mu chodzi.

„Właśnie tak wygląda codzienność Bubbera – pomyślała Sunny. – Nikt go nie rozumie. On potrzebuje więcej leków. A może mniej. Może potrzebuje ich zdecydowanie mniej”.

Gdyby Maxon nie wyjechał, wszystko wyglądałoby inaczej. Graliby razem w gry komputerowe. Chodziliby na kolacje do jedyne go lokalu, w którym Bubber potrafił siedzieć spokojnie. Jeździliby samochodem po całym mieście, a Bubber bawiłby się w pilota. Zdejmowałby perukę, zakładałby perukę, przekształcałby perukę w łabędzia, układałby ją na ogrodzeniu i udawał, że z nią rozmawia. Ale Maxon był teraz w kosmosie, dryfował gdzieś jak człowiek zanurzony w wodzie, człowiek ze zwiotczalymi, powoli unoszącymi się kończynami. Gdyby został, gdyby poszedł z nimi na basen, może Sunny zanurkowałaby dwa metry pod wodę i fikałaby koziołki, osiem, dziewięć, dziesięć koziołków – tak długo, aż wreszcie wypłynęłaby na powierzchnię, aż jej łysa głowa wynurzyłaby się z wody niczym melon. A on krążyłby wokół niej jak czujny szczupak. Oboje byliby głędcy i śliscy, splataliby się ze sobą i przepływali gładko obok siebie, nie dotykając dna stopami. Właśnie w ten sposób wyobrażała sobie Maxona w jego statku kosmicznym – i siebie w najdalszym rogu basenu.

Spojrzała w dół, na płytki pokrywające rampę dla wózków inwalidzkich i zauważyła jakiś niewyraźny zarys. Na skraju wody, przy rampie, w zasięgu ręki każdego z dzieci pływało coś czerwonego, o galaretowatym kształcie. Sunny wyobraziła sobie, że któraś z matek pilnujących swoje dziecko wydalila z siebie tę grudkę, jeszcze zanim mogła ona przybrać kształt kolejnego niemowlęcia. Grudka dryfowała teraz na chłodnych niebieskich kafelkach jak trup wyrzucany przez fale na opustoszałą plażę, a owa matka porzuciła ją i odeszła, bo nie chciała spędzać kolejnych popołudni, stojąc po kostki w zimnej wodzie. Była tak wściekła, że nawet jej po sobie nie sprzątnęła.

Kiedy Sunny dotarła tego dnia do szpitala, żeby odwiedzić matkę, patrzyła na wszystko inaczej niż dzień wcześniej. Jeszcze wczoraj to miejsce wydawało jej się piękne. Dzisiaj wcale już takie nie było. Stała na parkingu dla odwiedzających, przed znajomym budynkiem z czerwonej cegły. Wcześniej kojarzył jej się z zamkiem, teraz zaś przypominał raczej więzienie. Świeciło słońce, a Sunny szła przed siebie szpitalnymi korytarzami, z Bubberem mocno wczepionym w jej rękę. Biodra Sunny kołysały się, a wraz z nimi ciężowy brzuch i wszystko, co znajdowało się w jego wnętrzu. Korytarze wypełniał zapach bulionu z kurczaka, a także odór moczu i środków dezynfekujących. Drzwi otwierały się i zamykały, głośno skrzypiąc. Mijali ją ludzie poruszający się jak androidy w fioletowych fartuchach. Niektórzy pacjenci z trudem prowadzili balkoniki, inni gnili w łóżkach. W szpitalu jest -miejsce na wszystko: narodziny, życie, śmierć. Ale choć jest tam miejsce na wszystko, nikt nie chce przebywać w szpitalu. Wszyscy marzą tylko o tym, żeby się z niego wydostać.

W drodze na oddział intensywnej terapii Sunny musiała minąć wielu powłóczących nogami pacjentów i wiele żujących gumę pielęgniarek. Gdziekolwiek szła, odwracały się w jej stronę opuchnięte, blade twarze przypominające księżyce. W jednej chwili widziała ucho, włosy albo tył głowy jakiejś osoby, w drugiej zaś patrzyła jej prosto w lekko zdziwione oczy. Niektórzy grzecznie się uśmiechali. Przypomniła sobie, jak się czuła, kiedy brano ją za chorą na raka. Litość i strach innych ludzi otaczały ją i mknęły za nią niczym fotony.

Kiedy dotarła do drzwi oddziału, musiała nacisnąć przycisk i poprosić jedną z pielęgniarek, żeby ją wpuściła.

– Przyszłam odwiedzić moją matkę, Emmę Butcher – powiedziała. Jej głos brzmiał dokładnie tak jak zwykle. Dotarł do małego mikrofonu dokładnie tak jak zwykle.

Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się, po czym natychmiast zaczęły się zamykać, więc Sunny i Bubber szybko przez nie przebiegli. W środku powietrze było suche i chłodne. Pomieszczenia na oddziale intensywnej terapii rozłożone były promieniście wokół znajdującego się w centrum korytarza stanowiska pielęgniarki. Sunny zamierzała właśnie ruszyć do pokoju swojej matki, gdy nagle zatrzymała ją pielęgniarka.

– Pani Mann?

Sunny odwróciła się do niej i skinęła głową. Miała przed sobą młodą pielęgniarkę z brązowymi włosami związanymi w kucyk. Na plakietce widniało imię: Sharon. Kobieta rozpoznała Bubbera i ciężowy brzuch Sunny, ale nigdy nie widziała samej Sunny bez peruki. Po chwili dała jej znak, żeby szła dalej.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wiedziałam.

Sunny i Bubber wzięli się za ręce i otworzyli szklane drzwi. Bubber bez przerwy pstrykał palcami. Jak zareaguje matka, widząc ją bez peruki? Czy usiądzie na łóżku, odrzuci kołdrę i głośno się roześmieje?

Maszyny oddychały zamiast jej matki. Jedna z nich, pompując i wypompowując powietrze, brzęczała i postukiwała tak, jakby w jej wnętrzu znajdował się akordeon. Inna wlewała w jej matkę płyny i je odsysała – te dobre wędrowały ciemnymi plastikowymi rurkami do środka, a te złe były z ciała uwalniane. Maszyny wypełniały cały pokój. W pomieszczeniu panowała ciemność, a Sunny widziała monitory i rozświetlające się co chwilę kontrolki. W koszu leżało kilka starych opatrunków, które wcześniej zapewne zabezpieczały wenflon. Na ścianach wisiały rysunki i zdjęcia Bubbera, przymocowane wiecznie odklejającą się taśmą. Pokrywały

każdą powierzchnię, włącznie z respiratorem i ze znajdującym się nad zlewem uchwytem na ręczniki papierowe. Wszystkie obrazki wisiały krzywo, przyklejone tą samą żółknącą taśmą.

Na łóżku leżała jej matka. Zawsze była wysoką kobietą, z wiekiem jednak skurczyła się, a jej kręgosłup się wykrzywił. Jej głowa wisiała na skraju poduszki, a w ustach tkwiła rurka od maszyny wspomagającej oddychanie. Po tej stronie twarzy powstała rana i choć ktoś posmarował ją wazeliną, wciąż była zaczerwieniona. Większość jej włosów wypadła, a to, co pozostało, dokładnie zaczesano do tyłu. Matka Sunny miała zamknięte oczy. Jej klatka piersiowa rytmicznie unosiła się i opadała. Opuchnięte dłonie i stopy przypominały balony pokryte poźółkłą, cętkowaną skórą. Sunny położyła rękę na ramieniu matki. Było zimne, więc dokładniej przykryła ją kocem. Wydawało się, że leżące na łóżku ciało zaczęło się już rozkładać, choć przecież wciąż wtłaczano w nie powietrze i płyny. To była imitacja życia. Uszczypnięcie dawało reakcję w postaci bólu.

Sunny usiadła na krześle, w tym samym miejscu, gdzie zwykle. Bubber wspiął się na łóżko, też usiadł w tym samym miejscu, gdzie zwykle siadał, po czym zaczął w skupieniu oglądać swoją książkę. Jej matka przebyła długą drogę: z własnego domu do domu Sunny, na oddział ratunkowy, a potem na oddział intensywnej terapii. Przez cały ten czas towarzyszyli jej Bubber i Sunny, którzy siadali przy kolejnych łóżkach – lub na nich – i obserwowali jej wędrówkę jak turyści przyglądający się drapieżnym aligatorom. Sunny stała teraz na brzegu rzeki, błoto sięgało jej do kolan, a ona patrzyła, jak aligatory stopniowo pożerały swoją ofiarę. Od dwóch tygodni nie robiła nic innego. Cóż za potwór patrzy beczynn timer, jak aligator pochłania jego matkę? Rozpląkała się. Matka powiedziała jej kiedyś: „Sunny, cokolwiek się stanie, jestem po twojej stronie. Zawsze będę po twojej stronie. Bez względu na wszystko”. Teraz jej matka leżała na łóżku, wygięta i wykrzywiona, a jej wnętrzności stopniowo się rozpadały.

Sunny miała w dzieciństwie kucyka. Kucyk był złośliwy i niesforny, ale Sunny zakochała się w nim tak, jak ośmiolatki zakochują się zwykle w koniach – i nie chciała słyszeć o żadnym innym zwierzęciu. Miał na imię Pocket i był cudownym gniadoszem z białą gwiazdką na czole. Dopóki nie zakładano mu uzdy, był słodki jak piesek salonowy i chodził za Sunny po całej farmie, rozkosznie trzepocząc rzęsami. Dawał się nawet dosiadać i delikatnie popędząć. Nigdy nie protestował. Kiedy jednak Sunny usiłowała go osiodłać i założyć mu uzdę, stawał się kucykiem rodem z koszmarów. Zachowywał się tak, jakby pod poprzęciem znajdowały się rzepy, a pod siodłem sztylety. Kładł uszy po sobie i wściekle kroczył naprzód, złośliwie drobiąc i zwalniając, a czasem gwałtownie odchyłał głowę, unosił chrapy wysoko w górę i uderzał Sunny w twarz kościstym guzem, który konie mają zwykle na czubku głowy.

Sunny była przekonana, że coś go bolało, więc wozily z matką Pocketa od weterynarza do weterynarza, fundując mu wiele długich, drogich wizyt. Ostatni weterynarz powiedział im w końcu, że kucyk jest po prostu mądry i silny, i postanowił, że nie pozwoli na sobie jeździć. Lekarz uważał, że kucyk powinien zostać ujarzmiony i że nie powinno na nim jeździć dziecko. Sunny pamiętała, jak żarliwie zapewniała matkę, że nie pozwoli skrzywdzić Pocketa i złamać w nim ducha. Pełna idei i emocji wyniesionych z lektury *Black Beauty* oraz innych fikcyjnych opowieści o dręczonych koniach, przysięgła, że nigdy nie wybaczy matce, jeżeli ta zdecyduje się sprzedać kucyka lub w jakikolwiek sposób go skrzywdzić. Zamierzała jeździć na oklep i zrezygnować ze skoków przez przeszkody oraz innych rozrywek tego typu.

Na łące na terenie farmy znajdował się niewielki, ogrodzony padok wyściełany cedrowymi wiórami. Tamtego dnia, kiedy ostatni weterynarz opuścił ich gospodarstwo, matka poprosiła, żeby Sunny osiodłała Pocketa i spotkała się z nią przy padoku. Kiedy Sunny się tam zjawiła, prowadząc swojego kucyka, matka -czekała już z kijem w ręku. Miała bladą, ponurą twarz, a długie złote włosy zaplotła w warkocz. Włożyła nawet spodnie, co zdarzało jej się

niezwykle rzadko.

– Przecież nie umiesz jeździć! – zawołała Sunny.

– Oczywiście, że umiem. Żyję na tym świecie nieco dłużej od ciebie.

– Co zamierzasz zrobić?

– Daj mi tego kucyka – powiedziała jej matka.

– Nie! – krzyknęła Sunny. – Zabijesz go!

– Jeżeli umrze, to będzie jego wybór – odparła zaciekle kobieta w spodniach. Sunny wzdrygnęła się, słysząc te słowa.

Matka wyrwała jej wodze z ręki i wskoczyła na siodło zaskakująco zwinnie jak na osobę, która zwykle nawet nie zbliżała się do koni. Pocket był dużym kucykiem, ale Emma i tak była od niego wyższa. Wyglądali razem groteskowo. Zrobiła obrót i wjechała klusem przez bramę padoku, po czym zawołała:

– Zamknij bramę!

Pocket krążył w kółko, poruszając się klusem. Emma trzymała w jednej ręce wodze, w drugiej zaś kij, gotowa użyć go w każdej chwili, gdyby tylko pojawiła się taka potrzeba – Sunny nie miała pojęcia, w jaki sposób jej matka zamierzała to zrobić. Siedziała w siodle czujna i przyczajona, i wyglądało na to, że kucyk nie odważy się okazać nieposłuszeństwa. Nagle jednak Emma kazała mu zwolnić i iść dalej stępą, a po chwili postanowiła zmusić go do galopu.

Głęboko urażony tym Pocket stracił koncentrację, położył uszy po sobie i zaczął podnosić łeb.

– Nie – warknęła Emma. – Nie wolno.

Jego szyja odchyliła się, jego czoło zaczęło niebezpiecznie zbliżać się do twarzy Emmy – ale w tej samej chwili opadł kij, uderzając kucyka między uszy. Sunny rozpaczliwie wrzasnęła.

Końskie czoło potrafi boleśnie uderzyć małą dziewczynkę w twarz, ale zlokalizowany jest tam również ośrodek nerwowy. Pocket natychmiast runął na ziemię. Emma zwinnie zeskoczyła z jego grzbietu, a następnie podbiegła do powalonego, wciąż świadomego kucyka i złapała go za chrapy. Kij potoczył się w trawę. Matka chwyciła mocno miękką część nosa kucyka i krzyknęła:

– Jeżeli kiedykolwiek skrzywdzisz to dziecko, jeżeli kiedykolwiek doprowadzisz je do łez, nie zawaham się ani chwili i natychmiast zakopię ciebie i twoje bezwartościowe truchło! Słyszysz?

Przy każdym „kiedykolwiek” wymierzała solidny cios w chrapy kucyka. Sunny była przerażona, ale czuła też nieklamany podziw dla swojej matki.

Po chwili Pocket niepewnie się podniósł.

– Chodź, Sunny! – zawołała Emma. – Teraz twoja kolej.

Sunny dosiadła w milczeniu kucyka, wsunęła stopy w strzemiona, złapała wodze i odbyła najspokojniejszą, najprzyjemniejszą przejażdżkę, jaką kiedykolwiek miała okazję odbyć na grzbiecie Pocketa. Matka wspięła się na ogrodzenie i usiadła w milczeniu przy bramie, bacznie to wszystko obserwując. Od tamtej pory zawsze tam siadała, kiedy Sunny jeździła na kucyku. Niezależnie od tego, co się działo, porzucała swoje zajęcia i czuwała nad bezpieczeństwem córki. Pocket od czasu do czasu kaprysił, ale nigdy więcej nie odchylił już łba, żeby uderzyć Sunny w twarz. I nigdy już nie odzyskał w pełni swojej wyniosłej złośliwości. Zdarzało się, że kiedy Sunny go szczotkowała albo myła, jej matka podchodziła i ścisnęła mu ucho, z początku lekko, a potem nieco mocniej.

– Czy kucykowi się tu podoba? Podoba mu się jego miły dom? Czy kucyk cieszy się, że żyje? Czy rozumie, ile miał szczęścia?

A Sunny wiedziała, że Pocket nigdy nie zapomniał dnia, w którym uderzono go kijem po głowie.

W końcu wyrosła na tyle, że przestała jeździć na Pockecie, a matka kupiła jej większego,

ładniejszego konia. Nigdy jednak nie sprzedała kucyka. Resztę życia spędził na farmie. Kiedy Sunny pojechała na studia, Pocket i Emma wspólnie za nią tęsknili. A kiedy Pocket zmarł, zapanował wielki smutek.

Jeszcze kilka miesięcy temu Sunny uspokajała matkę i zapewniała ją: „Mamo, jedyna rzecz, która ci dolega, jest wielkości orzecha włoskiego!”. Naprawdę wyglądało wtedy na to, że nie będzie tak źle. Sunny myślała, że zacznie spędzać z nią więcej czasu, że może będzie musiała znaleźć dla niej dom spokojnej starości. Może odwiedzi ją gdzieś na wybrzeżu karaibskim. Okazało się jednak, że Sunny i jej matkę wprowadzono w błąd. Postawiono błędną diagnozę. W ciele Emmy odkryto złośliwe guzy zdecydowanie większe od orzecha włoskiego. Z perspektywy czasu to, że przez kolejne tygodnie Sunny podkładała jej środki przeciwbólowe i porzucała ją łkającą w wannie, wydawało się naprawdę okrutne. Ledwo się obejrzała, a już leżała przy niej na łóżku, a jej matka, toczona chorobą, której nikt nie widział ani nie rozumiał, odwróciła się ostrożnie na swojej podgrzewanej poduszce i objęła ciężarną Sunny. „Nie martw się – powiedziała wtedy do matki. – Jutro na pewno wstaniesz z łóżka. To wszystko przez to cholerne zapalenie uchyłków. Musisz uważać z migdałkami”.

Sunny wiedziała, że aby ona sama mogła żyć dalej, jej matka musi wyzdrowieć. Musi dojść do siebie. Czuła też jednak – nagle ogarnęła ją absolutna pewność w tej kwestii – że po to, aby dobrze się czuła, wychodząc tego dnia ze szpitala, musi pozwolić matce odejść. Z punktu widzenia medycyny nie pozostało już nic do zrobienia. To był pat. Dotychczas nie chciała tego dostrzec, ale faktom nie dało się dłużej zaprzeczać. Sunny czuła się bardzo samotna. Kompletnie sama na tym świecie. Mogła oddychać tylko dlatego, że jednocześnie głaskała po ręce Bubbera i matkę. To było po prostu straszne. Gdyby Maxon siedział tu przy niej, pewnie nachyliłby się teraz nad nią i powiedział coś koszmarnie nieodpowiedniego, na przykład: „Czy chciałabyś usłyszeć kilka dowcipów o martwych niemowlakach?”. Wtedy mogłaby wstać i wściec się niego. Zamiast tego musiała jednak siedzieć tu i przeklinać go za to, że postanowił wyruszyć w kosmos właśnie w takim momencie.

Maxon nigdy by nie powiedział: „Nie mogę lecieć w kosmos w takiej chwili”. Przecież ustalono już harmonogram, przygotowano plan. Ponieważ była w zaawansowanej ciąży, a jej matka leżała na oddziale intensywnej terapii, rzekł po prostu: „Oczywiście nie musisz oglądać momentu wystrzelenia. To zupełnie niepotrzebne”. A ona mogła powiedzieć, i powiedziała: „Wszystko w porządku, w porządku, w porządku”.

Do pokoju wszedł lekarz. Lekarz jej matki był niskim, grubym człowieczkiem z kaleką dłonią. Miał skłonność do żartów, zrosł-nięte ze sobą trzy palce i dłoń wywinętą do góry jak hak. Uwielbiał z tego żartować – najchętniej wznosił ręce do nieba i wołał: „Boże, spraw, by obie moje dłonie wyglądały tak samo!”. Następnie udawał, że wygina drugą, zdrową dłoń, starając się upodobnić ją do tej pierwszej, wykrzywionej. Wydawało się to bardzo zabawne w momencie, w którym postawiona została błędna diagnoza, a u jej matki stwierdzono zapalenie uchyłków. Teraz jednak, w obliczu śmiertelnej choroby nowotworowej, przestało ją to bawić.

– O, Sunny, widzę, że zdecydowałaś się na nową fryzurę! – zażartował, sięgając po kartę jej matki, umieszczoną w kieszonce na drzwiach pokoju.

– Borykam się z tym od urodzenia – odburknęła.

– No cóż, w takim razie witaj w klubie – powiedział lekarz.

– Muszę odłączyć matkę od aparatury podtrzymującej życie – oznajmiła Sunny. – Jeszcze dzisiaj.

– A co skłoniło cię wreszcie do podjęcia tej decyzji? – zapytał doktor, nie odrywając wzroku od karty.

– Wystarczy na nią spojrzeć – odparła Sunny. – Z każdą chwilą przybliży się do śmierci.

– Patrzę na nią od wielu tygodni. To ty do tej pory ignorowałaś to, co oczywiste.

– Przepraszam – powiedziała. – To prawda. To prawda.

Lekarz odwrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia, zabierając ze sobą swoją głupią dłoń. Sunny nie wiedziała, czy wróci – czy ktokolwiek wróci. Pogłaskała matkę po rękę. Matka stała się teraz dla niej kimś obcym. Osobą, którą uszkodziła. Osobą, którą siłą zanurzyła pod wodę, którą trzymała pośród wodorostów, w czasie gdy oczy wyłaziły jej z orbit, w czasie gdy płuca gwałtownie walczyły o tlen, w czasie gdy skóra powoli się rozpadała. Osobą, którą ona, Sunny, mogła uratować, ale której nie uratowała. Osobą, którą utrzymała przy życiu dla własnych celów. Jej matka leżała na łóżku jak stara, bezwładna kukiełka. Trzymana tu tylko po to, żeby mówić pewne rzeczy. „Sunny, jesteś wspaniała”. „Sunny, możesz wszystko”. Podczas gdy Emma należała już do innego świata, Sunny wczepiała się w nią kurczowo i usiłowała zatrzymać ją przy sobie.

– Przepraszam – zwróciła się do matki. – Tak bardzo cię przepraszam.

Oparła się o łóżko, przyłożyła twarz do naprężonego, chłodnego ramienia i zrozumiała, poczuła gdzieś w głębi serca, że matka nie ma do niej żalu.

W przeszłości zdarzyło jej się powiedzieć matce: „Nienawidzę cię”. Doszło do tego w okresie, w którym jako nastolatka buntowała się przeciw swojej łysinie, walczyła z nią, domagała się peruki. Na tylnej okładce czasopisma o koniach znalazła reklamę środka przeciw łysieniu. Był on co prawda przeznaczony dla mężczyzn, ale odniosła wrażenie, że został stworzony właśnie dla niej. Lecznicza Orchidea była produktem na bazie naturalnych olejków i wyciągów roślinnych, opracowanym przez indyjskiego lekarza, niejakiego Chandrasekhara. Podczas kolacji pokazała matce reklamę i wymownie postukała w nią palcem. Emma patrzyła na nią przez chwilę spokojnie, w milczeniu.

– To oszustwo – powiedziała wreszcie. – Nie ma żadnego lekarstwa na łysienie.

– Nie masz o tym pojęcia! – wrzasnęła Sunny, czując rumieńce na twarzy. – Nie wiesz, co mi jest!

– Kochanie, musisz się uspokoić. Nie warto się tak denerwować.

– Potrzebuję tego – nalegała Sunny, rzucając czasopismo na stół. – To środek idealny dla mnie. Dlaczego nie pozwalasz mi spróbować? Zapłacę za niego z własnych pieniędzy.

Matka potrząsnęła głową. Nie zamierzała się denerwować, nie zamierzała się kłócić.

– Dobrze jest pragnąć pewnych rzeczy, Sunny – powiedziała. – Dobrze jest też ich potrzebować.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła Sunny. – Nienawidzę cię!

Wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, były słowa matki:

– Dobrze jest nawet nienawidzić pewnych rzeczy.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

– Czy chce pani, żebyśmy do kogoś zadzwoniła? – zapytała.

– Nie mam do kogo zadzwonić – odpowiedziała Sunny. – Moja matka leży tutaj, mój ojciec nie żyje, a mój mąż jest w kosmosie.

Pielęgniarka skinęła głową ze współczuciem.

– Muszę panią tylko prosić o podpisanie kilku dokumentów.

– Zrobi to pani od razu? – zapytała Sunny.

– Tak – potwierdziła pielęgniarka, jakby to było absolutnie oczywiste.

Kiedy już Sunny podpisała wszystkie papiery, poszła z Bubberem do łazienki. Cicho zwymiotowała do zlewu, co bardzo rozzłościło chłopca, a potem trochę popłakała. Bała się, że nadejdą kolejne skurcze. Wiedziała, że jako ciężarna kobieta, która została kompletnie sama na

świecie, jako matka Bubbera, będzie musiała w bardzo opanowany i mechaniczny sposób podejść do wszystkiego, co się teraz działo. Będzie musiała wpisać swoje imię i nazwisko tam, gdzie to konieczne, będzie musiała załatwić wszystkie niezbędne formalności. Nie może sobie pozwolić na płacz, na wczolgiwanie się pod łóżko, na błądzenie po lasach. Wiedziała, że jej matka chciałaby, żeby Sunny postarała się przede wszystkim zachować teraz równowagę. Została sama na świecie, na ogromnej, bezkresnej Ziemi. Nie było już Maxona na tej wielkiej planecie. Ta sytuacja wydawała jej się wyjątkowa. Równie dobrze Maxon mógł tymczasowo nie żyć. Gdyby tu był, zajęłby się tym wszystkim zamiast niej i w ogóle by tego nie odczuł.

Wyobraziła sobie pudełko. Pudełko, w którym mogłaby ukryć wszystko, co działo się z nią i jej matką, pudełko, które mogłaby szczelnie zamknąć i otworzyć dopiero w przyszłości – a może nawet go nie otwierać. Wiedziała, że musiałaby tam umieścić dzikość śmierci, pustkę ostatnich godzin życia, strach przed zmierzeniem się ze światem bez jakiegokolwiek wsparcia czy pośrednika. Wiedziała, że jeżeli nie ukryje tych rzeczy, jeśli się ich nie pozbędzie, nie będzie umiała dalej żyć, jeździć samochodem, karmić swojego syna i nosić w łonie drugiego dziecka. Dlatego wymyśliła pudełko. Mogła je schować pod łóżkiem, obok pudełka, w którym znajdowały się śmierć jej ojca i wszystkie związane z nią tajemnice. A potem przeprowadzi się do nowego domu i kupi nowe łóżko.

Kiedy wróciła z łazienki, pielęgniarka już na nią czekała. Wszystko zostało przygotowane. Nie było zresztą wiele do zrobienia, chodziło tylko o zabicie leżącej w łóżku osoby, o odłączenie jej od aparatury podtrzymującej życie. Należało wyłączyć respirator i wyjąć rurkę z gardła jej matki. Doktor mówił kiedyś, że wyjęcie rurki z całą pewnością ją zabije. Rozmawiali o tym wszystkim już wcześniej, kiedy Sunny żyła w uśpieniu pod swoją peruką. W tamtym czasie za najpilniejszą sprawę uważała konieczność skoszenia trawnika przed domem matki w Pensylwanii. Gdy wróciła do domu, powiedziała Maxonowi: „Ona coraz lepiej wygląda. Niedługo wróci do domu”. Doktor ją do tego nakłaniał. Zapewniał, że to wszystko pójdzie szybko. Przez cały ten czas nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Powinna pani stanąć za szybą, żeby chronić swojego synka. Proszę odwrócić mu głowę – powiedziała pielęgniarka. – Czasem podczas tej procedury dzieją się dziwne rzeczy.

Co takiego mogło się stać? Czy jej matka zacznie się rzucać i dygotać? Czy ciało spadnie z łóżka? Czy zacznie się trząść jak człowiek, który zawisł na linie? A może będzie musiała stąd uciec, wydostać się przez skrzypiące drzwi i ulecieć w kosmos? Sunny wyszła z pokoju, gotowa patrzeć na wszystko z daleka, przez szybę, ale po chwili poczuła, że nie może tego zrobić. Wiedziała, że potrzebuje jeszcze tej jednej minuty z bijącym sercem, z mózgiem, przez który przepływają sygnały elektryczne. Jeszcze jednej minuty, zanim jej matka odejdzie.

Wbiegła z powrotem do pokoju, odepchnęła pielęgniarkę i chwyciła spuchniętą dłoń Emmy.

– Mamo – powiedziała. – Posłuchaj.

To mogła być ostatnia rzecz, jaką zdoła jej powiedzieć. Gdyby wybuchła teraz wojna, jej matka nigdy by nie poznała jej wyniku. Nigdy nie obejrzałaby zakończenia swoich ulubionych seriali. Gdyby jej dzielnica doszczętnie się spaliła, gdyby Sunny poszła do więzienia albo Maxon wylądował na Księżycu, jej matka nie miałaby o tym pojęcia. Nie wiedziałaby, czy dziecko szczęśliwie się urodziło, czy wyparowało gdzieś po drodze, nie miałaby nawet pojęcia, że na świat przyszła dziewczynka. Jej matka nigdy więcej się nie odezwie. Ostatnie słowa, z jakimi zwróciła się do Sunny, dotyczyły jej obaw związanych z nową gosposią. „Coś z nią jest nie tak – oznajmiła – ale nie potrafię dokładnie stwierdzić, o co chodzi”.

– Zrezygnowałam z peruki – powiedziała Sunny, pochylając się, żeby położyć dłoń matki na swojej głowie. – Zdjęłam ją i nie zamierzam jej więcej zakładać. Musiałam ci o tym

powiedzieć. Nie będę jej więcej nosić.

Czuła, jak zimna dłoń ześlizguje się bezwładnie z jej głowy. Położyła ją delikatnie na łóżku i dała znak pielęgniarce. Kobieta wyłączyła maszyny. Sunny mocno ścisnęła Bubbera i spojrzała przez ramię. Na korytarzu stał lekarz z dłonią o zrośniętych palcach. Jej matka leżała na łóżku. Pielęgniarka wyjęła rurkę respiratora i rozległ się gardłowy, chrapliwy dźwięk, dźwięk powoli wyłączającej się maszyny. Ale jej matka nie umarła w tamtej chwili. Potem był jeszcze jeden oddech, a potem kolejny. Emma żyła dalej. Sunny spojrzała przez ramię na lekarza. Potrząsnęła głową. Wyobraziła sobie, jak dzieląca ich ściana nagle eksploduje, zasypując go kawałkami szkła, a potem mknie dalej, przez budynek i zalewa cały świat – tak jakby całe pomieszczenie pękło na skutek napięcia spowodowanego faktem, że Sunny ukrywała wszystko w maleńkim pudełku zamkniętym na kłódkę. Lekarz potrząsnął głową i wszedł do pokoju. Zmierzył jej matce tętno.

– Nie przestaje walczyć – powiedział lekarz.

– Pan chyba żartuje – odparła Sunny.

– To już nie potrwa długo – zapewnił.

– Nie mogę tu zostać. Muszę iść, nie dam rady na to patrzeć.

Lekarz rzucił jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

Tylko Maxon potrafiłby ją zrozumieć. Czuła się tak, jakby miała przed sobą wodospad szkła i tylko pochłaniając to szkło, mogła zapobiec temu, by pokaleczyli się nim dziecko w łonie i Bubber. Pożerała je więc tak szybko, jak tylko mogła. Ale nie mogła przestać, nie mogła ani na chwilę przerwać, żeby wytłumaczyć wszystko lekarzom. Jej matka wciąż walczyła. Na razie kurczowo trzymała się życia. To jej decyzja – nie Sunny. Jej wybór. Może ostatecznie jej stan się poprawi? Sunny szczelnie zamknęła pudełko, po czym wzięła Bubbera za rękę.

– Pocałuj babcię – powiedziała. – Musimy już iść.

– Proszę poczekać. Przeniesiemy ją do innego pokoju – rzekła pielęgniarka. – Nie może dłużej przebywać na oddziale intensywnej terapii.

– Dobrze, proszę do mnie po prostu zadzwonić – odparła -Sunny.

Ciężar szpitala coraz bardziej ją przygniatał i obawiała się, że wkrótce zmiążdży także dziecko, które nosiła w swoim brzuchu. Musiała się stąd czym prędzej wydostać. Musiała wyjść i zabrać stąd swoje dzieci. Znalazła się w punkcie, w którym pozostawał jej tylko ruch. Nie było innego wyjścia. Kiedy długo naciąga się procę, trzeba wreszcie wystrzelić. Nie może ona wiecznie pozostawać w zawieszeniu.

Matka nie umierała. Matka żyła. Matka myślała. We wnętrzu ciemnego kokonu jej umierającego ciała błąkały się myśli. Pograżona w stanie nieważkości, manewrowała pośród swoich wspomnień i tego, co się tam już znajdowało. Wczepiała się w nic bólu i żalu, która wciągała ją z powrotem do jej własnych nóg i ramion, do jej ciała pożeranego stopniowo przez nowotwór. Pamiętała jednak wszystko, co kiedykolwiek widziała. Wystarczyło tylko wyciągnąć to na wierzch, strząsnąć z siebie i przewrócić na drugą stronę.

Pierwsze wspomnienia Sunny związane były z Birmą. Kiedy -miała trzy lata, siedziała z rodzicami przy kolacji. Na środku stołu stała miska rybnego curry. Na innym półmisku leżał pieczony kurczak. Była tam też sałatka z zielonych pomidorów. Rodzina klęczała wokół stołu na niebieskich aksamitnych poduszkach, a pod talerzami rozłożona została błękitna tkanina. Złapali się wszyscy za ręce i wspólnie odmówili modlitwę, dziękując za ten posiłek. Zamontowany w oknie wentylator wypełniał pomieszczenie podmuchami powietrza i zapachem palm, lekko unosząc luźne kosmyki Emmy.

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu pojawili się żołnierze. Emma chwyciła córkę i szybko odsunęła ją na bok. Nu natychmiast przybiegła, żeby się nią zaopiekować. Ojciec Sunny był czerwony i wyraźnie zdenerwowany. Zadudniły ciężkie buty. Curry obsiadły muchy. Wiatrak kręcił się to w jedną, to w drugą stronę. Sunny poczuła strach. Jej matka wciąż przeżuwała jedzenie, starając się je połknąć.

Jak się wkrótce okazało, ojciec Sunny został aresztowany przez przedstawicieli junty wojskowej, ponieważ wyszło na jaw, że jest chrześcijańskim misjonarzem. Żołnierze oznajmili, że zgodę na jego egzekucję wydał sam generał Ne Win. Generał starał się po prostu postępować tak, jak należało. Nie przeczył, że Bob Butcher jest doskonałym naukowcem. Każdy, kto go znał, bez wahania by potwierdził, że cechował się niezwykłą charyzmą i honorem. Nigdy nie podał kobiecie lewej ręki, nigdy nie dotknął żadnego mężczyzny w czubek głowy[2]. Mimo to generał musiał – jak to określił – zmiażdżyć wszystkich, którzy usiłowali osłabić juntę.

Jak to się stało, że ci mężczyźni w szarych mundurach znowu przyszedli zza gór, zapukali do ich drzwi, wkroczyli do laboratorium Boba Butchera i otworzyli szafkę, w której ukryto Biblię i hymny? Kto przekazał im informacje, które skłoniły żołnierzy do aresztowania Boba Butchera i zabrania go do budynku miejscowej poczty razem z zakurzoną skrzynką przeschumowanej whisky, którą usiłowal ich przekupić? W Birmie nikt nie chciał pieniędzy. W szafirach wykopanych we własnym ogródku można się kąpać, ale nie można ich ani zjeść, ani wypalić, ani wykorzystać do zabicia sąsiadów. Co komu dają wspaniałe złote stupy, skoro nikt nie może nawet przejechać autobusem na drugą stronę miasta? Kogo obchodzą brzęczące podarki od jakiegoś spoconego misjonarza?

Żołnierze wkrótce zniknęli, zabierając ze sobą Boba Butchera. Serce Emmy łomotało jak oszalałe. Zabrała swoją małą córeczkę do sypialni. Cały czas trzymała ją za rękę. Otworzyła szufladę i spod starannie ułożonych koszul nocnych wyjęła złoty posążek nata, starego birmańskiego bóstwa. Córka przyglądała jej się w milczeniu, Emma zaś postawiła nata w domku dla lalek Sunny, w rogu maleńkiego saloniku. Wyjęła z kieszeni szlafroka kadzidło, zapaliła je drżącą ręką i umieściła przed domkiem. Sunny uklękła przy niej razem z poważną, choć uśmiechniętą Nu, która zaczęła nucić piosenkę. Przyglądały się bożkowi siedzącemu na macie obok bambusowych krzeseł i stołu. Sunny pobiegła do kuchni i wróciła po chwili z winogronem. Kobiety mieszkające w tym domu ukrywały swoje animistyczne wierzenia przed Bobem Butcherem tak samo, jak misjonarz ukrywał egzemplarze Biblii przed komunistami. W ciągu dwunastu lat służby Nu uczyła animizmu Emmę, a Sunny uczyła się go od nich obu. Wszyscy domownicy mieli swoje własne, potajemne ceremonie religijne. Chrzest i ofiara z owoców. Komunia i kadzidła. Zapachy i dzwony.

Emma modliła się o błogosławieństwa i ochronę. Życie trwało dalej – bez męża u jej boku. Po tygodniu przyszedł list. Bob Butcher siedział w więzieniu w Rangunie, a jego egzekucja

miała się odbyć za cztery dni. Emma zawołała Sunny, która bawiła się w ogrodzie herbacianym. Natychmiast zaczęła się pakować. Dała Sunny niewielką płócienną torbę i kazała jej wybrać wszystkie skarby, które zdoła w niej zmieścić i które będzie w stanie samodzielnie nieść. Sunny wybrała złotego nata i kilka swoich plecionych kapeluszy. Obsypaną kwiatami gałązkę z jednego z drzew w ogrodzie. Rodzinny czajniczek. Emma spakowała trochę ubrań dla każdej z nich, a potem starannie zebrała wszystkie notatki swojego męża. Schowała je do skórzanej walizki razem z kolekcją buteleczek i fiolek, a całą resztę, włącznie z paczką pieniędzy, zostawiła Nu. Sunny płakała, rozstając się ze swoją ukochaną opiekunką. W kółko powtarzała: „Nu-nu”. Emma też płakała i obiecywała: „Nu, poślę po ciebie, kiedy tylko będę mog-ła. Nie martw się. Jeszcze się zobaczymy”. Tamtego dnia na zawsze opuściły chatę u stóp góry.

Wyruszyły do Mandalaju rozklekotanym, zatłoczonym auto-busem. Sunny usadowiła się matce na kolanach, zatykała nos i od czasu do czasu płakała. Emma siedziała prosto, a na jej twarzy nie pojawiła się ani jedna łza. Patrzyła przed siebie, a jej usta w ogóle się nie poruszały. Kupiła coś do jedzenia, ale Sunny nie chciała tego tknąć. Emma żałowała, że już jakiś czas temu odstawiła córkę od piersi. Gdyby mogła samodzielnie ją nakarmić, z pewnością lepiej by się poczuła.

W ten sposób dotarły do Mandalaju. Wsiadły na niewielkim, zakurzonym placyku nad brzegiem rzeki Irawadi. Miasto nie wydawało się szczególnie piękne. Wbrew temu, co pisał Kipling, nie widziały ani pagody w Moulmein, ani „świtu wybuchającego jak burza”[3]. Słyszały natomiast wiatr dmący w korony palm, suchy wiatr, który podrywał w górę pył, rozbudzał w nich pragnienie i lekko unosił włosy Emmy oraz rogi chustki Sunny. Ostatecznie udało im się ruszyć w dół rzeki na maleńkim promie należącym do grubego mężczyzny, który w zamian zażądał od Emmy jej egzemplarza Biblii. Podróż do Rangun u zajęła dziesięć godzin.

Trójkątne żagle łodzi rybackich o zaokrąglonym dnie rozcinały horyzont niczym wysokie szczyty. Rogi bawołów wodnych unosiły się w górę, gdy zwierzęta ciągnęły pługi wzdłuż brzegu albo brodziły w płytkiej wodzie. Nic innego nie rozpraszało mono-tonii krajobrazu. Mijały maleńkie wioski przytulone do brzegów cieplej, płytkiej rzeki, co jakiś czas widziały też sunące po powierzchni wody czółna z drewna tekowego, wprawiane w ruch za pomocą długich drągów albo wiosł. Emma przytulała Sunny do piersi, a między nogami ścisnęła kurczowo ich bagaże. Jakaś starsza osoba oparta o duży kosz obok nich lamentowała nad tym, że urodziła się kobietą. Młody mnich siedział w kucki przy balustradzie. Najwyraźniej przechodził niedawno inicjację, bo miał ogoloną głowę i brwi. Emma zadrżała. Na takiej łodzi nikt nie mógł zasnąć – nawet na rzece Irawadi. Nikt nie odróżniłby zwykłego mnicha od służącego rządowi szpiega owiniętego pomarańczową szatą.

Inne wspomnienie. Stały obok siebie na placu pod wspianiałą pagodą Sule w Rangunie, trzymając w rękach płócienną torbę i skórzaną walizkę. Sunny dobrze pamiętała spokój malujący się w tamtej chwili na twarzy jej matki. Złoty czubek lśniącej pagody wznosił się ku niebu, kolejne zaś, coraz cieńsze warstwy złota pięły się w górę aż na sam szczyt. Główną iglicę otaczało złote ogrodzenie, za którym gromadzili się ludzie. Panował nieznośny upał, a zmęczona Sunny wczepiła się w rękę matki. Pozwoliła, by jej głowa opadła lekko do tyłu. Na samym szczycie iglicy dostrzegła mały, bulwiasty czubek zwieńczony piękną gwiazdą.

Jej matka przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, ale nie oparła się o białą ścianę, która znajdowała się za ich plecami. Stała prosto. Sunny zobaczyła na placu kobietę ze złotymi pierścieniami wokół szyi, której długość była dwa razy większa niż przeciętna. Kobieta miała pełną zmarszczek, nieco spłaszczoną twarz. Sunny ujrzała też wielkie, białe kamienne lwy, święte posągi o ostrych zębach i zielonych grzywach. Zobaczyła niemowlęta o śniadej skórze, noszone przez matki na plecach. Dostrzegła siedzącego na ziemi mężczyznę z uciętymi do

połowy ręką i nogą. Widziała głodne dzieci, gromadzące się wokół worka ze śmieciami, który stał przed wejściem do restauracji. Sunny miała zaledwie trzy lata. Matka pomagała jej później ustalić, co widziała tamtego dnia na własne oczy, a co знаła jedynie z opowieści. Niektórzy ludzie byli odziani w łachmany, inni zaś nosili pomarańczowe szaty. Matka trzymała ją za rękę. Nagle kilka osób w brązowych ubraniach zrzucano z dachu złotej pagody. Zawisli pod krawędzią dachu, po drugiej stronie złotego ogrodzenia – i zaczęli się kołysać, tak jakby tańczyli.

Emma pociągnęła ją za sobą i ruszyły pospiesznie w kierunku portu. Sunny zapytała, czy niedługo zobaczą się z tatą, ale matka odpowiedziała, że już nigdy go nie spotkają. Wiele lat później przed pagodą Sule rozpoczęła się burzliwa rewolucja antyrządowa. Tysiące protestujących uciszono ostrzami bagnatów. Zabici leżeli na ulicy z roztrzaskanymi czaszkami. Protesty trwały przez wiele miesięcy – ciągnęły się tak długo, że ludzie nie potrafili już sobie przypomnieć, czy Birma była kiedykolwiek pięknym krajem. Otaczały ich wyłącznie ból i cierpienie i wydawało się, że sytuacja nigdy już się nie poprawi. Dla Sunny i jej matki to był jednak koniec. Pożegnały się z Birmą i z rzeką Irawadi. Pożegnały się z buddyzmem, natami i monsunami. Wsiadły na statek razem z innymi pasażerami zmierzającymi do Ameryki. Opuściły Birmę. Raz na zawsze zostawiły za sobą ten kraj.

Nie wiadomo, jaki los spotkał Boba Butchera. Jego żonie udało się jednak wrócić po latach do Ameryki, gdzie Sunny zaczęła nowe życie – stała się amerykańskim dzieckiem.

Sunny nigdy nie przyjęła do wiadomości śmierci swojego ojca. Dyndające ciała, które zobaczyła jako trzylatka, niczego jej nie nauczyły. W głębi serca wierzyła, że jej ojciec przeżył. Może to nie on zwiślał z dachu pagody. Przecież nikt nie widział wtedy jego twarzy. Może pozostał w więzieniu i zdołał uciec po wielu latach. Może wędrował po dżungli, zdezorientowany i przygnębiony. Sunny wolała wyobrazić go sobie jako uciekiniera, który wyszedł z tego wszystkiego cało – zdecydowanie łatwiej było przyjąć taką wersję wydarzeń. Inne rozwiązanie wydawało jej się zbyt przerażające. Bardzo słabo go pamiętała i nawet niedługo po jego śmierci widziała jego twarz jak przez mgłę. W tamtym okresie nie zapamiętywała tego typu szczegółów. Wiedziała jednak, że miał szerokie ramiona i emanował niezwykłą, nieujarzmioną wręcz energią. Lubiała go sobie wyobrażać jako żyjącą na wolności panterę.

Dopóki wierzyła, że jej ojciec przemierza dżungle Birmy, polując na dzikie zwierzęta i szukając domu, dopóty nie była zupełnie sama na świecie. Zawsze istniała przecież możliwość, że wreszcie uda mu się odnaleźć córkę. Mógł w każdej chwili zjawić się pod jej domem. Mógł siedzieć w każdym z mijających ją samochodów i wypatrywać jej na ulicach. Oczywiście miałby też powody, żeby trzymać się na uboczu. Musiałby zachować ostrożność – przecież to, co już raz go spotkało, zawsze mogło się powtórzyć. Każdy kontakt z drugim człowiekiem wiązał się z pewnym ryzykiem.

Nigdy nie zdołała dostrzec go w żadnym z mijających ją samochodów. Lubiała sobie jednak wyobrażać, że jej twarz zaciekawiła jakiegoś mężczyznę w wieku jej ojca. Wyobrażała sobie, jak ten człowiek, głęboko zaintrygowany, wsiada do taksówki i mówi: „Proszę jechać za tą dziewczyną. Muszę się dowiedzieć, gdzie ona mieszka”. Wyobrażała sobie, jak poważny, dystyngowany człowiek zjawia się nagle przed jej domem, zakochuje się w jej matce i zostaje jej nowym ojcem. A potem okazuje się, że ten człowiek jest tak naprawdę jej prawdziwym ojcem, który wreszcie odważył się ujawnić swoją tożsamość. Przez całe życie spotykała mężczyzn, którzy przypominali jej o ojcu, którzy jej się z nim kojarzyli. Mężczyzna o siwych włosach. Profesor, który poradził jej: „Nie warto tracić czasu na naukę jakiegoś przedmiotu, jeśli nie trzeba na początku uczyć się na pamięć mnóstwa pieprzonych bzdur. Wszystko, co jest cokolwiek warte, zaczyna się właśnie w ten sposób”.

Brak ojca nigdy jednak nie był dla niej prawdziwym dramatem czy bolesną, niedającą spokoju traumą. Dorastając, zaczynała coraz lepiej rozumieć świat, on zaś pozostawał częścią tego świata. Nieżyjącą już częścią. Jego nieobecność kształtowała krajobraz rodziny. Z biegiem lat coraz bardziej zapominała, za czym tak naprawdę tęskniła – choć wcale nie skłaniało jej to do porzucenia tęsknoty. Miała na punkcie ojca zupełnego bzika. Modliła się do niego. Usiłowała badać jego losy, znajdowała artykuły, które publikował w czasopismach naukowych. Były one pisane tak formalnym, naukowym językiem, że niewiele z nich rozumiała, ale mimo to powtarzała sobie w myślach: „To coś znajomego. Coś bliskiego. Kość z mojej kości, ciało z mojego ciała”. Mówiła sobie: „Kiedy to pisał, odczuwał jakieś konkretne emocje. Przekazał mi je, tylko ja zdołam je wychwycić i zrozumieć. Wszyscy inni, czytając ten artykuł, poznają tylko kolejne informacje na temat jego badań i reakcji poszczególnych materiałów na wszystkie te olejki”. Wyobrażała sobie, że jej ojciec gdzieś żyje, publikuje pod pseudonimem kolejne artykuły o chemicznych właściwościach birmańskiej flory, a wspaniałe kwiaty dzikiej orchidei kończą zmiażdżone przez tłuczek w jego mózdzierzu.

Choć głęboko wierzyła, że jej ojciec żyje, chętnie opowiadała wszystkim niezliczone

historie o jego śmierci. Kiedy poszła do szkoły, szybko zrozumiała, że postać ojca zamordowanego przez komunistów zapewnia jej sławę oraz szacunek rówieśników – chociaż i tak zwracała na siebie uwagę łysą głową.

Co jakiś czas wplatała w swoje opowieści coś o Bobie Butcherze. „Mój ojciec, który zginął...” „Mój ojciec, zamordowany przez komunistów...” Albo po prostu: „Mój nieżyjący ojciec”. W jej szkole uczyły się też inne dzieci, które straciły ojców. Jeden z nich zmarł na atak serca w wieku czterdziestu pięciu lat. Ale ten biedny chłopiec, który stał nad grobem swojego ojca, pociągał nosem i wylewał prawdziwe łzy, nie potrafił w jakikolwiek sposób wykorzystać tego doświadczenia, by poprawić swoją pozycję w hierarchii szkolnej. Innych dzieci nie obchodziły jego przeżycia. Choć regularnie odwiedzał grób ojca, nikt nie otaczał go ramieniem ani nikt nie okazywał mu współczucia. Tymczasem rodzina Sunny budziła duże zainteresowanie miejscowej społeczności. Pewnego dnia dziewczyna z dość zamożnej rodziny z Foxburga zdecydowała się w końcu zapytać Sunny, co dokładnie spotkało jej ojca.

– O co chodzi z twoim ojcem? – zagadnęła. – Co się z nim stało?

Sunny, która w wieku jedenastu lat miała już bardzo rozwinięty instynkt społeczny, wolała na razie uniknąć odpowiedzi na to pytanie. Zamiast natychmiast rozwiązać tajemnicę otaczającą śmierć jej ojca, postąpiła bardzo roztropnie i obiecała:

– Opowiem ci o tym, ale nie dzisiaj.

Zaczęła żuć gumę z zagadkową miną i przewracać oczami, a po chwili zatrzęsła szafkę, uśmiechnęła się szeroko i ruszyła przed siebie korytarzem.

– Dobrze, powiem ci – zapewniła inną dziewczynkę o kręconych włosach związanych w kucyk. – Prawdopodobnie opowiem ci wszystko w przyszłym tygodniu, w czasie treningu biegaczy. Szukaj mnie w okolicy boiska.

Sunny nie uprawiała sportu ani w podstawówce, ani w szkole średniej, ale chętnie obserwowała codzienne treningi. Podkochiwała się w jednym z chłopców z drużyny. Przy boisku kręciło się mnóstwo dzieci, które tak jak zwykle czekały, aż odbiorą je matki, albo po prostu wagarowały. Tym razem jednak dzieci usiadły wokół Sunny na otwartej trybunie, w miejscu, z którego zwykle obserwowała treningi. Wszyscy przypatrywali się jej w napięciu, wyczekująco, ale ona wcale się nie spieszyła. Wreszcie jednak zaczęła swoją opowieść:

– Mój ojciec zginął na płaskowyżu. To było wysoko w górach, w Tybecie. – Ciepła bryza znad rzeki wdierała się w zieloną dolinę. Boisko z bieżnią znajdowało w niewielkiej, otoczonej drzewami nieszczęśliwie na tyłach szkoły. Dzieci zgromadzone wokół Sunny zwróciły ku niej twarze, a włosy maskowały kształt ich czaszek. Kiloro z nich miało na głowach czapki. Drewniane ławki skrzypiały przy każdym ich ruchu, a łuszcząca się zielona farba wbijała się pomiędzy szwy ich dzinsów. – Tybet sąsiaduje z Chinami.

Jedno z dzieci pokiwało głową, drugie zaś rozejrzało się niepewnie i cicho wymamrotało:

– To nieprawda.

W tej samej chwili przemknęła obok nich grupa biegaczy. Sunny odchrząknęła.

– W Tybecie była wtedy zima – mówiła dalej Sunny – a komuniści mieli broń.

Dzieci wyprostowały się i zaczęły uważniej przysłuchiwać się jej opowieści. Sunny złączyła dłonie i wyprostowała ręce w łokciach, po czym ziewnęła.

– Ilu było tych komunistów? – zapytała jedna z dziewczynek.

– Trzech – odparła Sunny. – Było tam trzech komunistów w brązowych mundurach.

W mundurach Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Rozkazano im zabijać wszystkich misjonarzy, nawet tych, którzy mieli rodziny. Mój ojciec zostawił nas i uciekł. Ukrywał się w buddyjskiej świątyni, ale komuniści go tam znaleźli. Siedział wtedy w ciemności, między dwoma glinianymi naczyniami z wodą. Pewnie się modlił. Wpadli do środka i przewrócili

naczynia na ziemię. Gliniane pokrywki roztrzaskały się, a woda rozlała się po całej podłodze. Podczas gdy żołnierze niszczyli kolejne przedmioty i dewastowali świątynię, mój ojciec po prostu wstał i powiedział: „Jestem tu”. A oni wyciągnęli go na dwór i zaprowadzili na szczyt góry, gdzie znajdowała się wielka, płaska skała. Było tam mnóstwo... ee... mnóstwo mordowanych mnichów. Ginęli od ostrzy bagnatów.

– Ale co on takiego zrobił? – zapytał chłopiec w czerwonych szortach. – Dlaczego miał kłopoty?

– Oczywiście dlatego że nie był komunistą – wyjaśniła uprzejmie Sunny, a pozostałe dzieci spojrzały na chłopca tak, jakby był kompletnym idiotą.

– No więc zaciągnęli go tam, na tę wysoką skałę. Otaczali go żołnierze. To było bardzo nieprzyjemne. Potem rzucili go na ziemię. „Czy wierzysz w komunizm?”, zapytali. „Nie, nigdy nie uwierzę w komunizm!”, odpowiedział mój ojciec.

Głos Sunny rozbrzmiał echem po całym boisku. W teatralnym geście wyrzuciła w górę kościstą pięść i zaczęła nią potrząsać.

– Kopali go w brzuch. Otoczyli go, krążyli wokół niego i nie przestawali go kopać. „Czy wierzysz w komunizm?”, pytali bez przerwy, ale on za każdym razem odpowiadał: „Nie!”, więc kopali go dalej. Mieli krótkie nogi i ciężkie, twarde bucior. W powietrze nie wzbijał się kurz, bo w Tybecie nie ma kurzu, nie ma ziemi, są tylko skały. Ci żołnierze byli Chińczykami, mieli lekko spłaszczony, surowy, pełny nienawiści twarz. W końcu go otoczyli, podnieśli go i kazali mu klęknąć na skałę, po czym wycelowali i go zastrzelili. Zabili go.

– O cholera! – zawołał jeden z chłopców, na którym ta opowieść zrobiła najwyraźniej ogromne wrażenie.

Na parkingu rozległ się dźwięk klaksonu, co oznaczało, że po którejś z dzieci przyjechała właśnie matka. Tymczasem drużyna biegaczy rozdzieliła się, a na samym przedzie znalazł się wysoki, smukły chłopiec z ogoloną głową, poruszający się trochę jak maszyna. Pozostali, ciężko oddychając, biegli za nim, usiłując opanować zmęczenie.

– W Tybecie nie da się pochować człowieka – mówiła dalej Sunny. – Nie można wykopać grobu, bo skała jest zbyt twarda, więc żołnierze porąbali go na kawałki swoimi wielkimi stalowymi maczetami i zostawili sępom na pożarcie. Przez cały ten czas nie zamienili ani słowa. Nic nie mówili, tylko rąbali, rąbali, rąbali. Skała zrobiła się cała czerwona od krwi, a gdzieś tam powstały nawet małe czerwone sadzawki. Potem żołnierze zeszli z góry. Kiedy już ciało mojego ojca pożarły sępy, jego kości wyschły na słońcu, a potem wiatr zwał je ze skały. Zmieniły się w pył. Białe kości.

– Skąd możesz to wszystko wiedzieć? – zapytał cynik w czerwonych spodenkach.

– Zamknij się! – uciszył go chłopak, który siedział obok niego, po czym wypchnął go z trybuny.

– Sunny, to straszne – powiedziała dziewczynka z kręconymi włosami związanymi w kucyk. – Pewnie okropnie się z tym -czujesz.

Sunny skinęła głową, spojrzała na chłopców biegnących po torze, a następnie splótła dłonie na apasce, którą miała na szyi. W jej oczach zalśniły łzy.

Po raz kolejny Sunny opowiedziała historię śmierci ojca na studiach, na warsztatach poezji, w których postanowiła wziąć udział. W wierszu, który na ten temat napisała, jej ojciec został powieszony za stopy w birmańskim więzieniu, na pięcie wystającym ze ściany.

Ziemi dotykały tylko jego ramiona i głowa. Wisiał tam tak długo, aż wreszcie zmarł. Jedynie jej matce pozwolono się z nim pożegnać, ale musiała na niego patrzeć zza żelaznych krat. W celi panował mrok, unosiła się dławiąca woń stęchlizny. Więzień nie miał na sobie ubrań. Sunny napisała w swoim wierszu, że jego mękę potęgowały kęsające bez litości komary. Jak

informowała czytelników, od brudu i zgnilizny uwolniła go dopiero śmierć. Jej ojca skazano na śmierć za zbrodnie przeciw rządowi junty wojskowej, za działalność wywrotową, za występowanie przeciw ustrojowi komunistycznemu i za szerzenie chrześcijaństwa.

Mimo zaawansowanej ciąży matka Sunny przebyła całą drogę z Mandalaju do Rangun na piechotę. Urodziła swoje dziecko w ciemności, w zaroślach na tyłach zrujnowanego pałacu. Niemowlę ukryła w swoim sarongu, umyła się i jeszcze tej samej nocy poszła odwiedzić męża. Zaprowadzono ją do celi znajdującej się w tylnej części długiego, niskiego budynku. Emma stanęła w drzwiach i zawołała go. Przełożyła dziecko pomiędzy kratami, żeby ojciec mógł je zobaczyć. W tej samej chwili na oknie wylądował bezszelestnie kruk. Po ścianie wił się wąż. Niemowlę płakało i drżało w ciemności, a Bob Butcher odwrócił swoją udręczoną głowę w jego stronę. Na widok dziecka na jego popękanych ustach pojawił się uśmiech. „To ja byłam tym niemowlęciem” – oznajmiła Sunny, kiedy omawiano jej wiersz na zajęciach. – „To ja byłam tym niemowlęciem”. W tamtej wersji opowieści pominęła zaćmienie Słońca. Uznała, że okaże się nie dość realistyczne.

Wiersz opublikowano w studenckim czasopiśmie literackim, którego redaktorzy poprosili Sunny, żeby przeczytała go podczas spotkania w niewielkiej kaplicy na terenie kampusu. Gdy skończyła, jeszcze przez jakiś czas panowała zupełna cisza. Dopiero po chwili rozległy się oklaski.

Kiedy Sunny i Maxon przeprowadzili się do Wirginii, Sunny postanowiła urządzić parapetówkę. Zaprosiła wszystkich sąsiadów, którzy mieszkali przy tej samej ulicy – i wszyscy się zjawili. Przygotowała niewiarygodne ilości koktajli z martini, a dom wyglądał idealnie, jak wyjęty z magazynu „Architectural Digest”. Dywany w kolorze pistacji, szerokie deski z drewna orzechowego na podłodze, wbudowane w sufit oświetlenie pokryte polerowanym niklem i złoty fikus o lśniących, wygiętych liściach. Choć wszystko było nowe – włącznie z obitym skórą fotelem oraz otomaną – wewnątrz wyglądało tak elegancko, jakby miało przynajmniej ze sto lat, jakby podejmowano tu decyzje wagi państwowej i jakby wracano tu z wielu dalekich podróży. Dom, w którym podpisywano traktaty i rozstrzygano sprawy najważniejsze. Dom z historią.

Zrezygnowali ze swojego starego stoliczka na kawę, wykonanego z ogromnej tafli zielonego szkła. Taki stolik nie nadawałby się do domu, w którym miały w przyszłości mieszkać dzieci – zresztą był to w tej chwili najmniejszy z ich problemów. „On po prostu nie wygląda zbyt dobrze – powiedziała Sunny. – I szczerze mówiąc, kochanie, ty też nie”. Maxona, podobnie jak zielonego stolika kawowego, z całą pewnością by nie zaprezentowano w „Architectural Digest”. Sunny nie chciała sprzedawać ich starego mebla, więc porzuciła go w pobliskiej alejce niczym przezroczysty znak zapytania postawiony w środku miasta.

Natomiast Maxona nigdy by nie porzuciła w pobliskiej alejce. Gdyby jednak mogła tamtego wieczora zamknąć męża w gabinecie, chętnie zatrasnęłaby za nim ciężkie drzwi, po czym dokładnie zabezpieczyłaby je taśmą, tak żeby z pomieszczenia nie mógł się wydostać najcichszy choćby dźwięk wskazujący na jego obecność.

Zresztą wcale przecież nie marzył o tym, żeby wyjść z gabinetu. Wcale nie powtarzał: „Czy mogę do was dołączyć?”. Wręcz przeciwnie – co zakomunikował jasno i wyraźnie:

– Nie podoba mi się to, że do naszego domu przyjdzie tyle osób. Mam wrażenie, że postanowiłaś zaprosić całą okolicę.

– Maxon, im więcej gości, tym lepiej – powiedziała śpiewnie Sunny, uśmiechając się do marchewek, które myła właśnie w -zlewie.

– To dość absurdałne stwierdzenie – zauważył, wyjmując sobie z lodówki colę light.

– Może i tak, ale z towarzyskiego punktu widzenia naprawdę się sprawdza. Zresztą w tym przypadku liczby są po twojej -stronie.

– Niby w jaki sposób? – zapytał, otwierając puszkę.

Machnęła w jego stronę obraną marchewką i wyjaśniła z błyskiem w oku:

– Im więcej przyjdzie ludzi, tym mniej będziesz musiał mówić. Rozumiesz? Gdybym zaprosiła tylko jedną osobę, musiałbyś się bardzo intensywnie udzielać, a przy dwudziestu gościach możesz po prostu stać się niewidzialny na kanapie. Wystarczy, że będziesz co jakiś czas kiwał głową, uśmiechał się... i nikt niczego nie zauważy.

Maxon zdjął z lodówki magnesy, kalendarz i pocztówki, po czym zaatakował ją swoim ścieralnym markerem. Zawsze miał go przy sobie. Sunny uwielbiała patrzeć, jak jej mąż pracuje, jak przekłada wszystko na swój własny język. W takich chwilach wiedziała, że naprawdę potrafią się porozumieć.

– Chodzi ci o coś takiego? – zapytał.

PRZY ZAPROSZENIU $L = \#$ LUDZI

$$\lim_{L \rightarrow \infty} \left(\frac{1}{L}\right) = S$$

– Przy czym „S” to liczba słów, za które odpowiadam, prawda? – Zamilkł, czekając na jej odpowiedź, a jego marker zawisł nad zapisanym przed chwilą równaniem.

– Tak. Jeżeli „L” będzie równe dwa, to „S” może wynieść nawet pięćdziesiąt procent. Wiesz, tak jak w przypadku randki i wspólnego wyjścia na kolację. Ale jeżeli „L” będzie równe dwadzieścia, to wynik takiego równania okaże się naprawdę niezauważalny.

– Świetnie – powiedział Maxon. – Dobrze, w takim razie przyjmuję twoje argumenty.

A na razie idę do swojego gabinetu, gdzie „L” równa się jeden.

– Maxon, tam, gdzie „L” równa się jeden, nie powinno się w ogóle rozmawiać!

Pozwoliła mu zamknąć się w pokoju, wiedziała jednak, że kiedy zechce z niego wyjść, też będzie musiała mu na to pozwolić. Wszyscy słyszeli, jaki on jest. Może będą to mieli w pamięci, a jego zachowanie wpisze się w odpowiedni kontekst. Gdy nadeszła pora, Sunny po raz ostatni poprawiła perukę, poprosiła gosposię, żeby zwracała szczególną uwagę na listwy podłogowe, a potem pomyślała, że najlepiej by było, gdyby dzisiejszego wieczoru Maxon w ogóle nie wyszedł z gabinetu. Może nikt nie zauważy jego nieobecności, jeśli dom okaże się wystarczająco piękny.

Najlepszym elementem tego wnętrza, ostatnim szlifem, była przeszklona serwantka, w której Sunny umieściła rozmaite bibeloty, takie jak birmańskie naty i koszyk sosnowych szyszek zebranych w lesie przy domu jej matki. Na górnej półce wyeksponowała warte dziesięć tysięcy dolarów pióro Mont Blanc. Pióro jeszcze nigdy nie zostało użyte, więc po prostu leżało tam jako dekoracja, lekko podświetlone i wypełnione atramentem. Znalazła je w katalogu reklamującym niezliczone rekwizyty tego typu: pióra tak drogie, że trzeba je trzymać za szkłem, portfele z jagnięcej skóry i wszystkie te rzeczy, których używają prawdziwi ludzie, dojrzałe rodzice, nie zaś dziwacy, którzy przywędrowali tu z innej planety albo innego kontynentu i do tego postanowili jeszcze mieć dzieci. Sunny spojrzała czule na pióro. Tak, to właśnie ono było jej mężem, eleganckim i idealnym. „Witajcie – mogłaby mówić gościom. – Jestem Sunny Mann, a to mój mąż Maxon”, po czym wskazywałaby ręką na pióro, a wszyscy goście skłanialiby głowę z podziwem i uśmiechali się. Pióro lśniłoby i zawsze wyglądałoby nienagannie. Nie mówiłoby niczego dziwnego ani niewłaściwego, nie strzelałoby głośno palcami i nigdy nie zachowywałoby się nieodpowiednio.

Sunny była w ciąży i dopiero przyzwyczajała się do noszenia peruki oraz do noszenia we

własnym brzuchu istoty ludzkiej, która nieustannie się ruszała, czerpała pokarm z jej krwiobiegu, wstrzymywała oddech i w napięciu czekała, aż wreszcie się stamtąd wynurzy. Sunny naprawdę starała się dopiąć wszystko na ostatni guzik, idealnie przygotować na narodziny tego dziecka. Naprawdę próbowała naprawić wszystko, co było nie tak we wszechświecie, zadośćuczynić za wszystkich nieobecnych ojców, za własną łysą głowę i za zachowania, które teraz, kiedy Maxon został milionerem, ludzie grzecznie określali mianem ekscentryczności.

Jako pierwsi zjawili się Rache i jej mąż Bill, po nich zaś Jenny z mężem Rolandem. Reszta gości przybyła niedługo po nich. Kobiety wręczyły Sunny swoje szale, po czym zaniósły owinięte folią półmiski i talerze do kuchni. Były na nich ciasteczka oraz owoce karamboli, w które zostały wbite kolorowe wykałaczki. Mężczyźni kiwali głowami, uśmiechali się i rozglądali po domu, a potem pograżyli się w niekończących się rozmowach, usadowiwszy się w obitych skórą fotelach. Konwersacja toczyła się tak, jak powinna. Sunny mówiła to, co powinna była mówić, opowiadała o rzeczach, które – zgodnie z tym, czego się spodziewała – wzbudzały podziw jej gości. Zdała sobie sprawę, że przemawia z pełną energią pewnością siebie, jaką odczuwała wcześniej jedynie w sytuacjach, w których nie nosiła peruki. To przyjęcie sprawiło, że naprawdę dobrze się czuła. Miała wrażenie, że pasuje do peruki, że pasuje do tych ludzi, którzy całe swoje życie spędzili z włosami na głowie.

„To nie peruka, to kapelusz. To nie kapelusz, to głowa z włosami. To nie głowa z włosami, to uniform”, myślała. Tymczasem jej usta mówiły coś o ogrodniku, którego wszyscy tak zachwalali. Jej usta się z nimi zgadzały. Czy ona też powinna go zatrudnić? O tak, zadzwoni do niego. W głębi duszy wiedziała jednak, że zatrudni go tylko na chwilę, a potem znajdzie w nim jakąś wadę i postanowi zrezygnować z jego usług. Znajdzie sobie nowego ogrodnika, kogoś, kim wszyscy zaczną się zachwycać. Nie będą chcieli zatrudniać nikogo innego. Za miesiąc jej człowiek będzie już podcinał żywopłoty burmistrza. Sunny nabrała powietrza w płuca. Jej stopy ledwo dotykały kuchennej terakoty. Z gracją opuściła dłoń i naśladując gest Rache, strzepnęła z łniącej krawędzi zlewu niewidzialny pyłek.

Nagle otworzyły się drzwi i z gabinetu wyszedł Maxon. Dopiero teraz zauważyła, że miał na sobie koszulkę Joy Division i jasnoniebieskie spodnie od dresu. Nie – potrząsnęła głową, dając mu dyskretne znaki. Nie możesz się pokazać w takim stroju. Wracaj do gabinetu. Ale Maxon nawet na nią nie spojrział. Trzymał pod ręką dużą tablicę, a w dłoni miał czerwony marker. Wszyscy zamarli i spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Sunny też na niego spojrzała i padł na nią błady strach. Na tablicy zobaczyła labirynt. Nie mogła uwierzyć, że Maxon przyszedł na przyjęcie ze swoim labiryntem.

Sunny wiedziała, że ta postać labiryntu była tak naprawdę obrazem średniowiecznej techniki medytacji – z jedną drogą wejścia i jedną drogą wyjścia. Labirynt nie składa się z niezliczonych ślepych uliczek, tylko z kolejnych zakrętów, nieuchronnie prowadzących w kierunku centralnego punktu. Wiedziała o tym, bo na obecnym etapie ich życia bez przerwy o tym rozmawiali. Nieustannie wymieniali się informacjami na ten temat i nieustannie je rozrysowywali: na serwetkach, na przedniej ścianie zmywarki, na łysej głowie Sunny.

Tak naprawdę to ona pierwsza zainteresowała się tym motywem labiryntu. W czasie studiów zaprojektowała perukę, która tworzyła labirynt ukośnych linii i alejek biegnących nad kośćmi i płaszczyznami jej czaszki. W środku tego labiryntu znajdował się mały owad. Maxon nie potrafił zapomnieć o tej peruce, godzinami oglądał ją na zdjęciach, na jej podstawie tworzył własny labirynt, modyfikował go i porównywał ze słynnym labiryntem, który widział kiedyś w katedrze w Chartres. Miał obsesję na punkcie swojej nowej teorii, zgodnie z którą proces podejmowania decyzji jest pojedynczą linią, nie zaś serią rozgałęzień i rozwidleń ani diagramem sekwencji działań. Wychodząc z tego założenia, starał się nadać strukturę zasadom logiki,

którymi miała się kierować konstruowana przez niego sztuczna inteligencja. Zakładał, że robot nie będzie stawał przed serią wyborów, rozwidlających się możliwości – zamiast tego będzie przeprowadzał rozumowanie, na które miał się składać spójny ciąg myśli, pociągający za sobą konkretne decyzje. W momencie podjęcia każdej decyzji znikająca niewykorzystana opcja wyboru. Po prostu przestawała ona istnieć – a tak naprawdę nigdy nie istniała.

– Jeżeli spojrzysz na to w ten sposób – wyjaśnił jej kiedyś Maxon – to wszystko staje się bardzo proste. Wystarczy ci zaledwie połowa kodu, który pierwotnie brałaś pod uwagę. Ludzie po prostu nie potrafią uciec od starej jak świat idei wyboru „albo-albo”.

– Ludzie w ogóle? Czy programiści? – zapytała Sunny.

– Programiści to też ludzie – odpowiedział Maxon.

Maxon ruszył przez wypełniony gośćmi salon i podszedł do lodówki. Stanął przed nią, przełożył tablicę z labiryntem do drugiej ręki, zatknął marker za prawe ucho, po czym wyjął sobie torebkę zielonego groszku. Sunny zrozumiała, że jej mąż kompletnie zapomniał o przyjęciu. Rozdarł torebkę zębami, położył ją na blacie, po czym zanurzył w niej rękę, ani na chwilę nie odrywając wzroku od tablicy. Jeden z mężczyzn odchrząknął i powiedział:

– Cześć.

Zaskoczenie Maxona absolutnie nie było udawane. Gwałtownie odskoczył, z hukiem upuścił tablicę na podłogę i wzrokiem szaleńca rozejrzał się po salonie, dopiero teraz zauważając gości. Jego oczy zatrzymały się na Sunny. Kręciła głową. Powoli kręciła głową. Pomyślała, że może zanadto go zachęcała. W tej samej chwili Maxon otworzył jednak usta, chcąc w jakiś sposób sprostować wyznaczoną mu rolę.

– Och, CZEŚĆ! – powiedział nienaturalnie głośno. – WITAJCIE WSZYSCY.

Podniósł tablicę z podłogi i zakrztusił się groszkiem. Kiedy się odwrócił, Sunny dostrzegła w jego uchu słuchawkę Bluetooth.

– Maxon, wyłącz ją – powiedziała Sunny, dając mu znak, żeby wyjął słuchawkę z ucha. Wyrwał ją gwałtownie, tak jakby była skorpionem, który właśnie zamierzał go ukąsić, po czym szybko odrzucił urządzenie na blat. Wszyscy wrócili do przerwanych tym dziwnym zdarzeniem rozmów, a Maxon podszedł do Sunny i wyciągnął rękę w jej stronę, żeby objąć ją w pasie. Zobaczyła tę zbliżającą się rękę, umazaną czerwonym markerem, i zrozumiała, że odkąd zamknął się po lunchu w swoim gabinecie, musiał narysować labirynt przynajmniej pięćdziesiąt razy. Wiedziała, że tusz z czerwonego markera popłami śliczną kurteczkę z lekko podwiniętymi rękawami i zamkiem błyskawicznym kołyszącym się młodzieńczo nad jej ciężowym brzuchem. Mocno chwyciła Maxona za łokieć, przyciągnęła go do siebie i poklepała po -plecach.

– Świetnie, naprawdę świetnie idzie – zapewnił ją ścisłym głosem. – Idzie naprawdę świetnie. – Spojrzał na labirynt z wyraźną irytacją i raz jeszcze go prześledził pokrytym czerwonym tuszem palcem.

– To wspaniale, kochanie – odpowiedziała po cichu. – Wrócisz teraz do gabinetu? Możesz wziąć sobie jakieś jedzenie.

Ale Maxon zdążył już tymczasem zauważyć serwantkę, w której Sunny wyeksponowała bibeloty. Ze zdziwieniem wpatrywał się w pióro Mont Blanc.

– Co to? – zapytał.

– Och, to serwantka – wyjaśniła Sunny. Machnęła ręką bez szczególnego entuzjazmu i przewróciła oczyma, rzucając porozumiewawcze spojrzenia swoim nowym sąsiadom, tak jakby chciała powiedzieć: „No cóż, owszem, on jest dziwny. Ale to prawdziwy geniusz, więc cóż można poradzić?”.

– Nie – odparł Maxon, kładąc rękę na serwantce. – Pytałem o to pióro. Co ono tu robi?

– Ach, pióro – powiedziała Sunny. Krople potu zaczęły zbierać się na czubku jej głowy

i miała wrażenie, że peruka zaraz się ześlizgnie. Czowała się przytłoczona, słaba, tak jakby jej dziecko zmieniło się nagle w balon, tak jakby jej peruka była z cementu, tak jakby ona sama mogła w każdej chwili wypaść przez balustradę i poszybować w dół, prosto w przepaść.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy zamarli.

– Dlaczego pióro leży w serwantce? – zapytał Maxon. – To po prostu dziwaczne.

– Nie, to... – zaczęła Sunny. – W katalogu...

– To rzeczywiście dość dziwne – wtrącił się uprzejmie Roland, wstając, żeby przyjrzeć się serwantce. – Chyba że... pióro należało do twojego dziadka albo kogoś bliskiego?

Sunny natychmiast zrozumiała, że pióro rzeczywiście nie powinno znaleźć się w serwantce, nawet jeśli w ten sposób przedstawiono je w katalogu. Wcześniej nawet nie przyszło jej to do głowy. Wpatrywał się w nią Maxon, wpatrywali się w nią sąsiedzi, a ich jasne włosy spływały kaskadami z porów na ich głowach.

– Te szyszki pochodzą z lasów otaczających miejsce, w którym się wychowałam – powiedziała Sunny wesołym tonem. – A to nat – mówiła dalej, wskazując małą figurkę ze skrzyżowanymi nogami i spiczastym kapeluszem. – Ten nat pochodzi z Birmy. Tam się urodziłam. To opiekuńcze leśne bóstwo...

– Z Birmy? – zapytała Rache.

– Tak, z Birmy, chociaż teraz kraj nosi nazwę Mjanma. Tam właśnie się urodziłam. I tam zginął mój ojciec.

– Ojej, bardzo mi przykro – powiedziała Rache, kładąc rękę na ślicznej kurteczce Sunny. Jej dłoń, podobnie jak dłonie wszystkich pozostałych gości, pokrywał delikatny meszek, małe, jasne włoski. Dłoń Sunny była inna, ale nikt tego nie widział. Chcieli się tylko dowiedzieć, jak zginął jej ojciec.

– Był misjonarzem – mówiła dalej Sunny. – Pracował w Birmie, zbudował tam kościół i krzewił chrześcijaństwo. Ale za rządów komunistów taka działalność była zabroniona, więc został aresztowany. Niestety.

Za bardzo się pospieszyła. Nie budowała odpowiednio napięcia, przez co zepsuła cały efekt. Ale Maxon zdążył tymczasem wyjąć pióro zza szkła i zaczął obracać je w dłoni, usiłując napisać coś sobie na nadgarstku. Nie słuchał jej. Może myślał, że już tę opowieść słyszał. Czowała się tak, jakby nagle ją zdemaskował, jakby bielizna wystawała jej ze spodni, jakby wiatr zmiótł nagle dach znad jej głowy, jakby użyła przekleństwa w kościele.

– I trafił do więzienia – dodała. – Do więzienia.

– O rany, więzienie za granicą – rzekła Rache. – To brzmi naprawdę okropnie. I zmarł w tym więzieniu?

– No cóż – odpowiedziała Sunny – udało mu się uciec.

– Naprawdę? – zapytał Bill swoim donośnym głosem. – W jaki sposób?

– To więzienie nie było zbyt dokładnie strzeżone – wyjaśniła Sunny. Cieszyła się, że odwróciła ich uwagę, że przestali przynajmniej rozmawiać o piórze. Kto, na Boga, wydaje tyle pieniędzy na coś, co nazywa się przyborem do pisania? – Więzili go w Rangunie. W starym, niszczącym brytyjskim forcie. Udało mu się uciec dzięki temu, że kiedy strażnik zatrząskiwiał jego celę, wsunął rękaw pomiędzy drzwi a ścianę. Później, kiedy tylko nadarzyła się okazja, zdołał je otworzyć, bo zamek był zepsuty. Wydostał się z celi i... no wiecie, zaczął się przekradać pogrążonymi w mroku korytarzami i tak dalej. Ale oczywiście kiedy już znalazł się na zewnątrz, wcale nie był bezpieczny. Musiał dotrzeć do dżungli. Było ciemno. Czołgał się z twarzą przy ziemi tak długo, aż poczuł gęstą, głęboką ciemność birmańskiej dżungli. I wtedy wiedział już, że jest bezpieczny.

Teraz już wszyscy słuchali jej w napięciu. Wszystkie oczy skupione były na Sunny.

– Wstał i zaczął biec przez dżunglę, pijany wolnością. Tak jakby kompletnie go nie obchodziło, co robi i dokąd zmierza. Ale nie zdawał sobie sprawy, że dotarł na skraj wąwozu. Było tak ciemno, że po prostu runął w dół. I złamał nogę. Było jasne, że nie zdoła samodzielnie wspiąć się na górę. Postanowił poczekać do rana i nasłuchiwać, w nadziei, że spotka choćby drwali jadących po drewno tekowe albo jakiegoś rybaka, który będzie szedł akurat łowić ryby w rzece.

Wyglądało na to, że Maxon zamierza wrócić do gabinetu. Sunny podniosła głos, a on się zatrzymał.

– Liczył na to, że spotka jakieś dziecko i poprosi je o pomoc. Wiedział, że nie zdoła samodzielnie wydostać się z tej szczeliny w skałach. Ale bał się, że jeśli zacznie krzyczeć i wzywać pomocy, przyciągnie żołnierzy. Uznał, że jeżeli będzie zachowywał się cicho, strażnicy nie zorientują się nawet, że uciekł, i nie zainicjują go szukać. Zastanawiał się jednak, czy aby na pewno przetrwa noc w wąwozie, czy nie zaatakują go dzikie zwierzęta, owady... W birmańskiej dżungli czai się wiele niebezpieczeństw, a jeśli nie jest się na nie przygotowanym, można wpaść w prawdziwe tarapaty.

– A co z jego nogą? – zapytała Jenny płaczliwym tonem, po czym zjadła kawałek precla z migdałami.

– Jego noga była w bardzo złym stanie. Kompletnie się wykrzywiła pod ciężarem jego ciała – odpowiedziała Sunny. Maxon oparł się o blat, a na jego twarzy malowało się głębokie skupienie, wskazujące na to, że usłyszał coś, co go zaintrygowało. – Ledwo powstrzymywał się od krzyku. Próbował zachować spokój i skupić się na czymś innym, ale stopniowo tracił świadomość. Myślę, że musiał doznać szoku. Zdaje się, że zemdlął.

Jenny pokiwała głową i w roztargnieniu odłożyła resztę precla na półmisek.

– Jak się okazało, żołnierze zjawili się jeszcze tej samej nocy. Przyszli z latarkami, a on widział przez zamknięte powieki snop światła poruszający się w tę i w tą, w górę i w dół. Mimo bólu i szoku odzyskał nagle zmysły i kiedy zobaczył światło, zawołał w kierunku, z którego dochodziło. To był odruch, taki sam jak w sytuacji, kiedy przeklinamy, gdy zranimy się w dłoń stalówką do pióra wiecznego. Żołnierze go usłyszeli, oświetlili latarką rozpadlinę, w której się ukrył, i znaleźli go.

– O cholera – rzucił Bill pod nosem.

– Wołał ich, nawet kiedy wiedział już, że są żołnierzami, i kiedy zrozumiał, co się stało. Miał nadzieję, że zabiorą go z powrotem do więzienia i nawet jeśli zamordują go podczas egzekucji, to przynajmniej dzięki nim wydostanie się z tej przeklętej rozpadliny i uwolni złamaną nogę, która bolała go tak, jakby została wyrwana z biodra. Ale oni zaczęli nad czymś dyskutować. Mówili po chińsku i mój ojciec niczego nie rozumiał. Co jakiś czas świecili w jego stronę latarką. Widzieli go, widzieli jego złamaną i kompletnie wykrzywioną nogę. I nagle odeszli. Nie odezwali się do niego ani słowem, nie dali mu żadnego znaku, po prostu odeszli i go tam zostawili. Nie zrobili nic, żeby go uratować. Postanowili pozwolić mu umrzeć, skazali go na pewną śmierć.

Maxon oparł ręce na blacie, zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili podniósł wzrok.

– *Wow* – powiedział.

– Zmarł właśnie w tamtej rozpadlinie, zupełnie sam. Leżąc na złamanej nodze.

– Wracam do swojego gabinetu – oznajmił Maxon. – Życzę wszystkim udanego wieczoru. Odłóżmy tylko pióro na miejsce. Tym piórem wujek Chuck podpisał Wielką Kartę Swobód.

Od tamtego wieczoru minęły trzy lata. Było późno, a Maxon położył się już do łóżka.

Sunny siedziała w garderobie pośród swoich peruk. Zapisywała coś w dzienniku choroby Bubbera. Na długiej, niskiej półce, która zajmowała całą szerokość ściany, stały milczące, czarne głowy ze szkła. Kupiła je w sklepie Pier 1 w latach dziewięćdziesiątych, kiedy jeszcze studiowała i kiedy zaczęła projektować peruki. Były dość tandetne, ale mimo to po prostu je uwielbiała. Wydawały jej się nieprzeniknione i spokojne. Były zagadkowe i pozbawione włosów. Patrzyła na nie i myślała: „Przez całe życie byłam taka szczęśliwa, taka normalna i beztraska. Mówiłam sobie: Hurra, wszystko jest takie świetne i radosne. Nie mam przecież żadnych problemów. Nie jestem łysa. Mój ojciec nie został zabity przez komunistów. Nie dzieje się w moim życiu nic dziwnego. Nigdy niczego podobnego nie czułam. Ale to, ta czarna głowa, to właśnie znaczy być łysym. To właśnie znaczy nie żyć. To właśnie znaczy być mną”. Medytowała tak, wpatrując się w swoje głowy, w tamtych burzliwych latach, zanim jeszcze poznała Maxona. Potem głowy stały się po prostu zabawne. A potem zmieniły się w duchy.

Miała ich dziesięć i wszystkie zabierała ze sobą najpierw do college’u, potem do Chicago, a wreszcie do Wirginii. Wozila je ze sobą wszędzie, choć pakowanie ich i transportowanie było potwornie męczące. Na pewnym etapie życia nazywała je wręcz swoimi muzami. Nie były zwykłymi stojakami na peruki. Ale niezależnie od tego, co do niej kiedyś mówiły i o czym z nią rozmawiały, teraz zachowywały absolutne milczenie. Odwróciła je nawet twarzami do ściany. Nie zdawała sobie sprawy, że potrzebuje garderoby, dopóki nie została jej właścicielką – wtedy zaś ta przestrzeń stała się jej budką telefoniczną, kryjówką, miejscem, w którym mogła zniknąć w chmurze dymu. Wchodziła do środka łysa, wychodziła idealna. Jedną ścianę garderoby wypełniały szafy – poszczególne jej części przeznaczone były na buty, sukienki i starannie ułożone bluzki – a przy drugiej ścianie, oświetlonej wpuszczonymi w sufit reflektorami, Sunny umieściła swój bank peruk. Mogła stąd w każdej chwili wyjść, mogła zamknąć za sobą drzwi, zaprosić koleżanki do sypialni i pokazać im nowy wentylator nad łóżkiem, a one nigdy by się nie domyśliły, że po drugiej stronie tej niewidzialnej bariery stało w milczeniu dziesięć czarnych głów w dziesięciu różnych perukach.

Właśnie tutaj przychodziła pod koniec każdego dnia, żeby prowadzić dziennik choroby Bubbera. Właśnie tutaj, w małych szufladkach pod blatem z perukami, przechowywała wszystkie swoje tajemnice, wszystkie swoje skarby. Także i tym razem usiadła na nieco spłowiałym szezlonku, żeby zapisać, w jaki sposób Bubber spędził dzień. Lekarzowi chłopca zależało na tego typu notatkach. Musieli ustalić, jak wpływają na niego poszczególne leki. A Sunny miała obowiązek to wszystko na bieżąco spisywać.

„Dzisiaj – zanotowała – Bubber poświęcił cały dzień na pisanie. Jadł wyłącznie krakersy ostrygowe. Nie nawiązywał kontaktu wzrokowego. Świadomie przytulił tylko psa”. Co w przypadku dwulatka oznacza poświęcenie całego dnia na pisanie? Otóż Bubber stawał w pidżamie przed tablicą, po czym pokrywał ją różnymi literami. Aa, Bb, Cc, Dd, Ee, Ff, Gg... i tak w nieskończoność. Kiedy na tablicy brakowało już miejsca, wycierał ją i zaczynał wszystko od nowa. Potrafił spędzać w ten sposób długie godziny. Jeśli Sunny dawała mu ryzę papieru, to zapisywał ją całą. Pierwsza kartka: Aa AT. Druga kartka: Bb BAT. Trzecia kartka: Cc CAT. I tak bez końca. Zużywał kolejne markery. Zapelniał papierami pokój. Wykańczał się. Budził się o pierwszej w nocy i zaczynał czytać na głos książki, choć był sam w pokoju. Często zasypiał dopiero o czwartej nad ranem. Wypowiadał na głos nazwy liter, recytował, czytał – jakkolwiek to nazwać, istniał dla niego tylko *Elementarz*. Czytał tę książkę do czasu, aż kompletnie się rozpadła. Bubber był wtedy tak mały, że ledwo wymawiał poszczególne słowa, ale potrafił ją czytać dziesiątki razy i w ogóle się nie męczył. Mieli jeden egzemplarz na górze, drugi na dole. Tak właśnie było. Właśnie tym się zajmował, kiedy już opanował sztukę układania klocków.

Sunny nie do końca wiedziała, jak opisać ich codzienność. Nie potrafiła wytłumaczyć wszystkiego lekarzom, wprowadzić ich w życie Bubbera i pokazać, jak ono naprawdę wyglądało. Musieliby zobaczyć to na własne oczy – a przecież nie mogli. Nie umiała im tego dokładnie opowiedzieć. To wszystko było zbyt przygnębiające. Odłożyła notes i wstała. Podeszła do szufladki pod blatem, na którym stały peruki, i wyciągnęła z niej ulotkę, którą kiedyś znalazła. Napisano na niej: „Wyłysiałeś? Nie pozwól, żeby to trwało choćby jeden dzień dłużej! Pozbędziesz się łysiny dzięki Leczniczej Orchidei – specjalnej formule opracowanej przez doktora Chandrasekhara!”. Z przodu znajdował się portret pięknej kobiety o długich, gęstych włosach przystrojonych wiankiem. Z tyłu umieszczono adres oraz wszystkie niezbędne informacje. Sunny zaniósła ulotkę do pogrążonej w ciemności sypialni i zatrzasnęła drzwi garderoby.

– Obudź się, Maxon – powiedziała.

– Cześć – odpowiedział zasnany głosem, a po chwili dodał: – Co się dzieje?

Nie spojrzał na nią, nawet nie drgnął. Leżał odwrócony plecami, ukryty głęboko pod kołdrą i ścisnął jedną ręką wezłowie łóżka. Właśnie w takiej pozycji zwykle sypiał. Tak jakby wolał się czegoś trzymać, tak jakby się bał, że utonie w materacu. Sunny zapaliła górne światło.

– Zamierzam wypróbować ten środek na łysienie – oznajmiła.

– W porządku – odpowiedział. – To dość głupie. Ale sama o tym wiesz.

Przewrócił się na drugi bok. Teraz obie jego ręce leżały na kołdrze i mocno przyciskały ją do jego ciała.

– No... nie – zaprzeczyła Sunny. – Naprawdę zamierzam to zrobić.

– Wiesz co, od teraz przechodzimy na system binarny. Jeden to „dobrze”, zero to „źle”. Uniósł palec, żeby zademonstrować „dobrze”, po czym złożył pięść w zero, „źle”.

– To niesprawiedliwe, zawsze stosujesz ten system.

– Tak, ale teraz masz dodatkowe wskazówki wizualne.

– Maxon, zamknij się. Obudź się. Zamierzam kupić ten środek na łysienie.

Maxon pokazał ręką zero, nie otwierając nawet oczu.

– Pieprz się. Nie wiesz, jak to jest. Dlaczego nie miałabym spróbować tego zmienić?

– To nic nie da. To zwykle oszustwo.

– Nawet na to nie spojrzałeś.

Maxon usiadł na łóżku, mrugając. Po chwili wyciągnął rękę i zaczął studiować ulotkę, którą mu podała.

– Chandrasekhar. Znam to nazwisko.

– Och, to pewnie dlatego, że już ci o nim kiedyś wspominałam. Chciałam wypróbować ten środek wiele lat temu. Matka mi wtedy zabroniła.

– Nie, ja naprawdę poznałem tego faceta. To jakiś biochemik zajmujący się voodoo i innymi bzdurami.

– Gdzie go poznałeś? – Sunny z wrażenia usiadła na łóżku obok Maxona.

– Ach, poznałem go w domu twojej matki, kiedy wyjechałaś na studia.

– CO?! – wrzasnęła Sunny. – Poznałeś tego Chandrasekhara w domu mojej matki?

Maxon, to jakieś szaleństwo. O czym ty mówisz?

– On tam był, no i oni... wiesz, wydaje mi się, że mogli się całować albo obściskować, albo robić coś w tym stylu.

Maxon oddał jej ulotkę, położył się, przykrył kołdrą i jakby nigdy nic znowu odwrócił się do niej plecami.

– O nie, nie ma mowy – oznajmiła Sunny. – Wstawaj. Wstawaj. Natychmiast wstawaj.

Nie, nie, chcesz powiedzieć, że moją matkę odwiedził jakiś mężczyzna i że oni się całowali? I to

był ten specjalista od łysienia? Nie zamierzałeś mi o tym powiedzieć? Czy naprawdę muszę pytać cię o każdą hipotetycznie możliwą sytuację, żeby mieć pewność, że nie zapomnisz mi powiedzieć czegoś tak ważnego? Maxon, o czym ty w ogóle mówisz? Opowiedz mi wszystko dokładnie. Natychmiast.

Maxon westchnął, ale się nie odwrócił.

– Poszedłem ją odwiedzić. Wszedłem bez pukania. W kuchni stał jakiś mężczyzna. Obejmował twoją matkę, a ona mocno się zarumieniła. Zapytałem o bojler, z którym miała problemy. Powiedziała, że wszystko już z nim w porządku. On przedstawił się jako doktor Chandrasekhar, biochemik z Birmy, znajomy twojego ojca. Byli przyjaciółmi.

Współpracownikami. A potem twoja matka poprosiła, żebym już wyszedł, więc wyszedłem.

– Maxon, czy oni się całowali?

– Najprawdopodobniej.

– Moja matka całująca się z jakimś szamanem z Birmy? Trudno mi w to uwierzyć – powiedziała Sunny sama do siebie. – Chyba że...

Nie wypowiedziała tego na głos, ale wszystkie elementy tej układanki zaczęły nagle do siebie pasować. Zawsze myślała – nie, zawsze wiedziała – że doktor Chandrasekhar był tak naprawdę jej ukrywającym się ojcem. Teraz miała już co do tego pewność. Leczenie łysienia, a teraz jeszcze ta wizyta u jej matki w Pensylwanii... To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Czy to możliwe, żeby ten mężczyzna naprawdę okazał się tylko współpracownikiem jej ojca? Dlaczego w takim razie zainteresował się łysieniem, skoro to jej ojciec miał na tym punkcie obsesję? Schowała ulotkę do szuflady i zgasiła światło. Nie będzie mogła zapytać o to matki, nie będzie mogła sprawdzić tego tropu. Nie odwiedzi doktora Chandrasekhara i nie skonfrontuje się z nim w tej sprawie. Nie uściśnie mu dłoni. Nie spojrzy mu prosto w oczy i nie powie: „Tatusiu? Tatusiu? To naprawdę ty? Dlaczego nas porzuciłeś?”. –Będzie po prostu w nieskończoność o tym rozmyślała i przetwarzała to w swojej głowie. Jej ojciec, który odwiedza jej matkę. Ulotka reklamująca środek na łysienie, czyli adresowany do niej list miłosny. Zamierzała starannie ją przechowywać, w żaden sposób się nią nie zajmować. Ulotka zostanie dołączona do opowieści, do jednego z jej licznych odgałęzień. Ten schemat nie był labiryntem. Składało się na niego wiele alternatyw – a każda z nich równie prawdziwa. To odkrycie dodało jej energii. Czuła się tak, jakby z drzewa wyrosła niespodziewanie nowa gałąź, która przecięła niebo, pokryła się liśćmi i wystrzeliła w górę, drżąca i świeża.

– Może jednak nie zastosuję tego środka z orchidei – powiedziała do Maxona, gasząc światło. Po chwili podeszła do łóżka i dodała: – Chciałbyś spróbować poprawić mi samopoczucie, kochanie? – Weszła pod kołdrę i zobaczyła, że Maxon podniósł jeden palec: „dobrze”.

Maxon potrafił wskazać tylko kilka ważnych wydarzeń, do których doszło pomiędzy momentem jego narodzin a chwilą, w której ożenił się z Sunny. W swoim umyśle porządkował je kolejno od potwornie ważnych aż po względnie istotne. Były one w jego życiu jak koraliki na łańcuszku. W jego wspomnieniach tylko te chwile wymagały od niego prawdziwych rozmów z innymi ludźmi.

Pierwsza taka chwila rozpoczęła się o piętnastej czterdzieści pięć, 4 lipca 1987 roku. Temperatura w oborze wynosiła dwadzieścia stopni. Nad szczytami gór unosiła się mgła, gęstniejąca nad doliną. Chłopiec znajdował się sto trzydzieści kilometrów na północ od Pittsburgha i sto trzydzieści kilometrów na południe od Erie, pomiędzy dwoma pogórzami Apalachów. Słabe letnie słońce przebijało się zza chmur, ale nie ogrzewało chłopca. O trzynastej trzydzieści pięć spadł lekki deszcz. Chłopiec opuścił stopę na dolnej części rozciętego ogrodzenia z drutu kolczastego i docisnął ją do ziemi, po czym chwycił ręką górną warstwę. Rozsunął obie części siatki, torując sobie wprawnie drogę, po czym przeslizgnął się pomiędzy nimi i opuścił teren gospodarstwa swojego ojca. Kiedy tylko udało mu się wydostać, pomknął przed siebie bez chwili zwłoki. Zaczął zbiegać po zboczu doliny. Pięćdziesiąt kroków w dół, wyciągnięte ręce, żeby utrzymać równowagę, pięćdziesiąt kolejnych kroków, bose stopy ślizgające się na liściach i sosnowym igliwiu. Paprocie chłostały jego odsłonięte nogi.

Zatrzymał się przy strumieniu na dnie doliny. Jego żebra rozszerzały się i zaciskały wokół zdyszanych płuc i szybko bijącego serca. Wszedł do strumyka, zanurzył się w nim po kostki, opuścił rękę i nabrał wody, którą następnie przyłożył sobie do ust, jak myśliwy, skupiając wzrok na piaszczystym brzegu. Zauważył ślady szopa pracza, jelenia, a także pokrywające całe to miejsce ślady człowieka, dorosłego człowieka w solidnych butach. Zobaczył też samotny, delikatny ślad na samym brzegu strumyka, tam gdzie piasek przekształcał się w błoto. Ślad był mały – należał niewątpliwie do dziecka. Chłopiec pozwolił, by woda wylała się pomiędzy jego palców. Wrócił na brzeg, z którego przyszedł, po czym podszedł do pobliskiego pniaka. Wyciągnął dłoń i podniósł płaski kamień, który zasłaniał otwór w pniu. Zanurzył rękę aż po pachę, odepchnął na bok szkielet pręgowca, kilka kamieni i kawałków drewna o dziwnych kształtach oraz plik banknotów – i wyciągnął torebkę z woskowanego papieru. W środku znajdowały się cukierki. Bardzo stare cukierki. Wyjął lepką miętówkę i włożył ją do kieszeni szortów.

Wrócił do śladu, który przed chwilą znalazł, i zaczął go badać tak dokładnie, że jego nos zawisł zaledwie o jeden oddech od wgłębień palców, podobnych do małych groszków. Przyłożył do śladu własną, brudną stopę, tak jakby chciał porównać ich kształty. Nie naruszył jednak ani jednego ziarnka piasku w tym cennym znalezisku. Zamiast tego dotknął swoich długich włosów, przygładził je, przeczesał. Potarł twarz wierzchem dłoni, lekko ją zwilżył, a następnie skrajem podartego podkoszulka wytarł sobie policzki. Spojrzał na swoje odbicie w strumieniu i uśmiechnął się triumfalnie. Nagle przybrał groźną, dziką i gniewną minę, po czym warknął na wodę. Po chwili jego twarz była znowu pozbawiona wyrazu, obojętna. Wreszcie zmarszczył brwi, wstał i zaczął wspinać się na przeciwległe zbocze.

Chłopiec zatrzymał się w wysokich chwastach po drugiej stronie drogi, przy starej farmie. Przykucnął i czekał w kępie tojeści, przygarbiony i czujny. Stara farma nie była już opuszczona. Patrząc na nią, wiedział, że nie będzie już mógł wchodzić do środka przez okno i spać tam, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Podjazd wysypano świeżym żwirem. Wstawiono nowe okna

ze śnieżnobiałymi ramami. Dzień wcześniej słyszał tu silnik samochodu i uderzenia młotka. W pierwszej chwili pomyślał, że na farmie grasuje złodziej, który łupi rozpadający się dom i który postanowił za pomocą łomu dobrać się do spróchniałych kasztanowych desek. Maxon wiedział, że te deski mogą być coś warte, bo słyszał, jak rozmawiali o tym jego ojciec i bracia.

Był zły na tych intruzów. Samodzielnie odcyfrował każdą książkę w tym starym domu, wypowiedział na głos każde słowo, jedno po drugim. Rozszyfrowywał je przy świetle żółtych świeczek, które znalazł pod kuchennym blatem. Jedna z książek składała się wyłącznie z liter, strzałek i liczb. Znalazł też oprawione w skórę tomy, na których grzbiecie widniało słowo „Dickens”. Piętnaście tomów o grubości od pięciu do dziewięciu centymetrów. Jak to się stało, że jakiś włóczęga śmiało rozbierał ten dom? Na podjeździe stało kombi, a przed domem ktoś kołysał się na huśtawce w przód i w tył, w przód i w tył.

Chłopiec ukrył się pośród chwastów, lekko rozchylając je dłońmi, po czym spojrzał na drugą stronę drogi gruntowej. Zobaczył osobę, która zostawiła pojedynczy ślad przy strumyku. To było dziecko. Dziecko siedziało na porozcinanej oponie, zawieszanej za pomocą sznura na drzewie, i kołysało się w tył i w przód, w tył i w przód. Opona przez cały czas wirowała, więc w pewnej chwili dziecko znalazło się nagle dokładnie naprzeciw niego i zauważyło go. Po chwili jednak opona pomknęła dalej i zanim dziecko zrobiło kolejny obrót, chłopiec zdążył przebiec przez drogę i stanąć na znajdującej się u podnóża podjazdu podstawce służącej do wsiadania na konia. Dziecko na huśtawce wysunęło nogę i zatrzymało huśtawkę. Spojrzało na chłopca wielkimi oczyma. Nie mogło oderwać od niego wzroku.

– Kim jesteś? Chłopcem? – zapytało dziecko.

– Jestem Maxon – odpowiedział chłopiec. Stał tam, sztywny i wyprostowany, ze złączonymi kolanami i stopami wbitymi mocno w porośnięty mchem, prostokątny blok z kamienia.

– Jestem Sunny – powiedziało dziecko. – Jestem dziewczynką. Chcesz się pohuścić?

Odkąd Maxon sięgał pamięcią, dom stojący na tej farmie był pusty. Odkrył go już jako bardzo małe dziecko, wędrując po tutejszych lasach. Teraz doskonale znał całą okolicę. Teraz było to jedno z miejsc, w których sypiał. Miał też inne tego typu kryjówki, takie jak trójkątna chata, która stała sto sześćdziesiąt osiem drzew dalej wzdłuż linii elektrycznej, czy domek ukryty w koronach drzew, w pobliżu torów kolejowych. Niektórzy ludzie go karmili – w tym jego rodzina, choć nie tylko ona. Na przykład pewna kobieta z przyczepy, która myślała, że Maxon jest niemy, bo nigdy z nią nie rozmawiał. Trzymał się z daleka od domów pomalowanych białą farbą, domów o prostych kątach. W ciągu roku szkolnego jeździł do szkoły autobusem tak często, jak tylko mógł. Miał siedem lat, cztery miesiące i osiemnaście dni. Miał dwa tysiące sześćset dziewięćdziesiąt trzy obroty Ziemi.

W tamtym momencie Maxon wspiął się na oponę, którą Sunny mocno rozbijała – i zaczął się z bawić z dziewczynką. Śmiali się w najlepsze, kiedy otworzyły się drzwi domu i w ich kierunku ruszyła druga osoba. Maxon nigdy nie widział, by ktoś otworzył którekolwiek drzwi tego domu. Wyobrażał sobie do tej pory, że stary dom jest twierdzą nie do zdobycia, że dostęp do niego mają jedynie wiewiórki. Kobieta, która do nich podeszła, była wysoka i nosiła długą spódnicę. Długie jasne włosy zaplotła w warkocze jak mała dziewczynka.

– Sunny, kto to jest? – zapytała kobieta.

– To Maxon – odpowiedziała Sunny, nie przestając ssać miętówki. – Zostanie na obiad. Maxon, to moja mama.

Zza pleców jej matki wyłoniła się druga kobieta, kobieta o brązowej skórze. Maxon nigdy nie widział osoby o takim kolorze skóry. Była niska, trzymała w ręce młotek i miała ramiona pokryte pyłem.

– Nu, nakryj dla jeszcze jednej osoby – poprosiła matka. – Zje z nami przyjaciel Sunny. Podczas obiadu Maxon siedział naprzeciwko Sunny, obok jej matki i kobiety o brązowej skórze. Sunny kazała mu zjeść mnóstwo warzyw, na które sama najwyraźniej nie miała ochoty. Maxon pochłonął całe ich garście i oznajmił z zadowoleniem:

– Lubię cukinię. Rośnie u nas dziko na podwórku. Nasiona cukinii, którą uprawiam na naszym podwórku, pochodzą od czterech pokoleń cukinii, które rosły tam wcześniej. Jadam je też na surowo. Dokładnie tak jak banany, tylko że nie obieram ich ze skórki.

Kiedy to powiedział, Sunny przyłożyła dłonie do uszu, udając, że są to odwrócone filiżanki. Kobieta o brązowej skórze spojrzała na niego spod przymrużonych powiek, a matka dziewczynki pokiwała tylko głową.

Emma zaproponowała mu kąpiel, on jednak odmówił. Pozwolił jej jednak uczesać sobie włosy i opatulić się kocem. Matka co chwilę wychodziła z pokoju, po czym wracała, podtrzymując swoją długą spódnicę. Od czasu do czasu marszczyła brwi. Salon został wypełniony meblami ogrodowymi – Maxon natychmiast zauważył, że są one wodoodporne. Wcześniej w salonie stał samotny fotel, w którym żyły myszy, oraz kanapa obita czerwonym sztruksem. Teraz na bujanej sofie, umocowanej na metalowych prętach, siedziało dwoje dzieci. Można się było na niej kołysać w przód i w tył albo na boki. Stopy Maxona dotykały podłogi, a Sunny usiadła z podwinętymi nogami.

– On umiera z głodu! – zawołała z kuchni kobieta o brązowej skórze, postukując naczyniami w zlewie. – Spójrz tylko na niego! Chudy jak patyk!

– Gdzie mieszkasz? – zapytała matka Sunny.

Maxon wskazał okno.

– Chodź – zaproponowała Sunny. – Pobawimy się.

Wyciągnęła dłoń w jego stronę i Maxon wziął ją za rękę. Wyszli na dwór, podeszli do jabłunki i zaczęli zbierać jabłka. Chociaż był środek lata, część owoców zaczynała już spadać z drzewa – drobne, żalosne małe owoce, obgryzane przez sarny i lekko zaróżowione tylko po jednej stronie. Maxon przypuszczał, że Sunny nigdy nie zjadłaby tych jabłek, tak jak jemu samemu zdarzało się to robić.

Podczas zabawy dłoń Sunny opadała od czasu do czasu na rękę albo ramię Maxona, tak jakby dziewczynka chciała sprawdzić, czy jej towarzysz jest ciepły.

– Gdzie mieszkasz? – zapytała Sunny. – Zabierzesz mnie tam?

Maxon potrząsnął głową i cisnął jedno z jabłek w kierunku okna starej obory. Trafił idealnie. Szyba pękła, a kawałki szkła wpadły do wnętrza budynku. Kolejne jabłko umieścił dokładnie w tym samym otworze. Sunny uważnie mu się przyglądała. Sama też próbowała rzucić jabłkiem, ale wyszło jej to zdecydowanie gorzej.

Zaalarmowana dźwiękiem tłuczonego szkła matka Sunny raz jeszcze wyszła przed dom. Drzwi z moskitierą zatrasnęły się za nią z hukiem, który było zapewne słychać na przeciwległych zboczach zalanej mgłą doliny.

– Maxon, odwiezę cię do domu – powiedziała. – Pokażesz mi, gdzie mieszkasz?

Maxon rozważał przez chwilę ucieczkę, ale coś w tej wysokiej kobiecie z włosami zaplecionymi w dwa warkocze przekonało go, żeby został. To ona stała się teraz właścicielką wszystkich książek i wszystkich świeczek. W jej twarzy była jakaś wyjątkowa, pełna napięcia gładkość. Maxon nie mógł też oderwać wzroku od jej śnieżnobiałych, równych zębów. Wsiedli do zaparkowanego przed domem kombi. Sunny stała przy drzwiach samochodu i smutno do niego machała. Maxon spojrzał na jej stopy, które nie odciskały się delikatnie na piasku i które były teraz ukryte w skórzanych butach mocno przewiązanych wokół jej nóg białymi tasiemkami. Samochód ruszył po podjeździe, a wysypany niedawno żwir zachrzęścił pod kołami.

To, co działo się później, nie miało żadnego znaczenia. Maxon nie pamiętał tego, bo nie było warto tego pamiętać.

Po jakimś czasie kombi wjechało ponownie na podjazd, a żwir raz jeszcze zachrząścił pod kołami. Matka Sunny wzięła go za rękę, zaprowadziła do kuchni i dała mu banana. Poprosiła, żeby usiadł na czerwonej kanapie ustawionej przy stole. Myszy wgryzły się w nią tak głęboko, że na wierzch wyszła pianka, która wypełniała jej wnętrze. Maxon obrał banana i zaczął go jeść.

Matka zwróciła się do kobiety o brązowej skórze:

– No cóż, nikogo nie zastałam. Nie uwierzysz. Są tam stare, zardzewiałe samochody, w których żyją owce. Naprawdę. I -świnie.

– To niemożliwe – odparła kobieta.

– Nu, to miejsce po prostu się rozpada. To kompletna ruina i nikogo tam nie było. Wołałam, krzyczałam, dzwoniłam do drzwi... I wiesz, co powiedziało mi to dziecko? Ten siedmio- czy ośmioletni chłopiec?

– Co powiedział? – zapytała Nu, sprząając naczynia.

– Powiedział, że pojechali do miasta. Potrafisz w to uwierzyć? Jest niewiele większy od Sunny, a oni zostawili go na deszczu w tych... – Odkaslnęła. – Szortach. I po prostu pojechali do miasta. Nu, że też nie widziałas tego miejsca na własne oczy. Wydaje mi się, że w salonie stał osioł.

Godzinę później poszli oglądać razem fajerwerki. Maxon, okryty kocem, biegał wokół Sunny i jej matki, które siedziały na ławce na starym szydełkowym afganie, czekając, aż rozpocznie się widowisko. Sunny ulokowała się wygodnie na kolanach swojej mamy i zaplotła nogi wokół jej pasa.

– To nietoperz – oznajmiła Sunny. – A to Maxon.

Matka roześmiała się i przytuliła swoje dziecko, a Maxon przyglądał im się w milczeniu. Słuchał ich rozmowy. Sunny powiedziała, że nie chce oglądać fajerwerków. Jej uwagę odwracał chłopiec i przelatujące wokół nich nietoperze.

– To Maxon, a to nietoperz – powtarzała.

Kiedy pojawiły się wreszcie fajerwerki, huk kompletnie oszołomił Maxona. Sztuczne ognie rozświetlały całe niebo, ale on nie podnosił głowy. Ciemność rozrywał błysk, który oświetlał samochody oraz ich twarze, a potem rozlegał się kolejny głośny świst. Maxon czuł intensywny zapach siana i wiedział, że gdzieś w pobliżu pasą się krowy.

– Po pokazie sztucznych ogni musimy go odwieźć do domu – powiedziała Emma.

– Nie! Chcę, żeby został – zaprotestowała Sunny, podczas gdy Maxon dalej truchtał wokół nich.

– Nie. On musi wrócić do domu.

– Ale ja go lubię. Chcę go – oznajmiła Sunny.

Kiedy skończył się pokaz, ruszyli do samochodu. Dzieci zajęły miejsca z tyłu, a Emma usiadła za kierownicą. Ruszyła przed siebie, co jakiś czas mamrocząc coś pod nosem i potrząsając głową. Może powtarzała sobie w myślach to, co zamierzała powiedzieć. Maxon był zadowolony. Mógł jechać w ciemności obok dziewczynki i słuchać, jak krople deszczu uderzają w karoserię samochodu. Obserwował kolejne błyski, mozaikę światła odbijających się na suficie samochodu, a od czasu do czasu zerkał w stronę matki. Dziewczynka wzięła go za rękę. Był od niej wyższy i chudszy. Miał lekko wykrzywione palce stóp, ponieważ stale kazano mu nosić zbyt ciasne buty. Kiedy zatrzymali się przed znakiem stop, a Maxon wiedział, że są już blisko jego domu, uchylił nagle drzwi samochodu i wyskoczył na deszcz. Nikt nie zaczął go gonić. Było zbyt ciemno, a on zdążył już zniknąć, ślizgając się na mokrych gałęziach, ukryty pośród ociekających deszczem liści.

– Wróc do nas jutro – poprosiła wcześniej dziewczynka, ścis-kając jego dłoń. – Nie zapomnij.

Jeżeli miałby być ze sobą absolutnie szczery, to najprawdo-podobniej właśnie tamtego dnia się zakochał.

Właśnie wtedy się to stało.

Gdzieś w dole, na Ziemi, która nadal obracała się leniwie wokół własnej osi, mózg matki był zasilany przez tlen zawarty w jej krwi. Oddychała. Nie przestawała oddychać, przez całą noc rozpaczliwie łapiąc powietrze gwałtownymi, świszczącymi wdechami. Tam daleko, poza szpitalem, w innym świecie wstał nowy dzień – ona zaś nadal żyła. Z oddziału intensywnej terapii przewieziono ją na metalowym łóżku do prywatnego pokoju. Jej ciało nie było jednak tego wszystkiego świadome. Jej ciało koncentrowało się wyłącznie na tym, co działo się w jego wnętrzu. W jego narządach trwały właśnie zagadkowe procesy, zachodziły mikroskopijne zmiany. Ciało uciekało przed śmiercią, zaprzeczało swojemu godnemu pożałowania stanowi – żyło. Robiło to samo, co robią wszystkie inne ciała na Ziemi: te, które leżą we własnych pokojach w kształcie pudełek, te, które przebywają na długich korytarzach i w ciemnych piwnicach, te, które mkną po autostradach w maleńkich samochodzikach, i te, które pędzą po torach kolejowych w zamkniętych przedziałach. Ciało próbowało oszukać śmierć, odsunąć ją od siebie, opóźnić jej nadejście choćby o kilka chwil. Było jak płód, który nie chce wyjść z łona matki, choć zaczął się już poród, choć nadeszły już skurcze, a krew się rozrzedziła.

Matka walczyła z ciemnym pokojem, zamykającymi się nad nią ścianami, gwałtownymi skurczami korytarza. Nie pomagały jej już maszyny. Wszystkie zostały odłączone: ta, która oddychała, ta, która wirowała, a przede wszystkim ta, która głośno piszcziała. Matka leżała samotnie na łóżku. Jej komórki utrzymywała przy życiu jedynie biologiczna maszyna zamknięta w jej czaszce. Była sama, bez rodziny, bez historii, a im gwałtowniej napierał na nią pokój, im bardziej na nią naciskał, tym zaciekłej bronił się jej mózg. Nie chce umrzeć. Nie może umrzeć. We śnie widziała swoją córkę, chodzącą tam i z powrotem jak kot w butach, machający łapkami i wbiegający na ściany. Nie mogła umrzeć i zostawić Sunny całkiem samej tu, na Ziemi.

W dużym domu przy Harrington Avenue łysa jak jajko Sunny stała przy kuchennym blacie. Otworzyła trzy pomarańczowe buteleczki z lekarstwami Bubbera. Postawiła je przed sobą na gładkiej granitowej płaszczyźnie. Bubber stał przy niej, przyglądał jej się z powagą, a nogawki pidżamy marszczyły się na jego kostkach. Czekał na swoje leki. Potem miał obejrzeć dwa odcinki *Blue's Clues*. A później pójść do przedszkola. Ale tego ranka Sunny zdecydowała, że jej syn ani nie pójdzie do przedszkola, ani nie weźmie leków. Zostanie w domu i nie połknie żadnych pigułek. Zamierzała sprawdzić, co się stanie. Przekonać się, czy wiatr zwieje nagle dach znad jej głowy. Czy lekarze zjawią się pod jej domem, machając papierami i poprawiając okulary. Nikt nie zdoła wejść do środka i wmusić lekarstw w jej dziecko. Choćby musiała zastawić drzwi kanapą. Choćby ściany zaczęły walić się jej na głowę, choćby Bubber zmienił się nagle w wilkołaka i ją pożarł, choćby powiedział głośno i wyraźnie: „Daj mi moje leki. To właśnie to, czego w głębi serca pragnę”. Nie poddałaby się. Chciała się dowiedzieć, kim tak naprawdę jest jej syn, kiedy nie przyjmuje lekarstw, które mają wszystko ułatwić. Zamierzała obserwować go przez cały dzień. Gdyby dostał ataku, usiądzie na nim i go powstrzyma.

– Dzisiaj nie bierzemy leków, Bubber – wyjaśniła. Wysypała pigułki na blat. Niebieskie tabletki pomieszały się z białymi i zielonymi kapsułkami. Bubber uważnie jej się przyglądał. Miał na sobie starą, pełną dziur flanelową koszulę Maxona i był owinięty kocem. Wpatrywał się w nią uważnie swoimi jasnyniebieskimi oczyma. – Wszystko w porządku – zapewniła łagodnie. – Żadnego przedszkola, żadnych leków.

– Gdzie tata? – zapytał głośno Bubber, charakterystycznym dla siebie kaczym głosem. Kiedy skończył mówić, jego usta pozostały otwarte, i to przez nie oddychał.

– Tatusz jest w rakiecie. Zabrał roboty na Księżyc. Ale na pewno jest mu miło, że o nim myślisz.

– Wiem – odpowiedział Bubber, po czym podniósł wzrok i spojrzął na zegar. – *Blue's Clues* – zażądał.

Sunny zgarnęła pigułki do kosza. Trafiły między śmieci i opadły na samo wilgotne dno kubła. Spojrzała na Bubbera, który pobiegł do salonu. Co się teraz stanie? Zastanawiała się, czy nie powinna założyć mu kasku. Bubber mechanicznym ruchem nacisnął odpowiedni przycisk na pilocie, po czym zasiadł przed telewizorem. Jego twarz rozjaśniła się, kiedy na ekranie pojawiły się jego ulubione postaci. Sunny obserwowała, jak śpiewał, przemawiał i wyrzucał ramiona w górę i w dół dokładnie w tym samym czasie, co Steve i Blue. Znał to na pamięć. *Elma* też. I całego *Doktora Seussa*. Nauczył się każdej modulacji głosu, każdej miny, każdego wyrazu twarzy. Zawsze robił to bezbłędnie – za każdym razem idealnie wszystko odtwarzał.

Może po odstawieniu leków będzie umiał nie tylko naśladować cudzy wyraz twarzy, ale też wymyślić sobie własny? Nową minę. Sunny bała się, że będzie to złość. Albo smutek. Albo nienawiść. Co zaproponuje jego mózg, kiedy pozostawi się mu pełną swobodę wyboru? Nagle rozległ się sygnał telefonu. Dzwonili ze szpitala.

– Pani matka nadal żyje. Czy zamierza ją pani dziś odwiedzić?

– Trudno mi powiedzieć. Mój syn wymaga stałej opieki – odpowiedziała.

A głos w słuchawce ostrzegł:

– To już nie potrwa długo. Być może to ostatnia szansa, żeby się z nią pożegnać.

Sunny już się pożegnała. Nie chciała żegnać się po raz kolejny. Chciała przenieść się w czasie – o tydzień naprzód albo o dziesięć lat w tył do okresu, w którym jej matka była zdrowa. Chciała cofnąć się do momentu, w którym to wszystko jeszcze się nie pojawiło: ani nowotwór, ani ciąża, ani peruki. W jej życiu działo się teraz zbyt wiele rzeczy naraz. I nadszedł czas, żeby jedna z tych rzeczy odeszła.

Pogładziła dłonią czubek głowy. Swoją matkę odcięła od aparatury podtrzymującej życie. Swojemu dziecku odcięła lekarstwa. A sama odcięła się od peruk, sztucznych brwi i całego kostiumu miejskiej gospodyni domowej. Nie mogła zrobić nic więcej, żeby przyspieszyć nadejście końca, ale koniec wcale nie chciał nadejść. Ktoś powinien zapukać do drzwi, uznać ją za niezdolną do życia i raz na zawsze zakończyć tę farsę – ale nikt się nie zjawiał. Radosne piosenki z *Blue's Clues* wypełniały cały salon przy akompaniamencie Bubbera, a Sunny żałowała, że Maxon nie może zawrócić rakiety i przylecieć prosto do swojego cholernego domu. Ruszyła przed siebie po ciemnej podłodze z drewna orzechowego, po szerokich deskach, co tydzień polerowanych i czyszczonych. Stała za pustym fotelem Maxona, w pustym gabinecie Maxona i spojrzała na jego biurko. Gdzieś w tym biurku leżały papiery, które wkrótce okażą się potrzebne. Będzie potrzebowała testamentu swojej matki. Będzie potrzebowała dokumentów związanych z ubezpieczeniem. Ubezpieczeniem jej matki, a może i samego Maxona. Istniała wszak możliwość, że Maxon nigdy nie wróci do domu. Zdarza się przecież, że astronauty giną. Albo dochodzą nagle do wniosku, że lubią życie w kosmosie, lubią życie w skafandrach, lubią krążenie po orbicie wokół innych ciał niebieskich. Siedzą gdzieś daleko, zapominają o swoich domach, rodzinach, łysych żonach, szalonych dzieciach i cierpiących na raka teściowych.

Sunny postanowiła otworzyć szuflady biurka i poszukać dokumentów. Postanowiła zachować się tak, jak by się zachowała, jeszcze zanim została matką. Zadzwoić gdzie trzeba. Zdecydować, co zrobić z wszystkimi należącymi do nich nieruchomościami. Wszystko pozafatwiać. Przycisnąć kogo trzeba. Przekartkować stosy papierów i natknąć się na ważną linijkę tu, na sprzeczną linijkę tam, i zawołać: AHA! Sunny opadła na fotel Maxona. Otworzyła szufladę i znalazła wszystkie teczki, starannie poukładane i podpisane – wszystko, czego mogła

kiedykolwiek potrzebować. Ubezpieczenie, hipoteka... a także ta podpisana wielkimi literami: MATKA. Wyjęła tę teczkę i przez chwilę trzymała ją na kolanach, po czym odłożyła na bok. Otworzyła wszystkie pozostałe szuflady. Wszystkie z wyjątkiem jednej – która była zamknięta.

Zamknięta szuflada. W pozostałych znalazła starannie ułożone artykuły biurowe, uporządkowane papiery, logicznie posegregowane teczki. Ale oto miała przed sobą długą, płaską szufladę zamkniętą na klucz. Klucza nigdzie nie było. Dlaczego szuflada była zamknięta? Przed kim? Co takiego Maxon mógłby chcieć ukryć?

Zanim wyszła za Maxona, podkochiwała się w chłopaku, który miał dużo włosów. Była wtedy na studiach w innym stanie, daleko od Maxona i od swojej matki. Studiowała sztukę i matematykę. Mieszkała w kampusie niewielkiego uniwersytetu w Ohio, przy granicy z Pensylwanią, a ponieważ była łysa i projektowała peruki, zwracała na siebie uwagę i ludzie ją znali.

Często jeździła na rowerze. Jazda na rowerze pomagała jej radzić sobie z tęsknotą za Maxonem, który był teraz tak daleko. Nie mogli się widywać, bo zgodnie z prośbą jej matki Sunny wybrała studia na uniwersytecie oddalonym przynajmniej sześć godzin drogi od domu. Maxon nigdy nie rozstawał się z rowerem, a -teraz ona także się z nim nie rozstawała i jeździła po kampusie, tęskniąc za Maxonem. Wiedziała, że nie powinna go kochać, ale pozostawał jej najlepszym przyjacielem.

Miała też wełniane ponczo z kapturem. Zimą, podczas siarczystych mrozów, wkładała ponczo, zarzucała na głowę kaptur i przemierzała kampus na rowerze, czując na twarzy ostre wiatry Ohio. Ukryta w swoim ponczo, mogła się stać, kimkolwiek chciała. Właśnie podczas tych przejazdów śledziła jego – człowieka, którego nazywała w myślach Chłopakiem z Włosami. Miał długie, falujące włosy, takie jak u gwiazdy rocka. Miał włosy tak bujne, że kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, od tyłu, była przekonana, że to kobieta. W pierwszej chwili uśmiechnęła się z lekkim politowaniem. Zwykle patrzyła na kobiety z długimi włosami dość nieufnie. Zastanawiała się, czy fryzura nie stanowi dla nich pewnej formy kompensacji. Ale mężczyzna z włosami tak długimi, że mógłby na nich usiąść? Cały ten wodospad puszących się i spływających kaskadą włosów wydawał jej się z jakiegoś powodu atrakcyjny.

Był szczupłym chłopakiem w okularach z metalowymi oprawkami, zamkniętym w ciele o wyglądzie ołówka. Sunny fascynowały w nim jedynie włosy, które opadały mu na plecy miękkimi, puszystymi falami. Poza tym nie miał w sobie nic interesującego. Marzyła jednak o tym, żeby założyć na siebie jego włosy. Wyobrażała sobie, jak na niej leży, a jego włosy opadają i otaczają ich miękką, grubą kurtyną. Mówiłaby wtedy: „Zostań we mnie jeszcze chwilę”, tylko po to, żeby dłużej czuć na sobie dotyk jego włosów. Nigdy nie rozmawiała z Chłopakiem z Włosami, nigdy go nie zaczepiła. Często jednak przejeżdżała na rowerze pod oknem jego pokoju, pod jednym z tych niezliczonych prostokątnych pudełek wypełniających budynek akademika. Brakowało jej tchu, z nerwów skręcało jej żołądek. Kompletnie straciła dla niego głowę. Przejeżdżając pod jego oknem, zaglądała ostrożnie do środka i obserwowała, jak siedział przy biurku albo grał na gitarze. Czasem w pokoju panowała ciemność, wyobrażała sobie wtedy, że Chłopak z Włosami śpi albo gdzieś wyszedł. Może je, może stoi pod prysznicem, okryty mokrymi włosami, może suszy je suszarką albo czesze.

W takich chwilach Maxon wydawał jej się bardzo daleki. Oczywiście pamiętała o nim, ale nie chciała, żeby znalazł się blisko niej. Właśnie to doradzała jej matka. „Pojeżdż na studia. Spróbuj czegoś nowego. Zaczynaj się z kimś spotykać. Spotykaj się, z kim tylko się da. Umawiaj się na randki”.

Tamtej nocy, kiedy gwałtownie dobiegła końca jej miłość do Chłopaka z Włosami, panował straszny mróz. Szczękając zębami, Sunny zostawiła rower pod jego akademikiem, po

czym weszła do środka i ruszyła wzdłuż korytarza. Chłopak z Włosami nie był ani tak wysoki, ani tak barczysty jak Maxon. Może był nawet niższy od Sunny. Ale te włosy... Kiedy zbliżała się do jego pokoju, usłyszała kilka akordów granych miękko na gitarze. Odważyła się przystanąć na chwilę, wstrzymać oddech i lekko uchylić drzwi. Siedział dokładnie tam, gdzie tak często go widywała, kiedy zaglądała tu przez okno, przejeżdżając na rowerze. Na jego chudych nogach leżała gitara. Przez długie miesiące Sunny czaiła się w ciemności, żeby obserwować go przez okno, żeby patrzeć na jego koszulkę z Pink Floyd i sprane dzinsy. A teraz znaleźli się sami w jego pokoju, w którym unosił się jakiś dziwny, kwaśny zapach, tak jak to zawsze bywa w męskich akademikach.

– Halo? – odezwała się zupełnie bez sensu. – Jest tu kto?

– O, cześć – powiedział, tak jakby ją rozpoznał.

Opuściła kaptur swojego poncza. Za jej plecami przemknęło korytarzem kilku chłopców w ręcznikach, którzy wyszli spod prysznicy. Ona zaś stała dalej w drzwiach.

– Mogę wejść?

– Jasne – odpowiedział, nawet na nią nie patrząc.

Sunny przeszła kilka kroków, po czym lekko przytknęła drzwi.

– Fajna gitara – powiedziała. Usiadła na drugim żółtym krześle, które musiało należeć do współlokatora Chłopaka z Włosami. Ona i jej współlokatorka miały w pokoju podobne krzesła. W każdym pokoju takie same krzesła i takie same metalowe łóżka. Ułożyła swoje długie nogi na krześle, a czubki butów oparła na poręczy, tak jak to miała w zwyczaju. Co by zrobiła, gdyby w tej samej chwili do pokoju wkroczył współlokator Chłopaka z Włosami? Co by się stało, gdyby się tu nagle zjawił i zwrócił do Chłopaka z Włosami imieniem takim jak Rich, Phil czy Marty? Chłopak z Włosami oznajmił bez większego entuzjazmu, że jego fajna gitara to zabytkowy instrument. Wymienili spojrzenia i nagle zadzwonił telefon, który wisiał na ścianie nad jego głową.

– Przepraszam. – Wyciągnął rękę, podniósł słuchawkę i przyłożył ją sobie do ucha. – Halo? – Po chwili przewrócił oczami i powiedział: – Jesteś pijana. – Powtarzał to wielokrotnie, a potem poprosił rozmówczynię, żeby raz jeszcze wszystko mu opowiedziała. Na koniec oznajmił, że później do niej oddzwoni. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Sunny. Wydawał się lekko zdenerwowany, a jego oczy po raz pierwszy nie przypominały głębokich, lśniących sadzawek. Miał raczej rozbiegany wzrok wiewiórki. – To była moja dziewczyna. Studiuje w Findlay – wyjaśnił. Sunny skinęła głową, a on dodał: – Jest pijana.

– Tak, domyśliłam się – odrzekła Sunny. Zarzuciła sobie kaptur na głowę i wyprostowała nogi. – Muszę już iść.

– To, że mam dziewczynę – powiedział Chłopak z Włosami – nie oznacza, że nie możemy spędzać razem czasu.

Ostrożnie odłożył gitarę, kładąc ją na łóżku strunami w dół. Odwrócił się do niej i splótł dłonie. Jego krzywe nogi wyglądały jak linie wychodzące z dwóch punktów w zupełnie różne strony. Wydawały się niezwykle delikatne, tak jakby pod postrzępionymi dzinsami skrywały się cienkie noże.

– Jak masz na imię? – zapytała Sunny.

– Chris – odpowiedział. – A ty jesteś Sunny, prawda? Sunny?

– Chris – powtórzyła Sunny, czując, jak to słowo przyjmuje przewidywalny kształt w jej ustach. – Nie, nie sądzę, żebyśmy mogli spędzać razem czas. To nic wielkiego. Ja po prostu... chciałam zapytać, jak masz na imię. Do zobaczenia.

Wstała i ruszyła do drzwi, a on posłał jej pożądliwe spojrzenie. Nie wiedziała, czy zamierzał coś jeszcze powiedzieć. Trudno było jej to odgadnąć. Ogarnęły ją mdłości, czuła

w powietrzu coś słodkiego i lekko zgniłego. Zdołała uwolnić się od tego dławiącego zapachu, dopiero kiedy znalazła się na zewnątrz, na mrozie, i kiedy nabrała w płuca zimnego powietrza. Wiedziała, że wielu mężczyzn chciałoby się z nią spotykać. Nie na tym polegał problem. Spotykałiby się z nią i pieprzyliby się z nią. Czuła to, w tamtym pokoju, przy Chłopaku z Włosami. Nie chodziło o to, że wydawała im się znajoma – pociągała ich dlatego, że wydawała im się obca. Nie chodziło o to, że przypominała im zwykle dziewczyny, tylko o to, że zupełnie się od nich różniła. Pozostawało zatem pytanie: czy ona sama prześpi się z kimkolwiek, zanim wróci do Maxona? Czy może będzie pieprzyła się tylko z nim, od początku do końca? To była tak naprawdę jedyna zagadka związana z jej życiem w akademiku. Kiedy wróciła do swojego pokoju i zadzwoniła do niego, powiedziała tylko, że miała gówniany dzień. Poprosiła, żeby opowiedział jej o wszystkim, co mu się przydarzyło, żeby zaczął od samego początku i niczego nie pomijał – chciała, żeby mówił tak długo, aż ukołysz je do snu tymi szczegółami, drobiazgami, cennymi faktami z jego dalekiego życia.

Rozmawiając z Maxonem, zawsze wiedziała, kiedy skończył już mówić, kiedy nie zamierzał nic więcej dodawać. Przedstawił jej kiedyś formułę, która pozwalała to stwierdzić:

✓ ROZMOWY ∃ ZNAK KOŃCOWY:

ROZMOWA NIESPODZIEWANIE SIĘ KOŃCZY.

ZNAK KOŃCOWY ∈ {„MIŁO SIĘ Z TOBĄ ROZMAWIAŁO”;

„CIESZĘ SIĘ, ŻE MIELIŚMY OKAZJĘ
POROZMAWIAĆ”;

„MIŁEGO DNIA”;

„DO ZOBACZENIA”}

Jej matka mogła sobie mówić, że Maxon nie jest materiałem na męża, ale Sunny nie potrafiła znaleźć nikogo lepszego.

Ciężarna, samotna Sunny siedziała tego ranka w gabinecie Maxona, a na jej liście rzeczy do zrobienia figurowały tylko dwie pozycje: urodzenie jego dziecka i wychowywanie jego pierwszego, szalonego dziecka. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna porąbać biurka Maxona siekierą i sprawdzić, co kryje się w zamkniętej na klucz szufladzie. Może nawet by to zrobiła, gdyby tylko miała pod ręką siekierę. I gdyby nie usłyszała krzyku Bubbera.

„A więc to właśnie się dzieje po odstawieniu leków”, pomyślała, z trudem podnosząc się z fotela i ruszając chwiejnym krokiem do sąsiedniego pokoju. Nagle zakręciło jej się w głowie i mocno złapała się framugi. „Mam nadzieję, że zdołam go uspokoić. Mam nadzieję, że znajdę w sobie siłę”. Bez żadnego konkretnego planu pobiegła do salonu, a podłoga głośno dudniła pod jej stopami. Spodziewała się, że Bubber będzie miał pianę na ustach, że będzie cały czerwony, rozwścieczony jak szykujący się do ataku odyniec, wytrącony z równowagi jakąś niewidzialną skazą, jakąś nitką dywanu, która nie chciała ułożyć się tak, jak wszystkie pozostałe. Ale jej syn leżał po prostu na podłodze i śmiał się tak głośno, że jego twarz zrobiła się purpurowa. Nie odrywał wzroku od telewizora. Sunny odwróciła się i zobaczyła na ekranie pędzącą przez kosmos małą świnkę morską w skafandrze i hełmie astronauty. To była prawdziwa świnka morska w rysunkowym hełmie – i właśnie to połączenie sprawiło, że Bubber zaczął się tak spazmatycznie śmiać. Gdyby patrzył na to wszystko ktoś z zewnątrz, mógłby zapewne pomyśleć, że jej syn umiera.

Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby Bubber tak głośno się śmiał. Wydawało jej się to niemal

przeróżające. Przypomniała sobie jednak, że kiedyś, kiedy był mały, wybuchał od czasu do czasu śmiechem tak szczerym i zaraźliwym, że wkrótce śmiali się też wszyscy wkoło. Brzuch Bubbera trząsał się w niekontrolowany sposób, a jej syn tarzał się po ziemi. Wiedziała, że powinna mu pomóc, uspokoić go, ale gwałtowność jego reakcji nieco ją oszołomiła i zarazem zaniepokoiła. Czy śmiech nie jest po prostu kontrolowaną konwulsją? Czy płacz nie jest łagodnym atakiem rozpaczki? Przyjmując leki, Bubber mógł udawać, mógł nauczyć się odtwarzać śmiech i płacz. Na czym polega różnica między śmiechem prawdziwym a wymuszonym? Czy jeżeli da się go kontrolować, to musi być udawany? A może różnica między wiarygodną a niewiarygodną reakcją emocjonalną polega na umiejętności lub braku umiejętności jej odtworzenia? Czy to wszystko było sprawiedliwe? Bubber zauważył ją, usiadł na podłodze i, wciąż zdyszany, powiedział:

– Mamo, zobacz. To robot.

Sunny usiadła na sofie, a Bubber oparł się o jej kolana. Położyła mu rękę na głowie i poczuła, że jego włosy są wilgotne. Miał spokojną, rozluźnioną twarz i jasne oczy. Sunny pomyślała: „*Wow*, a więc to jest mój mały chłopiec. To on. Chłopiec, który wybucha histerycznym śmiechem”. Z jakiegoś powodu ta myśl wprawiła ją w dobry nastrój. Cóż innego jej pozostawało?

– Czy jesteś łysy? A może tracisz powoli włosy? – odezwał się nagle głos z telewizora. Sunny szybko przyłożyła dłonie do uszu Bubbera i spojrzała na ekran. – Nie musisz dłużej doświadczać wstydu, który wiąże się z postępującym łysieniem, nie musisz też stosować szkodliwych środków chemicznych. Lecznicza Orchidea doktora Chandrasekhara odbuduje twoje włosy i twoje poczucie własnej wartości, a wszystko to dzięki naturalnym ekstraktom roślinnym.

Do tej pory na ekranie widniał wodospad, który spływał z plus-kciem do otoczonej kamieniami sadzawki. Wokół niej siedziały kobiety w tradycyjnych birmańskich strojach, z długimi, gęstymi włosami opadającymi im aż do kolan. Same kobiety najwyraźniej nie pochodziły z Birmy – jedna była blondynką, druga brunetką, a trzecia miała rude loki. Czesaly się i wplatały we włosy orchidee oraz bluszcz.

– Nazywam się doktor Chandrasekhar – odezwał się głos w tele-wizorze, a z wody wyrosła nagle głowa. Należała ona do wąsatego Hindusa w podeszłym wieku, który był ubrany w biały fartuch. – Przez trzydzieści lat opracowywałem formułę Lecznicznej Orchidei, którą stworzyłem na bazie najlepszych wschodnich ziół i... – Mówił dalej, ale Sunny przestała go słuchać.

– On ma brązową skórę – powiedziała na głos. – On ma brązo-wą skórę. Naprawdę jest Hindusem. To nie mój ojciec. Ma brą-zową skórę. Co się z nim tak naprawdę stało? Co się z nim stało?

Okruch skalny, który uderzył w raketę, skrywał się za Księżycem. Był nie większy od pięści. W jego wnętrzu, głęboko w jego jądrze, otoczonym osobliwymi metalami ciężkimi i ciałami krystalicznymi, znajdowała się kropla substancji tak starej, że nikt nie potrafiłby jej rozpoznać. Był to bowiem okrucz prastarej materii, pył sięgający samych początków Układu Słonecznego. Ziarno presolarnie. Presolarna drobina uwięziona w skale pędzącej po orbicie heliocentrycznej. Jedna na milion, jedna na sto milionów, pojawiająca się na świecie tak rzadko jak niezwykły geniusz albo szalony naukowiec. Rakietę, zbliżając się do orbity okołoksiężycowej, przecięła pustką niczym maleńki fragment metalu, niczym migotliwy okrucz płynący przez tętnicę. Meteoroid, ta samotna molekula poruszająca się w pozaziemskim roztworze, był jeszcze mniejszy. Przypominał cząstkę elementarną atomu Układu Słonecznego. Pojedynczą myśl mknącą przez mózg. Jak później ustalono, meteoroid ten miał dziewięć centymetrów średnicy. W ogóle go nie zobaczyli. Nikt nie dostrzegł go na żadnym z monitorów. Astronaucci i Maxon włożyli swoje skafandry. Zajęli miejsca w module dowodzenia i zapięli pasy, tak jak podczas startu. Dokładnie tak jak wtedy, gdy wieża pełna paliwa wybuchła nagle pod ich stopami, wystrzeliwując ich w niebo. Centrum Kontroli Lotów wydawało komendy, które szumiały w ich słuchawkach i pozwalały im dokonywać kolejnych kontroli i testów. Moduł ładunkowy krążył już po orbicie wokół Księżyca. Wkrótce mieli się z nim połączyć, pod warunkiem że udałoby się zapewnić pełną synchronizację. Głos przedstawiciela Centrum Kontroli Lotów, spokojny i uspokajający, wyliczał kolejne etapy operacji, która służyła zainicjowaniu procedury wejścia na orbitę. Po jej zakończeniu i włączeniu na nowo silników oni także mieli zacząć okrążyć Księżyc po orbicie.

Meteoroid był blisko, coraz bliżej, ale nikt nie wiedział jeszcze o jego istnieniu. Nie wykryli jego obecności ani astronauty przebywający w kosmosie, ani ludzie na Ziemi, którzy zdalnie sterowali działaniami astronautów. Był przecież niezwykle mały. Takiego meteoroidu nikt by nie zauważył, takim meteoroidem nikt by się nie przejął, gdyby został on owinięty w ciepły koc ziemskiego powietrza. Atmosfera naszej planety potrafi spalić większość obiektów, zanim zdołają one dotrzeć do jej powierzchni. Ale w kosmosie najdrobniejszy nawet przedmiot, poruszający się z odpowiednią prędkością i w odpowiednim kierunku, może przebić inny przedmiot jak kula wystrzelona z pistoletu. Ziarno piasku pozostawia pięciocentymetrowy krater w kadłubie statku kosmicznego. Jakże zatem szkody mogłaby wyrządzić piłka baseballowa? Wychodząc wieczorem przed dom, patrzysz z zachwytem w niebo i mówisz: „O rany, spójrz tylko na te wszystkie gwiazdy”. Zupełnie inaczej czujesz się jednak w sytuacji, w której prastary odłamek metalu wbija ci się niespodziewanie w jelita.

Pilot rakiety Tom Conrad był komandorem porucznikiem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Wykonywał polecenia wydawane przez grupę naukowców zgromadzonych w Teksasie, kierował się także protokołem oraz listą procedur. Conrad był ulubieńcem Gompersa, dowódcy misji, i uznawano go za najlepszego pilota na świecie. Chętnie krytykował inżyniera Phillipsa, za którym nie przepadał. Maxon był jedynym cywilem na pokładzie statku. Conrad, Phillips i Gompers byli porządnymi facetami z charakterem. W kosmosie wszyscy są przyjaciółmi: pojedyncze krople życia błędzące w bezkresie lodowatej śmierci po prostu nie mają wyboru – muszą się ze sobą zaprzyjaźnić.

Po zapięciu pasów Maxon połączył się z raketą, zespolił się z nią, stał się jej częścią. Przestał unosić się w próżni, przestał być człowiekiem. Przekształcił się w płamę na powierzchni

rakiety, drobinę ciała zamkniętą w jej wnętrzu. Słyszał swój oddech pod hełmem ze szkła bezodpryskowego, gdzie uwięzione zostało jego ciało. Słyszał dzwonienie w uszach, słyszał głosy docierające z Centrum Kontroli Lotów i przekazujące instrukcje pilotowi, inżynierowi, prawdziwym astronautom – podczas gdy jemu, Maxonowi, zasugerowano tak czule i troskliwe, żeby siedział spokojnie i czekał. Ludzie na Ziemi zawsze przemawiali do astronautów jak do dzieci albo tresowanych psów. Astronauci byli tylko przedłużeniem ludzkości, małym palcem biologii wycelowanym w bezkres mechanicznego kosmosu. Musieli wysłuchiwać zbyt wielu komend. Musieli brać pod uwagę zbyt wiele czynników. W ostatecznym rozrachunku naprawdę niewiele znaczyli.

Tuż przed tym, jak uderzył w nich meteoroid, głos w radio zakomunikował:

– W porządku, jesteśmy gotowi.

I wtedy nastąpiło zderzenie. Astronauci odczuli je jako falę, która przetoczyła się przez jądro rakiety. Niczego nie zdołaliby w tej sytuacji zrobić, nie mogliby w żaden sposób przełączyć się na sterowanie ręczne, żeby pominąć listę procedur przewidzianych na tę okoliczność. Do uderzenia po prostu musiało dojść. Nie istniał żaden manewr wymijający. Poczuli uderzenie, usłyszeli głośne skrzypienie i zgrzyt metalu, a potem nastąpiło przyprawiające o mdłości szarpnięcie, tak jak to się czasem zdarza, kiedy samochód wjeżdża szybko na wzniesienie. A potem rakieta zaczęła się przechylać – tego już jednak nie czuli. Znajdowali się w jej wnętrzu, stanowili jej część, byli z nią złączeni, spleceni nylonowymi pasami i uchwytami.

Zorientowali się, że zbaczą z kursu. Ziemia zamajaczyła po ich lewej stronie, a potem rozległ się syk i część lampek na panelu kontrolnym zaczęła migać. Dłonie pilota poruszały się sprawnie po przyciskach i kontrolkach, szybko reagując na kolejne napływające informacje. Były jak koło sterowe na tonącym statku, obracające się coraz szybciej i szybciej. Maxon zobaczył swoją śmierć, podobną do implozji statku kosmicznego: zostanie zmiażdżony jak puszka, ulegnie gwałtownemu sprasowaniu. Meteoroid składał się z metalu ciężkiego. Powłoka rakiety nie miała szans wytrzymać takiego uderzenia. Nie ulegało wątpliwości, że doszło do poważnego uszkodzenia – nieznana była jeszcze tylko jego skala. Przedstawiciele Centrum Kontroli Lotów zaczęli wrzeszczeć jak rodzic, który orientuje się nagle, że jego dziecko wybiegło na środek ulicy.

– Gompers? Jaki macie status?! George? – A potem wszystko ucichło.

Meteoroid uderzył w raketę. Nie dało się tego cofnąć. W jej wnętrzu znajdowali się ludzie, ludzie przypięci do rakiety pasami. Bardzo trudno jest przeżyć zderzenie z meteoroidem w kosmosie. Wszyscy doskonale o tym wiedzieli. Wcześniej, analizując liczby i dane, zakładali, że żaden meteoroid w nich nie uderzy, bo przestrzeń kosmiczna jest bezkresna, meteoroidy niezwykle małe, a statki kosmiczne zajmują bardzo niewiele miejsca. Rakieta przypomina maleńką łódeczkę unoszącą się na wodach oceanu i usiłującą trzymać się z dala od innych łodzi – tyle że przemierza ocean tysiące czy nawet miliony razy rozleglejszy niż ten na Ziemi. To wszystko wydawało się takie bezpieczne.

Oczywiście nic nie zabija od razu – dotyczy to także meteoroidów. Meteoroidy nie zabijają od razu. Tak właśnie było z kierującą się na Księżyc raketą, na której pokładzie znajdował się Maxon. Nie zabiła ich od razu. A mimo to wszyscy czterej zdawali sobie sprawę, podobnie jak ludzie na Ziemi, którzy śledzili teraz ich losy, że cel misji nagle uległ zmianie i że istnieje niewielka nadzieja na szczęśliwe zakończenie. Szansa na to, że człowiek przeżyje w tym szaleńczo wirującym mechanizmie, narażony na okrutną przypadkowość kosmosu, na jego skrajne temperatury, morza ognia i groźne pociski – była nieskończenie mała. Fakt, że większości astronautów udawało się szczęśliwie wrócić na Ziemię, stanowił świadectwo tego, jak maleńkimi kroczkami poruszała się na razie ludzkość w kosmosie.

Nagle ciasne już wcześniej pomieszczenie stało się jeszcze ciaśniejsze. Astronauci zaczęli się pocić. Powietrze uległo skażeniu i mieli wrażenie, że czują unoszące się w nim chemikalia. Ich stopy tęskniły za dotykiem twardej, wyboistej ziemi. Ich płuca domagały się słodkiego, czystego powietrza Manhattanu czy nawet zagłębia węglowego – byle tylko było to powietrze, które powstało naturalnie, które zostało wytworzone przez rośliny, innych ludzi, samochody, wiatr i zwierzęta, nie zaś sztucznie wyprodukowana i pompowana na pokład podróbka. Nie dość, że zostali uwięzieni w ciasnym wnętrzu statku kosmicznego, to jeszcze zostali uwięzieni w ciasnym wnętrzu uszkodzonego statku kosmicznego. Panika podchodziła im do gardeł, pragnęli tylko wydostać się stąd, uciec, cofnąć czas, dokonać innych wyborów.

Gompers przejął kontrolę. Zaczął wrzaskiem wydawać rozkazy, ustalać położenie statku oraz żądać szczegółowych raportów. Fred Phillips, do tej pory tak męczący i budzący irytację, stał się nagle człowiekiem kluczowym dla oceny szkód. Wyrzucał z siebie krótkie, urywane odpowiedzi, sprawdzał kontrolki i z zadziwiającą sprawnością obsługiwał tablicę pełną przycisków. Maxon nie mógł nic zrobić. Zamarł, nie potrafił wykonać najmniejszego ruchu. Martwił się tym, co działo się daleko stąd, na Ziemi. Myślał o Sunny, siedzącej w siedzibie NASA w Langley i oglądającej transmisję z modułu dowodzenia. Zobaczy pewnie ich cztery świecące głowy, okrągłe i pozbawione włosów. Czy pomyśli, że Maxon wygląda tak, jakby był łysy? A może wyda jej się znajomy? Czy zabierze tam chłopca w kasku na głowie? Czy zrozumie, że zostali wszyscy uwięzieni wewnątrz swoich czaszek? Maxon zamknął oczy. Roboty lepiej by się do tego wszystkiego nadawały. Roboty były lepiej wyposażone. Myśląc o własnym unicestwieniu w następstwie uderzenia meteoroidu, robot niczego by nie żałował.

Będzie to opowieść o astronautce, który zagubił się w kosmosie, i o żonie, którą zostawił na Ziemi. To również opowieść o odważnym człowieku, który przeżył awarię pierwszej rakiety wysłanej w kosmos w celu skolonizowania Księżyca. To opowieść o gatunku ludzkim, który w jakimś szaleńczym zrywie wypchnął w kosmos małą metalową łupinę i kilka pulsujących komórek, o gatunku, który wysłał je ku odległym, pograżonym w ciemności rubieżom wszechświata, w nadziei, że ta łupina wytrzyma każde uderzenie, że małe pulsujące komórki w jakiś sposób zdołają to przetrwać. To opowieść o planie, który miał rozkwitnąć, tak jak kwiat rozwijający się z pąka. To historia o podjętej przez ludzkość próbie skolonizowania ciała niebieskiego, o nierozwiniętym jeszcze kwiecie, który wystrzelono w przestrzeń kosmiczną, i o tym, co stało się z owym pąkiem, co stało się z Ziemią, z Matką Ziemią – po tym, jak pąk niespodziewanie eksplodował.

Gdyby Sunny tu była, powiedziałaby jej: „Nie bój się. Wyobraź sobie, że meteoroid to ogromny kotlet mielony, który zaraz pożrę i dzięki któremu przytyję dziesięć kilogramów”. Zawsze narzekała, że jest za chudy.

Najsmutniejszą rzeczą, jaką można sobie wyobrazić, jest żyjące z wydobycia ropy miasteczko, które zaczyna nagle podupadać.

W 1859 roku na pogórzach Apalachów w zachodniej Pensylwanii, w hrabstwie Yates odkryto rozległe złoża ropy naftowej. Przewidujący i mający niewątpliwy zmysł do interesów ludzie wbili w ziemię rury i zaczęli wydobywać ropę tak szybko, jak tylko mogli, a następnie przelewać ją do baryłek i rozwozić po całym kraju. Sprzedawali ją ze sporym zyskiem. Organizowali się i zakładali kolejne dzielnice, miasteczka, a nawet miasta. Budowali ogromne wiktoriańskie domy, zawieszane na zboczach niskich gór, a następnie oświetlali je dziwnymi i niebezpiecznymi instalacjami. W dole, u stóp gór, płynęła rzeka Allegheny. Mijał czas, a gdy ropa zaczęła wypływać z ziemi z coraz mniejszym zapalem, ludzie stopniowo przechodzili na wydobycie węgla. Później przestawili się na eksploatację odkrywkową, a wreszcie na handel tarcicą.

Tymczasem mieszkańcy pobliskiego hrabstwa Crowder nie mogli znaleźć ropy. Z niewiadomych przyczyn na przełomie wieków mieszkańcy Crowder musieli utrzymywać się przede wszystkim z rolnictwa. Kiedy w hrabstwie Yates wyczerpała się cała ropa, farmerzy z Crowder zdążyli już obsadzić okoliczne zbocza kukurydzą, soją i fasolą. Powstały bogate farmy, farmy, na których słychać było muczenie i szelest zbóż falujących na wietrze. Powstały farmy niezależne od ropy i czerpiące zyski z innych źródeł. I w ten sposób, kiedy Pennzoil przeniosło się na Południe i przekształciło w Texazoil, a zdrowie i dobrobyt mieszkańców hrabstwa Yates stanęły pod znakiem zapytania, farmerzy z hrabstwa Crowder mogli siedzieć triumfalnie na swoich sprawnie działających młockarniach i upajać się dostatkiem.

Baronowie naftowi z hrabstwa Yates wciąż jednak byli bogaci. Kiedy zdołali już wybebeszyć, wypatroszyć, zrównać z ziemią i oskubać otaczające ich tereny, zamknęli się w swoich wiktoriańskich willach, a kiedy około 1952 roku skończyły im się pieniądze, większość z nich umarła. Ludzie, którzy służyli baronom ropy naftowej, węgla i tarcicy, nadal żyli jednak w okolicznych miasteczkach, dlatego kiedy ich panowie i panie odeszli, przejęli oni niewygodne wiktoriańskie wille, poradzili sobie z pozostawiającym wiele do życzenia rozkładem ich kuchni, ustawili lodówki w niekonwencjonalnych miejscach, wylali piwnice cementem i zdołali nie spalić całego miasta.

Ponieważ każdy musi od czasu do czasu odwiedzić sklep spożywczy albo kupić nowe opony, właściciel sklepu z oponami może sprzedawać swoje towary właścicielowi sklepu spożywczego – i *vice versa*. Niszczące miasteczko, w którym dawniej wydobywano ropę, z roku na rok stawało się uboższe. Domy stopniowo popadały w ruinę. Wszystko zwalniało. Podczas gdy farmerzy z hrabstwa Crowder siedzieli zadowoleni na swoich silosach na zboże, obywatele Yates pławili się w resztkach dawnej świetności, a ziemia zasilana dotąd przez bogactwo, prestiż i przywileje wydała na świat zadziwiającą liczbę geniuszy. Być może powodem tego stanu rzeczy były zadziwiająco okazałe placówki użyteczności publicznej, ufundowane przez nieżyjących już magnatów? Która publiczna szkoła średnia na prowincji może się poszczycić własnym planetarium? Szkoła w hrabstwie Yates, w której uczyli się Sunny i Maxon, była wyjątkowa pod każdym względem. Wyróżniało ją choćby nietypowe zamiłowanie do nowinek technicznych, a także wysoki odsetek geniuszy. Związek przyczynowo-skutkowy między tymi dwoma anomaliami pozostawał niejasny.

Tak czy inaczej to właśnie tam, w tym wyjątkowym skupisku niezwykłych intelektów,

uczyli się Sunny i Maxon. Ich rówieśnicy dorastali na farmach amiszów, w ciasnych przyczepach kempingowych, w starych przegniłych posiadłościach z wybitymi oknami – a następnie ich umysły zaczynały żarłocznie kielkować na żyznej glebie lokalnych placówek edukacyjnych. Późniejszy bieg po szczeblach kariery był już tylko kwestią czasu. Szybko zostawali ordynatorami oddziałów chirurgii w -Chicago, naukowcami prowadzącymi badania w Los Angeles czy socjologami wykładającymi w Denver. Maxon nie był pierwszym, który dorastał w podupadającym miasteczku wyrosłym na ropie naftowej, a potem otrzymał Nagrodę Nobla. Należeli do rzadko spotykanego gatunku ludzi karmionych pozostałościami dawnych fortun, pielęgnowanych w absurdalnie bogatych szkołach i odczuwających palącą potrzebę, by jak najszybciej wydostać się z niszczonego, rozkładającego się miejsca, w którym się urodzili.

W momencie uderzenia, kiedy runęły na niego gwiazdy, Maxon przypomniał sobie dzień spędzony w szkolnym planetarium i łysą, błyszczącą głowę Sunny. Siedziała wtedy prosto na krześle i przypominała komiksowe rysunki żarówek, które mają zwykle sygnalizować pojawienie się jakiegoś pomysłu. Aha! Żarówka. Jej szyja była nasadą, czaszka szklaną bańką, a jej mózg, jej dusza i jej dobroć – żarnikiem. Maxon siedział tam w ciemności, pośród tysiąca gwiazd i obsługiwał projektor, rozświetlając niebo nad ich głowami. Cóż za sposób na podrywanie kobiet.

To on poszedł pierwszy do liceum. Kiedy pojawiła się tam Sunny, zaczął już drugą klasę. W ich szkole uczyły się dzieci z całego hrabstwa. Maxon znał większość z nich. W ciągu pierwszego roku, który spędził tam bez niej, narobił sobie wielu wrogów. Gardził nauczycielami. Niektórym nawet pokazywał, gdzie ich miejsce. Kpił z ich niepełnej wiedzy, leniwego intelektu, braku czytania. Matka Sunny usiłowała nauczyć go odpowiedniego zachowania. W podstawówce odniosła nawet pewien sukces. Chcąc go namówić, żeby przestał biegać po korytarzach, wyjaśniła mu:

– Maxon, twoje tempo powinno być niezależne od braku przeszkód na twojej drodze. To, że możesz szybko biegać, nie oznacza, że powinieneś to robić.

Zapisał te słowa w postaci równania:

$$D = \frac{V}{T}$$

KIEDY V = PRĘDKOŚĆ NA DWÓCH NOGACH

$$V \leq 6,5 \text{ km/h}$$

$V \perp$ PRZESZKODA P_n

Wiele lat później ta zasada została zakodowana w jednym z jego robotów. Na razie jednak, w szkole średniej, Maxon musiał mierzyć się z wyzwaniem zdecydowanie trudniejszym niż sama konieczność chodzenia po korytarzach, odpowiadania uśmiechem na uśmiech, marszczeniem brwi na marszczenie brwi. Wiedział, że powinien dopasowywać swój wyraz twarzy do wyrazu twarzy osoby, z którą rozmawiał – tak jak go nauczono – ale interakcje społeczne mimo to okazały się dla niego wyjątkowo trudne.

– Maxon – tłumaczyła matka – jeżeli druga osoba płacze, ty też płaczesz. Jeżeli druga osoba się śmieje, ty też się śmiejesz. Naśladowanie rozmówcy nie stwarza żadnych zagrożeń. Jedyne zagrożenie pojawia się w sytuacji, w której naśladujesz go nieudolnie.

W liceum odkrył jednak, że do wzbudzenia sympatii nauczycieli wcale nie wystarczy zastosowanie prostego kodu:

Nauczyciel = rozpoczęcie

Jeżeli nauczyciel = MĘCZY, to

Głowa = KIWANIE

Koniec

Zapętlić, aż nauczyciel = CISZA

Nagle pojawił się nauczyciel fizyki, który z niezrozumiałych powodów znenawidził Maxona; nauczyciel WF-u, który stracił w pewnym momencie cierpliwość, obalił go na ziemię, po czym oddalił się rozwścieczony; grupa dziewcząt, które uczyniły sobie z niego obiekt żartów i kpin. Ale przynajmniej został przyjęty na praktyki w niewiarygodnie drogim i niesamowicie ekstrawaganckim szkolnym planetarium.

Właśnie tak wyglądało życie w hrabstwie Yates. Łyse dziewczęta. Dzicy chłopcy tłumaczący wszystko na język matematyki. Niezliczeni geniusze czekający tylko na to, aż ktoś ich odkryje, i świadomi faktu, że w przeciwnym razie zgniją w przyczepach kempingowych za oborami swoich rodziców, umrą bez grosza przy duszy i będą oplakiwani jedynie przez amiszów, od których kupowali na co dzień jajka.

Kiedy Maxon rozpoczął praktyki w szkolnym planetarium, wręczono mu specjalny scenariusz i kazano nauczyć się na pamięć wprowadzenia dla odwiedzających to miejsce młodszych dzieci oraz skautów. Bez trudu zapamiętał jego treść. Potrafił wyrecytować je na zawołanie, a także wygłosić je na niezliczone sposoby: tonem uprzejmego gospodarza, tonem znudzonego prostaka czy tonem zarażającego entuzjazmem miłośnika nauki. Miał też w swoim repertuarze zupełnie płaski, monotonny głos, który przyprawiał pozostałych pracowników planetarium o -gęsią skórkę. Zwiedzanie mogło się odbywać według kilku różnych programów, a w czasie weekendów w planetarium odbywał się też wieczorami specjalny laserowy pokaz świetlny. Maxon był przekonany, że ludzie często przychodzili na pokaz laserowy po narkotykach. On sam nigdy tego nie robił, nie chciał w żaden sposób wpływać na stan swojej świadomości. Pił wodę źródlaną i jadł wszystko, co wpadło mu w ręce. Miał brązowe, falujące włosy, które szybko rosły, i ciemne, okrągłe oczy o długich czarnych rzęsach. Był wysoki, przygarbiony i kościsty.

W zależności od pory roku stawał się bledszy albo bardziej piegowaty. Ze względu na to, że w ostatnim czasie gwałtownie urósł, często się potykał. Kiedy Sunny zjawiała się w planetarium, była uczennicą pierwszej klasy. Nie znała się na planetariach, nie miała pojęcia o zasadach ich funkcjonowania – on zaś uważał się za eksperta w tej dziedzinie. Natychmiast przyjął rolę gospodarza i zaproponował jej najlepsze miejsce. Niestety wkrótce zjawiono się też kilka innych osób. To był wtorkowy wieczór, dochodziła siódma. Maxon niczego nie jadł przez cały dzień, a na lunch wypił tylko colę light. Kręciło mu się w głowie, nie do końca kontrolował własne ciało, ale starał się w żaden sposób nie dać tego po sobie poznać. Czuł jednak, że coś -trzepotało głęboko w jego wnętrzu.

Maxon, który gwałtownie urósł w wieku czternastu lat, zaczął się w towarzystwie Sunny

czuć coraz bardziej nieswojo. W drugiej klasie z jego ciałem działo się coś dziwnego, coś, czego się nie spodziewał i czego do końca nie rozumiał. Jego kości stopniowo się wydłużały, w jego brzuchu coś się zmieniało. Miał teraz niższy głos. Stał się inną osobą. Sunny też wyrosła: była wysoka, pełna energii, a zarazem delikatna, choć udawała, że tego nie zauważa. Dynamika ich relacji kompletnie się zmieniła. Zupełnie inaczej się do siebie odnosili. Nie chcieli już wymyślać sobie łamigłówek ani czegokolwiek udawać. Czas, który spędzali osobno, wypełniali całkowicie odmiennie, zmiierzając w różnych kierunkach, więc kiedy wracali do domu i przebywali razem, stawali się sobie coraz bardziej obcy. Maxon patrzył na Sunny, słyszał jej głos, wsłuchiwał się w to, co mówiła. A mimo to jego ciało reagowało na to wszystko w dziwny, niezrozumiały sposób.

Wiedział, że nie są już małymi dziećmi, które turlały kamienie i budowały tamy na strumieniu, napinając przy tym każdy mięsień, uwypuklając przy tym każdą żyłę. Wiedział, że nie są już tą nieśmiałą parą, która mocno trzymała się za ręce, zmiierzając w kierunku wodospadu, tak żeby żadne z nich nie runęło w dół zbocza. Nie wiedział do końca, jakie zmiany w nich zachodzą i w jakim kierunku zmiierzają, miał jednak świadomość, że wiązało się to w jakiś sposób z rozmnażaniem i genitaliami. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Odkąd wyrosli na tyle, że mogli opuszczać podwórko przy jej domu, wyruszali razem na przejażdżki – ona na koniu, on na rowerze – i przemierzali rzadko uczęszczane drogi, jary i wąwozy. Nie było miejsca, do którego Pocket nie zdołałby dotrzeć, nie było też miejsca, do którego nie dojechałby Maxon na swoim rowerze. Gdyby matka wiedziała, jak spędzali czas, umarłaby ze strachu, ale kiedy wyruszali na przejażdżkę, nie wiedzieli nigdy, gdzie ostatecznie wylądują. Wiedzieli tylko, że będą mknęli przed siebie, galopem, absolutnie wolni. Kiedy rower się zepsuł, Maxon kradł brakujące części z cudzego roweru i zawsze go jakoś uruchamiał – a w najgorszym razie podnosił go i biegł przy Sunny, wciąż dbając o to, by odpowiadać „tak” lub „nie” we właściwych momentach.

Czasami, kiedy ona miała coś ważnego do zrobienia, Maxon jeździł sam. Przy takich okazjach poruszał się szybciej, mknął w zawrotnym tempie, stawał na pedałach, wspinając się na niemal pionowe zbocza, a potem obracał się gwałtownie na żwirze i pędził w dół. Kiedy tylko mógł, oglądał kolarstwo w telewizji. Lubił patrzeć na ludzi wczepionych w swoje maszyny, wpiętych w pedały w taki sposób, że człowiek i rower splatali się ze sobą, a koła stawały się przedłużeniem ludzkich stóp. Uwielbiał ten wysiłek. Chciał jeździć po górach całego świata, chciał przemierzać całą ziemię i wszystkie jej wzniesienia. W miarę jak jego ciało stawało się coraz silniejsze, zmieniał się też jego umysł, pojawiały się w nim nowe wzory i schematy. Doszło do tego, że ilekroć jeździli razem, to on zawsze był szybszy, a ona z niezadowoleniem wydymała wargi i robiła nadąsaną minę.

Tamtego dnia, kiedy spotkali się w planetarium, nie jeździli już razem od wielu miesięcy. Pojawiło się między nimi coś nowego. Zaczęło się dziać coś dziwnego, coś, czego Maxon nie rozumiał.

Na salę weszli kolejni ludzie, ale nikt nie usiadł blisko Sunny. Wszyscy zajmowali oddalone miejsca, tak jakby jej unikali – ale nie ze wstrętem czy obrzydzeniem, tylko raczej z pewnego rodzaju szacunkiem. Części dzieci towarzyszyli rodzice, przyszło też trochę starszych uczniów. Na koniec zjawił się zastęp skautów z prezbiteriańskiego kościoła w Knox; chłopcy zajęli miejsca w jednym rzędzie, a na końcu, po obu ich stronach, usiedli mężczyźni w mundurach. Nikt nie zbliżał się do Sunny. Wszyscy otoczyli ją pierścieniem i czekali na pokaz w przyćmionym świetle, pod białą kopułą planetarium. Maxon podszedł i usiadł obok niej na rozkładanym fotelu.

– Pokaz trwa trzydzieści siedem minut – poinformował.

– W porządku – odpowiedziała.

Uśmiechnęła się, z pozoru zwyczajnie, on jednak obserwował w ciemności zarys jej ust. Były większe, miał też wrazenie, że są pełniejsze. Tak, po chwili zyskał pewność: zdecydowanie się powiększyły. Zmrużył oczy, przechylił głowę i lekko się zbliżył, żeby dokładniej im się przyjrzeć. Jej spojrzenie było bardziej zamyślane. Cofnął się, pełen podejrzeń. Wszystkie te szczegóły jej wyglądu wydawały mu się obce: kąciki oczu, łuki brwiowe, koniuszki uszu. Nie obserwował jej dotąd dość czujnie. Przyjmował pewne hipotezy w oparciu o najogólniejsze kontury. Pomyślał, że powinien zwracać uwagę na więcej detali.

– Co? – zapytała.

Nic nie odpowiedział. Rozpiął kołnierzyk, a po chwili znowu go zapiął. Miał wiele, wiele przykrych przygód związanych z żuciem kołnierzyków, dbał więc o to, żeby zawsze były zapięte aż pod samą szyję. Nie nosił żadnych wyciętych bluzek ani koszul. Niczego, co zdołałby zacząć przeżuwać, nawet gdyby miał na to wielką ochotę. Mógł obgryzać koniuszek ołówka albo paznokcie, ale nie własne ubrania. Nie własne ubrania. Nie należało żuć własnych ubrań.

– Denerwujesz się czy coś w tym stylu? Przecież robiłeś to już miliony razy – powiedziała.

– Nie denerwuję się – odparł. – Upewniam się tylko, czy ty się nie denerwujesz. Wiem, że astronomia może skłaniać ludzi do górnolotnych stwierdzeń o „wielkim planie wszechświata”, do mówienia „nagle zdałem sobie sprawę”...

Zachichotała, położyła sobie plecak na kolanach, ścisnęła go, po czym odchyliła się na krześle i spojrzała w górę.

– Wszystko w porządku – zapewniła. – Co za głupek z ciebie. Po prostu czekam na pokaz. Nie mogę się go doczekać. Wiesz, wiele słyszałam o słynnym operatorze planetarium.

Nadszedł czas, by zgasić światła. W pierwszej kolejności należało zwykle odtworzyć nagranie, w którym proszono o zachowanie ciszy i opuszczanie sali jedynie w nagłych przypadkach. Ponieważ widownia była tylko częściowo zapełniona, Maxon wątpił, by pojawił się jakikolwiek nagły wypadek – statystycznie rzecz biorąc, istniało bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, że sprawy potoczą się właśnie w taki sposób. Przeszedł więc bezpośrednio do wprowadzenia i zaczął opisywać nocne niebo, które można obserwować o tej porze roku właśnie tutaj, w hrabstwie Yates. Postanowił, że przemyci drobny sygnał tylko dla Sunny, więc kiedy mówił o Wielkim Wozie, dodał: „O tutaj, nad oborą”. Wypowiadając te słowa, uważnie ją obserwował i zauważył, że lekko kiwnęła głową. Choć siedziała tyłem, widział, jak policzki delikatnie jej się rozszerzają. Wywnioskował z tego, że spodobała jej się ta nieczytelna dla nikogo innego aluzja. Następnie włączył główną część pokazu, usadowił się na swoim fotelu i zaczął przyglądać się Sunny. Siedziała tam, jak żarówka we wnętrzu żarówki, a cienie przebiegały po jej czaszce niczym liście unoszące się na leśnym podłożu. Tam, w górze, znajdowała się wersja nieorganiczna, a tu, na dole, prawdziwa ludzka kopuła.

Maxon wyobraził sobie, jak za pomocą markera i linijki rysuje gwiazdy na czaszce Sunny, przenosząc firmament na jej głowę. Jej uszy wyznaczałyby wschód i zachód, a koniuszek nosa byłby północą. Odwzorowałby niebo, jakie widzi się jesienią, przed rozpoczęciem sezonu łowieckiego – w najlepszym momencie całego roku. Wyobraził sobie, że przykładą linijkę do jej gładkiej czaszki jak do czystej białej tablicy, a potem kreśli idealne figury i linie. Po skończeniu zapaliłby lampkę wewnątrz jej głowy i jego dzieło wyświetliłoby się na kopule planetarium. Żadnych głupich imion bogów, żadnych absurdalnych, antropomorficznych nazw gwiazdozbiorów, po prostu mapa gwiazd połączonych ze sobą w oparciu o zasady logiki. Pogrupowanych w zależności od tego, która była najmłodsza, która najdoskonalsza i której zostało najmniej życia. Zamiast Raka, Panny czy Byka na kopule nieba ukazywałyby się

algorytmy. Gwiazdozbiory były kompletnym żartem, rymowanką, zabawą dla staruszek. W idealnym Planetarium Sunny nie byłoby miejsca dla takiej dziecinady. Do głosu dochodziłaby w nim matematyka.

Rozległy się ostatnie szумы i pluski, a nad ich głowami ukazały się kometa, meteor oraz galaktyka. A potem pokaz dobiegł końca. Kiedy wszyscy już wyszli, ona nadal siedziała na swoim miejscu. Wreszcie Maxon wyłączył projektory, podszedł i usiadł obok niej.

– Myślę, że chętnie narysowałbym markerem mapę gwiazd na twojej głowie – powiedział. – Nie miałabyś nic przeciwko?

Czule pociągnęła go za ramię, a kiedy go dotknęła, miał wrażenie, że przez jego rękę przepłynął prąd.

– A co, chciałbyś zrobić mi nakłucia w głowie i wkręcić w mój mózg żarówkę? – zapytała.

Znowu oparła się na krześle i podniosła głowę, a jej plecak ześlizgnął się i spadł na podłogę. Maxon cieszył się, że wpadła na pomysł tak podobny do jego własnego.

– Nie sądzę, żebym musiał robić nacięcia – powiedział Maxon. Miał wrażenie, że jego ręce były teraz naładowane elektrycznością i że musi trzymać je na kolanach, bo w przeciwnym razie wystrzela w górę w niekontrolowany sposób. – Myślę, że świeciła-byś po prostu wewnętrznym blaskiem.

Wyprostowała się na krześle. Spojrzał na nią i zdał sobie sprawę, że uważnie się w niego wpatruje. Jej oczy były wilgotne i wydawały mu się nieco większe niż zwykle. Opuściła lekko brodę, poruszyła ustami, ale przez chwilę nie wypływał z nich żaden dźwięk.

– To naprawdę świetne, Maxon – powiedziała. – To, co powiedziałaś, jest naprawdę świetne. Właśnie takie rzeczy ludzie lubią słyszeć.

Powiedziała to bardzo niskim głosem, a on zapytał:

– Ty też lubisz słyszeć takie rzeczy?

– Maxon – powiedziała. – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Chciałabym czegoś spróbować.

– Czego? – wychrypiał.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego szczęki, a potem, koniuszkami palców, przyciągnęła go do siebie. Znowu poczuł się tak, jakby przez jej palce przepłynął prąd. A przecież dotykała tylko jego twarzy. Nie rozumiał, skąd to dziwne uczucie w jego pachwinach, skąd to narastające napięcie w jego miednicy.

– Chciałabym cię pocałować, Maxon. Twoją twarz. Mogę to zrobić?

– Tak – zapewnił. Ale czuł się tak, jakby zaraz miał spaść z -krzesła.

– W usta, dobrze? – zapytała łagodnie.

– Tak – powtórzył.

Jego twarz zbliżała się coraz bardziej do jej twarzy, była coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie mógł swobodnie wciągnąć w płuca zapach jej ubrań i obserwować powiekę Sunny, ten idealny łuk w żaden sposób niezaburzany przez rzęsy czy brwi. A potem pocałowała go. Poczul ciepło jej ust na swoich ustach. To nie był zwykły dotyk skóry o skórę – to było coś innego, coś zdecydowanie głębszego. Maxon poczuł gwałtowny wstrząs, tak jakby w jego klatce piersiowej niespodziewanie wybuchła bateria. Miał wrażenie, że wszystko się w nim nagle włączyło, że jakiś prąd przeszedł przez jego brzuch i przemknął dalej po wewnętrznej stronie jego ud. Wyciągnął ręce, chwycił ją za ramiona i przynajmniej ten jeden raz w życiu jego krzywe, dziwne kolana i długie nogi zechciały z nim współpracować: przyciągnął Sunny do siebie. Stali tam, całując się pod kopułą planetarium. Ona oplotła go w pasie, on ścisnął ją mocno i marzył o tym, żeby ta chwila trwała w nieskończoność.

Wtedy Maxon zrozumiał, że Sunny jest właśnie tą samicą, która powinna stać się jego partnerką płciową, że powinien znaleźć sposób, by umocnić ich relację za pomocą słów i gestów.

– Sunny – powiedział, kiedy wreszcie zdołali się od siebie oderwać.

– Tak? – odpowiedziała. Uśmiechała się. Promieniowała dobrocią i szczęściem. Nadal go obejmowała i głaskała jego plecy, przesuwała koniuszki palców od jego ramion po pasek jego spodni, uspokajając go, drażniąc się z nim, rozpalając go. – Czy chciałbyś powiedzieć: „Sunny, kocham cię”? – zasugerowała.

– Sunny, kocham cię – powtórzył ochryłym głosem.

– Myślę, że ja też cię kocham, Maxon – odpowiedziała. Miała trzynaście lat i być może w jej wnętrzu nie działo się to wszystko, co działo się w jego wnętrzu, ale mimo to oparła dłoń na jego piersi, tak jakby czuła, jaką ma moc. – Wyjdę za ciebie!

Maxon, uwięziony we wnętrzu rakiety, pamiętał przepływającą między nimi energię, pamiętał, jak pod jej dotykiem przepływał przez niego prąd, a wszystkie jego czujniki nagle się uruchomiły. Wszelkie życie ma charakter binarny. Włączone – wyłączone. Nie ma żadnego stanu pośredniego. Życie lub śmierć. Miłość lub jej brak. Pocałunek lub brak pocałunku. Mowa lub milczenie. Każdy wybór prowadzi do kolejnego wyboru, a po drodze nie ma żadnych rozwidleń. Każdy ruch składa się z tysięcy maleńkich decyzji opartych na wyborze między „tak” i „nie”, ale one wszystkie sprowadzają się właśnie do tego jednego „tak” bądź „nie”. Maxon, który czekał niepewnie na rozpoczęcie pokazu w planetarium, był wyłączony. Maxon, który obejmował Sunny i po raz pierwszy naprawdę ją całował, był już zdecydowanie włączony. I nie wyłączył się już przez resztę życia. Ten przycisk został uruchomiony i na zawsze zaklejony taśmą, a obok niego stanął znak „NIE DOTYKAĆ”. Maxon nie byłby zresztą w stanie tego zmienić, niezależnie od tego, co powiedziałyby Sunny ani jak bardzo by na niego pomstowała. To było coś, czego nie dało się już cofnąć.

Matka nie umarła. W jej ciele coś się nagle zacięło. Nie mogła pójść dalej. Coś jej gwałtownie przerwało. Jej wdechy stały się ochryple i przerażające. Pielęgniarki potrząsały tylko głowami i zaciągały zasłonę. Życie wczepiało się we własne resztki, a umysł wczepiał się w ciało, rozdzierając je w swoim rozpaczliwym uścisku. Nie zamierzała umrzeć, nie zamierzała opuścić tego świata w taki sposób, nie dokończywszy wcześniej wszystkich spraw.

Na zewnątrz nic się pozornie nie działo. Ani mrugnięcia, ani grymasu. Ale pod cienką membraną jej ciała toczyła się prawdziwa bitwa. Z jednej strony spustoszenie siane przez nowotwór, powolne usychanie narządów, które upadały jeden po drugim jak podbite miasta. Z drugiej strony hartowanie woli. Liczyła, wspominała, powtarzała, żeby upewnić się, że żyje. Zamierzała wszystko odbudować, komórka po komórce, tkanka po tkance – aż odzyska świadomość. Aż zacznie chodzić, podejmować decyzje i patrzeć, jak dorastają dzieci.

W zaparkowanym przed budynkiem samochodzie siedziała jej łysa córka, w której brzuchu przebywała z kolei jej wnuczka. Sunny nie mogła trzymać się daleko od szpitala, ale nie potrafiła też zmusić się do tego, żeby wejść do środka. Nie mogła skłonić swoich nóg, żeby niosły ją szpitalnymi korytarzami, a mimo to, kiedy wsiadła za kierownicę i zapaliła silnik, musiała przemierzyć drogę prowadzącą do miejsca, w którym leżała jej matka. Mijała je kilka razy i nie skręcała. Albo wjeżdżała na parking, zatrzymywała się, ale ostatecznie nie wysiadała z samochodu i nie wchodziła do budynku. Czowała, że istnieje jakieś dziwne połączenie, płynące do niej przez okno – jeden z pięćdziesięciu prostokątów wbudowanych w tę ceglana powierzchnię, który mógł być właśnie celą śmierci jej matki.

Wyobrażała sobie, że po porodzie zostawi Bubbera i niemowlę w domu, pod opieką Rache. Przy Rache i dzieciach szczeliny w ścianach z pewnością by zniknęły. Dzieci byłyby bezpieczne. Ona zaś wróci wtedy do szpitala, do matki, usiądzie przy niej i będzie oddychała ciepłym powietrzem w pokoju, w którym leżała. Miała nadzieję, że pod jej nieobecność robiła to jakaś pielęgniarka. Że ktoś lituje się nad umierającą kobietą, którą córka, jak ostatnia suka, porzuciła i skazała na samotną śmierć. Owszem, jest w ciąży. Owszem, jest łysa. Owszem, ma teraz wiele zmartwień. To dziecko. Tego mężczyznę. Ale to mimo wszystko niewybaczalne – powiedziałyby pielęgniarka, ściskając -spuchniętą dłoń jej matki. Taką przynajmniej Sunny miała nadzieję.

W dzieciństwie Maxona były okresy, kiedy spędzał każdy dzień u jej boku. Często jednak podczas wspólnych zabaw Maxon zerkał nagle na zegarek, orientował się, że minęła już szesnasta trzydzieści, i zaczynał biec do domu tak szybko, jak tylko potrafił. Tłumaczył, że jego tata wraca o siedemnastej i że musi zjawić się na czas, żeby mu pomagać. Ojciec nie wyobrażał sobie, by jego syn spędzał całe dni w domu po drugiej stronie drogi.

Ojciec Maxona podejrzliwie odnosił się do Emmy i podawał w wątpliwość czystość jej intencji. „Czego oni od ciebie tak naprawdę chcą? – pytał. – A może chcą se wynaleźć popychadło, jakiego chłopca na posyłki?” Jego ojciec nie miał też zaufania do kobiety o brązowej skórze, która żyła w tamtym domu. Nu była pewną anomalią, jedyną w całym hrabstwie osobą, która nie była biała. O ile większość sąsiadów ją akceptowała i chętnie pytała o Birmę i o specyfikę życia w tym dalekim kraju, o tyle niektórzy żywili przekonanie, że jest ona zwykłym czarnuchem. Ojciec Maxona należał oczywiście do tej drugiej grupy i kiedy perorował o tym, że nie wolno pozwalać czarnuchom i Meksykancom na osiedlanie się w tym kraju, na jego ustach pojawiały się kropelki śliny. Prawda była taka, że Nu przyjechała z Birmy, żeby pomóc

Emmie wychowywać Sunny. Emma poprosiła ją o to, bo uważała, że sama nigdy sobie z tym nie poradzi.

Kiedy Emma wróciła z Birmy do Stanów, chciała przede wszystkim zadbać, by Sunny dorastała w otoczeniu przyjmującym różnego rodzaju nietypowość z dużą dozą tolerancji. Żeby żyła w miejscu, w którym mogłaby uchodzić za normalną. Nie potrafiła sobie w tej sytuacji wyobrazić lepszego miejsca niż zapadła dziura w prowincjonalnym hrabstwie, gdzie dorastał Bob Butcher. Bob zawsze z sentymentem opowiadał o tym miejscu, zachwycał się jego maleńkimi kościółkami i niezliczonymi szybami naftowymi. Emma wiedziała, że zamieszkają w hrabstwie Yates, tamtejsi mieszkańcy uznają Sunny za jedną ze swoich, za członka rodziny. Bob z rozbawieniem opowiadał o wyprzedażach garażowych, które nieustannie urządzano w jego stronach, a także o ekscentrycznym milionerze, który wynalazł karteczki samoprzylepne i zaszył się w kamiennej willi na wzgórzu. Żyli tam ludzie tacy jak Sunny. Emma wierzyła, że właśnie tam jej córka poczuje się jak w domu.

Kupiła starą farmę Butcherów. Rodzice Boba z radością się jej pozbyli, tym bardziej że już dawno zdążyli przenieść się na Florydę, gdzie mogli mieszkać bliżej słońca i bliżej swojego drugiego syna, tego dobrego syna, który nie został misjonarzem, nie wyjechał na drugi koniec świata i nie został zamordowany. Uznali, że kiedy sprzedadzą farmę Emmie, będą raz na zawsze mieli z głowy i ją, i jej dziwne dziecko – zrobili to więc bez wahania.

Po powrocie do Stanów Emma nieustannie wisiała na telefonie, długie godziny spędzała też w kancelarii prawniczej, gdzie musiała rozwiązywać niezliczone problemy prawne związane ze sprzedażą formuł opracowanych przez Boba Butchera różnym koncernom farmaceutycznym. Wnikliwe rozszyfrowywanie jego prowadzonych przez wiele lat notatek i zapisków, stanowiących jedynie przykrywkę dla działalności misjonarskiej, przyniosło kilka interesujących odkryć. Środki i receptury, które opracował mąż Emmy, okazały się niezwykle cenne dla przemysłu farmaceutycznego. Po zgłoszeniu odpowiednich patentów wszystkie dokumenty zostały podpisane, ona zaś stała się bogatą kobietą, która mogła zamieszkać, gdziekolwiek chciała, i robić wszystko, na co miała ochotę.

Emma osiadła więc na starej farmie i posłała po Nu, która przyjechała wkrótce z Birmy ze swoimi natami, animistycznymi wierzeniami i mocnymi nogami. Latem całymi godzinami sadziła fasolę, w nieskończoność spulchniając ziemię i zbierając tony warzyw, które potem wekowała. Miała strzelbę, z której strzelała w powietrze, żeby odstraszyć wrony, strzelała w powietrze, żeby odstraszyć jelenie, i zdarzyło jej się też strzelać w powietrze w środku nocy, żeby odstraszyć grupę ludzi, którzy uciekli ze szpitala psychiatrycznego w Warren i zaczęli krążyć wokół domu, mucząc jak krowy. Gotowała, sprzątała i spała twardym snem w pokoju na tyłach domu, trzymając przy łóżku swoją broń i kapliczkę. Spędzała z Maxonem długie godziny, uczyła go rozpoznawać pewne miny i wyrazy twarzy oraz odczytywać mowę ciała innych ludzi, tłumaczyła mu też sens słów takich jak „pełen żalu” i „oczywisty”. Oboje uczyli się angielskiego, żeby w przyszłości mówić tak, jakby angielski był ich językiem ojczystym. W przypadku Nu główną trudność stanowiło słownictwo. Dla Maxona podstawowym problemem była składnia.

Od czasu do czasu jego ojciec wyjeżdżał na dłuższy czas i zostawiał farmę pod opieką swoich starszych synów. To były najlepsze okresy. Właśnie wtedy Maxon mógł w pełni cieszyć się wolnością. Pewnego razu wyjechała też jego matka, pozostawiając dziewięcioletniego wówczas Maxona bez opieki rodziców na całe dwa tygodnie. W tamtym czasie chłopiec mieszkał u Emmy i Sunny, choć sypiał na ganku, gdzie było mu najwygodniej. Przed snem Sunny opatulala go jak lalkę i przynosiła mu książkę oraz lampkę. „Maxon, zgaś światło, zanim położysz się spać”, prosiła zawsze Emma, żegnając się z nim, a następnie zamykała drzwi. A mimo to rano światło nadal się paliło, książka leżała otwarta na jego piersi, a z lampki

próbowały się wydostać setki uwięzionych w środku ciem. Ponieważ Nu karmiła go obficie, wrócił do domu nieco mniej tyczkowaty, z kilkoma dodatkowymi kilogramami.

Złe czasy nadchodziły wtedy, gdy ojciec Maxona wracał do domu. Paul Mann był wysokim, szorstkim człowiekiem, zgarbionym i pozbawionym szyi. Spodnie na szelkach zwisały na jego kościstych ramionach. Miał niezbyt długą, siwą brodę, a wokół kołnierzyka jego poźółkłej koszuli pojawiało się często wilgotne półkole. Ciągle coś robił, wiecznie zrzedził i mamrotał, szybko mrugając załzawionymi oczyma. Chwytał się wielu zajęć: zajmował się wyrębem drzew, majsterkowaniem, robił odwierty w poszukiwaniu ropy, polował i zastawiał sidła.

Emma nie miała pewności, czy rodzina Mannów borykała się z prawdziwymi problemami finansowymi, czy też świadomie wybrała taki styl życia. Ojciec Maxona wydawał się wiecznie zajęty i choć z pewnością nie był próżniakiem, to ich wydatki były ograniczone do minimum. Maxon i jego starsi bracia chodzili zwykle w łachmanach albo czymś zbliżonym do łachmanów, ich dom stopniowo się rozpadał, a dach obory przeciekał. Na pastwiskach stały dziesiątki porzuconych, zdezelowanych pojazdów, których używano jako zagród dla owiec, chlewów i magazynów na inne części samochodowe. Ojciec Maxona był dumnym chomikiem: wypełniał swój garaż, swój dom, swoją oborę i pozostałe budynki gospodarcze przedmiotami, których mógł potrzebować w przyszłości – narzędziami, zapasowymi częściami, szmatami, zwierzętami i synami.

Rodzice Boba Butchera mieli zawsze problemy z tym kłótliwym sąsiadem i często przyłapywali jego albo któregoś z jego podejrzanych kuzynów, jak ścinali drzewa po niewłaściwej stronie miedzy. Starsi synowie, którzy spędzali sobotnie wieczory na picciu podpiwku, pędzili po drogach swoimi starymi gruchotami, nie zapalając nawet świateł. Nieustannie wpadali w -drzewa, palili gumy na żwirze i bawili się klaksonem w środku nocy.

Emma starała się to wszystko ignorować i nie kłócić się z Mannami, przeczuwając, że to Maxon najboleśniej odczułby skutki ewentualnych konfliktów. Ale pewnego razu Emma dosłownie się z nimi zderzyła. Tamtego popołudnia postanowili pojechać na lody. Maxon i Sunny siedzieli z tyłu, Nu na miejscu pasażera, a Emma za kierownicą. Zamierzała później podrzucić Maxona do domu, tak żeby dotarł tam punktualnie na piątą i żeby nie odczuł gniewu swojego ojca. Jechali pełną zakrętów drogą gruntową w kierunku rzeki. W pewnym momencie droga stała się wyjątkowo kręta i niespodziewanie zaczęła opadać. Nagle zza zakrętu wynurzyła się gwałtownie ciężarówka Paula Manna, która uderzyła prosto w należącą do Emmy niewielką hondę accord. Ciężarówka odskoczyła, wpadła w poślizg na żwirze i wjechała w drzewo. Zawisła niebezpiecznie blisko krawędzi zbocza. Paul Mann kilkakrotnie próbował dodać gazu, ale spod kół strzelały tylko żwir i błoto. Ale ciężarówka ani drgnęła. Ojciec Maxona szybko wyskoczył z samochodu i zaczął z wściekłością chodzić tam i z powrotem. Jego gruba żona wyślizgnęła się od drugiej strony, głośno łkając i przeprasząc męża. Wyglądała prosto i skromnie, miała smutne oczy i cienkie włosy.

– Dzieci, siedźcie spokojnie – powiedziała Emma. – Nie jesteście ranne?

Nie były. Wtuliły się w siebie na tylnym siedzeniu – noga Sunny leżała na kolanie Maxona, a jego ręka otaczała jej szyję. Nic się nie stało. Ale wściekłość Paula Manna nie słabła.

– Cholerne babsko! – zawołał. – Mówił żem ci, żebyś mnie nie szarpała, kiedy siedzę za kółkiem!

– Paul, Paul, przepraszam! – wyjęczała jego żona. Miała na sobie powyciąganą bawełnianą sukienkę w kwiaty. Musiała ważyć jakieś sto trzydzieści kilogramów. Emma nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób ta rozlazła, spocona kobieta mogła szarpnąć swojego wysokiego, gwałtownego męża. Nagle jednak Paul Mann wziął zamach i uderzył żonę w twarz.

Pani Mann odskoczyła, a na jej twarzy pojawiło się niemal komiczne w swojej przewidywalności zaskoczenie. Tymczasem ojciec Maxona, jakby nigdy nic, pochylił się nad swoją ciężarówką i zaczął oceniać skalę zniszczeń. Ta scena rozsierdziła Nu do tego stopnia, że podczas gdy Emma podbiegła do matki Maxona, żeby pomóc jej się podnieść, Nu ruszyła z wściekłością przez zwirową drogę, zawiesiła swoją niską, krępą sylwetkę nad Paulem Mannem i mocno szturchnęła go butem w zadek.

– Hej, ty śmieciu – powiedziała. – Ty śmieciu, jak ty traktujesz swoją żonę? Co z ciebie za mężczyzna?

– Idź do diabła – warknął ojciec Maxona, nie odrywając oczu od swojego błotnika. Nu po raz drugi podniosła nogę i bez trudu utrzymując równowagę, znowu go uderzyła, odwzajemniając przy tym jego warknięcie. Paul Mann powoli się wyprostował. – Kim ty, kurwa, jesteś? Jakimś Meksykanem?

Pani Mann płakała, opierając głowę na ramieniu Emmy, a z jej rozciętych ust płynęła krew. Patrzyła przepaszając swoimi małymi, zaczerwienionymi oczkami.

– Mnie tam go nie żal – oznajmiła z gniewem. – Jest za dużym waśniakiem na to hrabstwo? A gdzie tam. Może tak to sobie umyślił, ale to brednie.

Na twarzy Nu malował się absolutny spokój. Tym razem wymierzyła solidnego kopniaka w kolano Paula Manna, trafiając tuż poniżej stawu. Mężczyzna był tak zaskoczony, że runął na ziemię jak drzewo obgryzione przez bobry.

– O kurwa! – wrzasnął. – O kurwa, ty jebana Meksykanko! Zabierz ją ode mnie, Laney! Nu wymierzyła mu cios w mostek, tak mocny, że aż go za-tkało. Złapał się za gardło i zaczął kaszleć, a oczy wyszły mu z orbit.

– Zabiłaś go! Zabiłaś go! Olaboga! – lamentowała pani Mann i znowu zaczęła głośno łkać.

Emma otarła twarz pani Mann swoją kwiecistą sukienką, po czym postanowiła interweniować. Udając, że nie widzi, iż ojciec Maxona leży na środku drogi i wściekle przewraca oczami, zwróciła się do niego uprzejmie:

– Panie Mann, wydaje mi się, że trzeba odholować pański samochód. Czy mogę zawieźć pańską żonę do miasteczka, żeby wszystko tam załatwiła? Chętnie to zrobię. Mogę potem odwiedzić ją i Maxona do domu o dowolnej, dogodnej dla pana porze. Co pan na to?

– Tak! – wtrąciła z entuzjazmem pani Mann. – Pani Butcher weźmie i mnie podrzuci, a ja przyślę po ciebie Pete'a z wycią-garką.

Paul Mann rzucił im gniewne spojrzenie, ale po chwili głęboko westchnął, zrezygnowany i najwyraźniej pokonany.

– W porządku – odburknął. – Pójdę se do domu na piechotę, to tylko kilometr z hakiem. Pete sam znajdzie ten pierdolony samochód. Jechaliśmy właśnie sprawdzić, co zrobiliście z chłó-pakiem.

– Nie zostawisz tu ciężarówki. Blokuje drogę – oznajmiła Nu z oburzeniem. – Zostań tu i kieruj ruchem, głąbie. – Odwróciła się, wsiadła z gracją do samochodu i zatrzasnęła drzwi. – A wy, dzieci, bądźcie cicho tam z tyłu – dodała na wszelki wypadek, przyglądając czarne warkocze i poprawiając swój skromny kołnierzyk. – Wszystko pod kontrolą.

Pani Mann, ośmielona tą niespodziewaną demonstracją kobiecej siły, pomaszzerowała do swojego męża i stanowczym ruchem wyciągnęła w jego stronę pulchną, spoconą dłoń.

– Stary, dawaj jakieś pieniądze na naprawę – oznajmiła, wykrzywiając usta w podkówkę jak rozkapryszony niemowlak.

– Ile? – warknął, sięgając do kieszeni.

– Dawaj dużo dolców – nakazała zadziornie. – Jadę do miasteczka.

Później, kiedy już ruszyli, siedziała w milczeniu między Emmą i Nu. Dzieci też nic nie mówiły. Zresztą cóż można było w tej sytuacji powiedzieć? Ale Sunny zobaczyła tego dnia coś nowego, coś, czego nigdy dotąd nie widziała. Z przodu siedziała pochlipująca pani Mann, tusta kobieta w pomiętym ubraniu, wciśnięta między spokojną i opanowaną Emmę Buther a jej małą, siejącą spustoszenie Nu. Dotarli do końca drogi gruntowej, wyjechali na dwupasmową drogę i przyspieszyli.

Sunny zwróciła się głośno do Maxona:

– Czy twój ojciec cię bije?

Matka Maxona oparła pulchną rękę na oparciu fotela i za-pewniła:

– Gdzie tam, on nigdy tego nie robił. I nigdy by tego nie zrobił. Paul kocha swoje dzieciaki. To zły mąż, ale dzieciaki kocha jak nic.

Maxon rzucił Sunny chłodne, pełne rezerwy spojrzenie. Nie musiał nic mówić. Patrząc na niego, wiedziała, że to, co powiedziała jego matka, nie było prawdą. Wiedziała to samo, co wiedziała jej matka, kiedy tamtego dnia przywiozła go do domu i kiedy pomyślała, że zostawienie tam Maxona niewiele by się różniło od podania mu trucizny. Sunny wszystko wreszcie zrozumiała. Choć czasem była niezadowolona i uważała, że jej matka zbyt dużo czasu poświęca Maxonowi, rozumiała już, dlaczego pomagała mu uczyć się śpiewu i gry na pianinie, dlaczego tworzyła dla niego wszystkie te tabele i wykresy, dlaczego w kółko tłumaczyła mu pewne rzeczy, choć Maxon nawet nie słuchał, choć Maxon nawet nie patrzył; dlaczego musieli się nagle zatrzymać w połowie tych historii i rozważać w nieskończoność, jak czuje się dana osoba, dlaczego tak się czuje i co zamierza zrobić. Choć Sunny miała dopiero osiem lat, rozumiała, że było warto.

Tymczasem Emma, zajmująca miejsce z przodu obok tej pochlipującej, prześladowanej przez męża góry tłuszczu dręczonej poczuciem winy – rozumiała, że to ona musi uratować dziecko, które siedziało na tylnym siedzeniu, obok jej dziecka. Wiedziała, że może je uratować, ale zdawała sobie też sprawę, że to dziecko zostało już na zawsze naznaczone. I o ile wcześniej kierowało nią głównie poczucie misji, bezinteresowne pragnienie niesienia pomocy i postępowania jak misjonarka czy zakonnica, teraz niepokoiła się przede wszystkim o Sunny. Czy miała prawo zapraszać całe to okropieństwo do życia swojego dziecka? Miała nadzieję, że nie posunęła się zbyt daleko. Miała nadzieję, że da się to jeszcze w jakiś sposób cofnąć. Kiedy jednak spojrzała w lusterko i zobaczyła wtulone w siebie dzieci, zrozumiała, że na to już pewnie za późno. Maxon był inny. Sunny była inna. Razem byli inni. I niezależnie od tego, jacy byli dziwni i pokręcani – rozdzielenie ich wydawało się niemal niemożliwe.

W jednym ze szpitalnych pokoi życie walczyło o to, żeby przeżyć, usiłowało się uratować, uciec śmierci i zrobić ze wszystkim porządek. Wszystko, na co się niepotrzebnie pozwoliło, wszystko, co się jeszcze nie wydarzyło – to wszystko można było jeszcze naprawić, wyprostować. W łonie Sunny dojrzywało inne życie, które walczyło o to, by przyjść na świat, by się narodzić. Nie popełniło jeszcze żadnych błędów. Nie znało miłości, smutku, spokoju, strachu. Dla niego istniały tylko dostarczany przez matkę pokarm oraz niezwykle wąski zakres doświadczeń. A jednak to życie, jeszcze nieożywione, chciało za wszelką cenę się stąd wydostać, wyjść z cienia, przejść do następnego miejsca, do następnych doświadczeń. Jedno życie rozpaczliwie walczyło o przetrwanie, a drugie pchało się naprzód. Kiedy jedno parło naprzód, drugie było jednocześnie wypychane. Życie i śmierć trwały dokładnie w tej samej, ciągnącej się w nieskończoność chwili.

Sunny oglądała program na kanale NASA i tęskniła za Maxonem. Kiedy był w domu, w telewizji leciały wyłącznie kolarstwo albo informacje giełdowe. Kompletnie nie interesowały go programy rozrywkowe. Gdy nie było go w pobliżu, Sunny łatwo stawała się nieobecna, rozgorączkowana. Miała nadzieję, że w ciągu ostatnich pięciu wspólnie spędzonych lat nie zdążyła zepsuć ich małżeństwa i miłości. Kiedyś była tylko dla niego, zajmowała się wyłącznie kochaniem go. Kładła się przy jego długim, guzowatym ciele i idealnie do niego pasowała. Razem przypominali przeszczep, nowy twór, który powstał dzięki wspólnie spędzonemu czasowi i idealnej miłości.

Gdy zaszła po raz pierwszy w ciążę, bała się, że musi teraz stać się inną osobą. Kiedy zostajesz matką, nie ma już przecież na nic innego miejsca. Kiedy zostajesz sierotą, nie możesz przecież być jednocześnie kimś innym. Martwiła się, że to, kim się stała, mog-ło w jakiś sposób tłumić jej miłość, tak długo, aż stanie się ona tylko nawykiem, wspomnieniem. Może nie jesteś w stanie do końca wtulić się w ciało drugiej osoby po tym, jak nosiłaś w sobie dziecko? Może twój smutek wiąże cię z tymi, którzy odczuwają podobny smutek? Jej matka umierała. Sunny tęskniła za Maxonem, za starym Maxonem, i za tym, jak było kiedyś między nimi. A przecież wiedziała, że on zawsze był starym Maxonem. To ona się zmieniła. Ale to, że próbowała stać się kimś innym, wydawało jej się teraz głupie i bezsensowne.

W porze lunchu Sunny odebrała e-mail przypominający o tym, że doroczna sąsiedzka wystawa rękodzieła, którą sama zresztą pomagała organizować, odbędzie się właśnie tego popołudnia. Tytuł wiadomości brzmiał: „Nie zapomnijcie!”. Sunny zmarszczyła brwi. Czy pójdzie na to przyjęcie? A jeśli jej matka umrze właśnie w tym czasie, a ona będzie musiała nagle jechać do szpitala? A jeżeli Maxon spadnie z nieba, a ona będzie musiała go łapać? A jeżeli w Bubberze coś raptem przeskoczy i jej syn zacznie niespodziewanie wymieniać liczby pierwsze? Chciałaby to przecież nagrać. A jeżeli podczas przyjęcia poczuje potężny skurcz, a wody odejdą jej na piękne dębowe deski? Sunny wygładziła sukienkę, pod którą kopało i kręciło się jej dziecko. A jeżeli wszyscy spojrzą na nią ze zdziwieniem i zapytają: „Dlaczego tu jesteś? Po co przyszedłaś?”? I wtedy rozległ się sygnał telefonu. Okazało się, że dzwoniła Rache, która chciała się dowiedzieć, czy Sunny wybiera się na przyjęcie.

– Zamierzasz iść? – zapytała Rache.

– A co, łysi też mogą?

– Bardzo śmieszne. Oczywiście, że łysi też mogą. W zeszłym roku zjawiał się przecież mąż Tiny, pamiętasz? – zażartowała Rache. – Ale tak poważnie, to nie musisz przychodzić, jeżeli masz się dziwnie czuć.

– Czy czuję się dziwnie? – zaczęła się głośno zastanawiać Sunny. – A czy ty czujesz się dziwnie, Rache? Czy ktokolwiek czuje się dziwnie? Czy ktokolwiek kiedykolwiek nie czuje się dziwnie?

– O co ci chodzi? Masz do mnie o coś pretensje?

Sunny milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

– Przyjdę.

– A co zamierzasz przynieść do jedzenia? – zapytała Rache. – Miałas czas przygotować jakieś przystawki? Jeżeli chcesz, mogę się z tobą podzielić swoimi grzybowymi pasztecikami.

– Nie, nie trzeba – zapewniła Sunny. Czuliła się tak, jakby znalazła się nagle w samym środku dziwnego snu, w którym stała się na nowo gospodynią domową z dobrej dzielnicy,

rozmawiającą z inną gospodynią domową o przystawkach na przyjęcie, na którym zamierzała się niedługo zjawić. – Przyniosę... swój miodowy warkocz.

– Miodowy warkocz? Takie coś w ogóle istnieje? – zdziwiła się Rache.

– Oczywiście, że tak. To przepis mojej babci. Miodowy warkocz. To holenderskie danie.

– O którą babcie chodzi? O tę nieżyjącą czy o tę, która nigdy tak naprawdę nie istniała?

– Ranisz moje uczucia, Rachel – złażała ją Sunny, po czym dodała z powagą: – Piekę miodowe warkocze, odkąd byłam małym dzieckiem.

– No dobrze, w takim razie widzimy się u Jenny o trzeciej. Czy ty... czy twoja niania zajmie się Bubberem?

– Tak, ach... tak.

– Świetnie. Poradzisz sobie. Do zobaczenia o trzeciej, dobrze? Trzymaj się, kochana.

Sunny czuła się jak linoskoczek bez liny. Jak aktor występujący na scenie bez kostiumu i bez tekstu. Próbowwała znaleźć odpowiedź na pytanie, co Sunny sprzed tygodnia przyniosłaby na sąsiedzką wystawę rękodzieła. Koszyk pełny starannie udekorowanych muffinów, w pięknych bibułkach, po trzy dolary każdy? Tacę ze srebrną biżuterią, nad którą pracowałyby przy swoim śliniącym się i kołyszącym się dziecku? Naszyjniki sprzedawałaby po dwadzieścia pięć, a bransoletki po trzydzieści pięć dolarów.

A teraz musiała jeszcze upiec miodowy warkocz. I nie wiedziała nawet, co to takiego. Bubber siedział przy pianinie w salonie. Spędził tam ostatnią godzinę. Grał arpeggia w górę i arpeggia w dół, arpeggia w górę i arpeggia w dół – w nieskończoność uderzając palcami w klawisze. Pianino pomagało mu się pobudzać.

Kiedy maleńki Bubber zaczął całe godziny spędzać na otwieraniu i zamykaniu szafek, Sunny natychmiast zabrała go do pediatry. Powiedziano jej, że jest to pewna forma autostymulacji. Niektóre dzieci w tym celu kołyszą się albo uderzają w coś głowami, a inne stukają ołówkami, mlaskają językiem albo machają rękami. Bubber bawił się już wcześniej w walenie głową w różne przedmioty – oczywiście podali mu odpowiednie leki i musiał też nosić kask. Otwierał i zamykał szafki, potem skupił się na robieniu list, tworzeniu etykiet i powtarzaniu spółgłosek. Teraz zaś siedział przy pianinie i grał na przemian dźwięki niskie i wysokie, niskie i wysokie, pół kroku w górę i pół kroku w dół, z przerażającą wręcz dokładnością. Sunny nie chciała mu przerywać. Był zajęty. Zresztą robił coś naprawdę niesamowitego. Zastanawiała się, co ona sama, już bez peruki, zdecydowałaby się zanieść na przyjęcie. Zastanawiała się, co Bubber, już bez leków, zagrałby na pianinie. Mieli w domu pianino tylko dlatego, że w domu takim jak ten właściwie każdy spodziewał się ujrzeć pianino.

Poczuła łagodny skurcz i oparła się o kuchenną wyspę. Jej twarz była naga – żadnych brwi, żadnych rzęs, żadnych sztucznych, pożyczonych ludzkich włosów opadających jej na czoło i policzki. Miała na sobie lekką, luźną sukienkę z wysoko podniesioną talią oraz różowy kaszmirowy szal. Ponieważ nagle poczuła absolutną pewność, że miodowy warkocz zawiera mięso, wyciągnęła z lodówki kawał mielonego indyka.

Kiedy już udało jej się przygotować coś, co było w gruncie rzeczy słodką masą na klops, i zagniotła to w metalowej misce – nie zważając na trzy zupełnie delikatne skurcze – spojrzała na swoje lepkie dłonie i blad różowy, dość mizernie wyglądający efekt swojej pracy. Chciało jej się płakać. Zdecydowała, że wykręci się z przyjęcia. Zawsze mogła przecież powiedzieć, że miała skurcze. Mogła powiedzieć, że się rozchorowała. Mogła powiedzieć, że nie zjawiła się niania. Rozwałkowała ciasto na paski, umieściła na nich mięso i zaplotła warkocze, a następnie ułożyła je na blasze, którą wsadziła do piekarnika. Miała je stamtąd wyjąć po czterdziestu minutach. A gdzie będzie ona sama za czterdzieści minut? Wciąż tutaj? A może zdąży do tego czasu wymknąć się przez okno i przedostać do zupełnie innego wszechświata?

Bubber walił niestrudzenie w klawisze. Wydawało się, że nigdy mu się to nie znudzi. Jeden, trzy, pięć, osiem, pięć, trzy, jeden. Pół tonu w górę. Jeden, trzy, pięć, osiem, pięć, trzy, jeden. Sunny poszła na górę, żeby się przebrać. Włożyła czarne ciężowe spodnie i kremową bluzkę z falbankami, do tego dobrała bransoletki i długie kolczyki. Przejrzała się w lustro i zwróciła się do tej nowej, dziwnej hybrydy: zuchwałej, łysej Sunny, która miała na sobie drogie, eleganckie ubrania noszone na co dzień przez tamtą dawną Sunny o gęstych, bujnych włosach.

– Weź się w garść – powiedziała. – Bądź dumna ze swojej łysiny. Bądź dumna z miodowego warkocza. Bądź z siebie dumna. Jesteś żoną Maxona Manna. Laureata Nagrody Nobla. Jesteś córką Emmy Butcher. Naprawdę zajebistej kobiety. Bądź z tego dumna.

Rozległ się dzwonek i Sunny zbiegła na dół, żeby wpuścić nianię. Musieli mieć nianię, która była jednocześnie pielęgniarką, bo Maxon wolał, żeby w ich domu zjawiało się jak najmniej osób. Żadnej kolejki nastoletnich opiekunek do dzieci. Żadnego wymieniania się dziećmi z innymi matkami mieszkającymi przy ich ulicy. Niania okazała się osobą kompletnie pozbawioną poczucia humoru, ale bardzo kompetentną. Problem jej poczucia humoru nie miał zresztą żadnego znaczenia. To, że Maxon zgodził się, by ktokolwiek zjawiał się regularnie w ich domu, stanowiło wystarczający powód, żeby natychmiast ją zatrudnić.

– Bubber gra na pianinie – zauważyła niania. – No proszę, całkiem dobrze mu idzie! Nie wiedziałam, że umie grać.

– Ja też nie wiedziałam. Ale odstawiłam mu leki – wyjaśniła Sunny. – Może być przez to trochę nieobliczalny. Nie zdziw się, jeżeli nagle zacznie się śmiać, krzyczeć, rozszyfrowywać teksty kultury harappańskiej albo po prostu pójdzie spać. Nie mam pojęcia, jak się zachowa. Ale biorę ze sobą komórkę i będę na przyjęciu dosłownie ulicę dalej, więc dzwoń do mnie, gdyby cokolwiek się działo.

– Dobrze, a jak długo powinien grać na pianinie? – zapytała niania.

– Tak długo, jak będzie miał na to ochotę – odparła Sunny. – Oczywiście wszystko w granicach rozsądku. Prawda?

Nie czekając na odpowiedź, Sunny sięgnęła po półmisek w kwia--ty i przełożyła na niego miodowy warkocz, który zdążył nieco stwardnieć i być może nadawał się już nawet do krojenia. Pocałowała Bubbera w czoło, a on odchylił lekko głowę i powiedział:

– O, kocham cię, mamó. – Powiedział to głosem, w którym dało się niemal wychwycić modulację. Ani na chwilę nie przerwał gry na pianinie. Sunny doznała szczęścia, słysząc te słowa z ust swojego syna nawet po tym, jak odstawiła mu leki.

Kiedy znalazła się na ulicy, poczuła podmuch wiatru na swojej głowie. Sunny kilkakrotnie organizowała sąsiedzkie wystawy i warsztaty rękodzieła, ale potem pozwoliła, żeby ten zaszczyt przechodził też na kolejne osoby z jej kręgu znajomych. Sąsiedzka wystawa rękodzieła była raczej spotkaniem służącym wymianie niż przedsięwzięciem czysto komercyjnym, choć oczywiście na wszystkich przedmiotach widniały ceny i każdy od czasu do czasu wyjmował tu portfel. Jeżeli kupiłaś samodzielnie zrobione przez Theresę kolczyki z paciorkami za trzydzieści pięć dolarów, ona mogła się odwrócić i nabyć trzy opakowania osobiście podstemplowanych przez Rose kartek bożonarodzeniowych. Rose mogła z kolei kupić przygotowaną przez Sylvię miksturę do aromaterapii, a wtedy Sylvia podchodziła do ciebie i zaczynała mierzyć twoje srebrne naszyjniki. Nikt tak naprawdę nie wychodził z takich przyjęć ani bogatszy, ani uboższy – ale wszyscy zabierali do domów naręczą drobiazgów, które mogli później rozdawać swoim nieco mniej ważnym znajomym, mówiąc na przykład: „To mydło zostało ręcznie wykonane przez jedną z moich koleżanek, mieszkającą przy tej samej ulicy. Powąchaj. Czy nie uważasz, że pachnie jak bożonarodzeniowe pierniczki? Wiedziałam, że ci się spodoba!”.

Uczestniczki sąsiedzkiej wystawy rękodzieła nie potrzebowały dodatkowych pieniędzy na święta. One po prostu miały ochotę pobawić się w sklep. Sunny dotarła pod dom Jenny. Na jej idealnym trawniku stał na podpórce starannie wykonany plakat przystrojony girlandami i balonami. Gdyby jednak ulicą przechodził nieznajomy, nie miałby pojęcia, jaka uroczystość odbywa się tu tego popołudnia.

W należącym do Jenny nowoczesnym pałacu w stylu tudoriańskim zajęta była niemal każda powierzchnia. Na maleńkich stolikach leżały filcowe kulki z kocimiętką. Stół w jadalni ugiął się pod ciężarem niezliczonych torebek i kapeluszy. Eleganckie kobiety sunęły po kolejnych pokojach, przemierzały hol z majestatycznymi schodami, salon z ogromnym kominkiem oraz jadalnię, której ściany zdobiło wielkie malowidło – walijski pejzaż – sąsiadujące z francuskim stołem i niemieckimi szybami. Jenny nie była obdarzona szczególnym talentem do dekorowania wnętrz, ale konto bankowe jej męża nie miało dna. Ponieważ nie był przesadnie wierny i w powietrzu wisiał rozwód, Jenny nie miała szczególnych skrupułów i chętnie wydawała jego pieniądze.

Kiedy tylko stopa Sunny dotknęła pięknej podłogi w holu Jenny, jej ciało natychmiast podpowiedziało jej, co robić dalej. Ruszyła do kuchni, pochwaliła efekty remontu, postawiła na blacie swój półmisek, a następnie otworzyła szufladę ze sztućcami i wybrała nóż idealny do pokrojenia przyniesionego przez siebie miodowego warkocza.

– Co to jest, Sunny? – zapytała Jenny słodkim głosem. Najwyraźniej robiła dobrą minę do złej gry. Jej mąż stał w jadalni. Miał na sobie tweedową marynarkę i skórzany kaszkiet, spod którego wystawały długie siwe włosy, związane w ohydny kucyk. Miał przenikliwe spojrzenie, czarne oczy i pełną napięcia twarz. Jenny wolała trzymać się od niego z daleka. Była wśród swoich przyjaciółek i nie zamierzała niczego dać po sobie poznać.

– To miodowy warkocz – wtrąciła się Rache. – Norweski.

– Holenderski – poprawiła ją Sunny.

– O, świetnie! Muszę spróbować... trochę później. – Jenny z gracją przeszła dalej, żeby pochwalić torebki uszyte przez matkę Angeli.

Sunny stała przy kredensie i przyglądała się lśniącyom głowom oraz kształtnym, gładkim ramionom swoich sąsiadów. To byli dobrzy ludzie, inteligentni ludzie. Choć zdjęła perukę, nie czuła się wcale lepsza od nich, nie zaczęła nagle uważać, że nie zasługują na to, by zaszczyciła ich swoją obecnością. Wręcz przeciwnie. Niczego nie podejrzewając, wpuścili ją do swojego świata, pozwolili jej wybić się na sam szczyt stworzonej przez siebie hierarchii, słuchali jej rad, realizowali jej pomysły – a teraz okazało się nagle, że ich zdradziła. Widziała, jak unikają jej wzroku, a gdy tylko się odwracała, natychmiast czuła na sobie ich spojrzenia. W pewnym sensie stała się dla nich niewidzialna, ale jednocześnie nie mogli oderwać od niej oczu.

Nagle rozległo się głośnie pukanie do drzwi, a po chwili w progu pojawiła się znajoma postać, postać śmiała i pewna siebie. Do pokoju wkroczył Les Weathers. Kobiety natychmiast otoczyły go niby motyle. Zaproponowały, że przejmą od niego marynarkę, zaprowadziły go do stołu z jedzeniem, wcisnęły mu do ręki talerz i widelec. Ich głosy podniosły się przynajmniej o oktawę. Wszyscy porzucili nagle męża Jenny, który właśnie opowiadał o tym, jak został pobity tuż pod swoim domem, kiedy szedł na przyjęcie sylwestrowe u Hardisonów. Wszyscy już słyszeli tę historię. A oto zjawił się przecież Les Weathers, prezydent wiadomości Kanalu 10. Les Weathers witał się z pozostałymi gośćmi, błyskając śnieżnobiałymi zębami, poklepując każdego po ramieniu i kiwając głową. Ale nagle, ku powszechnemu zdziwieniu, wysoki, jasnowłosy Les Weathers ruszył w kierunku Sunny.

Złapał ją za łokieć, nachylił się nad nią i zapytał:

– Sunny, nic ci nie jest? Co z dzieckiem? Trzyma się tam w -środku?

– Wszystko w porządku, nic nam nie jest – zapewniła Sunny.
– Och, to świetnie – odpowiedział. – Cieszę się, że cię widzę i że postanowiłaś skorzystać z tego miłego jesiennego powietrza.

– Tak, to prawda. Ale niedługo muszę jechać. Do szpitala.

– A co się stało? – zapytał ze zdziwieniem, znowu się nad nią nachylając. – Kolejne skurcze?

– Nie, chodzi o moją matkę.

Les Weathers zmarszczył brwi, a kobiety, które stały przy nich, zawołały ze współczuciem: „Och!”. Doskonale wiedziały o matce Sunny, o tym, że przyjechała tu z Pensylwanii śmiertelnie chora, i o tym, że od tamtego czasu leżała w szpitalu.

– Jak ona się miewa, Sunny? – zapytała Rache. – Odzyskała przytomność? Powiedziała coś?

– Och, kazałam odłączyć ją od respiratora – powiedziała Sunny. – Ona umiera. Niedługo umrze.

Kiedy to powiedziała, poczuła nagłą słabość w klatce piersiowej. Wyobraziła sobie, jak muffin, którego przez cały ten czas trzymała w dłoni, spada nagle na podłogę, a ktoś szybko po niego nurkuje i zgarnia go serwetką. Wyobraziła sobie, jak otaczają ją silne, szerokie ramiona Lesa Weathersa, i ledwo się powstrzymała, żeby nie wtulić się w jego wykrochmaloną koszulę, żeby nie wdychać jego zapachu – pewności siebie z dodatkiem limonki. Najchętniej zaczęłaby teraz płakać, krzyczeć i zawodzić na oczach wszystkich tych ludzi. Ale oczywiście tego nie zrobiła. Muffin pozostał w jej dłoni. Pudełko z uczuciami, które zamknęła w szpitalnym pokoju, pozostawało zamknięte i nic nie mogło się z niego wydostać.

– Już dobrze, już dobrze – Les Weathers zwrócił się raczej do zebranych wokół nich kobiet niż do Sunny. – Nic jej nie jest. Przechodzi ciężkie chwile, ale radzi sobie. Sami widzicie.

– Źle się czuję – powiedziała Sunny i lekko odkaszlnęła.

Zobaczyła siebie z drugiego kąta pokoju: kobietę, która usilnie stara się panować nad sobą i która mocno zaciska usta. Och, jak bardzo pragnęła teraz krzyknąć do nich wszystkich: „ŹLE SIĘ CZUJĘ! ŹLE SIĘ CZUJĘ, BO ODŁĄCZYŁAM MOJĄ MATKĘ OD APARATURY PODTRZYMUJĄCEJ ŻYCIE! ZABIŁAM JĄ I ŹLE SIĘ PRZEZ TO CZUJĘ! ONA UMRZE!”.

Ale tego też nie zrobiła. Nie chciała, żeby pamiętano tę scenę latami, żeby kobiety opowiadały o tym później swoim mężom podczas posiłków, żeby relacjonowały to swoim siostronom przez telefon. Nie, nie zamierzała pozwolić, żeby mówiły o pomarszczonej, zapłakanej, piszczącej istocie wczepiającej się w wysokiego mężczyznę o lśniących lokach i podbródku z dołkiem. Chciała, żeby zamiast tego opowiadano o gładkiej, niewzruszonej kosmitce w bluzce z falbankami, która oznajmiła ze spokojem:

– Źle się czuję, bo odłączyłam moją matkę od aparatury podtrzymującej życie.

– Sunny, najwyraźniej nie miałaś innego wyjścia! – wtrąciła się Rache, a Jenny położyła dłoń na plecach Sunny. – Musiałaś pozwolić jej odejść. To była najwyższa pora! Słusznie postąpiłaś.

W jaki sposób zabicie czegoś, co żyło, mogło zostać uznane za słuszne? Rache nie miała o niczym pojęcia, bo Sunny okłamywała ją od samego początku. Postanowiła jednak i tę myśl schować do pudełka. Wszystkie krzyki, wszystkie łzy, wczolgiwanie się pod łóżko i czekanie na śmierć – to wszystko ukryła w pudełku, a następnie zamknęła wieczko, zabezpieczyła pudełko taśmą i ukryła. Postanowiła, że nigdy go nie otworzy i nie będzie o nim myślała.

– Ona żyła, a teraz umrze i to jest moja wina. To ja za to odpowiadam – oznajmiła.

– To absolutna bzdura! – zagrzmiał Les Weathers. Otoczył Sunny ramieniem, a drugą ręką sięgnął po bułeczkę z kawałkami czekolady i teatralnym gestem włożył ją sobie do ust. –

Nie jesteś przecież przestępczynią. Nie krążysz po okolicy i nie mordujesz ludzi. Jesteś zwykłą kobietą. Łysą kobietą. I robisz po prostu to, co musisz.

Po chwili, przeżuając bułeczkę, dodał:

– Wszyscy mamy za sobą trudne decyzje, Sunny. Straciłem swoją żonę Teresę i jest to najtrudniejsza rzecz, jaka mnie spotkała. Ale to się musiało stać. Czy ją porzuciłem? Nie, sama ode mnie odeszła. Czy zabiłaś swoją matkę? Nie. Pozwoliłaś jej umrzeć. Wszyscy ci to doradzali. Sąd, lekarz, a nawet twój mąż. Postąpiłaś właściwie, Sunny. Tak będzie lepiej.

Zimą, kiedy Sunny miała osiem, a Maxon dziewięć lat, Sunny i jej matka chciały zabrać Maxona na narty – ale jego ojciec się nie zgodził. Zamierzały jeździć na nartach, opatulać się parkami, wkładać kombinezony, ciepłe czapki, gogle i szaliki – aż nikt nie mógłby już odróżnić Sunny od zwykłej dziewczynki ze zwykłymi włosami skręcającymi się wokół jej twarzy albo luźno opadającymi na jej ramiona. Były przekonane, że Maxonowi dobrze zrobi wyjazd na narty, ucieczka z doliny. Uważały, że wszystkim dobrze to zrobi. Zamierzały jechać do stanu Vermont. Jego ojciec się jednak nie zgodził.

Nu też się nie zgodziła. Powtarzała, że chyba oszalały, że niechybnie zamarzną – ale Emma pozostała niewzruszona. Sprawiała sobie jasnyniebieską kurtkę narciarską, dzieciom kupiła gogle, które nosiły, zjeżdżając na sankach przed domem. Paul Mann powiedział, że chłopiec jest potrzebny w domu. Był potrzebny w domu, choć miał przecież pięciu starszych braci, którzy pracowali na co dzień w gospodarstwie i zajmowali się różnymi sprawami, w zależności od własnych umiejętności: jeden był drwalem, drugi obsługiwał spychacz, trzeci produkował metamfetaminę... i tak dalej. Emma Butcher i jej córka nie mogły zrozumieć, dlaczego najmłodszy i najmniejszy brat stał się nagle tak bardzo potrzebny, skoro rodzice nigdy nawet nie pamiętali o tym, żeby go nakarmić. Ale nie pozwolono mu jechać i Sunny była naprawdę zła z tego powodu.

*

Zimą śnieg uniemożliwiał jazdę na rowerze. Po powrocie ze szkoły nie było nawet czasu na zabawę, bo wcześniej robiło się ciemno i zimno – dlatego oboje jechali najpierw autobusem do domu Sunny, gdzie jedli obiad, a potem szli piechotą przez dolinę do domu Mannów. Sunny wracała stamtąd biegiem, naśladując Maxona – muskając dłonią pnie drzew, wspinając się pędem pod górę i mknąc w dół zбочa ile sił w nogach. Nu czekała na nią zawsze przy tylnym wejściu do domu. Tamtego wieczoru Sunny też postanowiła odprowadzić Maxona do domu. Wzięli ze sobą kanapki na ciepło i ruszyli od razu po powrocie ze szkoły, żeby Nu się nie martwiła. Nie wybrali jednak najprostszej, najkrótszej drogi – zamiast tego poszli szerokim łukiem przez dolinę. Było zimno, korony sosen przykrywał szron, każda gałąź pokryła się oblodzonymi włóknami, a konary drzew uginały się na wietrze i brzękały, sypiąc na ich głowy maleńkie kryształki. Pod ich butami skrzypiał śnieg. Zamarznięty strumyk przypominał zastygłą w bezruchu rzeźbę lodową pełną niezliczonych maleńkich wodospadów. Zatrzymali się na chwilę przy starym pniu, przy kryjówce Maxona, którą na potrzeby swojej zabawy zamienili w tron wrózek.

– Niechaj żyje król wrózek! – zawołał Maxon.

– Przybywajcie, wróżki, przybywajcie do waszego króla! – wrzasnęła Sunny. – Niech polegą wasi wrogowie! Marny los spotka ich!

– Przybywajcie, wróżki, na ucztę! – krzyknął Maxon, po czym zgarnął śnieg z grubej kłody, na której często siadywali i rozmawiali albo niewprawnie naśladowali postaci z bajek.

Usiedli i zabrali się do jedzenia, nie przerywając zabawy.

– Wilcze plemię, przybywaj na ucztę! – zawołał Maxon między dwoma kęsami mielonej wołowiny. – Sokole plemię, przybywaj i wypowiedz wojnę plemieniu wilczemu.

– Sokole plemię, okaż skruczę – powiedziała Sunny. – Okaż skruczę na ucztę, niechaj wilki pozostaną pośród śniegu.

Bawili się tak jeszcze długo, wymyślając kolejne przygody i postaci, wyrzucając z siebie przekrecone kwestie, które miały naśladować słowa wypowiedane w bajkach. Nieustannie pojawiały się w ich opowieściach leśne plemiona, toczące ze sobą wojny i knujące intrygi. Wprowadzali kolejnych bohaterów, którzy musieli mierzyć się z licznymi niebezpieczeństwami. Maxon pamiętał każdy szczegół, miał dokładnie rozrysowaną topografię ich zabaw. Sunny usiłowała za nim nadążyć, kiedy zaczynał bardzo szybko mówić, i wtrącała swoje trzy grosze, próbując mówić jeszcze szybciej. To właśnie ona zaczytywała się książkami dla dzieci, więc też miała wiele do zaoferowania, choć w przeciwieństwie do Maxona nie uważała lasu za swój dom. Wreszcie skończyli jeść i zorientowali się, że słońce zaczyna powoli zachodzić. Ukryli ostatnie kęsy jedzenia pomiędzy konarami ogromnego, zwalonego drzewa, tak jakby składali ofiarę zamieszkującym je bóstwom. Wiedzieli, że czas ruszać w dalszą drogę.

– Maxon – powiedziała Sunny z powagą. – Boisz się swego ojca, azaliż?

– Azaliż ojca się nie boję – odparł, nie rezygnując z baśniowej stylizacji. – Matki lękam się bardziej.

– Maxon – nalegała. – Boisz się go. Dlaczego? Co on ci takiego robi?

Maxon odwrócił się, spojrzał na nią ponuro i nie musiał mówić nic więcej. Sunny natychmiast pojęła straszliwą prawdę. To nie było skomplikowane, to nie było rzadkie – a jednak bardzo ją zabolowało. Mocno go do siebie przytuliła.

– Kocham cię, Maxonie, królu wrózek, chłopcze z lasu, kocham cię na zawsze.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale nie spojrzał jej w oczy. Odepchnął ją i pobiegł w kierunku domu.

– Nie podążaj za mną, Sunny, o ptasie jajo, do domu wracaj natychmiast! Tam bezpiecznie! Niechże jutro! Biegnij!

Odprowadziła go wzrokiem. Wiedziała, że za bardzo się ociągali, że zbyt długo rozmawiali w gasnącym powoli świetle, i poczuła nagle przejmujący chłód, który przenikał jej drogą, uszytą na zamówienie kurtkę i wnikał w jej kości. Wiedziała, że powinna natychmiast zawrócić i iść prosto do domu, ale mimo to się nie odwróciła, tylko ruszyła w ślad za nim, ślizgając się pomiędzy drzewami i od czasu do czasu tracąc równowagę na miękkim śniegu. Widziała, jak Maxon wbiegał po zboczu, zygzakami, muskając palcami kolejne drzewa. Tak jakby był niewidomy i musiał wspomagać się dotykiem, żeby odnaleźć drogę do domu. Sunny przystanęła na skraju lasu i patrzyła, jak zbiegał po zboczu, mknął przez pole i prześlizgiwał się pomiędzy drutem kolczastym. Widziała już tylko maleńki czarny punkcik pośród skrzącego się białą śniegu. Po chwili wszedł do domu, na moment zamajaczył jeszcze w żółtej ramie – i zniknął, a powietrze wypełnił huk zatrzaskiwanych drzwi. Zapadał zmierzch. Sunny odwróciła się w kierunku drzew i ruszyła przed siebie. Robiło się coraz ciemniej. Wiedziała jednak, że z łatwością odnajdzie drogę. Dobrze ją znała, poza tym należała do sokolego plemienia i nie wątpiła, że bez trudu rozpozna drzewa, paprocie i starą kłodę, przy której toczyła się niegdyś bitwa o szczątki nieżyjącej od dawna łani.

Jedynym miejscem, w którym musiała uważać, wybierając najkrótszą drogę powrotu, było strome zbocze położone w pobliżu domu Butcherów. Wyrastały tam niespodziewanie z ziemi wysokie skały, zapewne efekt jakiejś erupcji, do której doszło tysiące lat temu. Te ogromne bryły, pomiędzy którymi znajdowały się liczne uskoki i rozpadliny, z całą pewnością należało po zmroku omijać. Kiedy jednak Sunny okrążyła ten skalny labirynt, usłyszała raptem ciche jęki dochodzące z jego wnętrza.

W pierwszej chwili pomyślała, że jakiś jeleni musiał utknąć w skalnej rozpadlinie i nie mógł się teraz wydostać z pułapki. Jeleni – a może nawet niedźwiedź? Serce biło jej coraz szybciej. Mógł przecież stamtąd wyskoczyć nagle górski lew. Po chwili zastanowienia uznała, że

i tak nie zdołałaby samodzielnie uwolnić z rozpadliny jelenia. Postanowiła, że wróci do domu i sprowadzi Nu. Tak, natychmiast wróci do domu. Jej matka powie na pewno: „Nu, idź tam i sprawdź, co się stało”. Nu odnajdzie to miejsce i uratuje albo zabije to stworzenie. Ale Sunny nie mogła się powstrzymać i musiała sprawdzić, skąd dochodziły te dziwne odgłosy i jakie zwierzę je wydawało. Ostatecznie więc uklękła w śniegu i podpełzła na skraj rozpadliny. Kątem oka dostrzegła w dole ruch. To był człowiek. Paul Mann. Ojciec Maxona.

– Dzięki Bogu – wyrzeźił. A po chwili dodał głośniejszym głosem: – Ej, ty tam! Kto tam jest? Halo?

Sunny nie odpowiedziała. Nogi mężczyzny najwyraźniej się zaklinowały i wykręciły pod jego ciężarem w kształt przypominający literę „Z”. Machał rękami i próbował je uwolnić, ale nie ulegało wątpliwości, że nie może wstać ani zrobić choćby kroku. Był pokryty igłami sosnowymi i ziemią, którą pewnie zaczął rozkopywać, usiłując się wyswobodzić. Wyczuwała alkohol, nawet stojąc trzy metry nad nim, zauważyła też, że miał na sobie tylko podkoszulek i brudne spodnie na szelkach.

– Kto tam jest? – powtórzył agresywnie. – To ty, Maxon? Zbieraj dupę w troki, biegnij do domu i wołaj matkę. Wołaj braci. Jużem myślał, że zamarznę na śmierć w tej pierdolonej dziurze, zanim ktoreś z was, cholerne łachudry, postanowi mnie poszukać. Gdzieżeś był? Pewnie zabawiałeś się z tą łysą kurewką? Natychmiast biegnij po matkę. Słyszałeś? Rusz dupę albo nakopię ci tak, że iskry pójdą!

Sunny cofnęła się gwałtownie. Serce waliło jej jak oszalałe i miała wrażenie, że oczy zaraz wyskoczą jej z orbit pod wpływem krwi, która napłynęła jej do twarzy.

– Co pan robił na naszym terenie? – zapytała głośno i wyraźnie, tak twardym i surowym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć mała dziewczynka.

– Kto tam jest? Wracaj tu, niech no ci się przyjrzę – odpowiedział Paul Mann.

Schowała czapkę do kieszeni, a potem zdjęła szalik. Poczowała na ciepłej skórze przejmujący wieczorny chłód, załaskotały ją uszy i miała wrażenie, że lodowate powietrze zaraz zamarznie jej na nosie. Pochyliła się, wysunęła nad skraj rozpadliny i pozwoliła mu spojrzeć na swoją łysą głowę, która majaczyła na tle ciemniejącego nieba.

– O, aha, Suzy. To ty, Suzy. A, no przepraszam, myślałem, że to kto inny. Biegnij tera po kogoś, kochanie, musisz mi pomóc wydostać się z tej dziury – poprosił słodkim głosem.

Sunny siedziała tam jeszcze przez kilka sekund i wpatrywała się w niego uważnie, zapamiętując obraz, który miała przed oczami. Wiedziała, że ta chwila już nigdy się nie powtórzy.

Kiedy wyjeżdżały z Birmy, kiedy stały w Rangunie, czekając, aż wsiądą na pokład parowca, który miał je zabrać w długą podróż do San Francisco, a dalej do Chicago i do tej właśnie chwili, w której Sunny stała w blasku gwiazd, w świetle księżyca, nad tym proszącym o pomoc człowiekiem – jej matka odwróciła się w kierunku miasta, popatrzyła na dziwny port i powiedziała: „Spójrz, Sunny. Przypatrz się temu, co teraz widzisz. A potem zamknij oczy i dobrze to zapamiętaj, tak żebyś tego nie zapomniała. Jeżeli Bóg pozwoli, już nigdy nie zobaczysz tego, co widzisz w tej chwili. A więc przypatrz się dobrze, by zapamiętać każdy szczegół. Właś-nie w tym miejscu stałaś się sobą”. W tej chwili, pięć lat później, nadal miała w pamięci mgliste kontury pagód, niskich budynków rządowych oraz murów otaczających port. A teraz spojrzała w dół, na tego uwięzionego w rozpadlinie człowieka, na Paula Manna – i starała się wyryć w swojej pamięci jego obraz, jego sylwetkę, kształt jego ciała zaklinowanego między skałami. A potem cofnęła głowę, włożyła czapkę oraz szalik i pomaszerowała w kierunku domu.

Oddychała równo i swobodnie, nawet kiedy wspinała się po stromym zboczku, a jej oczy były szeroko otwarte. Księżyc rozświetlał pola otaczające ich farmę. Zbliżała się do domu, przycupniętego na zboczku pośród drzew cykuty. Domu, w którego wnętrzu czekały na nią ciepło,

miłość i otwarte ramiona jej matki oraz Nu.

Dwa dni później znaleziono ciało Paula Manna. Upił się, wpadł do niewielkiej rozpadliny i zamarzł. Ostatnia butelka, którą miał okazję opróżnić, leżała roztrzaskana tuż przy nim. Jego głowa była odchylona, a twarz skierowana ku niebu. Potem, kiedy zwłoki odtajały, odbył się pogrzeb, a ciało pozwolono gnić. Emma i Sunny zabrały Maxona na narty do Vermontu. Jego matka chętnie na to przystała – miała teraz wiele na głowie. Nikt nie tęsknił za Paulem Mannem.

Po zakończeniu wystawy rękodzieła Sunny wróciła do domu. Bubber drzemał, niania przysypiała na kanapie, a w telewizji leciał właśnie kolejny odcinek *Oprah*. Sunny położyła klucze na stole. Panował tu zadziwiający spokój. Nie mogła w to uwierzyć. Czy kiedy siedzisz prosto na trójnogim stołku, choć wykopnęłaś spod siebie wszystkie trzy nogi, powinnaś zakładać, że lewitujesz? A może raczej przyjąć, że tak naprawdę od początku siedziałaś na podłodze? Kiedy nie zostało już nic więcej do spalenia, może trzeba podłożyć ogień pod samą siebie?

Jaki makabryczny widok sprawiłby, że przyjaciółki ostatecznie by ją porzuciły, otwarcie uznały za kogoś obcego, niegodnego ich przyjaźni? Kobieta z pieprzykiem na pół twarzy. Kobieta, która nie przestaje mówić o swoich sesjach z psychoterapeutką. Wyobrażała sobie odrzucenie i porzucenie, wyobrażała sobie, że zostanie wygnana z tej dzielnicy, że jej swetry zostaną pocięte na kawałki, a minivan zarekwirowany. Nie przewidziała jednak, że oni wszyscy w jakiś sposób zaczną się z nią identyfikować. Że dzięki temu, dzięki tej łysinie – będą lubili ją bardziej, nie zaś mniej. Tego się nie spodziewała.

BlackBerry zawibrował w jej torebce. Wyciągnęła telefon, wcisnęła guzik i odczytała SMS od Angeli Phillips, żony jednego z astronautów, którzy przebywali teraz na pokładzie rakiety. „Nie włączaj telewizora. Zadzwoń do Stanovicha”. Jej serce zaczęło gwałtownie bić. Wykręciła numer centrum badawczego w Lang-ley i połączyła się z partnerem Maxona, pracującym z nim przy projekcie kolonii na Księżycu. Mężczyzna rozplakał się w słuchawkę.

– Sunny – powiedział – rakieta została uszkodzona. Uderzył w nią meteoroid.

– Nie żyje? – wychrypiała.

– Nic jeszcze nie wiadomo. Stracili połączenie z rakieta. Sunny, będę za nim tak bardzo tęsknił. Dasz sobie jakoś radę, prawda?

Czy on naprawdę wierzył, że Sunny da sobie radę? Czy naprawdę sądził, że Sunny bez Maxona nie umrze? Przecież Stanovich ich znał, przecież nie mógł się do tego stopnia łudzić. Ale to nie powinno jej właściwie dziwić. Ona i Maxon chronili swoją prywatność. Nie wyznawali sobie miłości w towarzystwie innych ludzi. Czasem pytano ją, jak mogła wyjść za Maxona. Jak mogła nadal go kochać mimo wszystkich jego wad. Na tak postawione pytanie istniała tylko jedna odpowiedź: „Na czym polega nasza miłość? Kochamy się jak dwoje nagich dzieci pośród dziwnej, tajemniczej dżungli, w której każdy pień przekształca się nagle w olbrzyma, a z każdej orchidei wypełzają nagle dziesiątki larw. Nie powiedzieliśmy sobie »kocham cię«, tak jak nie powiedzieliśmy sobie po całym dniu wędrówki: »Jesteśmy jedynymi nagimi dziećmi w tej dżungli«. Wszyscy inni są dla nas po prostu jagua-rami albo grudkami ziemi”. Czasem, w chwilach największej rozpacz, trzeba się w siebie wczepić i odgrodzić od reszty świata. Nikt inny się wtedy nie liczy. Pomyślała: „Nasza historia jest jedną z najpiękniejszych historii miłosnych naszych czasów. A może nawet wszech czasów. Jakie to ma znaczenie, że patrząc na nas, nikt tego nie zauważa? Ta opowieść jest piosenką miłosną. Jakie to ma znaczenie, że historia nie będzie o niej pamiętać?”.

Słońce sunęło wolno po niebie, a potem schowało się za horyzontem. Bubber zasnął. Sunny zapaliła wszystkie światła, poszła do swojej garderoby z perukami i stanęła w drzwiach, z trudem łapiąc oddech. Czuliła się jak ktoś, kto postanowił wspiąć się na dach, a potem spadł z tego dachu i leci właśnie w kierunku ziemi. Podeszła do peruki, która znajdowała się najbliższej

drzwi, i zsunęła ją ze stojaka. To była jej uniwersalna peruka, peruka na każdą okazję, arcydzieło z jasnych fal i długich pukli pozostających w pozornym nieładzie. Sięgnęła po nią i szybko założyła na głowę. Poczula jej ciężar, poczuła, jak peruka ścisnęła jej czaszkę, nadając jej na powrót regularny, odpowiedni kształt. Wyciągnęła ręce i odwróciła się w prawo, a potem w lewo. Powoli wyszła do sypialni, ruszyła na korytarz i zaczęła chodzić po domu.

Mijając kolejne pokoje jak pudełka narzucone niedbale na fundamenty, ścisnęła ściany i przywracała im dawny kształt, unosiła sufity nad swoją głową, z każdym krokiem przybijała podłogi do ziemi. To był przepiękny dom, świątynia jej życia, wybudowana na wszystkim, co było normalne, przewidywane i po prostu dobre. Było to sanktuarium, które miało chronić ich przed tym, co dziwne, przed piętrzącymi się falami przeszłości. Tak wyglądało jej dawne życie. Wszystko znajdowało się tu na swoim miejscu. Ten dom stanowił azyl, deklarację, konstrukcję – nie zaś zwykłą, wymyślną obudowę rur kanalizacyjnych, taką jak wszystkie inne obudowy rur kanalizacyjnych stojące przy tej ulicy.

Sunny przystanąła pod żyrandolem w holu. Jej ramiona ugięły się pod ciężarem tego, co na nią spadło i co próbowała ostatkiem sił podtrzymać. Rozległo się pukanie. Zamarła, nie była w stanie podejść do drzwi, nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś tam stał. Ktoś czekał na progu. To była Rache.

– Witaj, Rache – powiedziała Sunny, otwierając drzwi. Starła się powiedzieć to normalnym tonem, żeby jej głos zabrzmiał dokładnie tak jak zwykle. Rache trzymała w rękach półmisek, który Sunny zostawiła na przyjęciu. Półmisek, na którym leżał wcześniej miodowy warkocz, upieczony w tym idiotycznym przebłysku optymizmu. Rache skrzywiła się, widząc perukę na jej głowie.

– Sunny, co ty wyprawiasz? – Rache wpadła do środka, ruszyła do kuchni, gwałtownie odłożyła półmisek na blat, a następnie odwróciła się i spojrzała na Sunny. – Dlaczego znowu założyłaś perukę?

– Ja... słyszałaś? – zaczęła Sunny.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – spytała Rache. – Nie zaczniesz znowu nosić peruki, rozumiesz? Nie ma mowy.

Sunny nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rache wyglądała tak, jakby miała się na nią za chwilę rzucić, zedrzeć jej perukę z głowy, a potem ją spoliczkować. Peruka trzymała się jednak mocno i robiła, co do niej należało: podtrzymywała dach, podtrzymywała planety, podtrzymywała gwiazdy na nieboskłonie.

– Czy ty naprawdę myślisz, że nas obchodzi twoja łysa głowa? – zapytała Rache. – Nie. Mamy... mamy to w dupie. Nikt z nas...

Rache przyłożyła dłoń do ust, a Sunny poczuła, jak ścisnęła jej się gardło.

– Nie obchodzi nas to. Nie chcemy, żebyś ją nosiła.

– Wiem – zapewniła Sunny. – Wszystko w porządku. Tu nie chodzi o was. To nie dla was, to tylko dla mnie. Dla mnie i mojego życia.

– Założenie tej peruki nie sprawi, że rakieta wróci na swoje miejsce. Nie cofnie niczyjej śmierci. To nic nie da, wszyscy o tym wiemy.

Rache zamilkła. Wyciągnęła dłoń i cienkimi palcami chwyciła Sunny za nadgarstek.

– Sunny, musisz wreszcie zrozumieć, że nie jesteś taka wyjątkowa, jak myślisz. Wiem, że wiele przeszłaś, ale nie jesteś jedyną osobą na tym świecie. Nie jesteś nawet jedyną łysą osobą na tym świecie.

– Ale ty nie jesteś łysa – odpowiedziała Sunny.

Rache szarpnęła swoje jasne włosy.

– Jak myślisz, kto kryje się pod tymi włosami, Sunny? Co się pod nimi kryje? Co mam

pod tymi włosami? Czy ty wiedziałaś... czy wiesz, że pieprzyłam się z jej mężem? Pieprzyłam się z nim, tak, pieprzyłam się z mężem Jenny. – Rache mówiła teraz ochrypłym szeptem. – Pieprzyłam się z mężem Jenny, która jest przecież taka urocza, taka słodka, jest jak koszyk pełny małych kociąt. Czy zakochaliśmy się w sobie? Nie. A mimo to się z nim pieprzyłam. – Rache ponownie złapała się za włosy. – Pod nimi jestem tak naprawdę łysa – powiedziała. – I oni wszyscy też są łysi. Uwierz mi.

– Ale oni nigdy nikogo nie zabili – odparła Sunny. – Ty jej nie zabiłaś. Nie zrobiłaś tego.

Sunny zdjęła perukę i wręczyła ją Rache. Zasłużyła na nią. To było miłe z jej strony. To miłe, że wykonała przyjazny gest. To miłe, że przyniosła jej półmisek. I że opowiedziała jej o własnej, strasznej głowie. „Ale mylisz się – miała ochotę powiedzieć Sunny. – To wszystko moja wina. Zabiłam jego, zabiłam ją, a teraz zabiłam też Maxona. To wszystko moja wina. A peruka nie ma żadnego znaczenia. Bo mój dom i tak jest już ruiną”.

Uwięziony na pokładzie rakiety Maxon słyszał własny oddech wewnątrz hełmu. Słyszał głosy rozmawiających ze sobą pilotów, głosy, które stały się teraz cichsze, spokojniejsze, mniej rozgorączkowane. Czuł, jak rakieta mknie przez kosmos, nie napotykając na swojej drodze żadnych przeszkód. Wszystko wydawało się normalne, wszystko wydawało się zwyczajne. Miał przyspieszone tętno, ale jego kości się nie roztrzaskały. Nie został zgnieciony na miazgę. Nie eksplodował, rozpryskując się na tysiące kawałków.

Spróbował się odezwać.

– Phillips, jaki mamy status?

– Hmm, Geniuszu, obawiam się, że musisz na razie siedzieć spokojnie – odezwał się głos.

– Co się stało? Czy to była jakaś eksplozja?

– Wydaje mi się, że coś w nas uderzyło, bracie – poinformował Fred Phillips. Fale radiowe przekazujące jego głos do słuchawki były oddalone o tysiące kilometrów, choć Phillips siedział tuż obok, tak blisko, że Maxon mógłby wyciągnąć rękę i poklepać go po dłoni.

Conrad gorączkowo stukał palcami w klawiaturę. Maxon zastanawiał się, czy nie powinien im jakoś pomóc.

– Czy stało się coś złego? Czy meteoroid uszkodził raketę?

– Taa, Geniuszu, meteoroid uderzający w twoją raketę jest z założenia czymś złym, okej? – Głos Phillipsa zrobił się wyższy niż zazwyczaj, a Maxon wiedział, że taki ton jest zwykle oznaką zdenerwowania i zniecierpliwienia. Zmarszczył brwi.

– W pierwszej kolejności musimy przywrócić łączność – wtrącił Gompers. – Wtedy będziemy mogli ocenić szkody i podjąć odpowiednie działania.

– Ale trzymamy kurs? – zapytał Maxon. – Uda nam się połączyć z modułem transportowym zgodnie z harmonogramem?

– Maxon, w tej chwili walczymy raczej o to, żeby uratować służę powietrzną i nie stracić dostępu do tlenu – oznajmił Phillips. – W takich sytuacjach trzeba przestrzegać odpowiednich procedur. Jeśli nie będziemy się ich dokładnie trzymali, to mamy po prostu przesrane, rozumiesz?

– Uspokój się, Phillips – warknął Gompers.

– Ale czy trzymamy kurs? – powtórzył Maxon. – Jaki jest status naszego kursu?

Zboczyliśmy z trasy?

– Słuchaj, bracie, jeżeli nie nawiążemy szybko łączności z Hou-ston, z naszymi satelitami i z całą pieprzoną elektroniką, która jest poza naszym zasięgiem, to nie będziemy mieli żadnego pierdolonego kursu, rozumiesz?

– Phillips! – warknął Gompers. – Panuj nad sobą. Jeszcze jeden taki wybuch i wracasz do swojej kabiny.

Maxon zauważył nagle wieczne pióro unoszące się obok jego twarzy. Nacisnął guzik, żeby wyswobodzić ręce, sięgnął po nie, po czym zdjął z głowy hełm i głęboko odetchnął.

– Mamy tlen – oznajmił. – Czy teraz możemy ustalić, co z tym pierdolonym kursem? Na orbicie miało się odbyć dokowanie, Phillips. Trzymamy kurs czy nie? Silniki działają? Jesteśmy w stanie je odpalić? Mamy uruchomić raketę numer dwa na osiem sekund. Tak brzmiał ostatni rozkaz. Wykonałeś go?

Phillips uderzył dłonią w klawiaturę, ale po chwili on także zdjął hełm i wziął głęboki oddech. Miał wilgotną twarz i Maxon wiedział, że to oznaka zdenerwowania. Phillips odwrócił

głowę, która znajdowała się teraz piętnaście centymetrów od czubka nosa Maxona. Siedzieli w swoich fotelach, ramię przy ramieniu, uwięzieni na pokładzie rakiety. Wreszcie Phillips odezwał się, rozpryskując wokół siebie kropelki śliny.

– Doceniam twoje zaangażowanie i zainteresowanie naszym kursem. Doceniam twój udział w tej misji. Ale dopóki ci nie dam znać, masz siedzieć cicho i nic nie robić. Nie zdejmuj skafandra. Nie straj w spodnie. Nie pytaj mnie więcej o ten pierzony moduł transportowy.

– A mogę mówić „Napraw to! Napraw to! Napraw to!” do czasu, aż to naprawisz? – zapytał Maxon, utkwivszy w nim nieruchome spojrzenie.

Gompers się roześmiał.

– Straszny z ciebie palant – powiedział Phillips. – Serio.

Odwrócił się i znowu skupił się na przyciskach i kontrolkach, a Maxon westchnął. Nie lubił czekać na informacje. Nie lubił stać z boku, podczas gdy inni myśleli i pracowali. Nie lubił dzielić się z nikim obowiązkami. Uważał, że gdyby mógł zamienić się miejscami z Phillipsem i usiąść przed zielono-czarnym monitorem, naprawiłby wszystkie popełnione przez Phillipsa błędy, doprowadziłby do przywrócenia łączności i zadbał o to, żeby zgodnie z planem rozpocząć procedurę dokowania.

Łączności nie dałoby się jednak przywrócić. Nadajnik satelitarny został uszkodzony przez meteoroid. Nie mogły go naprawić ani walenie w przyciski, ani jakiegokolwiek słowa, ani liczby pojawiające się na zielono-czarnym monitorze. Żeby do niego dotrzeć, musieliby wydostać się z rakiety i przespacerować się w przestrzeni kosmicznej, a nawet gdyby to zrobili i długo wpatrywali się w wygięty metal i rozbitą płytę z włókna szklanego – wszystko, co pozostało po nadajniku – nie zdołaliby go uruchomić. O ile Maxon się nie mylił, a nie mylił się nigdy, bez łączności satelitarnej zbaczali z kursu, schodząc z orbity i lecąc prosto na Księżyc.

Phillips i Gompers robili się coraz bardziej nerwowi, natomiast Conrad, błąd jak ściana, zachowywał spokój i mileczał. Przeprowadzali kolejne testy, kontrolowali każdą rzecz po kolei – i działało wszystko z wyjątkiem łączności. Nikt się nie łudził: bez komunikacji z Houston, bez środków, które miało do swojej dyspozycji Centrum Kontroli Lotów, misja dobiegła końca i nie było szans na szczęśliwy powrót do domu. Choć przygotowywano się na różne ewentualności i sytuacje awaryjne, w przygotowaniach tych nie brano pod uwagę zderzenia z meteoroidem, zejścia z kursu i koniecznych modyfikacji, które należało w tym wypadku wprowadzić, a które nie mogły zostać wprowadzone przez astronautów uwięzionych w rakiecie bez jakiegokolwiek komunikacji ze światem zewnętrznym. Musieli połączyć się z Ziemią – a w żaden sposób nie dało się tego zrobić. Maxon siedział w fotelu, na przemian splatając i rozplatając palce, na przemian zginając je i prostując. Patrzył przed siebie w skupieniu i dla dobra Phillipsa i Gompersa usiłował zachować cierpliwość.

– Gdybyśmy tylko mogli określić naszą pozycję – wymamrotał Phillips – albo ustalić współrzędne...

– Bez dostępu do danych liczbowych nie mamy niczego – oznajmił Gompers. – W tej chwili po prostu opadamy. Uderzymy w powierzchnię Księżyca z dużą siłą i z dużą prędkością. Ta cholerna raketa nie jest nawet przygotowana na lądowanie, zdajesz sobie z tego sprawę? Musimy wrócić na orbitę. Wystrzelimy te rakiety.

– Czekaj, ale w którą stronę? Myślisz, że możemy po prostu wystrzelić je w ciemno? Potrzebujemy łączności z Houston, potrzebujemy informacji. Na razie nic nie widać.

– Mam pomysł – powiedział Maxon stanowczym tonem, a jego głos przeciął suche powietrze jak brzytwa. Zachowywał do tej pory tak niezwykle spokojny, że pozostali mężczyźni zaczęli się już zastanawiać, czy zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Co takiego wymyśliłeś, doktorku? – zapytał Gompers.

– Znamy położenie modułu transportowego, prawda? Wiemy, gdzie się znajdował. Jeżeli zrównamy się z nim prędkością i wyrównamy trajektorie, powinniśmy bezpiecznie wejść na orbitę. A kiedy już nam się to uda, będę mógł się tam dostać i zadbać o to, żeby modele Hery zbudowały dla nas telefon.

– Dostać się tam? Niby jak, podjedziesz samochodem?

– W Ładowni B mamy skafander z napędem odrzutowym – wtrącił Conrad.

– Wiem – oznajmił Maxon. – Włożę skafander i przedostanę się do kontenera.

– Zdajesz sobie w ogóle sprawę z powagi sytuacji?

– Nie – odpowiedział Maxon – ale wszystko sobie wygoogluję i kiedy tam dotrę, będę już miał pełne dane.

Conrad zamrugał, po czym zaczął chichotać. Phillips tymczasem zbliżył się do Maxona i z całej siły walnął go w ramię.

– Palant! – powtórzył. – Słuchajcie, możemy to zrobić. Używając oprogramowania, które mamy na pokładzie. Możemy przeprogramować system nawigacji tak, żeby funkcjonował w charakterze GPS-u. Przy użyciu fal radiowych, jeśli będzie trzeba.

– Ale co potem? – zapytał Gompers. – W jaki sposób Centrum Kontroli Lotów uzyska dostęp do wszystkich danych liczbowych i współrzędnych?

– Obiecuję wam – powiedział Maxon stanowczym, beznamiętnym tonem – że zapewnię wam łączność z Houston, jeżeli tylko pomożecie mi dotrzeć do modułu transportowego. Jedną z maszyn, które roboty Hera mają zbudować na Księżycu, jest właśnie centrum łączności. Potrzebujemy jedynie Hery. Potrzebuję też krzemu, tytanu i żelaza.

George i Phillips wymienili spojrzenia.

– Czyli metali z Księżyca.

– Owszem, te metale występują między innymi na powierzchni Księżyca – poinformował ich Maxon. – Roboty zostały zaprogramowane w taki sposób, żeby wydobywać niezbędne surowce ze swojego otoczenia. Nie możemy przecież bez przerwy dostarczać im z Ziemi plastiku i aluminium.

– No dobrze, ale skąd weźmiemy teraz krzem i tytan?

– Możecie wykorzystać część sprzętu z Ładowni A – zasugerował Conrad.

– To wystarczy? – zapytał Phillips.

– Nie potrzebuję wiele – powiedział Maxon.

Podczas gdy Phillips ustalał kurs, który miał pozwolić im dotrzeć do modułu transportowego, Gompers i Maxon krążyli po rakiecie w poszukiwaniu części, które Hera mogłaby wykorzystać jako surowce do zbudowania telefonu.

– Dziękuję – powiedział wreszcie Maxon. – To powinno wystarczyć. Dobrze. Phillips, czy możesz nas teraz ustawić w jednej linii z modułem transportowym?

– Wystarczy trochę prostej matematyki, mój przyjacielu. Prostej matematyki – zapewnił Phillips. – Muszę przyznać, Geniuszu, że tym razem wpadłeś na całkiem niezły pomysł.

Dwie godziny zajęło Maxonowi włożenie skafandra przeznaczonego do spacerów w przestrzeni kosmicznej. Była to wyjątkowo nieporęczna konstrukcja ze szklanym hełmem, rękawicami i butami, wyposażona w kardiomonitor, sprzęt kontrolujący funkcje mózgowe, a także kolektor zbierający płyny ustrojowe. Musiał wkładać kolejne warstwy, które nie do końca na niego pasowały – buty okazały się na tyle małe, że ledwo się w nie wcisnął. Wbijając się w wąską wewnętrzną warstwę skafandra, miał wrażenie, że wkłada na siebie drugą skórę. Solidny egzozskielec dopasował się do niego i zatrzasnął. Maxon poruszał się w nim jak niezdarny potwór, piętnastometrowa jaszczurka, przemieszczająca się wolno i niewprawnie, potracająca kolejne przedmioty i sprzęty w Ładowni B. Skafander obsługiwany był za pomocą

kontrolek znajdujących się pod jego palcami. Po wysłuchaniu krótkiej instrukcji Maxon zaczął rozumieć jego mechanikę.

Wreszcie był już gotowy. Phillipsowi i Conradowi udało się tymczasem ustalić parametry orbity modułu transportowego, dokonać odpowiednich obliczeń i ustawić raketę równoległe do niego.

– Z Bogiem, doktorze Mann – pożegnał go Phillips ze smutkiem. – Ten skafander powinien dać ci jakieś sześć godzin. Będziemy się z tobą porozumiewali przez radio.

Maxon ruszył w kierunku śluzy powietrznej. Kątem oka widział, jak Gompers i Phillips mu się przyglądają. Po chwili rozległ się syk i komora się otworzyła. Miał przed sobą kosmos.

Bez chwili wahania odepchnął się od drzwi rakiety. Czy martwił się o skafander i napęd odrzutowy? Czy obawiał się, że nie zadziała tak, jak powinien? Nie. Maxon wierzył w maszyny. Wierzył, że wykonują zadania, do których zostały stworzone. Niczym się to dla niego nie różniło od chodzenia po świecie z parą nerek czy płuc. „Wszyscy robimy to przez całe życie – pomyślał Maxon. – Nie myślimy o tym, że zależy od grudki mięśni, od grudki materii organicznej, która pulsuje w ciemności bez chwili przerwy, minuta po minucie, dzień po dniu. Ta różowa grudka pulsuje bez wytchnienia, pulsuje, nawet kiedy ją głodzimy, dławimy, kiedy jej nadużywamy. Nigdy nie zastanawiamy się nad jej poświęceniem”.

„Tak naprawdę jesteście już robotami – powiedział kiedyś doktorantom uczestniczącym w konferencji w Maine. – Najbardziej zaawansowanymi robotami, jakie kiedykolwiek powstały. – Serce pompuje krew absolutnie niezależnie od naszej woli i o ile nie nastąpi jakaś mechaniczna usterka, będzie ją nadal pompowało. Budujemy swoje narządy z najlepszych dostępnych nam materiałów. Budujemy je, przebywając jeszcze w łonie matki. Żyjąc na Ziemi, budujemy skafandry, które zabiorą nas w kosmos, a kiedy już tam docieramy i mamy z nich skorzystać, musimy im ufać, musimy wierzyć, że zbudowaliśmy je jak należy”.

I oto Maxon wyruszył w przestrzeń kosmiczną. Zdziwiła go swoboda, którą nagle uzyskał. Odpląnął w dal, nie będąc przywiązany do żadnej liny, a przez jego umysł nie przemknęła ani jedna myśl, która sprawiłaby, żeby zaczął żałować swojej decyzji. Mężczyźni zgromadzeni na pokładzie rakiety widzieli jego sylwetkę na tle Księżyca – a za nim bezkresną przestrzeń. Nie wyglądał już jak człowiek. Musieli sobie powtarzać, że wewnątrz tego jasnego mechanicznego skafandra znajduje się ludzkie ciało i ludzka dusza.

Był ludzki, ale niezniszczalny; był ludzki, ale oddychał; był ludzki, ale wolny. Widział Ziemię, widział Księżyc, za sobą miał raketę, a przed sobą moduł transportowy. Zrozumiał, że naprawdę wyruszył w drogę, a mimo to nie był do końca świadomy tego, co się działo. Czuł się oderwany od rzeczywistości. W otchłani kosmosu nie czekało na niego żadne głębokie, metafizyczne doświadczenie. Inne istoty ludzkie miały w takich sytuacjach skłonność do zanurzania się w wewnętrznych refleksjach. Ale nie Maxon. On myślał tylko o kierunku, jaki powinien obrać, o niezbędnych korektach kursu, o odległości dzielącej go od celu. Nie myślał o niczym innym.

W jego dzieciństwie bywało naprawdę źle. Zdarzało się, że ojciec bił go skórzanym paskiem. Zdarzało się, że ojciec bił go cegłą. Te doświadczenia nie utkwily w pamięci Maxona. Nie pozwalał im tam pozostawać. Często musiał się pochylać, nagi od pasa w górę, opierać o szafkę swojego ojca, który kazał mu trzymać się belek łóżka. Jeden z butów Paula Manna lądował na jego pośladkach, a pas spadał na niego raz za razem, uderzając w nagie plecy, ramiona i zębra. Nie miał gdzie ukryć głowy, nie miał gdzie szukać schronienia. Za to, że nie odpowiedział na jakieś pytanie. Za to, że nie udzielił właściwej odpowiedzi. Za to, że zdenerwował matkę. Za to, że się spóźnił. A potem nie było już ciała, które mogło-by odpowiedzieć plaśnięciem. Pozostawały tylko kości, które wydawały głuchy odgłos, i skóra,

która się rozdzierała. Jego ojciec bił go po najmniej widocznych miejscach, żeby ukryć ślady uderzeń. Miały być niewidoczne. Czy zatem Maxon umiał skutecznie oddzielić swój umysł od obciążającej psychicznie sytuacji? Tak. Była to jedna z pierwszych umiejętności, które posiadał.

Przemierzenie drogi dzielącej raketę od modułu transportowego zajęło mu dziewięćdziesiąt minut. Było to długie dziewięćdziesiąt minut, wymagające od niego pełnej koncentracji. Choć nie czuł niepokoju, bólu czy podniecenia, odczuwał chłodną, nagłą potrzebę osiągnięcia sukcesu. Był tu absolutnie niezależny, nikt nie mógł go kontrolować, nie ograniczały go cudze niedoskonałości. Stał się unoszącym się ciałem, drobiną pyłu krążącą przy oknie w ciepłe popołudnie. Nie miał sterów, nic go nie trzymało, nie targały nim wiatry, nie działała na niego grawitacja – jego ruchami kierowało jedynie paliwo w jego skafandrze i zamiary uwięzione w jego krzemowej skórze. Szybko przyzwyczyił się do tego uczucia. Podobało mu się.

W swoim życiu rzadko kiedy działał bez planu. Rzadko dawał się ponieść fantazji – było to sprzeczne z jego wizją rasy ludzkiej. Raz zdarzyło się to w Europie, kiedy w czasie studiów postanowił spędzić wakacje, podążając za kolarzami, którzy brali udział w Tour de France. Jechał za nimi przez góry w stroju -Dartha -Vadera, zagrzewając ich do boju: „*Allez, allez, allez!*”. Znał każdy ich ruch, znał każdy kilometr ich trasy, a wszystkie noclegi zarezerwował na wiele miesięcy wcześniej. Ale któregoś dnia, na mecie, jakiś kamerzysta zawołał do niego: „Hej, lordzie Vaderze, chodź z nami!”. I Maxon poszedł. Bez harmonogramu, bez mapy, nie wiedząc nawet, kogo spotka i ile czasu to zajmie. Poszli do baru, w którego drzwiach wisiała poplamiona koszulka – miała ona stanowić dowód, że jeden z czołowych kolarzy pił tu właśnie tego wieczoru. Tamtego dnia Maxon spróbował alkoholu pierwszy i ostatni raz w swoim życiu. Całował się z kobietą, którą nie była Sunny. Mówiła tylko po francusku, a on udawał, że nie zna tego języka. Później żałował tego przez cały ranek.

Pamiętał też inną taką sytuację. Była to cicha, spokojna chwila na brzegu rzeki Crowder, chwila gdy zdecydował się poprosić Sunny, żeby za niego wyszła. Scenariusze na podobne okazje przygotowywała mu często Emma. Jeżeli musiał złożyć podziękowanie komisji stypendialnej, uczyła go dokładnie, co ma powiedzieć, jaki mieć wyraz twarzy, z jaką intonacją mówić. Pokazała mu, jak uścisnąć dłoń pastora na pogrzebie ojca i w jaki sposób uśmiechać się do innych ludzi. Nawet kiedy po raz pierwszy wyznał Sunny miłość, to sama Sunny zapisała przed nim w powietrzu odpowiednie słowa, poprowadziła go za rękę i pokazywała mu każdą sylabę. Ale tamtego dnia wymyślił własne słowa.

Sunny, która była wtedy na studiach doktoranckich, przyjechała do domu na pogrzeb Nu. Jej matka w przeciwieństwie do dzieci doskonale wiedziała, że kiedy Nu przeniosła się z Birmy do Pensylwanii, dawno miała już za sobą lata młodości. Przez całe dzieciństwo Sunny i cały wiek średni Emmy Nu sadziła w ogrodzie fasolkę szparagową, kukurydzę, ziemniaki i ogromne dynie. Zbierała góry jedzenia, wekowała je, gotowała na parze, zamrażała i dbała o to, żeby przez ich kuchnię nieustannie defilowały wspaniałe potrawy. Sadziła, zbierała, szykowała, dusiła, podgrzewała – a one to wszystko jadły. Przez kilka lat hodowała nawet kozy, a z ich mleka robiła ser i jogurt. Zwierzęta wspinały się na samochody zaparkowane na ich podjeździe, a Nu mówiła, że to jej psy stróżujące, nazwała je Brownie i Whitney i opłakiwała je, kiedy zmarły w wyniku gorączki. Poprzysięgła wtedy, że nigdy nie będzie miała innych zwierząt. Jej surowa twarz, lekki zez, oklapły kapelusz słomkowy i solidne buty wydawały się dzieciom wieczne i niezmiennie. Kiedy Maxon ją poznał, był przekonany, że Nu ma trzydzieści lat – i opinia ta nigdy nie została zweryfikowana.

– Nie, mój drogi, ona była kobietą w podeszłym wieku – wyjaśniła Emma, kiedy zadzwoniła, żeby przekazać mu wiadomość o jej śmierci. Powiedziała to drżącym głosem, który świadczył o smutku.

– Ile miała lat? – zapytał cicho Maxon. Wiedział, że właśnie tak mówi się do ludzi, którzy odczuwają smutek.

– Miała osiemdziesiąt siedem lat – odpowiedziała Emma.

– Bardzo mi przykro. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia – dodał Maxon.

– Dziękuję, to bardzo uprzejme z twojej strony – odpowiedziała automatycznie.

Ten fragment rozmowy ćwiczyli przez całe lata. Maxon miał już okazję wypowiedzieć obie te frazy i jeszcze nigdy go nie zawiodły.

– Co pani teraz zamierza? – zapytał.
– No cóż, chyba po prostu tu zostanie. Sunny jest oczywiście w Kalifornii. A ty nadal jesteś tutaj.
– Czy Sunny przyjedzie na pogrzeb?
– Tak, przyjedzie. Maxon, powiedziałaś jej o domu?
– Nie powiedziałem – odparł. – Dlaczego miałbym to robić? – Nie przyznał się do tego, że zamierzał zrobić Sunny niespodziankę. Jeszcze nigdy nie przygotowywał dla nikogo żadnej niespodzianki, ale ten pomysł absolutnie go zniewolił. Bardzo chciał go wypróbować, bardzo chciał wypróbować go właśnie na Sunny.
– Posłuchaj – powiedziała matka – nie mów jej o niczym. Nie... nie sprowadzaj jej tutaj. Pozwól jej wrócić na studia. Ona właśnie tego potrzebuje.
Nie miał nic do powiedzenia.
– Maxon – dodała Emma. – Ona jest dla ciebie jak siostra. Traktujesz ją jak siostrę, prawda? Powiedz, że troszczysz się o nią jak o własną siostrę.
– Troszczę się o nią.
– Jak o własną siostrę – naciskała Emma.
– Troszczę się o nią jak o własną siostrę – powtórzył mechanicznie Maxon.
– Widzisz? – powiedziała Emma. – Właśnie o to mi chodzi. Nie ma potrzeby, żebyś cokolwiek mówił jej o domu, prawda? Po prostu pozwól jej wrócić do Kalifornii i skończyć studia. Tego właśnie potrzebuje.
– Czy byłoby źle – zapytał – to znaczy... czy byłoby czymś złym, gdybym spędził z nią trochę czasu bezpośrednio po pogrzebie?
– Och, nie – odparła Emma. – Chodzi ci o to, czy to byłoby niestosowne?
– Tak – odpowiedział.
– Och, ależ skąd – zapewniła. – Nu nie miałyby nic przeciwko. Ja też nie. Dobrze się stanie, jeżeli trochę poprawisz jej humor, Maxon. Zabierz ją gdzieś. Ale potem pozwól jej odjechać.

Maxon odłożył słuchawkę i rozejrzał się wokół siebie. Na wzgórzu, na północ od farmy Butcherów, stał dom, o którym zawsze marzył. Znajdował się w najwyższym punkcie w całej okolicy, w miejscu, do którego można się było dostać jedynie drogą gruntową, chwilami tak stromą, że wzbudziła by nerwowość nawet u górskiej kozicy. Stał tu dom o trójkątnym dachu, przeszklony z obu stron, a z jego okien rozciągał się widok na wzgórza i doliny sięgające aż po brzegi rzeki Allegheny. Przez całe swoje życie Maxon przychodził do tego domu jako dziki lokator, intruz – najpierw samotnie, potem w towarzystwie Sunny. To była ich specjalna kryjówka. Kupił go, kiedy tylko zarobił swoje pierwsze pieniądze.

Rozciągał się stąd zapierający dech w piersiach widok, a ponieważ rynek nieruchomości w całej okolicy przechodził kryzys, Maxonowi udało się kupić dom za bezcen. Wybebeszył go, usunął stamtąd rozpadające się meble i sprzęt myśliwski, zaprojektował kuchnię. Przyjeżdżał tam w czasie studiów podczas każdych ferii, samodzielnie oczyszczał drogę, żywił się krakersami, pił colę light i roztopiony śnieg, a w lecie harował jak wół, żeby doprowadzić do porządku przepiękny, zaprojektowany z matematyczną niemal dokładnością ogród po jednej stronie domu i staw, który znajdował się po jego drugiej stronie.

Nu zmarła w swoim ogrodzie. Kiedy ją znaleziono, jej stopy były skierowane w górę zbocza, a głowa w dół. Miała tętniaka i kiedy znalazła się w takiej pozycji, nachylona pod takim kątem, musiało dojść do wylewu krwi do mózgu. Maxon zdawał sobie sprawę, że życie na zboczach wzgórza nieodłącznie wiąże się z takim ryzykiem.

Pracując nad swoim domem, Maxon doskonale wiedział, że jego posiadłość graniczy

z posiadłością Butcherów na długości szesnastu kilometrów. Wszystkie decyzje podejmował na bieżąco, robił po prostu to, co było w danej chwili do zrobienia: wycinał stare pnie, malował szopę, budował garaż, podcinał gałęzie drzew, sadił rododendrony na granicy lasu. Nie zastanawiał się, co dalej, niczego nie planował. Ale też nie myślał wtedy o Sunny jako o czymś, czego pragnął. Była jego. Rozmawiali przez telefon niemal każdego dnia.

Kiedy wróciła z Kalifornii na pogrzeb, wydała mu się odmieniona. Ona też miała pełne ręce roboty, spędzała wakacje na uczelni, pracowała nad doktoratem. Nie udało im się spotkać w Pensylwanii, gdzie zaczął jeździć na konferencje już po tym, jak stamtąd wyjechała. Pracował jako najmłodszy w historii wizytujący profesor na Uniwersytecie Stanforda. A teraz stał w kuchni starego domu Butcherów, pochylony nad jej portfolio, i przyglądał się zdjęciom artystycznych peruk, które zaprojektowała. Jedna z nich została skonstruowana z wiórów drewna tekowego, tworzących maleńki ogród zen. Była też seria peruk czarno-białych. Sunny testowała rozmaite zastosowania różnego rodzaju zygzaków, sprężynek i zawijasów, a także niezliczone tekstury plastiku. Siedziała obok niego, we wnęce jadalnej, miała na sobie sprane dżinsy, bluzkę trykotową z odkrytymi plecami i botki. Była tak pewna siebie, tak przejęta i pełna entuzjazmu, kiedy siedziała tam ze splecionymi dłońmi i czekała, co powie, że z trudem koncentrował się na zdjęciach jej prac. W ogóle go nie interesowały. Ale przecież robot dostosowuje swój wyraz twarzy do wyrazu twarzy osoby, z którą rozmawia.

Maxon stał blisko niej, a jego głowa niemal ocierała się o sufit maleńkiej kuchni. Kiwał głową, uśmiechał się i nieustannie zerkał w jej stronę. Wydawała mu się taka dorosła, tak inna od wszystkich kobiet, które zdążył poznać do tego czasu. A więc to do tej kobiety należał głos, który słyszał w słuchawce. Nie widział jej od trzech lat. Bardzo się zmieniła. Nagle zdecydował, że musi działać. Zupełnie niespodziewanie poczuł, że czegoś pragnie. To pragnienie wykraczało poza wszelkie wyrażenia matematyczne, poza wszelkie rozwiązania zagadek logicznych, poza instalowanie wbudowanego w sufit oświetlenia, poza zamykanie oczu i ponowne ich otwieranie. Pragnął jej, pragnął, żeby była naprawdę i całkowicie jego. Czuł się tak samo jak w chwilach, kiedy był głodny. Wiedział, co powinien teraz zrobić.

– Chciałabyś popływać ze mną jutro kajakiem? – zapytał.

– Popływać kajakiem? Po pogrzebie? – zapytała.

Matka płakała w sąsiednim pokoju. Sunny też płakała przed przyjściem Maxona. Ale teraz pomyślała, że chętnie pójdzie popływać kajakiem po pogrzebie, o ile matka poradzi sobie sama. Zapytana o to, Emma zapewniła ją, że sobie poradzi.

Pogrzeb odbył się rankiem w maleńkim, białym kościele w dolinie. Była to skromna uroczystość. Nabożeństwo odprawił ksiądz z kościoła episkopalnego z Filadelfii, jeden z przyjaciół matki. Kościół udostępniła na tę okazję lokalna kongregacja, zresztą wbrew woli tamtejszego kapłana, który nie popierał animistycznych wierzeń Nu. Świątynia była wypełniona aż po brzegi. Tę wyjątkową kobietę przyszło pożegnać tak dużo ludzi, że zajęli każde możliwe miejsce i wylali się aż do przedsionka. Dla wielu z nich była ona pierwszą poznaną osobą o innym kolorze skóry. Przyszli pożegnać wyborczego strzelca, doskonałego szefa kuchni i wierną przyjaciółkę.

Tamtego popołudnia Maxon przyjechał po Sunny ciężarówką, z umocowanym na pace kajakiem. Wyjął go z własnego garażu – ona jednak jeszcze o tym nie wiedziała. Miała na sobie spodenki rowerowe i luźną bluzkę na ramiączkach. Zobaczył też wystające spod bluzki bikini, na którego widok coś w jego wnętrzu nagle się poruszyło. Wrzuciła krem przeciwsłoneczny do starego żółtego plecaka, dołożyła tam butelkę wody, kilka batonów zbożowych i ręcznik. Jej matka poszła tymczasem położyć się na górę.

– Myślisz, że to wystarczy? – zapytała Sunny. W szkole średniej nieustannie pływali

kajakiem i doskonale wiedzieli, co z sobą zabierać. Teraz jednak Maxon nie był już taki pewien. Czy odkąd stali się dorośli, mogli potrzebować większej liczby rzeczy? Sunny nie spakowała tym razem ani cukierków ślazowych, ani mleka czekoladowego. Nie przypuszczał, żeby wynikało to z czegokolwiek innego niż to, że z nich po prostu wyrosła. Przyglądał się jej udom, których linia rysowała się pod szortami inaczej niż -dawniej.

– W porządku, możemy jechać – powiedział.

Pogoda była wspaniała. Spokojne wody rzeki Allegheny marszczył delikatny wietrzyk. Odbijała się w nich zieleń wzgórz, które otaczały ich ze wszystkich stron. Trawy porastające dno przypominały włosy syren, targane przez niewidzialne prądy. Rozmowa przychodziła im bez trudu. Obserwowali liczne nowe budynki powstające na brzegu rzeki, między Emlenton a Parker. Mieszkańcy Pittsburgha przeprowadzali się tu coraz częściej, wznosili niewielkie domy wzdłuż rzeki, wysypywali podjazdy żwirem, wylewali beton i sprowadzali skutery wodne.

Kiedy Sunny i Maxon byli dziećmi, na odcinku piętnastu kilo-metrów odbywały się tu co roku wyścigi tratw. Matka zawsze zachęcała ich do udziału, a oni z każdym rokiem budowali coraz bardziej szalone i skomplikowane mechanizmy. Maxon opracowywał wszystkie aspekty konstrukcyjne, a Sunny zajmowała się dekoracjami, które zdecydowanie wykraczały poza skromne możliwości nauki. Któregoś roku Maxon musiał ciągnąć ich tratwę w dół rzeki, maszerując niewzruszenie wzdłuż brzegu, podczas gdy Sunny wybierała ze środka wodę. Tamtego roku Nu siedziała na wyrafinowanej wieży dowodzenia, którą zbudowali na tratwie, paliła cygaro i pozwalała ciągnąć się w dół rzeki -Allegheny przyszłemu budowniczemu raket. Teraz, kiedy wyścigi tratw odeszły już w niepamięć, uznane za zbyt niebezpieczne dla dzieci, Maxon poczuł, jak jego umysł zalały nagle wspomnienia.

– Zatrzymajmy się na mieliźnie – zaproponował. – I chodźmy popływać.

Mielizna na rzece Crowder, poniżej Petersburga, stała się dla miejscowych dzieci bezpieczną przystanią, w której mogły bawić się w rzece, nie przejmując się zbyt prądami i falami. To miejsce było dla miejscowej ludności tym samym co plaża dla dowolnego nadmorskiego miasteczka – wymówką pozwalającą rozebrać się przed przyjaciółmi, miejscem spotkań, w którym dziewczęta mogły udawać, że koncentrują się na opalaniu, chłopcy mogli udawać, że koncentrują się na pływaniu, a małe dzieci mogły pluskać się pośród skał. Przez kilka lipcowych tygodni w zachodniej Pensylwanii robiło się zwykle ciepło, a miejscowi, niemający w swoich domach klimatyzacji, szukali ulgi i wytchnienia od upałów właśnie nad rzeką.

Sunny i Maxon skręcili w górę Allegheny, by dotrzeć do miejsca, w którym łączyła się ona z Crowder. Musieli wiosłować mocno i zawzięcie, by przepłynąć pod mostem kolejowym Belmar, wkrótce jednak znaleźli się na spokojniejszych, czystszych i płytszych wodach rzeki Crowder. Sunny zdjęła koszulkę i szorty, po czym wskoczyła do wody, wprawnie omijając znajdujące się pod powierzchnią kamienie. Wynurzyła się dopiero po chwili, zaśmiewając się jak foka.

Maxon niespiesznie wiosłował dalej, a po chwili wciągnął kajak na lekko wynurzającą się z rzeki przybrzeżną skałę. Pod wodą unosił się muł, otulający kamienie i rośliny. Był gęsty jak galareta, a kiedy poruszyło się go ręką albo postawiło na nim stopę, unosił się i pochłaniał wszystko, co znalazło się na jego drodze. Woda stawała się na kilka sekund błotnista, do czasu aż wypłukiwał ją prąd i rzeka znowu się oczyszczała.

Maxon wysiadł z kajaka, postawił swoją długą, płaską stopę na skale, po czym wyciągnął kajak jeszcze dalej, żeby upewnić się, że nie porwie go prąd. Po chwili odwrócił się i spojrzał na Sunny, która zdążyła już wypłynąć na środek rzeki. Unosiła się beztrąsko, wystawiając stopy nad wodę, przyglądając im się i machając rękami, żeby utrzymać się na powierzchni. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo się zmieniła, odkąd widzieli się po raz ostatni. Ale Maxon mimo to ją

rozpoznawał. Rozpoznawał jej ruchy, a także jej sylwetkę. Rozpoznawał ton jej głosu, nawyki i ulubione słowa – choć te zdążyły się nieco zmienić.

Kiedy tak patrzył, jak pluskała się w wodzie, udając rozgwiazdę, a potem robiła fikołki, zdał sobie sprawę, że rozpoznawał ją naprawdę, gdzieś na najgłębszym możliwym poziomie. Wiedział, że gdyby planeta zaczęła się nagle gwałtownie obracać jak bąk, potem nagle się zatrzymała, a jemu kazano by wskazać Sunny, zrobiłby to bez trudu. Zrobiłby to, nawet gdyby otaczały go tłumy identycznych ludzi ubranych na szaro, mających siwe włosy i szare oczy, nawet gdyby musiał każdego z nich identyfikować w oparciu o zasady logiki, posługując się kryteriami takimi jak wiek, inteligencja i zarobki. Nie rozpoznałby żadnego z nich. Ale rozpoznałby Sunny. Rozpoznałby ją, nawet gdyby na nią nie patrzył, gdyby o nic nie pytał. Byłaby tam, jak żarówka w koszu pełnym wełny. Jak czerwony balon w pasie asteroid. Tylko ona, ona jedyna na całym świecie się dla niego liczyła. Tylko ją rozpoznałby w każdych okolicznościach. Tak bardzo pragnął się upewnić, że będzie tylko jego. Miał w kieszeni pierścionelek. Wyglądał na pełen nadziei i wyczekujący, tak jak powinien wyglądać pierścionelek zaręczynowy. Ale Maxon nie miał na tę okazję żadnego scenariusza. Był zdany tylko na siebie.

Po kąpieli wyciągnęli się na szerokim, rozgrzanym kamieniu. Sunny zjadła batonik, Maxon nie mógł nic przełknąć. Wypił z trudem kilka łyków wody, otarł usta i położył się na słońcu. Sunny mówiła, mówiła, mówiła – tak jak zawsze, a dźwięk jej głosu sprawiał mu taką samą przyjemność jak szum wiatru w koronach sosen. Niebo nad ich głowami miało ten wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju odcień, który ma niebo Pensylwanii w połowie lipca. To była najbardziej idealna i najspokojniejsza chwila w całym jego życiu. Gdyby Sunny nigdy nie przestała mówić, on nigdy nie musiałby się odezwać.

Ale Sunny w końcu głęboko westchnęła i położyła się na skale. Zapadła cisza. Maxon nie miał pojęcia, o czym mówiła, ale wyglądało na to, że przyniosło jej to ulgę.

Podniósł się na łokciu, odwrócił się i spojrzał na nią. Nadszedł czas, żeby się odezwać, żeby coś powiedzieć.

– Sunny – zaczął. Głos uwiązł mu w gardle. Odkasznął. Sunny też się podniosła i przyjrzała mu się, marszcząc brwi.

Spojrzał na nią, na jej duże, dziwne oczy, na jej delikatny nos i usta w kolorze pąków róży. Przesuwał wzrokiem po delikatnej linii jej szczęki, dostrzegł miękką zmarszczkę w miejscu, w którym łączyła się ona z jej uchem, obserwował bladą, prawie niewidzialną skórę na jej szyi, wystające obojczyki, piękne małe piersi. Czuł w sercu głęboką, silną miłość.

– Tak?

– Sunny, czy skończyłaś już uprawiać seks z innymi mężczyznami?

Uśmiechnęła się, a potem roześmiała.

– No cóż, nie wiem – odpowiedziała. – A czy ty skończyłeś już uprawiać seks z innymi kobietami?

Wpatrywał się w nią w milczeniu. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie uprawiał seksu z żadną inną kobietą.

Jej brwi lekko się uniosły. Oznaczało to, że jest zaskoczona.

– Maxon?

– Tak – odpowiedział.

– Och, kochanie, czyżbyś chciał mi powiedzieć, że nie uprawiałeś seksu z nikim poza mną?

– Nie uprawiałem – odpowiedział. Nie miał pewności, czy te słowa sprawiły jej przyjemność, czy raczej ją rozczarowały.

– Ostatni raz uprawiałeś seks ze mną, wtedy na festynie?

– Tak.

– Lata temu?

– Tak.

– I z nikim innym? Och, Maxon.

Z nikim innym. Zobaczył, że łzy napłynęły jej do oczu, a usta wygięły się w podkówkę. Położyła palec na jego karku, a potem przesunęła go po jego ramieniu, klatce piersiowej i dalej, w dół, po jego biodrze, po wewnętrznej części uda, tak daleko, jak mogła dosięgnąć. Maxon nic nie mówił, nie poruszał się, ale w środku aż drżał, szczęśliwy, że znowu czuje jej dotyk na swojej skórze. Zbliżyła się i dotknęła ustami jego twarzy, jego brwi, jego podbródka. Oddychał coraz szybciej. Ale musiał się opanować. Była taka ciepła, taka bliska, że mógł lada chwila zapaść w sen. Mógł runąć w głąb przepaści i obudzić się, nadal niezaręczony, nadal na tym samym szczeblu drabiny – ani odrobinę bliżej szczytu.

– Zaczekaj – poprosił. – Zaczekaj.

Usiadł i sięgnął do kieszeni szortów, które leżały na skale obok reszty jego ubrań. Sunny przyglądała mu się i nic nie mówiła. Miała w oczach coś, co ludzie nazywają błyskiem. Maxon wyjął lśniący metalowy cylinder i powiedział:

– Sunny, wyjdiesz za mnie?

Podciągnęła się na łokciu i usiadła, po czym z gracją złączyła nogi.

– Co to jest, Maxon?

– Och, to? To tytanowa kapsuła. Używa się jej do przechowywania niestabilnych związków chemicznych. Jest wodoodporna, myślałem, że pierścionek może się zamoczyć, więc...

– A więc masz w kieszeni tytanową kapsułę czy po prostu cieszysz się, że mnie widzisz? – Roześmiała się. Jej uśmiech był szeroki, jej twarz była piękna. Jej gibkie, sprężyste ciało nagle się do niego zbliżyło. Położyła mu dłoń na klatce piersiowej, a potem zaczęła przesuwać ją w dół, coraz niżej, aż do miejsca, w którym jej palce lekko dotknęły przedniej części jego bokserów.

– Sunny – powtórzył – wyjdiesz za mnie? Otworzył tytanową kapsułę i ostrożnie, bardzo ostrożnie, wyjął z niej pierścionek. Bał się, że wpadnie do wody.

Sunny wsunęła mu rękę do bokserów, a drugą ręką, którą trzymała w jego włosach, przyciągnęła go do siebie, zbliżyła jego usta do swoich ust i złożyła na nich gorący pocałunek. Była teraz tuż przy nim, ich ciała się stykały, a Maxon czuł jej przyspieszone tętno, słyszał jej coraz szybszy oddech. Jej palce krążyły po jego jądrach i delikatnie je masowały. To było coś nowego. Musiała się tego nauczyć na studiach.

Cofnął się i ciężko dysząc, powiedział:

– Sunny. Spójrz mi w oczy. Odpowiedz mi. Potrzebuję odpowiedzi.

„Spójrz mi w oczy. Odpowiedz mi. Potrzebuję odpowiedzi”. Tak wiele razy zwracano się do niego tymi słowami. A teraz to on je wypowiadał.

– Tak, głupku – powiedziała, otaczając jego szyję ramieniem, a drugą rękę kładąc mu na pasie. – Tak, wyjdę za ciebie. Skończyłam już uprawiać seks z innymi ludźmi. Tak, tak, tak.

Wezmą ślub. Zamieszkają w swoim pięknym domu o trójkątnym dachu. I nawet jeśli praca Maxona zmusi ich do przeprowadzki do jakiegoś wielkiego miasta, zachowają swój dom stojący na wzgórzu – już na zawsze. Wiedział to.

Założył jej pierścionek na palec, a ona rzuciła się na niego jak wygłodniały pies i całkowicie nim zawładnęła.

Kiedy Maxon dotknął dłonią modułu transportowego, nie ogarnęła go ulga. Pomyślał: „Oto moduł transportowy. Jak dostać się do jego wnętrza?”. Gdy zorientował się, że nie może wejść do środka przez żaden z włazów, nie poczuł strachu. Pomyślał: „Czy istnieje jakiś inny sposób, żeby dostać się do jego wnętrza?”. Bez przerwy poruszał rękoma, przemieszczając się jak pająk, który przyłgnął do płaszczyzny modułu – od uchwytu do uchwytu, od krawędzi do krawędzi, szukając innego rozwiązania. Biały skafander marszczył się na jego stawach, a w wygiętych tubach miało się mieścić jego ciało. W hełmie, w złotawej poświacie odbijała się powierzchnia modułu. Oba włazy były zamknięte. Maxon nie przewidział takiego biegu wypadków.

Sam moduł transportowy miał wielkość paki półciężarówki. Został wystrzelony bez załogi, przy użyciu niespotykanej nigdy wcześniej ilości paliwa – i bez żadnych komplikacji wszedł na orbitę wokół Księżyca. A teraz krążył tu, w mrokach kosmosu, w blasku gwiazd, w przestrzeni bez wiatru, który mógłby świszcząć wokół niego, bez powietrza, którym dałoby się oddychać, ani piosenek, które można by zaśpiewać.

Maxon puścił uchwyt. Nie odleciał, nie zaczął wirować, po prostu unosił się tam, spokojnie dryfując. Wyłączył komunikację radiową, umożliwiającą mu kontakt z Gompersem i Phillipsem. Dźwięki, które wydawali, nie przypominały nawet słów. Nie po raz pierwszy podejrzewał kogoś o wygadywanie bzdur, wyrzucanie z siebie słów w absolutnie przypadkowej kolejności i przytępienie tym samym jego zmysłów. Astronauci wiedzieli, że Maxon nie należy do najlepszych słuchaczy. Poinstruowano ich, żeby przemawiali do niego, używając pewnych szczególnych wzorców składniowych. On jednak wyłączył radio i napęd odrzutowy w swoim skafandrze. Nie przebiegała przez niego żadna elektryczność.

Zanurzał się w ciszy kosmosu. Jeden ruch koniuszkiem palca mógł w tej sytuacji przesądzać o różnicy między życiem a śmiercią. Maxon nie był do niczego przywiązany, nie miał żadnego punktu podparcia. Gdyby wyciągnął palec wskazujący i wykonał najmniejszy ruch, jego masa odrzuciłaby go do tyłu, jako że zgodnie z zasadami dynamiki Newtona każdej akcji towarzyszy reakcja równa co do wartości i kierunku, ale przeciwnie zwrócona. W przypadku, w którym akcja polegająca na postukaniu powierzchni pudełka palcem wskazującym oznaczałaby reakcję w postaci jego śmierci i niepowodzenia misji założenia kolonii na Księżycu – Maxon musiał naprawdę zaufać Newtonowi. Ale właśnie ze względu na to przyznano mu przecież Nagrodę Nobla: umiał wybrać określoną zasadę i trzymać się jej niezależnie od okoliczności aż do chwili, kiedy można było zakończyć zadanie.

Zastanawiał się, co zrobiłaby Sunny, gdyby zagubił się w kosmosie, gdyby odpłynął i zaczął orbitować wokół Księżyca jak maleńka drobina. Gdyby jego śmierć nie nastąpiła w określonym momencie, tylko przeciągała się w nieskończoność, trwała wiele dni, do czasu, aż przez jego mózg przestałyby przebiegać impulsy elektryczne, a on sam gnąłby dalej, tyle że coraz szybciej. Sunny nie powiedziała mu przecież: „Chcę, żebyś krążył wokół Księżyca, dopóki nie umrzesz”. A on nie potrafił czytać między wierszami. Mógł tylko wyciągnąć wnioski w oparciu o konkretne dowody i zasady, które zostały wcześniej ustalone. Gdyby zniknął, Sunny mogłaby wyjść za kogoś odpowiedniejszego, kogoś lepiej funkcjonującego w świecie. „Mój pierwszy mąż poleciał w kosmos i zginął – mówiłaby. – Ale potem znalazłam sobie lepszego męża, lepiej przystosowanego do życia, człowieka, którego pragnę dla siebie i swoich dzieci”. Może dla Sunny naprawdę lepiej by było, gdyby nie wrócił? Może dla Ziemi lepiej by było, gdyby

kolonizacja Księżyca okazała się niemożliwa?

Był przekonany, że Sunny świetnie sobie bez niego poradzi. Wielokrotnie powtarzała mu, że to właśnie on rujnuje jej życie. W tym scenariuszu Maxona niepokoił przede wszystkim los wszystkich jego pięknych robotów. Obawiał się, że jeżeli odepchnie się od modułu i wyleci na orbitę, to za czterdzieści pięć minut wymyśli rozwiązanie, które mogło ich wszystkich uratować. I wtedy, dopóki starczy mu powietrza, będzie musiał radzić sobie z frustracją związaną z niemożnością wprowadzenia tego rozwiązania w życie. Tego uczucia nie chciał w żadnym wypadku doświadczyć. Człowiek nie może się zabić samym pragnieniem śmierci. Ostatecznie przecież zemdleje i znowu zacznie oddychać. Maxon czekał więc cierpliwie, aż wpadnie mu do głowy odpowiednie rozwiązanie. Wiedział jednak, że jeżeli będzie czekał zbyt długo, jego spacer w przestrzeni kosmicznej dobiegnie końca, zapas tlenu się wyczerpie, a on nie zdąży wrócić do rakiety.

– Tato – odezwał się głos. Należał do Bubbera.

Maxon odwrócił głowę, uwieczoną wewnątrz błyszczącego hełmu, a następnie złapał element wystający z bocznej ściany modułu i przesunął całe swoje ciało. Zobaczył drugi skafander kosmiczny, zdecydowanie mniejszy, ale taki sam jak jego własny. Taka sama złota kula otaczająca głowę. Takie same złącza na ramionach i takie same białe rękawice – tyle że maleńkie, o idealnym kształcie.

– Bubber?! – zawołał. Zaciskał zęby tak mocno, że szczęka niemal pękła, kiedy poruszył ustami. Głos wypełnił cały hełm, ale nie odbił się echem w radiu, bo radio zostało wcześniej wyłączone.

– Cześć, tato – odpowiedział skafander kosmiczny o wielkości dziecka.

– Jak się tu dostałeś? – zapytał Maxon. – Czy ja śnię?

– Nie – odparł Bubber. – Nie śnisz.

Syk tlenu pompowanego do wnętrza hełmu, jego własny oddech, a także głos Bubbera, wyraźny jak litery zapisane na kartach książki, dochodzący z... no właśnie, skąd?

– Czy ja nie żyję? – zapytał Maxon.

– Nie – odparł Bubber. – Żyjesz.

– Czy ty nie żyjesz?

– Tato, przestań.

Dziecięcy skafander zbliżył się do niego i Maxon zobaczył swoje własne odbicie na powierzchni drugiego hełmu. Mały skafander wyciągnął rękę w jego stronę, a Maxon złapał ją i przez swoją rękawicę poczuł sztywne palce ukryte w -drugim kombinezonie.

– Przyzwyczailem się do tego, że jesteś z nami w domu – powiedział Bubber. – Powinieneś być w domu.

– Przykro mi, kolego – odparł Maxon. – Mam mały problem.

– Mogę ci pomóc – oznajmił Bubber.

Maxona najbardziej w tym wszystkim zdziwiło to, jak normalny wydawał się Bubber. Mówił jak absolutnie normalna istota ludzka – a nie jak stworzenie usiłujące naśladować ludzką mowę. Nie tak, jakby czytał scenariusz. Rozmawiał z nim jak zwyczajne, normalne dziecko. Przeciętne dziecko, które przybrało postać widma w skafandrze i krąży po orbicie okołoksiężycowej podczas skazanej na niepowodzenie misji kolonizacji Księżyca. Dziecko mówiące z prawdziwą intonacją, modulujące głos. Maxon umiał rozpoznać ludzi, którzy podobnie jak on sam musieli intonację jedynie naśladować, w przeciwieństwie do prawdziwych istot ludzkich, którym przychodziło to całkowicie naturalnie.

Pracując w NASA, poznał wiele osób, z którymi naprawdę potrafił się porozumieć. Ludzi z chemią mózgu podobną do jego własnej. Część z nich trzymała się razem, inni wczepiali się

w pierwszego w miarę normalnego człowieka, jakiego spotkali na swojej drodze, albo po prostu żyli samotnie. Nikt z nich nie był szczęśliwy. Nikt nie miał przy sobie Sunny. Maxon po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, z kim ożeni się Bubber. Nigdy o tym nie myślał, bo ziemski Bubber, nafaszerowany lekami i nienaturalnie przyjazny, nie natchnął go do tego typu refleksji. Ziemski Bubber nigdy by się z nikim nie ożenił. Przez całe życie zajmowałiby się nim rodzice, a po ich śmierci trafiliby do domu opieki.

– Przykro mi, kolego – powiedział Maxon.

– Dlaczego ci przykro? – zapytał Bubber.

– Przykro mi, że taki jesteś.

– A jaki jestem?

– No cóż, coś jest z tobą nie tak.

– Co?

– To samo, co ze mną. Z nami obojwoma jest coś nie tak.

– Nic z tobą nie jest nie tak, tato. Jesteś naprawdę świetny.

– Może tutaj nic ze mną nie jest nie tak, ale w domu, tam w dole, owszem.

Maxon przypomniał sobie ostatnią rozmowę o lekach Bubbera, jaką przeprowadził z Sunny. Przypomniał też sobie, jak na koniec powiedziała mu, że nie powinien wypowiadać się w tej kwestii, bo sam jest nienormalny.

– A co, jeżeli on jest tak naprawdę bardziej rozwinięty od wszystkich innych ludzi? Co jeżeli ja też jestem tak naprawdę bardziej rozwinięty?! – krzyknął Maxon. Stał przed drzwiami swojego gabinetu i kłócił się z nią o haldol. Kiedy wychodził z gabinetu, często robił tylko kilka kroków po korytarzu, a potem wracał do środka.

– Zobaczysz, to zadziała – powiedziała Sunny. – Nic mu nie będzie. Leki wszystko naprawią.

– Nie chcę niczego naprawiać! – wrzasnął Maxon, a na jego czole pojawiły się żyły. Uderzył pięścią w ścianę. – Pamiętasz w ogóle, jaki on był, zanim zaczęliśmy poddawać go tym wszystkim testom i wpychać w niego leki? Pamiętasz w ogóle, jak się czułaś, kiedy miałaś dziecko?

– Zrobiłeś się agresywny – zauważyła sucho Sunny. – Może ty też potrzebujesz haldolu?

– Nie potrzebuję leków – oznajmił stanowczo Maxon.

– Tak, a to dlatego że moja matka poświęciła całe życie, żeby cię naprawić. I wiesz co?

Wiesz co, mądralo? – Teraz to Sunny, która zajmowała się właśnie robótką ręczną, straciła nad sobą panowanie i gwałtownie szarpnęła włóczką. Maxon zrobił dwa kroki po korytarzu, oddalając się od swojego gabinetu. Sunny miała na głowie jasną perukę z dwiema drewnianymi chińskimi pałeczkami wbitymi we wspaniały kok. Przykleiła sobie też brwi, ale jedna z nich się odkleiła, kiedy Sunny gotowała na parze brokuły, i zwisała jej teraz nad okiem.

– Co? – zapytał.

– Wcale nie zostałeś naprawiony! – krzyknęła. – Wcale nie zostałeś, kurwa, naprawiony! Jesteś szalony jak pierdolony Kapelusznik! A ja nie zamierzam wychowywać tego dzieciaka na kolejnego wariata. On nie jest takim dzieciakiem, ja nie jestem taką matką, a ty się lepiej staraj, kurwa, jak możesz, żeby nie być takim ojcem. Nie jesteśmy panem i panią Szurniętymi. Szaleniec senior, szaleniec junior i towarzyszące im dziwadło. Nie. Nie dopuszczę do tego.

Maxon cofnął się, zrezygnowany. Nie wiedział, jak wyrazić to, co zobaczył. Mógł to narysować, ale czuł, że to niewłaściwa chwila, że mogłoby to wzbudzić zdziwienie Sunny. To nie był odpowiedni czas na dekorowanie zmywarki do naczyń rysunkami. Wyobraził sobie jednak pana i panią Szurniętych i szaleńca juniora jako nowoczesną rodzinę w skafandrach kosmicznych. Żadne z nich nie komunikowałoby się za pomocą min, wyrazów twarzy i innych

tego rodzaju subtelności. Jakie to ma znaczenie w kosmosie? Postępowaliby systematycznie, zgodnie z protokołem, mówiliby o wszystkim wprost, bez niejasnych sugestii i niedopowiedzeń. Pozbawieni emocji, inteligentni, wyposażeni w matematyczne umysły. Rodzina przyszłości. Żaden autyzm, żadne szaleństwo – po prostu kolejny etap ewolucji. Ludzie idealnie przystosowani do podróży kosmicznych, do życia w kosmosie i mieszkania w kolonii księżycowej.

– Zabierz pana i panią Szurniętych razem z tuzinem ich autystycznego potomstwa w kosmos, zostaw ich na Księżycu i zobaczysz, jak świetnie sobie poradzą – powiedział. – Ewolucja, Sunny. Ewolucja. Myślisz, że ona się nagle zatrzymała?

– Chodź tu – poprosiła łagodnie. Dała mu znak, żeby podszedł i usiadł przy niej na kanapie. Maxon zauważył, że oglądała coś w telewizji.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam, że krzyczałem.

– Wszystko w porządku, kochanie – odrzekła Sunny. – Po prostu dosypię ci trochę haldolu do termosu.

– Żadnego pieprzonego haldolu – sprzeciwił się Maxon. – Ani dla niego, ani dla mnie. Mówię serio.

– Dobrze. Żadnego haldolu – obiecała, siadając mu na kolanach. – Musisz się ogolić.

– Tato – powiedział Bubber, ubrany w skafander kosmiczny.

– Tak, synu?

– Musisz znaleźć sposób, żeby dostać się do modułu transportowego.

– Nie znalazłem go jeszcze – odpowiedział Maxon. Ilekroć mówił, miał wrażenie, że swoim ochryplym głosem rozdziera wszechogarniającą ciszę, że w jakiś sposób ją mąci.

– Tato, pomyśl – poprosił cierpliwie Bubber. – Jak pierwotnie zamierzałeś go otworzyć? Musiałeś znać jakieś rozwiązanie.

– To się w ogóle nie miało wydarzyć – wyjaśnił Maxon. – Tego nie było w scenariuszu.

– Nie zamierzałeś go w ogóle otwierać?

– Nie – powiedział Maxon. – Plan był taki, że moduł dowodzenia połączy się z modułem transportowym i wtedy otworzymy śluzę pomiędzy nimi...

– Przecież możesz stać się modułem dowodzenia – zauważył Bubber. – Możesz się z nim połączyć.

– Ale śluza powietrzna się wtedy rozszczelni.

– Kogo to obchodzi? – odparł Bubber. – Ja jej nie potrzebuję, roboty jej nie potrzebują, ty też jej nie potrzebujesz.

Maxon zastanawiał się przez chwilę.

– A więc w którym miejscu miały się połączyć? – dociekał -Bubber.

– Chodź ze mną.

Bubber miał oczywiście rację. Mózg Bubbera pracował tak, jak powinien. Maxon mógł przecież dostać się do środka przez śluzę służącą do dokowania. Musiał tylko wywrzeć odpowiedni nacisk w odpowiednich miejscach, żeby właz otworzył się tak jak podczas procedury dokowania. Nie potrzebował śluzy powietrznej. Minęło kilka minut, a on włączał już Herę i zaczął karmić ją tytanem oraz aluminium, których potrzebowała do budowy systemu łączności. Maxon odwrócił się w kierunku śluzy. Bubber unosił się swobodnie w przestrzeni kosmicznej, podniesionym kciukiem dając znak: „Wszystko w porządku”.

– Dziękuję ci, mój mały kolego – powiedział Maxon. – Teraz wydaje mi się to takie oczywiste.

– Nie ma za co, tato. Zobacz, to wszystko zajęło ci tylko trzydzieści trzy minuty.

Cały Bubber. Mierzył czas bez pomocy zegarka.

Kilka miesięcy wcześniej pojechali do Pensylwanii po matkę. Sąsiedzi powiadomili ich, że jest zbyt chora, by dłużej pozostawać bez opieki. Sunny oczywiście w to nie wierzyła.

– Mamo – powiedziała, rozmawiając z nią przez telefon. – Jak się odżywasz? Co dziś jadłaś?

– Wypiłam odżywkę witaminową – odparła matka. – Wszystko w porządku. Jest tu Hannah. Pilnuje, żebym o tym nie zapomniała.

Hannah była młodą amizką, która przychodziła sprzątać dom, gotować i zajmować się wszystkim, co potrzebne. Sunny nie wiedziała do końca, co jeszcze należało do jej obowiązków. Miała po prostu zastępować Nu.

– Mamo, musisz jeść coś więcej niż tylko odżywki w płynie – powiedziała Sunny. – Przyjadę do ciebie.

Kiedy zjechali z drogi numer osiemdziesiąt, Sunny wyprostowała się na siedzeniu i skrzyżowała ręce na piersiach. Przeglądając się w lusterku, poprawiła perukę, a potem zmieniła zdanie i zastąpiła ją inną. Poprosiła Maxona, żeby jej pomógł. Bubber, siedzący na tylnej kanapie minivana, zdążył tymczasem zasnąć. Maxon prowadził. Gdy tylko zjechali z autostrady, Sunny natychmiast poczuła głęboki sosnowy zapach okolicznych lasów, piaszczysto-ilasty, wilgotny zapach jej dzieciństwa – a także dzieciństwa Maxona. Przypomniała sobie wszystkie te dni, które spędzili, biegając razem nad brzegiem strumienia i wspinając się na drzewa. Powietrze było tu wilgotniejsze niż w Wirginii. Paprocie były gęstsze, a drzewa bardziej zielone. To miejsce na każdym zrobiłoby wrażenie.

– Czujesz to? – zapytała.

– Co? – zapytał Maxon.

– Ten... zapach. Zapach powietrza.

– Czuję ropę, tetracyklinę, tlenek węgla i rozkładającą się materię.

– Nieprawda, głupku. To przyjemny zapach. Wirginia tak nie pachnie.

– Powietrze w Norfolku w stanie Wirginia zawiera osiem procent chlorku sodu więcej niż tutejsze powietrze.

– Spróbuj za coś zatęsknić. Poczuj nostalgię. Przypomnij coś sobie.

Jechali przez hrabstwo Yates drogą numer trzydzieści osiem, przecinając pola i lasy, wspinając się na kolejne pagórki i wzniesienia. Mijali rozpadające się obory, które wyglądały tak, jakby miały zaraz runąć, zdewastowane przydrożne sklepiki, małe strumyki, pasące się krowy i białe kościółki o spiczastych dachach. Sunny zalało nagle dziwne ciepło. Mimowolnie poczuła głęboką więź z tym miejscem. Miała wyrzuty sumienia, że nie przyjeżdżała tu częściej. Zostawiła matkę samą, porzuciła ją. Tylko dlatego że nie chciała stanąć naprzeciw niej w peruce. Popęłniła błąd.

– No dobrze – powiedział Maxon. – Pamiętam, jak facet, który mieszkał w tamtym domu, okazał się zbrojcem.

– Źle – oznajmiła Sunny. – Nostalgia kojarzy się z czymś ciepłym. Powinna budzić w tobie ciepłe uczucia.

– Dobrze – odparł Maxon. – Pamiętam, że w sierpniu 1991 roku było tak gorąco, że przez tydzień nie mogliśmy wchodzić na górę.

– Nie chodziło mi o dosłownie rozumiane ciepło! – zawołała Sunny i walnęła go w ramię. – Proszę cię, nie mów mi, że trzeba ci tłumaczyć takie rzeczy.

– Niczego nie pamiętam – powiedział Maxon. – Wymazałem z pamięci wszystkie te lata.

– Nie kochasz mnie, Maxon? – zapytała Sunny, podążając znajomym tropem. W ten sposób sygnalizowała zwykle, że nie miała ochoty dłużej z nim rozmawiać. To był jeden z wielu scenariuszy, które dla nich napisała i które regularnie odgrywali.

- Kocham – odpowiedział.
- Jak bardzo?
- Moja miłość waży całe tony.
- Ile ton? – zapytała.
- Całe mnóstwo ton.

Na skrzyżowaniu drogi numer trzydzieści osiem i ulicy o nazwie Bear Run Sunny złapała go nagle za rękę.

- Maxon. Mam pomysł. Odwiedzmy twoją matkę.

Zjechali z głównej drogi, minęli las oraz wąski mostek nad górskim potokiem i stanęli przed dawnym domem Maxona. Trudno było go dostrzec, bo ze wszystkich stron otaczały go równe stopy drewna. Stara obora – niegdyś wypełniona po brzegi brudnymi, lepiącymi się narzędziami, górami potłuczonych dachówek, puszkami smaru, miedzianymi przewodami i innymi śmieciami – była teraz otwarta na oścież i wypakowana pod sufit starannie ułożoną tarcicą. Miejsce pastwiska, gdzie dawniej stały dziesiątki zdezelowanych samochodów, pomiędzy którymi leniwie snuły się wyliniałe owce, zajął tartak. Z jednej strony znajdował się otwór, z którego lał się deszcz trocin, z drugiej zaś wózek widłowy dostarczał kolejne partie drewna. Prowizoryczną szopę na rowery Maxona zastąpiła tokarka.

- Nie chcę spotykać się z moją matką – powiedział Maxon.

– O cholera, ależ to miejsce się zmieniło – zdziwiła się Sunny, wysiadając z samochodu. – Jak ona to zrobiła? Maxon, przecież kiedy odwiedziliśmy ją pięć lat temu, to miejsce było kompletną ruiną.

– Wyszła za tego faceta z Butler – wyjaśnił Maxon. – Chodź, jedźmy już. To dla mnie naprawdę krępująca sytuacja. Nie wiem, co jej powiedzieć.

– Powiedz po prostu: „Dzień dobry, mamo. Przyjechałem się tylko przywitać, bo akurat byłem w okolicy. To moja żona i dziecko”. A potem poczekaj i zobacz, co odpowie. To ci pomoże.

- Nigdy nie widziała... – zaczął Maxon.

- Nie widziała czego? – zapytała Sunny. – Dziecka czy peruki?

Maxon też wysiadł z samochodu. Stał obok niego, opierając jedną rękę na dachu, drugą zaś wczepiając się w drzwi. Bubber, który do tej pory spał na tylnym siedzeniu, obudził się.

– Pomóż Bubberowi wsiąść – poprosiła Sunny, poprawiając swój piękny, kremowy kombinezon ciężowy i wygładzając go na brzuchu. – Chodźmy zapukać.

Nie musieli jednak tego robić, bo w tej samej chwili z obory wyszedł pokryty pyłem z trocin mężczyzna, który ruszył w ich stronę. Miał około sześćdziesięciu lat. Zbliżywszy się do nich, zdjął kapelusz i zapytał uprzejmie:

- Chcecie kupić drewno? Mam mnóstwo suchego drewna.

- Nie – odpowiedziała Sunny. – Przyjechaliśmy do pani Mann.

- Znacie Laney? – Spojrzał na nich z niedowierzaniem.

– Znamy – odparła Sunny, otaczając teraz zaspanego Bubbera ramieniem. Podniosła chłopca, oparła go sobie na biodrze i mocno pocałowała w czoło. – Czy moglibyśmy wejść do środka?

- Hmm, to teraz Laney Snow. Jestem jej mężem. Ben Snow. Miło mi was poznać.

Uścisnęli sobie dłonie. Maxon spojrzał na Sunny, wyraźnie zaskoczony.

- Mamo – odezwał się cicho Bubber. – Muszę iść na nocniczek.

- Pewnie – powiedział mężczyzna. – Chłopak może lecieć do łazienki. Zaprowadzę was.

Laney na pewno się ucieszy, że was widzi. Cały dzień siedzi w papierach, więc trochę już ma dosyć tych cholernych liczb. Pewnikiem się ucieszy, że ma gości.

Mężczyzna zaprowadził ich do drzwi. Dom nie był już starą rupieciarnią, którą zapamiętała Sunny. Panował tu teraz idealny porządek.

– Hej, Laney! – zawołał mężczyzna, otwierając drzwi. – Masz gości, dziewczyno. Chodź no się przywitać.

– Proszę, proszę – odpowiedział jakiś wysoki głos z wnętrza domu. – Chodźcie tutaj, jestem w kuchni.

Maxon próbował się wycofać i zaczął mówić, że poczeka przy samochodzie, ale Sunny uszczypnęła go w ramię i popychała przed sobą do czasu, aż znaleźli się w niewielkiej, -jasnej kuchni.

Ostatni raz Sunny odwiedziła tę kuchnię latem, po pierwszym roku studiów Maxona. W maju, kiedy zaczęły się wakacje, od razu wyruszył w podróż po Europie. Jeździł na rowerze i wędrował z plecakiem po Alpach i Pirenejach. Podążał w ślad za profesjonalnymi kolarzami uczestniczącymi w wyścigach i nocował wszędzie, gdzie tylko mógł podłączyć swój laptop. Wrócił do domu w sierpniu, kiedy został mu już tylko tydzień wolnego. Sunny myślała, że Maxon natychmiast do niej przybiegnie, że wpadnie do kuchni i poprosi Nu o coś do jedzenia. Czekala i czekała, ale on nie zjawiał się przez trzy dni, a w domu Mannów nikt nie odbierał telefonu. Ogarniała ją coraz większa irytacja. Przecież sama miała wyjechać na studia już za kilka tygodni. Maxon pisał do niej listy, wysyłał e-maile, dzwonił... Dlaczego nie chciał się z nią spotkać, przywitać się i pożegnać?

Rozczarowanie popchnęło ją ostatecznie do działania. Przemierzyła dolinę, otworzyła gwałtownie drzwi jego domu i wkroczyła do środka, nie czekając na zaproszenie. Maxon siedział samotnie przy kuchennym stole, pośród stert papierów i śmieci. W pomieszczeniu panował półmrok, było tam ponuro i brudno. Wszędzie wałały się stosy brudnych naczyń, plastikowe worki i śmieci, a na blacie Sunny dostrzegła coś, co wyglądało jak gniazdo wiewiórki. W bezpośrednim otoczeniu Maxona panował jednak porządek, a on sam siedział przy laptopie, nisko pochylony i oświetlony niebieskim światłem. Miał na sobie tylko sprane dżinsy, a na jego opalonej, ogolonej głowie dało się zauważyć ślady po paskach kasku rowerowego. Sunny wiedziała, że golił głowę właśnie dla niej. Widok jego klatki piersiowej, mostka i obojczyków rozbudził w niej głęboką tęsknotę. Chciała go przytulić, poczuć jego oddech.

Ale jej wizyta wyraźnie wyprowadziła Maxona z równowagi. Natychmiast kazał jej wyjść.

– Sunny – powiedział. – Nie możesz tu być.

– Dlaczego nie? – zapytała. – Nie rozumiem.

Wstał i podszedł do niej, tak jakby zamierzał jej dotknąć, chwycić ją czy wziąć w ramiona. Ale zatrzymał się.

– Czekaj. Muszę ci coś powiedzieć – dodał. – Kilka tygodni temu byłem we Francji. Napisałem wiersz.

– Ty napisałeś wiersz? – Miała kompletny mętlik w głowie. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Tak, napisałem.

– Prawdziwy wiersz, taki ze słowami, uczuciami i tak dalej?

– Ze słowami.

– Mogę go zobaczyć?

– Nie, nie zapisałem go nigdzie.

– No cóż, a możesz mi go wyrecytować? Pamiętasz go? W jaki sposób go zapamiętasz, jeśli go nie zapisałeś?

– Pamiętam go.

- Ale nie zamierzasz się nim ze mną podzielić?
- Nie.
- Dlaczego nie, Maxon? – Czują się tak, jakby miała się zaraz rozpląkać.
- Twojej matce by się to nie spodobało – odpowiedział Maxon. – Nie pochwalaby tego.

Nie chce, żebyśmy się w ogóle widywali.

- Więc kiedy usłyszysz wiersz? Po jej śmierci?
- Wydaje mi się, że nigdy nie będziesz mogła go usłyszeć. Musisz już iść. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że napisałem dla ciebie wiersz. Powinnaś o tym wiedzieć.

Później zadzwonił do niej i poprosił, żeby mu wybaczyła. A potem wrócił do Massachusetts i spotkali się dopiero po latach.

W żółtawym świetle, przy starym stole z blatem pokrytym laminatem siedziała kobieta, która nazywała się kiedyś Laney Mann. Pochyliła nad księgą rachunkową, kwitariuszem i stertą papierów, trzymała w jednej ręce ołówek, a w drugiej różową gumkę. Podniosła wzrok. Sunny nie wierzyła własnym oczom. Miejsce niezdarnej góry mięsa, którą pamiętała z dawnych czasów, zajęła zadbana starsza pani. Włoski wyrastające w dziwnych miejscach na skórze zastąpiły delikatne zmarszczki. Dziury w gnijących zębach zniknęły za łagodnym uśmiechem, a włosy zostały starannie splecione w warkocz.

- O, jak to miło, że... – zaczęła, w ogóle nie zastanawiając się, do kogo mówi, ale nagle zorientowała się, że stoi przed nią syn, i zamilkła. – Maxon?
- Skąd wy dwoje się znacie? – zapytał jej mąż.
- Nie uwierzysz, Ben – powiedziała. Podniosła się i wyciągnęła rękę w kierunku Maxona, który nadal stał w drzwiach. – To mój syn Maxon. Nigdy ześ go nie poznał. Wiesz, najmłodszy z nich. On jest, eee...
- Naukowcem – wtrąciła uprzejmie Sunny.
- Właśnie, był naukowcem tu u nas, w Wirginii – wyjaśniła Laney. – Nad czym to teraz pracujesz? Niech no ja pomyślę... Czekał, wiem, Emma mi mówiła. Rakiety, nie? Będziesz latała rakieta?

- Tak – potwierdził Maxon.
- Gdzie? Na Księżyc? – zapytał Ben.
- Tak – odpowiedział Maxon.
- No proszę! – zawołała jego matka. – To naprawdę cudowne!

Wszyscy przenieśli wzrok na Maxona.

– Dzień dobry, mam – powiedział. – Przyjechałem się tylko przywitać, bo akurat byłem w okolicy. To moja żona i dziecko.

Laney sięgnęła po czajnik i wlała do niego wodę z dzbanka stojącego na blacie. Uważnie przyjrzała się Sunny i kiwnęła głową z aprobatą, cmokając językiem.

– No cóż, kochanie, cieszę się, żeś nie został z tamtą dziewczyną Emmy. Ona była... no, zawsze byłam Emmie wdzięczna, że płaciła za twoją szkołę i podróże. Ale ona ciągle powtarzała, że wy, dzieciaki, powinniście być z innymi, bardziej... eee, dopasowanymi do was ludźmi. Takie coś po prostu nie mogło wypalić. No i proszę, teraz masz taką śliczną nową żonę, małego chłopaczka i dobrze ci się powodzi.

Maxon stał bez ruchu, wyraźnie oszołomiony. Trudno było wyczytać z jego twarzy jakiegokolwiek emocje. Sunny poczuła głęboką satysfakcję. Peruka się sprawdziła. Chroniła ją jak zbroja.

– Kim była ta dziewczyna Emmy? – zapytała matkę Maxona, pomagając starszej kobiecie sięgnąć po stojącą na górnej półce puszkę z herbatą. – Twoją pierwszą żoną? Co, Maxon? Była ładna? Powinnam się niepokoić?

– Nie, nie, gdzie tam – zapewniła Laney, przeliczając torebki liptona. – Biedactwo było... łyse. – Wyszeptala to ostatnie słowo z przerażeniem, dyskretnie zakrywając usta dłonią. Kiedy próbowała zachowywać się subtelnie i elegancko, Sunny dostrzegala w wyrazie jej twarzy resztki tamtej starej Laney, grubej i zdesperowanej Laney. Rozbiegane oczka. Dziwny odruch przeżuwania.

– Jak to łysa? Golila głowę? – zapytala Sunny, upajajac się dotykiem prawdziwych ludzkich włosów, które opadały jej na twarz, falowały na jej obojczykach i łaskotały w łopatki.

– Lepiej o tym nie rozmawiajmy, kochanieńka – powiedziala Laney, umieszczajac torebki z herbatą w czterech różnych kubkach. – Jak masz na imię? Maxon, jak ona ma na imię?

Maxon wydal dziwny odgłos, przypominajacy bulgot, a Sunny odezwala się, zanim zdołal cokolwiek powiedziec:

– Alice. Mam na imię Alice.

– No cóż, Alice, to dawne czasy. Zamknięta sprawa. Wiele rzeczy zostawiamy za sobą, nie, Maxon? Wiele rzeczy po prostu za sobą zostawiamy.

– Nie piję herbaty – powiedzial Maxon.

– No dobrze, a może oranżadki w proszku? Mam trochę oranżadki dla twojego chłopaka. Pyszna oranżadka. Masz ochotę na oranżadkę, kochanie?

Później pojechali po matkę Sunny do domu znajdujacego się po drugiej stronie doliny. Zamknęli wszystkie okna i drzwi, wyłączyli wodę, opróżnili rury i wlałi do nich płyn przeciw zamarzaniu. Emma w tym czasie siedziala na kanapie i sluchala, jak Bubber odczytywal literę po literze z książki, w której znajdowały się wyłącznie formuły chemiczne i równania. Właśnie tę książkę wybral sobie z półki, a Emma powiedziala: „Dobrze, dobrze, jak sobie zyczysz”. Sunny przygladala się, jak babcia zajmuje się swoim ukochanym wnukiem, jak głaszcze go po uszach, dotyka jego głowy... Ogarnęły ją wyrzuty sumienia na myśl o tym, że odmawiala matce tej miłości i ciepła przez ostatnie cztery lata. Emma nie przyjęła jej peruki z taką niechęcią, jakiej spodziewala się Sunny. Cztery lata temu, kiedy peruka była jeszcze czymś nowym, jej matka zareagowala wzburzeniem. Teraz jednak wydawala się po prostu smutna i zapytala tylko Maxona, czy mu się to podoba – on zaś nie miał pojęcia, co odpowiedziec.

Zapłacili wyraźnie rozczarowanej Hannah, spakowali wszystko do samochodu, zamknęli drzwi na klucz i wyruszyli. Matka, która siedziala obok Bubbera na tylnym siedzeniu, szybko zasnęła, oparta na poduszkach i opatulona kocami.

– Wydaje mi się, że całkiem nieźle wyglada – powiedziala Sunny. – Jak uważasz?

– Całkiem nieźle wyglada – odpowiedzial Maxon.

– A twoja matka? Potrafisz w to uwierzyc?

– W co?

– Jest w świetnej formie. Wyszła za tego miłego faceta, ma własny biznes... Kto by pomyslal.

– Teraz nienawidzę jej bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – powiedzial.

Zapadł zmrok, a światła samochodu oświetlaly drogę. Mijali poobijane znaki drogowe, leżacą w rowach padlinę oraz strzałkę z napisem „CLARKSON RONDO-WU”. Jazda w górę i w dół, kolejne wzniesienia i pagórki, które pokonywali, przypominaly Sunny o czasach, w których jeździli po tej okolicy jako nastolatki. Maxon nigdy nie tykal przy takich okazjach alkoholu, dzięki czemu ona sama mogła sobie pozwolic na to, żeby być lekko pijana, bezpiecznie pijana, na tyle, żeby wtulac się w niego, śmiać, kłasc nogi na desce rozdzielczej i głośno śpiewac lecacę w radio piosenki.

– Dlatego że tak bardzo polubila Alice? – zapytala cicho Sunny. – Czy chodzi o całą reszte?

Maxon nie odpowiedział. Spojrzała na jego profil, na wyraźnie zarysowaną linię szczęki na tle zachodzącego słońca, na palce ściskające kierownicę tak mocno, jakby chciały ją udusić, na pobielające kłykcie i nabrzmiące żyły. Wypełniał sobą całe siedzenie, od podłogi aż po sufit wana. Dotknęła ręką jego włosów, pogłas-kała go, przejechała dłonią po jego karku. Zobaczyła, że palce Maxona się rozluźniły.

– Nie gniewaj się – poprosiła. – Ona stanowi dowód, że ludzie mogą się zmieniać. Przypomnij sobie, jaka była kiedyś, i spójrz, jaka jest teraz. To zupełnie inna osoba. Maxon, nie widzisz tego? Jest kompletnie odmieniona. A dlaczego? Dlatego że znalazła odpowiedniego człowieka, zajmuje się odpowiednimi rzeczami, postanowiła ruszyć przed siebie drogą prowadzącą ku normalności. Robiła wszystko, by stać się osobą, którą chciała się stać, i teraz osiągnęła doskonałość. Jest normalna. Każdy, kto by ją teraz odwiedził, potwierdziłby to bez wahania. Nikt by się nie domyślił, jaka była kiedyś.

– Jest dokładnie taka sama – oznajmił Maxon. Jego kłykcie znowu pobieleły. To był czytelny znak narastającego w nim gniewu. – Nikt się nigdy nie zmienia. Przestań próbować go zmienić. Dlaczego nie możesz po prostu kochać go takiego, jaki jest?

– Kocham go – powiedziała Sunny, podczas gdy jej dłoń nadal krążyła po włosach Maxona, uspokajała go, okazywała mu miłość. Uświadomiła sobie, że wszystko, co tak naprawdę się dla niej liczy, znajduje się właśnie w tym samochodzie. Cieszyła się, że pojechali po jej matkę. Myślała o tym, że kiedy ta wyzdrowieje, będzie mogła im pomóc i zająć się Bubberem. Przecież doskonale wiedziała, jak uczyć małych chłopców odpowiednich zachowań. Gdyby Sunny tak bardzo nie bała się żyć obok matki w peruce, poprosiłaby ją o pomoc lata temu. – Kocham go tak bardzo, że pragnę dla niego lepszego życia, czegoś lepszego niż to, co mieliśmy my. Wszystko, co nas dotyczy, jest takie skomplikowane. Chcę go po prostu przed tym uchronić. Chcę, żeby jego życie było proste. Żeby było łatwe.

Maxon nie wiedział, co powiedzieć – a może nie chciał tego powiedzieć. Milczał przez długi czas, aż wreszcie Sunny poprosiła go, żeby powiedział jej, że ją kocha. I tak właśnie zrobił.

Maxon zobaczył w dole Mare Orientale i zrozumiał, że znaleźli się nad odwrotną stroną Księżyca. Morze Wschodnie, jedna z największych blizn na szarym obliczu Księżyca, zostało uformowane w wyniku licznych zderzeń z meteorami. Planety są okrągłe, mają kształt oka, natomiast galaktyki przyjmują formę spiral, upodabniając się do wody przelewanej przez lejek. Idealnie odwzorowane kształty powtarzają się w całym wszechświecie. Zawsze da się bez trudu rozpoznać kształt planety i jej księżyc. Koło. Kropla wody, wylaniający się spośród płatków środek kwiatu, zmarszczki na wodzie, przebiegający przez powierzchnię Księżyca kanał lawy, w którym Maxon zamierzał umieścić swoje modele Hery – one wszystkie są idealnie okrągłe. Koło to kształt, który najtrudniej jest człowiekowi narysować, a zarazem to właśnie on najczęściej występuje w przyrodzie. Robot bez trudu narysuje koło. Zresztą robot potrafi narysować każdy kształt.

Zamknięta w module transportowym Hera brzęczała, dyszała i bzyczała. Wycinała kolejne części niezbędne do zbudowania systemu łączności – wykonywała staranną, drobiazgową pracę w staranny i drobiazgowy sposób. Maxon wiedział, że Hera wypełni swoje zadanie bez zarzutu, ale wiedział też, że trwało to zbyt długo. Uderzenia meteoroidów, podobnie jak burze z piorunami i mejoza, są całkowicie nieprzewidywalne. Uderzenia meteoroidów nie występują zwykle pomiędzy dwiema liniami kodu, w warunkach laboratoryjnych albo w mózgu Maxona. Jedynie uderzenie meteoroidu, którego doświadczył Maxon, uświadomiło mu znaczenie uderzeń meteoroidów. Patrzył z podziwem na powierzchnię Księżyca, na której nie było miejsca, choćby jednego kilometra kwadratowego, wolnego od blizny po takich uderzeniach. To była ojczyzna przypadku. Przypadek definiował to miejsce.

Maxon odwrócił głowę, by spojrzeć na horyzont Księżyca, i zobaczył wynurzający się zza niego niebieski kształt, wąski skrawek bieli i błękitu. Przed jego oczami wylaniała się Ziemia.

– Ten widok miało okazję podziwiać niewielu ludzi – powiedział do Bubbera. – Powinieneś przyjrzeć się uważnie wschodowi Ziemi.

– Dobrze – odparł Bubber.

Patrzyli w milczeniu na maleńką, majaczącą w oddali Ziemię. Patrzyli na skręty i spirale chmur, rozrzucone na niebiesko-złotej powierzchni. Planeta miała idealny kształt, choć otaczał ją chaos pary. Maxon spojrzął na Księżyc i pomyślał: „Ślady meteorytów też mają kształt koła”. Najbardziej przypadkowe, nieprzewidziane wydarzenie w dziejach życia pozostawia ślad regularny jak kręgi na powierzchni wody.

– Tato – powiedział Bubber. – Kończy nam się czas.

– Tak – odparł Maxon. – Wydaje mi się, że nie wystarczy mi czasu.

– Czego zabraknie najpierw?

– Powietrza – odpowiedział Maxon. – Zabraknie powietrza.

– Powiedz robotowi, żeby się pospieszył – poprosił Bubber.

– Nie mogę. Zresztą pośpiech nie jest tu wskazany.

– A nie możesz wrócić po zapas powietrza?

– Może i bym mógł – odpowiedział Maxon – ale nie chcę jej tu zostawiać.

Hera brzęczała i szumiała, spawając elementy w taki sposób, że próżno tu było szukać choćby najmniejszej iskry.

– A dlaczego nie zabierzesz jej ze sobą na pokład rakiety? Przecież ona nie potrzebuje

skafandra.

Maxon pociągnął nosem. Spojrzał na Ziemię, na jej pełny kształt, widoczny teraz tuż nad horyzontem Księżyca. Był to widok przepiękny, chaotyczny i idealny. Pomyślał o prawdziwym Bubberze, który został w domu, w oddali. Może siedział właśnie w swojej klasie z niebieskim ołówkiem w ręku, może słuchał czegoś na iPodzie i postukiwał nogą, doprowadzając Sunny do szału.

– Synu, jesteś cholernym geniuszem – powiedział i natychmiast uruchomił napęd odrzutowy w swoim skafandrze.

Po chwili cała ich czwórka zmierzała już w kierunku rakiety. Maxon w swoim skafandrze, ostrożnie ciągnąc za sobą Herę, w której wnętrzościach powstawała właśnie jednostka łączności. Bubber unosił się pod nim, trzymając się jego stopy. Zwykły spacer po parku. Przechadzka do budki z lodami.

– Tato – powiedział Bubber.

– Tak? – zapytał Maxon.

– Czy będę mógł wejść z tobą na pokład rakiety?

– Chyba nie. Wydaje mi się, że na pokładzie nie będę już miał halucynacji.

Maxon opuścił głowę i spojrzał na Bubbera. Zdał sobie sprawę, że zaczął on już znikać, a jego maleńki skafander kosmiczny migał jak gasnący hologram. Spędzili razem jeszcze minutę. Hera, Maxon, Bubber i rodząca się jednostka łączności. Coś na kształt rodziny.

– No cóż, chciałbym kiedyś wrócić tu z tobą i zobaczyć kosmos – powiedział Bubber. – Podobają mi się tu. Nie miałem okazji polecieć na Księżyc, a bardzo bym tego chciał.

– Och, tak się stanie – zapewnił go Maxon. – Dotrzesz na Księżyc. Jesteś do tego stworzony, kolego. Jesteś do tego stworzony.

Maxon uruchomił radio i w słuchawce natychmiast rozległ się głos Phillipsa, który kończył właśnie zdanie.

– ...ty, kurwa, wyprawiasz?! Został ci w zbiorniku zapas powietrza na trzy i pół minuty, Mann, słyszysz mnie? Włącz to swoje pierdolone radio!

– Jest włączone – odpowiedział Maxon. – Będę za pięć minut.

Bubber unosił się w oddali, poza zasięgiem Maxona.

– Poczekaj, kolego – wychrypiał.

– Wiem, tato – powiedział Bubber. – Ale musisz się teraz pospieszyć, więc dostosuj własną prędkość do prędkości swojej towarzyszki. Przecież wiesz. Znasz tę zasadę. Tempo robota i człowieka pozostających w korelacji musi być równe. W przeciwnym razie robot zawsze będzie wygrywał.

– Czekaj, Bubber! – zawołał Maxon, który miał teraz przed oczami czarne pierścienie, niczym mgła przesłaniające mu pole widzenia. – Synchronizacja prędkości może nastąpić tylko w sytuacji, w której robot przyspiesza tyle samo, ile wynosi aktualna prędkość jego towarzysza minus aktualna prędkość robota.

Bubber był już poza jego zasięgiem i coraz szybciej się oddalał. Maxon zamrugał. Próbował coś zobaczyć, próbował wziąć się w garść. Ogarnął go głęboki smutek na myśl o tym, że ostatecznie poniósł porażkę. Poczuł gwałtowne uderzenie żalu: żałował, że zostawił swoją rodzinę po to, by wsiąść na pokład rakiety, żałował, że pokonał go meteoroid i że jego ciało ma określone potrzeby. Skoro miał ponieść porażkę, nie powinien był tu w ogóle przybywać, nie powinien był zostawiać jej tam samej, tęskniącej za nim i czekającej, aż ich ciała będą mogły znowu połączyć się z sobą jak zablizniające się rany. Cóż za przepelniona arogancją wiara sprowadziła go tutaj, kazała mu wyważać drzwi do przyszłości własną głową i zapomnieć o ewentualności porażki? Dopiero kiedy zaczęło mu brakować powietrza, kiedy jego płuca nie

miały już czego wdychać, a jego usta otworzyły się jak u jakiegoś upiornego zwierzęcia – dopiero wtedy nagle to zrozumiał. „Naprawdę jestem człowiekiem – pomyślał. – Żałuję. Właśnie tak to jest być człowiekiem i umrzeć”. W pewnym sensie była to tragedia. Ale jednocześnie poczuł głęboką ulgę, kiedy wreszcie do niego dotarło, że mimo wszystko nie jest robotem.

Niczego już nie widział. Zorientował się, że płacze. Do czasu aż służę wypełnił świst powietrza, a Phillips zdjął Maxonowi hełm, ten zdążył już stracić przytomność.

Na kilka miesięcy przed startem rakiety strasznie się pokłócili. Sunny denerwowała się przed jego wyjazdem. Dzięki edukacji, jaką otrzymał od Emmy, Maxon wiedział, że Sunny będzie okazywała niepokój na różne sposoby. Obserwował, jak Sunny wyrażała troskę, pytając go bez przerwy, czy jest z naukowego i fizycznego punktu widzenia przygotowany na tygodniową podróż w kosmosie. Obserwował też, jak Sunny wyrażała troskę, kłócąc się z nim. Był przygotowany na angażowanie się w spory dotyczące spraw kompletnie błahych.

Uprowadzono go, że kłótnie mogą dotyczyć czegoś głupiego, na przykład tego, jaki gatunek herbaty kupić – ale że tak naprawdę są związane z czymś innym. Z jego wyjazdem. Musiał słuchać, co mówiła, ale musiał też zrozumieć emocje, które się za tym kryły: strach, samotność, uczucie opuszczenia, niepokój. Stał naprzeciw niej, przy kuchennej wyspie, której blat został wykonany z chłodnego granitu, granitu wyglądającego jak skóra, a w dotyku przypominającego powierzchnię meteoroidu. Było po dziesiątej wieczorem, a Bubber już spał. Kiedy Maxon wyszedł z gabinetu, Sunny waliła właśnie naczyniami w zlew i nerwowo krążyła po kuchni. W ciągu kilku minut znaleźli się po przeciwległych stronach kuchennej wyspy i zaczęli się kłócić.

– Co niby mam robić przez cały czas, kiedy cię nie będzie? Dwa tygodnie na Florydzie, tydzień misji, a potem kolejny tydzień. Czy mam po prostu zatkać się korkiem, żeby dziecko nie mogło się ze mnie wydostać? Mam wszystko powyłączać, pogasić i czekać, aż zechcesz wrócić? Niestety nie mam guzika, który pozwoliłby mi wszystko wyłączyć.

– Nie. – Tylko tyle potrafił powiedzieć. – Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

Wpuszczone w sufit lampy rzucały łagodne światło na miedziane garnki. Sunny miała za plecami supernowoczesną lodówkę, on zaś zlew wpuszczony w silikon. Głęboki, szeroki i widowiskowy zlew, idealny do robienia przetworów. Tył głowy Maxona odbijał się w oknie, a tył głowy Sunny mącił gładką, lśniąca niklowaną powierzchnię lodówki.

– A więc mam po prostu radzić sobie sama. Świetnie. Po prostu wspaniale. Ale wiesz co? Rezygnuję. Składam pierdoloną rezygnację. Gaszę światła. Wszystko zamykam. Chcę wydostać się z tego domu i z tego miasta. Chcę stąd uciec. Zbyt długo już wszystko w sobie duszę. Chcę mieć jakąś przerwę! Chcę przestać być matką chociaż na pięć pierdolonych minut!

Machnęła rękami, a potem potarła policzek. Oczywiście pewne odruchy nigdy się u niej nie wykształciły: nie miała w zwyczaju przebiegać dłonią po włosach, dotykać czoła albo potrzasać gwałtownie głową.

– Więc idź i rób to, na co masz ochotę – powiedział. – Jestem tu, nic mi nie dolega. Mogę ci pomóc. Zrób sobie trochę wolnego, zajmij się sobą. – To ostatnie zdanie wypowiedział w taki sposób, jakby to było jedno słowo, na przykład: „pobiegaj”.

– Maxon, nie mogę sobie tak po prostu wyjść i zostawić wszystkiego. Nie rozumiesz? Jestem matką dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie zmienia się to, kiedy nie przebywam fizycznie z tobą albo twoim dzieckiem. Zawsze jestem matką. To tkwi we mnie, w moim wnętrzu, to mnie definiuje, niezależnie od tego, czy jestem tutaj, czy upijam się do nieprzytomności w jakiejś spelunie. Pozostaję matką, po prostu jestem wtedy głównianą matką. A ty po prostu wyjeżdżasz. Ty jesteś naukowcem, ty jesteś konstruktorem, ty jesteś astronautą, ty jesteś kolarzem. Ja nie jestem niczym innym. Jestem matką, to wszystko. Chodzi mi o to, że

potrzebuję krótkiej przerwy, żeby spróbować stać się też kimś innym, ale nie mogę jej sobie zrobić. To po prostu niemożliwe.

Stojąca za nią kostkarka kliknęła i wyrzuciła z siebie świeży lód.

– Kochanie, to wszystko kwestia priorytetów.

W chwili, kiedy wypowiedział te słowa, wiedział już, że popełnił błąd. Wiedział, że musi pamiętać, czego tak naprawdę dotyczy ta kłótnia.

– To wszystko kwestia priorytetów? A to dobre. A to, kurwa, dobre. I mówi to człowiek, który wstaje o świcie, żeby jeździć na rowerze, siedzi w pracy tak długo, jak tylko może, czasem wraca nawet po zmroku, a potem zamyka się w gabinecie na całą noc. I oto znowu jestem w ciąży, spodziewam się twojego dziecka, kolejnego dziecka, które nie będzie nawet wiedziało, jak wyglądasz! Dzieci będą przekonane, że ich ojciec to strumienie kodu na ekranie komputera. To właśnie ich ojciec.

– To nie w porządku. To nieprawda. To nie w porządku i to nieprawda.

– W ogóle mi nie pomagasz, kiedy tu jesteś. Równie dobrze możesz wyruszyć na swoją misję, dobrze się bawić, zamieszkać na Księżycu, skolonizować kosmos. A ja tu zostanę, będę sobie dalej zmywała naczynia i robiła pranie, naczynia, pranie, naczynia, pranie... Będę malowała usta, nosiła pończochy i ustawiała w szafie swoje szare szpilki.

– Nie oczekuję tego od ciebie. Nikt tego od ciebie nie oczekuje. Sama się do tego zmuszasz.

– Dobra, a czego sama od siebie oczekuję? Czego on ode mnie oczekuje? Czego ono ode mnie oczekuje? – Mówiąc to, wyciągnęła w górę rękę, żeby wskazać pokój Bubbera, po czym przeniosła ją na swój brzuch. – Tak naprawdę nikt nie oczekuje niczego ode mnie, od Sunny, od tej osoby. To po prostu ja, to stanowisko, ta rola, ta matka. To, co muszę robić, żeby nią być. A wszystkie te oczekiwania są jasno zdefiniowane. Jasno zdefiniowane. W gruncie rzeczy jesteś jedyną osobą, która ich nie zauważa. A to dlatego że nie widzisz niczego, co nie zostało napisane czarno na białym! Spójrz na mnie, Maxon. Ja tu umieram! Macierzyństwo to śmierć, rozumiesz to? Ta kobieta, którą widzisz, ta osoba, która przed tobą stoi, to trup uwięziony w pancerzu. Jestem martwa. Maxon, ja jestem martwa!

– Nie wyglądasz na martwą – odpowiedział.

– Maxon! Nie jestem pierdolonym robotem! Nie wystarczy na mnie spojrzeć, żeby określić, czy tak naprawdę żyję, czy nie żyję!

Miała twarz mokrą od łez. Jej peruka, jej nieruchoma peruka, była nadal idealnie uczesana, włosy lśniące, prawdziwe. Sunny lekko uderzyła dłonią w blat. Płakała.

Maxon przypomniał sobie kraby pustelniki, które przywieźli kiedyś z Cape May, gdzie matka zabrała ich na wycieczkę. Trzymali je w wiadrze przy wannie, do czasu, aż wypełzły ze swoich skorup i umarły. Sunny płakała i rozpaczała, przytulała te dziwne małe krewetki i przemawiała do nich łamiącym się głosem. Matka surowo zabraniała tych ponurych ceremonii. Nie pozwalała na jakiegokolwiek pogrzeby. Później Maxon wyczytał w jakiejś książce, że kraby tak naprawdę nie umarły, szukały po prostu nowych skorup i zrzucały swoje egzoszkielety. Gdyby zostawili je w spokoju, najprawdopodobniej by przeżyły. Ale zostały zrzuczone na górę kompostu, przykryte następnego dnia liśćmi kapusty, a kolejnego skórką arbuza. Jeżeli Sunny czuła się tak martwa jak te kraby, to Maxon ją zawiódł. Żałował tego.

– Maxon, ty mnie nawet nie znasz! – wrzasnęła. – Czy ty w ogóle wiesz, co ja zrobiłam?

– Tak – odpowiedział.

– Zamierzasz po prostu wyruszyć w kosmos i zostawić mnie tu ze swoimi dziećmi. Mnie, taką, jaka teraz jestem? Tę dziwną hybrydę, którą się stałam?

– Mówiłaś przecież, że to konieczne. Myślałem, że chcesz, żebyśmy jechali.

- Maxon, czy ty wiesz, w jaki sposób zginął twój ojciec?
- Zamarł w rozpadlinie skalnej.
- Zamarł w rozpadlinie skalnej, bo go tam zostawiłam. – Sunny zakrztusiła się.

Wyglądała tak, jakby usiłowała jednocześnie mówić i kaszleć.

- Wiem.
- Wiesz? Nie wiesz. Nigdy o tym nie wiedziałeś.
- Wiem, bo mi o tym powiedziałaś. Powiedziałaś mi o tym parę lat temu. Kiedy to mówiłaś, stałaś dokładnie w tym samym miejscu co teraz.

Maxon wyraźnie pamiętał tamto przyjęcie. Sunny opowiedziała historię o tym, jak jej ojciec zginął w szczelinie skalnej, a on nie miał żadnych wątpliwości, że mówiła tak naprawdę o jego ojcu, o tym, jak zmarł, i o tym, jak patrzyła na to i nic nie zrobiła. Maxon przyjął tę informację w momencie, w którym ją wypowiedziała.

Sunny zamilkła na chwilę.

– Wiedziałeś?

– Tak. Powiedziałaś, że jego noga była złamana i kompletnie wykrzywiona. Powiedziałaś, że leżał pośród sosnowych igieł, pamiętasz? Wszyscy wiedzą, że na południu Birmy nie rosną sosny. To musiałyby być drzewa liściaste...

– Wiedziałeś i nic nie powiedziałaś?

– Powiedziałem. Powiedziałem: „Wow”.

– Maxon – odparła Sunny. – Kiedy druga osoba mówi ci, że zabiła twojego ojca, reagujesz na to w określony sposób. Podnosisz głos o dobrą oktawę, mówisz głośniejszym głosem niż zwykle, wykonujesz gest ręką, unosisz brwi, krzyczysz na przykład: „CO?!” albo „NIE MOGĘ UWIERZYĆ, ŻE TO ZROBIŁAŚ!”. A ty... Po prostu nie zachowujesz się dalej tak, jakby nic się nie stało!

– Wybaczyłem ci – odpowiedział. – To właśnie się stało. Właś-nie to się stało.

– Co?

– Wybaczyłem ci tamtego wieczoru. Jeszcze zanim przestałaś mówić. Wybaczyłem ci.

Wybaczam ci. Wybaczam. Wszystko w porządku.

Rzuciła mu się w ramiona i przytuliła go tak mocno, że powietrze ze świstem opuściło jego płuca.

– Och, Maxon – powiedziała. – Nigdy nie umieraj. Nigdy, przenigdy nie umieraj!

Maxon zapisywał wszystko, co jadł przez ostatnich siedemnaście lat. Jego tętno spoczynkowe wynosiło trzydzieści dwa uderzenia na minutę. Miał też wykres, który wskazywał, jaką wydolność uzyskał dzień wcześniej podczas stuczterdziestokilometrowej przejażdżki rowerowej. Ale nie mógł w żaden sposób zapobiec własnej śmierci.

W 1987 roku przy jedynych na przestrzeni wielu kilometrów światłach na skrzyżowaniu drogi numer osiem z autostradą numer trzydzieści dwa stało centrum handlowe Yates Mall. Centrum handlowe, które mieściło sklepy takie jak Sears i Bon-Ton, wzniesiono pośród pastwisk, kawałek za Bickton i jakieś trzy kilo-metry od Pearl. W tamtym czasie na rogu stały również stacja benzynowa oraz tartak. Nic więcej. Ludzie, którzy odwiedzali centrum handlowe, mrugali ze zdziwieniem i wyciągali ręce przed siebie, żeby nie wpaść w szybę. Mieli do dyspozycji sklepy z tkaninami i z butami, optyka, aptekę i małą kawiarnię, a nawet kino z dwiema salami. Ludzie mówili, że hrabstwo Yates wreszcie się ucywilizowało. W miejscowej gazecie pisano, że rozbuchany konsumpcjonizm zabija lokalny handel i doprowadzi do ruiny małe rodzinne sklepiki rozrzucone po okolicznych miasteczkach.

Przez kolejnych kilka lat okolica skrzyżowania stopniowo rozkwitała. Wyrosły tam Home Depot i Burger King. Później zaś niewielkie i nie najlepiej zorganizowane wesołe miasteczko. Wkrótce pojawiła się nowsza i bardziej lśniąca stacja benzynowa, która zaczęła konkurować z tą starą, wprowadzając system szybkich płatności i oferując ciepłe kanapki. Tuż obok otwarto przydrożną lodziarnię, która miała stanowić alternatywę dla znajdującego się półtora kilometra dalej baru Jolly Milk.

W 1993 roku naprzeciw centrum handlowego stanął hipermarket Wal-Mart, a dziennikarze załamywali ręce i ogłaszali, że region wpadł w szpony krwiożerczych koncernów. Zamykano sklepy żelazne przy głównych ulicach. Znikali kolejni kupcy branży odzieżowej. Dostawcy produktów spożywczych lamentowali i wznosili ręce do nieba. Pewien niski człowieczek, który prowadził sklep z oponami sąsiadujący z bankiem w Oil City, popełnił nawet samobójstwo. W 1995 roku centrum handlowe Yates Mall, niegdyś zwiastujące nadejście nowej cywilizacji, zostało ostatecznie zamknięte, bo nie wytrzymało konkurencji z ogromnymi sklepami, które stanęły po drugiej stronie skrzyżowania. Budynek opustoszał, okna pozabijano deskami, a przed nim stanął znak: „POWIERZCHNIE DO WYNAJĘCIA. 1000 × 500, 1500 × 500 LUB JAKIEKOLWIEK INNE”.

Oczywiście budynek szybko przejęła miejscowa młodzież – stał się miejscem prywatnych schadzek. Zanim powstało centrum handlowe, miejscowi chłopcy i dziewczęta szukający odrobiny prywatności odwiedzali stary wagon kolejowy porzucony na bocznicy po drugiej stronie rzeki, za Franklin. Żeby tam dotrzeć, trzeba było jednak przejść prawie kilometr i choć leżały tam materace, nie brakowało też węży. Centrum handlowe Yates Mall okazało się zdecydowanie lepszym rozwiązaniem, ponieważ było większe, a samochód stojący na parkingu przed budynkiem nie wzbudzał żadnych podejrzeń, bo w tamtejszym kinie nadal odbywał się jeden seans dziennie. Rzecz jasna opustoszała skorupa Yates Mall stała się siedzibą rozrywek zdecydowanie bardziej podejrzanych niż tak chętnie uprawiana przez młodych ludzi ciężowa ruletka. Czasem uczestnicy tych zabaw wymieniali się między sobą – dilerzy metamfetaminy i kochliwe nastolatki, kochliwi dilerzy i nastolatki pod wpływem metamfetaminy. Przez kilka lat pod dachem centrum handlowego zgromadziło się wiele śmieci.

Maxon i Sunny mieli szesnaście lat, kiedy po raz pierwszy odwiedzili zamkniętą część Yates Mall. Była sobota, a oni zostawili maleńki samochód Sunny na parkingu i wybrali się na popołudniowy seans. Leniwie spacerowali po centrum handlowym, zmierzając w kierunku kina, a Sunny miała w torebce piersiówkę z wódką. Popijała z niej swobodnie przez cały film, w związku z czym pod koniec seansu zrobiła się dość frywolna i zupełnie pozbyła się

zahamowań.

– Maxon – szepnęła mu do ucha. – Maxon, chodźmy później do Bon-Tonu.

„Wyjście do Bon-Tonu” oznaczało prześlizgnięcie się do którejś z kryjówek porozrzucanych po opuszczonym centrum handlowym, zaszybie się z partnerem w jakimś pograżonym w ciemności kącie i robienie „tego”. Maxon doskonale o tym wiedział. Wyobrażał sobie centrum handlowe jako króliczą kolonię, w której norach skrywało się mnóstwo małych króliczków w rui. Nie przyjmował do wiadomości, że mogliby to samo robić z Sunny. Byli parą, całowali się, dotykali – ale rozebranie się do naga w jakimś ślepych zaułku i wejście w nią w takim otoczeniu absolutnie mu nie odpowiadało.

– Nie – zaprotestował. – Jesteś pijana. Chodźmy stąd. Zanim wrócimy, możemy pojechać do domu o trójkątnym dachu.

Dom o trójkątnym dachu, który pozostawał opuszczony, odkąd Maxon był mały, stał się ich kryjówką. Nie wykorzystywali jej jednak do seksu. Chodzili tam, kiedy Sunny musiała wytrzeźwieć, kiedy Maxon chciał się wyciszyć, kiedy oboje czuli potrzebę ucieczki.

– Nie – nalegała. – Chcę pójść do Bon-Tonu, tak jak wszyscy. Dlaczego nie możemy tego zrobić? To przecież nic wielkiego.

Zaczęła chichotać, a potem, w ciemności, pochyliła się na krześle. Ścisnęła jego udo, przesunęła rękę nieco wyżej, znowu ścisnęła, znowu przesunęła ją wyżej, znowu ścisnęła – aż wreszcie zatrzymała dłoń i zaczęła na zmianę unosić i opuszczać palce.

– Dobrze – powiedział wreszcie Maxon.

Wyszli z kina chwiejnym krokiem – byli jedną z kilku par, które wyruszyły stamtąd w tym samym celu. Pospiesznie skręcili w prawo, podczas gdy reszta widzów poszła w lewo. Dzieciaki rozdzieliły się, każda para pomknęła przed siebie innym korytarzem, tak jakby się wcześniej umówili, a Sunny złapała Maxona za rękę i pociągnęła go za sobą.

– Dokąd idziemy? – zapytał.

– Renee wszystko mi wytłumaczyła – powiedziała Sunny. – Chodź, pospiesz się. To tajemnica.

Kiedy znaleźli się na zapleczu sklepu, w którym sprzedawano kiedyś rękodzieło i drewniane meble wytwarzane przez miejscowych artystów, Sunny otworzyła boczne drzwi i poprowadziła go za sobą. W środku panowała ciemność, ale Sunny zaczęła grzebać w stercie rupieci przy drzwiach i po chwili zapaliła latarkę.

– Znalazłam ją! – powiedziała jakby do siebie.

Ustawiła latarkę na biurku, kierując ją w górę. Pomieszczenie wypełniło ciepłe, żółtawe światło. Pokój był większy, niż spodziewał się tego Maxon. Kiedyś używano go prawdopodobnie jako biura albo magazynu. Wzdłuż jednej ze ścian stały długie rzędy metalowych półek.

– Rozbieraj się – nakazała Sunny. – No już, już. A nie, poczekaj chwilę.

Sunny wyjęła z kieszeni na wpół opróżnioną piersiówkę z wódką, kadzidło i prezerwatywę. Wetknęła kadzidło do otworu w glinianym naczyniu stojącym na biurku i podpałała je zapalniczką, która leżała obok. Powietrze wypełnił zapach bergamotki, który nieco zneutralizował stęchliznę – w pomieszczeniu nadal było jednak bardzo chłodno. W kącie leżała sterta poduszek, pozostałości z magazynu Searsa, a obok nich znajdował się stos prześcieradeł. Niektórych nadal nie wyjęto z opakowań, inne zostały po prostu złożone, a pozostałe ciśnięto na kupę w przeciwległym kącie. Pomieszczenie miało jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych. Stali tam przez mniej więcej czterdzieści pięć sekund.

– Dobrze. To nasz zapach. To dla nas. Już czas – oznajmiła Sunny.

Wypiła kolejny duży łyk wódki i uśmiechnęła się. Światło latarki rozświetliło jej twarz, a z ciemności wyłoniły się lśniące zęby. Sunny zdjęła dzinsy i cisnęła je na podłogę, a po chwili

obok nich wylądowały jeszcze jej bluza z kapturem i koszulka.

– No chodź, Maxon – ponagliła.

Miała na sobie tylko bawełniane majtki i biały bawełniany stanik. Podeszła do drzwi, zamknęła je z trzaskiem – i oto Maxon znalazł się razem z nią w pomieszczeniu, do którego chodziło się po to, żeby uprawiać seks. A Sunny i Maxon też mieli to zaraz zrobić.

– To się dzieje naprawdę – zachichotała Sunny. – To się dzieje, tamto się dzieje. Dzieje się. Co się dzieje, co się dzieje, co się dzieje! – Była pijana i Maxon doskonale o tym wiedział. Chwyliła go za pasek, rozpięła mu dżinsy i zsunęła je do kostek. Poczuł, jak mimowolnie ściąga buty, tak jakby jego nogi po prostu musiały to zrobić. Chwilę później Sunny położyła ręce na jego klatce piersiowej i zdjęła mu flanelową koszulę.

I oto stali tam, na środku pomieszczenia, on w T-shircie i bokserkach, ona zaś w bieliźnie. To mogła być każda inna chwila. Mogli być teraz gdzieś w lesie. Nic się jeszcze nie wydarzyło, nie stało się jeszcze nic niebezpiecznego i nieznanego. Istniała nadal szansa, że Sunny ostatecznie stchórzy i zrezygnuje – cokolwiek planowała. Wciąż jeszcze mógł uciec. Mógł zatrzymać tę chwilę, zanim do czegośkolwiek dojdzie. Ale Sunny bardzo się spieszyła. Wydawała się roztrzęsiona i rozgorączkowana. Złapała Maxona za rękę i pociągnęła go za sobą, wciąż bezwolnego jak zombie.

– Maxon, zamknij się, strasznie dużo gadasz – powiedziała, przesuwając się tanecznym krokiem przez pomieszczenie i popychając go na poduszki. – Połóż się na plecach – nakazała. – I nie martw się. Wiem, co robić. Renee wszystko mi wytłumaczyła.

Maxon miał świadomość, że nie powinno go tu być. Wiedział, że ta chwila może się okazać nieprzyjemna. Może ich rozczarować. Ale kiedy Sunny stanęła przed nim w złotym świetle starej latarki, nucąc coś pod nosem i zdejmując stanik, kiedy podpełzła do niego jak zwierzę, kiedy położyła się na poduszce, kiedy wpadła mu w ramiona – nie mógł jej w żaden sposób powstrzymać. Położyła się na nim. Jej małe sutki muskały jego klatkę piersiową, jej dłonie dotykały jego ramiona, napierając na poduszki. Przyłożyła usta do jego ucha.

– Kocham cię – wyszeptala, a jej oddech sprawił, że przez jego ciało przebiegły dreszcze.

Maxon poczuł nagle znajome pulsowanie pomiędzy biodrami i pachwinami. Sunny dotknęła ustami jego szyi, tuż poniżej linii szczęki, a po chwili zaczęła muskać jego obojczyki, mostek, potem żebra. Nadchodziły kolejne pocałunki, a każdy z nich był delikatny i niewinny. Nie towarzyszyła im nieprzyjemna wilgoć, której Maxon tak bardzo się obawiał. Nie czuł na skórze potu. Jego ciało było zimne, zmarznęte – z wyjątkiem miejsc, których dotykała ustami Sunny. Pozostawiała na jego niebieskawym ciele ciepłe pomarańczowoczerwone ślady, które przypominały mu nieco termografię. Stopniowo schodziła coraz niżej. Całowała jego żebra w miejscu, w którym wyginały się, tworząc łuk nad jego brzuchem. Podpierała się łokciami i w miarę, jak opuszczała się w dół, jej pośladki unosiły się wyżej i wyżej. W pewnej chwili zachichotała, przysuwając twarz do jego brzucha i łaskoczając go.

Potem pocałowała jego kość biodrową i zaczęła pocierać policzkiem jego bokserki. Ściągnęła materiał zębami, a penis Maxona wychynął z rozporoka. Pod wpływem ciepłego oddechu Sunny jego dłonie coraz mocniej napierały na poduszki. Zacisnął powieki. Nie mógł myśleć o tym, co Sunny najwyraźniej zamierzała zaraz zrobić, nie mógł jej w żaden sposób powstrzymać. A potem wszystko nagle zwolniło, a ona dotknęła go językiem. Należał do niej bez reszty, pozwoliłby jej zrobić ze sobą wszystko, co tylko by zechciała. To bardzo prosta rzecz – myślał. Bardzo prosty ruch. Naprawdę tego pragnął. Jej dłonie zacisnęły się na jego udach.

Nagle jednak poczuł na skórze gorącą wilgotność jej ust i gwałtownie wypuścił powietrze.

– Nie mogę – wykrztusił. To była pierwsza rzecz, jaką powiedział, odkąd tu przyszli.

Sunny cofnęła się lekko i odchyliła głowę, patrząc mu w oczy. Miała czerwone usta, czarne oczy, jej twarz tkwiła między jego nogami, a jej blade ramiona unosiły się, jakby była lwem, który zamierza lada chwila rzucić się na swoją ofiarę.

– No chodź, chłopaku – powiedziała. Jej usta znowu się na nim zamknęły, a on poczuł się tak wspaniale... Po chwili wytrysnął, nie wydając przy tym ani jednego dźwięku. Zdołał wyjąć penisa z jej ust, zanim do tego doszło.

– To było wspaniałe! – zawołała radośnie, kładąc się obok -niego.

Wyciągnęła rękę nad jego głowę, sięgnęła po jedno ze złożonych prześcieradeł i przykryła ich. Jej policzek znalazł się przy jego ramieniu, jej ramię – pod jego karkiem. Maxon był ciepły, cieplejszy niż kiedykolwiek wcześniej i miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Po chwili zasnęli – ona uśpiona przez alkohol, on zaś ukołysany przez niezwykle spokojny, który nagle na niego spłynął.

Obudziło ich głośnie skrzypnięcie. Sunny otworzyła oczy i uświadomiła sobie, gdzie jest – w tej samej chwili zobaczyła jednak w drzwiach sylwetki swojej koleżanki Renee i dwóch towarzyszących jej chłopaków. Renee wyciągnęła rękę i zaczęła po omacku szukać na podłodze latarki. Sunny spojrzała na śpiącego obok niej Maxona, który miał na sobie bokserki i T-shirt. Zobaczyła, że jej majtki też były na swoim miejscu. A więc nie udało jej się zrealizować planu. „Ale przynajmniej zdjęłam stanik – pomyślała. – Może nawet się całowaliśmy?” Maxon był pogrążony w głębokim śnie, miał otwarte usta. Uwolniła rękę, a jego głowa przechyliła się na bok. Dziwne. Sunny zastanawiała się, czy i on pił z nią wódkę.

– Hej, zajęte! – krzyknęła do Renee.

– Sunny? To ty? Gdzie jest pieprzona latarka?

– Nie wiem – odpowiedziała Sunny.

– Ja mam latarkę – powiedział jeden z chłopaków, a Sunny rozpoznała głos futbolisty Adama Tylera.

– Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu, palancie? – rzuciła Renee i wyrwała mu latarkę z dłoni, po czym skierowała ją w stronę Sunny.

– Hej – powiedziała Sunny, oślepiona światłem. Szybko podciągnęła prześcieradła, po czym wstała i narzuciła na siebie bluzkę, a następnie zaczęła wkładać dżinsy, zasłaniając się, jak tylko mogła. Uznała, że musi w tej sytuacji zrezygnować ze stanika, bo nie zamierzała fundować futboliście darmowego spektaklu. To zadanie należało do Renee.

– Spadaj już, siostrzyczko, to nie motel – powiedziała czule Renee.

– Chwila – wtrącił się Adam Tyler. – Czy ja dobrze widzę? Czy to Maxon Mann?

Sunny odwróciła się i spojrzała na Maxona, który siedział teraz na poduszkach, sztywny i wyprostowany.

– Co ty tu robisz, Mann? Nie wiesz, że to apartament dla nowo-żeńców?

Adam walnął swojego kolegę w ramię, a kolega odpowiedział mu tym samym. Renee skierowała latarkę w sufit.

– Zamknij się, Adam – powiedziała łagodnie.

Maxon wstał i rozłożył ramiona w przyjaznym geście.

– Hej, Tyler – przywitał się. – Nie wiedziałem, że tu mieszkasz, kolego. Przepraszam. I gratuluję.

– Pierdol się, kujonie! – krzyknął Adam, rzucając się na Maxona i wygrażając mu pięściami. – Nie mieszkam tu. Pieprzę się tu. A ty nie pieprzysz się tam, gdzie ja się pieprzę, rozumiesz? Więc zabierz tę łysą dziwkę i pieprz ją w łazience, gdzie miejsce takich gnojków jak wy.

Sunny nie zauważyła nawet chwili, w której Maxon zbliżył się do Adama. Usłyszała tylko

dźwięk jego pięści lądującej na twarzy futbolisty. Kiedy drugi chłopak ruszył do boju i wymierzył Maxonowi solidny cios w okolice nerek, Maxon zaczął walczyć naprawdę serio, a Renee odciągnęła Sunny za drzwi, porzucając latarkę Adama na podłodze. Z pomieszczenia dochodziły dźwięki przypominające gwałtowny tajfun.

– Chodź – powiedziała Renee. – Musimy szybko sprowadzić pomoc. Oni go zabiją.

– Nie zabiją go – uspokoiła ją Sunny, lekko dysząc. Przez cały czas biegły korytarzami centrum handlowego, nie oglądając się za siebie. – Nie martw się o niego. Martw się raczej o nich. Serio, uwierz mi, jemu nic nie grozi.

Były czasy, kiedy podczas kłótni dwaj bracia Maxona rzucali go na ziemię. Potem potrzeba już było do tego trzech braci, a później już czterech. Odkąd nagle wyrósł, na jego ciele przestały się pojawiać siniaki. Albo wygrywał wszystkie walki, albo jego ciało po prostu przestało reagować na uderzenia. Tak jakby w ogóle przestał odczuwać ból.

Sunny puściła rękę Renee, po czym zwolniła i ruszyła spokojnym krokiem w kierunku drzwi. Wkrótce znalazła się na zewnątrz i odetchnęła świeżym powietrzem. Wsiadła do samochodu, marząc o papierosie. Marzyła też o wodzie i kilku tabletkach przeciwbólowych. Kilka minut później w drzwiach centrum handlowego pojawił się Maxon. Przeszedł niespiesznie przez parking, starannie ubrany i beztrosko uśmiechnięty. Po chwili otworzył drzwi samochodu i usiadł na fotelu pasażera.

– Zabiłeś ich, Maxon? – zapytała Sunny, włączając silnik.

– Nie – odpowiedział. – Ale możemy korzystać z tamtego pokoju, ilekroć przyjdzie nam na to ochota.

– Kochanie – oznajmiła Sunny – wiesz, że lubię pić, ale nigdy więcej się na to nie zdecyduję, jeżeli nie będę miała cię przy sobie. A poza tym nie wydaje mi się, żebyśmy chcieli kiedykolwiek wrócić do tamtego pokoju.

Nigdy więcej nie wrócili do apartamentu dla nowożeńców w Yates Mall. I nawet pod koniec studiów Sunny nigdy nie piła, jeżeli nie miała przy sobie Maxona, który mógłby ją chronić. I tak pozostało przez całe ich życie.

Sunny siedziała w studio WNFO News, na tym samym białym wiklinowym fotelu co poprzednio, w tej samej pozycji, z dłońmi opartymi na poręczach po obu stronach ciężowego brzucha. Tym razem miała jednak łysą głowę i oczy zaczerwienione od płaczu. Chciała wystąpić w telewizji jako łysa kobieta właśnie dla Maxona, niezależnie od tego, czy ten gest miał jakiegokolwiek znaczenie. Niezależnie od tego, czy Maxon kiedykolwiek obejrzy to nagranie. Widząc ją na fotelu przy Lesie Weathersie, bez męża u boku, wszyscy na świecie zrozumieją, że Maxon zniknął, odszedł. Zaburzyła się ta szczególna symetria. Przestrzeń wypełniała pustka. Kamera zbliżyła się do nich dwojga, do Sunny i Lesa, a kiedy zaczęła się rozmowa, kamerzysta zdecydował się na jeszcze ciaśniejszy kadr, w którym mieściły się tylko ich głowy. Dwie głowy rozmawiające ze sobą w telewizji – jedna jasnowłosa, a druga łysa.

Tej samej nocy Sunny miała sen. W tym śnie nosiła ubrania swojej matki. Ubrania były ciasne i trudno je było wcisnąć na jej ciężowy brzuch, ale i tak nie chciała ich zdjąć. Miała też torebkę swojej matki i buty swojej matki. Zajmowała się sprawami, którymi trzeba było się zająć po jej śmierci. Siedemnaście kopii aktu zgonu, porządny nekrolog, kremacja... Ale kiedy omawiała szczegóły nabożeństwa żałobnego z proboszczem, jej matka wkroczyła nagle do pomieszczenia, absolutnie zdrowa. Na jej głowie Sunny dostrzegła duży, świecący guz – tak jakby matka spadła z drzewa, zapomniała, kim jest, przypadkowo zapadła w śpiączkę, umarła na raka, a potem przypomniała sobie swoją tożsamość i całkowicie wyzdrowiała. Na widok matki Sunny poczuła gniew. „Dlaczego kazałaś mi przez to wszystko przechodzić? – zapytała. – Choroba, rozpacz, odłączenie cię od respiratora? Dlaczego musiałam robić to wszystko sama,

skoro równie dobrze mogłaś mi pomóc?” Ale matka nie była sobą. Przez tak długi czas tkwiła na granicy życia i śmierci, a teraz była już ponad tym wszystkim i nawet jej nie odpowiedziała.

– Sunny Mann – zaczął Les Weathers. – Na początek chciałbym powiedzieć, że bardzo mi przykro w związku z tym, przez co musisz teraz przechodzić. Jestem ci niezmiernie wdzięczny za to, że odwiedziłaś nas, żeby raz jeszcze podzielić się z nami swoimi doświadczeniami.

– Dziękuję za zaproszenie – odpowiedziała.

– Ludzie na całym świecie, a zwłaszcza tu, w Stanach, z uwagą śledzą historię tej misji. Na potrzeby naszych widzów przypomnijmy jednak, że w rakiety twojego męża uderzył meteoroid, w następstwie czego łączność z astronautami została przerwana. Jak sobie z tym wszystkim radzisz?

Sunny zdołała wydusić z siebie:

– Jakoś sobie radzę. Staram się skupiać na teraźniejszości i nie wybiegać zbyt daleko w przyszłość.

Następnie opowiedziała o chwili, w której się o tym wszystkim dowiedziała, i zaczęła opisywać, co wtedy myślała. Dodała, że marzy o tym, żeby Maxon był cały i zdrowy, żeby cała załoga wyszła z tego wszystkiego bez szwanku. Les Weathers podkreślił, że on również tego pragnie, że pragną tego wszyscy. Kiedy już skończyli rozmowę, ktoś podszedł do Sunny i odpiął jej mikrofon. Ludzie po kolei opuszczali studio, ona jednak nie ruszyła się z miejsca, a Les Weathers został przy niej. Wkrótce siedzieli na swoich białych wiklinowych fotelach zupełnie sami.

– Jak się tak naprawdę czujesz? – zapytał Les.

– Nie wiem. To wszystko jest przerażające – odpowiedziała Sunny.

Położył dłoń na jej dłoni, a ona opuściła wzrok i zobaczyła, jak ich dłonie się splatają, tak jak to się zwykle dzieje z ludzkimi dłońmi.

– Mam nadzieję, że wiesz – powiedział – że możesz na nas wszystkich liczyć. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała. Zwłaszcza na mnie.

– Dobrze – odparła, ocierając oczy rękawem.

– Pamiętaj, że gdybyś mnie potrzebowała, mieszkam na tej samej ulicy.

– Dziękuję.

– A jeżeli on nie wróci, Sunny... – dodał Les, lekko się nad nią nachylając i zbliżając usta do jej ucha, tak że poczuła na swojej skórze ciepło jego ciała, żywe, oddychające ciepło, zupełnie inne od ciepła reflektorów w studio. – Jeżeli on nie wróci... Wiem, że to nie jest odpowiednia chwila, żeby mówić takie rzeczy, ale i tak to powiem. Jeżeli on nie wróci, pamiętaj: nie przeszkadza mi to, że jesteś łyśa. Zupełnie mi to nie przeszkadza.

O wpół do trzeciej w nocy przy łóżku Sunny zadzwonił telefon. Przedstawiciele NASA poinformowali ją, że powinna natychmiast zjawić się w Langley, ponieważ udało się nawiązać łączność z rakieta i wznowić transmisję wideo. Załoga żyła. Nikomu nic się nie stało. Sunny mogła już niedługo porozmawiać z Maxonem, zobaczyć go, posłuchać jego głosu. Pospieszenie zarzuciła coś na siebie, pocałowała Bubbera w policzek, a potem obudziła go i ubrała. Wyszli z domu i wsiedli do vana. Siedziała przez chwilę nieruchomo, mrugając i wpatrując się w swoje odbicie w lusterku. Wiedziała, że już niedługo wyśle cichy list miłosny, list bez słów. Ruszyła w kierunku centrum badawczego w Langley, gdzie już na nią czekali.

O trzeciej nad ranem serce matki Sunny zaczęło nagle trzepotać. Trzepotało i powoli gasło. Po chwili znowu zabiło, ale uderzenia były coraz bardziej nierówne. Nerki dawno już przestały pracować, wątroba obumarła, krew wypełniały toksyny. Ukryty gdzieś głęboko w tym ciele umysł pracował na najwyższych obrotach. W pokoju, pod gładkim prześcieradłem, nie zachodziły żadne zmiany. Pomarańczowe światła wlewały się z parkingu przez roletę jak promienie porannego słońca, które przenikają przez skorupkę jajka. Kilka godzin wcześniej w pomieszczeniu zjawiła się pielęgniarka, która zmierzyła matce puls. Teraz jednak w pokoju panowała cisza.

Zapewnienia o tym, że matka nie odzyska przed śmiercią świadomości, nie miałyby wiele wspólnego z rzeczywistością. Byłyby czymś, co zwykle się mówi, żeby podnieść na duchu ludzi, którzy powinni czuwać przy zmarłym. Nie wystąpiły u niej żadne objawy świadczące o tym, że odzyskała przytomność: jej powieki nie zaczęły trzepotać, nie ścisnęła niczyjej dłoni, nie poruszyła delikatnie głową. Ale odzyskała świadomość i zrozumiała, że umiera. I zaciekle walczyła ze śmiercią. Leżąc w samotności, w mroku i nie mając przy sobie niczego, co pomogłoby jej opierać się zalewającej ją fali ciemności, walczyła z własną, toksyczną krwią i strasznymi rzeczami, które w niej pływały. Walczyła o życie.

Jej umysł błądził jednak bardzo daleko. Stała właśnie przy przydrożnym stoisku z warzywami w Pensylwanii i oglądała pomidory, tak idealne i kształtne, że aż mała wątpliwości, czy na pewno są tutejsze. Stoisko obsługiwała koleżanka Sunny. Przejechał obok nich rozpędzony samochód, który wzbiał w powietrze chmurę pyłu, a w pobliskim lesie jakiś drozd zafurkotał skrzydłami. Było późne lato, późne popołudnie, a dolinę zalewały ostatnie ciepłe promienie słońca.

Dziewczyna przyglądała jej się uważnie.

– Pani Butcher? – Emma wyraźnie pamiętała dreszcz, który przebiegł przez całe jej ciało, kiedy dziewczyna zapytała: – Czy wie pani, gdzie jest teraz Sunny?

– Gdzie jest teraz Sunny? – powtórzyła Emma, odkładając jeden z pomidorów do kosza.

– Hmm, pewnie nie powinnam pani mówić...

– Czy coś jej grozi? – Palce Emmy zaczęły wwiercać się w pomidor, na którego powierzchni pojawił się po chwili wzór złożony z niewielkich dziurek.

– Hmm – odparła dziewczyna, dotykając językiem swojego aparatu ortodontycznego. – Tak, całkiem możliwe.

Leżąc w szpitalu pod kołdrą i nie mogąc poruszyć nawet palcem, Emma doskonale pamiętała, jak bardzo pragnęła wtedy złapać to pryszczate, spocone dziecko w dżinsowych szortach i udusić je jego własnym potarganym warkoczem.

– Maggie – zaczęła spokojnie Emma. – Musisz mi natychmiast powiedzieć, gdzie jest

Sunny. W przeciwnym razie bardzo się na ciebie pogniewam i powiem o wszystkim twojemu tacie.

– No dobrze – odrzekła Maggie, przeciągając każde słowo. – Myślę, że dla Sunny najlepiej będzie, jeśli pani powiem.

– Powiedz.

Leżąca w szpitalnym łóżku Emma zacisnęła zęby, podobnie jak Emma, która stała przy straganie z warzywami. „Gdzie moje dziecko? Co mu grozi? Napraw to, napraw to, napraw to”.

– Hmm, no więc... pani Butcher, zna pani most Belmar?

Ale Emmy już tam nie było. Obróciła się na pięcie i pobiegła do samo-chodu, wsiadła do środka i szybko zatrzasnęła drzwi. Ruszyła z piskiem opon, rozpryskując wokół siebie żwir. Doskonale знаła most Belmar. Już trzecie pokolenie młodzieży z hrabstwa Yates skakało z tego mostu do rzeki. Od czasu do czasu ktoś przy tym ginął. Most Belmar, estakada kolejowa spinająca brzegi rzeki Allegheny, był owiany legendą. Miejscowe dzieciaki wspinały się na środkowy wspornik po zardzewiałych szczeblach drabiny – i wylegiwały się na słońcu, wysoko nad wodą. Najodważniejsze spośród nich zeskakiwały z platformy do rzeki, która płynęła prawie dwanaście metrów niżej. Rzeka Allegheny nie należała do szczególnie głębokich, ale konstrukcja mostu i prądy przebiegające w tym konkretnym miejscu sprawiły, że na wysokości ogromnego środkowego wspornika powstawały potężne wiry. Dzięki temu, jeżeli odpowiednio ułożyło się ciało i przecięło powierzchnię wody pod właściwym kątem, można było bezpiecznie zanurkować i wyjść z tego wszystkiego bez szwanku. W przeciwnym razie, tak jak kilkoro dzieci w ciągu ostatnich lat, można było zginąć podczas tej straceńczej próby.

„No dobrze – powiedziała sobie Emma. – Nie ma co przesadzać. Tamte dzieci były pijane. Sunny nigdy nie wzięłaby alkoholu do ust. Tamte dzieci były głupie. Sunny jest mądra. Pewnie w ogóle nie wejdzie na górę. Na pewno ma świadomość, jak bardzo bym się wściekła, gdybym się o tym dowiedziała. Na pewno zachowa się rozsądnie. Nie zrobiłaby tego. Nie skoczyłaby do rzeki”. Jak wyjaśnili im któregoś dnia sąsiedzi, skoki z mostu Belmar były dla miejscowej młodzieży swoistym rytuałem przejścia. Ale przecież dzieci sąsiadów nie zdecydowały się na ten krok. Mądre, rozsądne dzieci sąsiadów dorosły i wyjechały, nie skoczywszy nigdy z mostu. Z najbardziej imponującej estakady w trzech hrabstwach. Emma miała to wszystko przed oczami. Jej skóra płonęła.

Pędziła dwupasmową drogą, nie zważając na inne samochody. Wspaniałe promienie popołudniowego słońca zmieniły się teraz w bezlitosne ognie piekielne. Wiedziała, że Sunny nie może umrzeć, i wiedziała, że ma szansę ją powstrzymać. Może zawołać: „Sunny, PRZESTAŃ!”.

Łysa głowa gwałtownie się odwróci, dziewczyna pomacha do niej i z zakłopotaniem wzruszy ramionami, po czym pozwoli skoczyć innemu dziecku. Pozwoli innemu dziecku zająć swoje miejsce i skoczyć z platformy.

Gdyby tylko była tam z jakimś rozsądnym chłopakiem... Ale Maxon pozwoli jej na wszystko, absolutnie wszystko – cokolwiek Sunny zechce zrobić. Był jej niewolnikiem, był zbyt głęboko uszkodzony, całkowicie od niej uzależniony. Emma nie mogła liczyć na to, że Maxon ochroni Sunny. Nie wierzyła, że o nią zadba, że zapewni jej bezpieczeństwo. Dlaczego jej córka nie mogła pokochać jakiegoś radosnego durnia, który mówiłby jej prawdę, trzymałby ją z dala od kłopotów i zostałby w przyszłości bankierem? Taki człowiek nigdy by nie pozwolił, żeby Sunny skrzyła kark, skacząc do rzeki. Nigdy.

Kiedy Emma znalazła się u podnóża pagórka, stanęła, wysiadła z samochodu i puściła się biegiem, nie zamknawszy nawet drzwi. Fałdy jej długiej spódnicy uderzały ją po nogach, a stopy rozpryskiwały żwir i kamienie. Jej umysł chciał za wszelką cenę przeżyć. Z trudem wzięła kolejny oddech, a potem wypuściła powietrze, lekko unosząc się pod kołdrą. Czują

przygniatający ciężar własnych żeber, czuła, że nie starczy jej sił na kolejny oddech. Może wszystko się skończyło. Może już po niej. Ale nie zamierzała tego zaakceptować. Musiała biec, musiała poznać prawdę. Odetchnęła więc raz jeszcze. Powietrze przebiło się przez jej zapadające się gardło – akurat tyle, żeby utrzymać ją przy życiu do czasu, aż upewni się, że jej dziecko jest bezpieczne, aż zobaczy Sunny i będzie mogła krzyknąć: „Nie skacz z tego pieprzonego mostu!”.

Nogi niosły ją niczym wiatr. Mknęła po żwirowej drodze, po podkładach kolejowych, przeskakując z deski na deskę, pomiędzy miejscami, w których niegdyś znajdowały się szyny. Nie czuła bólu. Czuła jedynie narastający ciężar w piersiach. Czuła własną krew, niezdolną do wykonywania powierzonych jej prac. Czuła, jak jej umysł stopniowo się wyłączał. „Nie mów tego nogom – zaklinała w myślach. – Pozwól im biec dalej”. W końcu skręciła i zobaczyła przed sobą most, zobaczyła jego ciemnobrązowe trapezy wznoszące się w górę i przecinające jasne niebo.

„Sunny!” – usiłowała krzyżeć. Ale nie starczyło jej powietrza. Jej płuca ostatecznie się poddały. Nie potrafiły się zdobyć choćby na jeszcze jeden, ostatni oddech. Klatka piersiowa zacisnęła się. Komórki walczyły. Emma złapała się najbliższego przesła, wczepiła się w nie i lekko się wychyliła, usiłując cokolwiek zobaczyć. Dostrzegła grupę dzieci. Czy Sunny była tam sama? Nie, Maxon pływał już w wodzie. Łajdak. Pewnie idealnie wyliczył wszystkie kąty i trajektorie. Pewnie powiedział jej dokładnie, jak powinna skakać. Nie, to na pewno Sunny tego zażądała. Tak, z pewnością tak się właśnie stało. Zawsze próbowała upodobnić się do innych dzieci. Biedna łysa Sunny. Tak wiele to dla niej znaczyło: skoczyć z mostu Belmar tak samo jak pozostałe dzieci, a potem opowiadać o tym, siedząc w Jolly Milk i leniwie sącząc napoje gazowane. Albo siedząc na dachu czyjegoś samochodu, z grupą dzieciaków, grupą przyjaciół i Maxonem, który zawsze trzymał się gdzieś z boku, woził ją, rozwiązywał każdy pojawiający się na jej drodze problem, milczał, kiedy kazała mu milczeć, i bez słowa protestu pozwoliłby jej się zabić, tylko po to, żeby mogła spełnić swoje marzenie i upodobnić się do innych dzieci.

Sunny stała tam, chłodna i opanowana. Matka usiłowała wyrzucić z siebie ostrzeżenie, wysapać ostatnie czułe słowo. „Sunny, kocham cię”. Ale nie starczyło jej powietrza. Nie starczyło jej krwi. Ciemność zalała ją od stóp do głów i wyłączyła całe jej ciało. W swoim wyobrażeniu ostatkiem sił wczepiała się w przesła, w rzeczywistości jednak umierała na szpitalnym łóżku i powoli wkraczała w mrok. Jej mózg przestał pracować właśnie w tamtej chwili, w najgorszym możliwym momencie. W jednej minucie odbywały się wewnątrz jej czaszki procesy elektrochemiczne. W kolejnej – wszystko stanęło. Nikt nie przechodził tego razem z nią, nikt nie towarzyszył jej w tamtej chwili i nikt nie mógłby temu zapobiec. To się po prostu wydarzyło. Śmierć nadeszła o trzeciej dwanaście nad ranem. Intymna śmierć pomiędzy matką a nią samą, zanim mogła wyśnić do końca ten jeden ostatni sen. Właśnie na tym polega śmierć: nie czeka, aż pozalutwiasz swoje sprawy.

Droga do centrum badawczego w Langley prowadzi przez bagienne tereny wschodniego wybrzeża Wirginii. W środku nocy jest to mroczne miejsce, w którym panuje absolutna cisza. Rowy ciągnące się po obu stronach drogi odprowadzają wodę, w której brodzą zwykle czaple, co jakiś czas skrywające głowy w skrzydłach. To bardziej zaniedbana wersja drogi, którą dojeżdża się do Centrum Kosmicznego imienia Johna F. Kennedy’ego przez rozległe, położone wzdłuż wybrzeża bagna Florydy. Tam, w dniu, w którym pośród ogólnej radości i optymizmu odbyło się wystrzelenie rakiety, Sunny mijala rzędy palm kołyszących się na wietrze w świetle poranka. Tutaj widziała tylko pnącza i dzikie rośliny, a także znaki drogowe informujące o liczbie przebytych kilometrów, i z trudem odnalazła właściwą drogę.

O wpół do czwartej nad ranem Sunny wręczyła swoje dokumenty strażnikowi pilnującemu głównej bramy wjazdowej. Na prawo znajdował się ogromny biały hangar, po

brzezi wypełniony częściami raket, samolotami i innego rodzaju urządzeniami. Za plecami Sunny miała z kolei tunel aerodynamiczny. Baza przypominała kampus uniwersytecki, tyle że wszystkie te ogromne i dziwne budynki nie mieściły biur i sal wykładowych, lecz postawiono je tu po to, by służyły nauce. Ten obiekt, podobnie jak jego otoczenie, był obskurną, niedoinwestowaną wersją Centrum Kosmicznego imienia Johna F. Kennedy'ego. Maxon postanowił tu pracować, bo nie chciał przenosić się na Florydę. Zresztą nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Laboratoria i pracowników można przecież znaleźć wszędzie.

Sunny minęła wielkie, okrągłe budynki, które żartobliwie nazywali z Maxonem mózgowymi zbiornikami. Przejechała obok nowego akceleratora i obok gmachu, w którym testowano materiały wykorzystywane przez jej męża do budowy robotów. Znajdowały się tu dziesiątki gigantycznych maszyn, których jedyne zadanie polegało na rozbijaniu i gruchotaniu przedmiotów po to, żeby upewnić się, że są one wytrzymałe. Brązowe budynki wchodzące w skład centrum badawczego w Langley wyglądały na mocno zaniedbane. Wzniesiono je w latach siedemdziesiątych i od tamtego czasu nikt nie przeprowadził tam żadnego remontu. Supernowoczesne wnętrza zawsze stanowiły tu ogromne zaskoczenie.

Sunny zaparkowała i delikatnie rozpięła Bubberowi pasy. Chłopiec przez chwilę płakał, potem jednak zamrugnął, stanął i zapytał:

– Gdzie jesteśmy?

– To świetne pytanie – odpowiedziała Sunny. – Jesteśmy u tatusia w pracy. Zaraz porozmawiamy z tatusiem.

– Tatus jest na Księżycu. Na Księżycu są kanały lawy. To właś-nie tam tatuś umieści robota. W kanale lawy.

– Zgadza się – potwierdziła Sunny. – Mam cię zanieść czy pójdziesz sam?

„Proszę, powiedz, że pójdziesz sam”, pomyślała. Nie miała skurczy, odkąd się obudziła, ale trochę się ich obawiała.

– Pójdę sam – oznajmił Bubber.

– Dobre dziecko. – Sunny zaczęła całować go po całej twarzy. Chłopiec opierał się i stał nieruchomo, przez co miała wrażenie, że całuje oparcie siedzenia samochodowego. – Bubber, będę cię całować i przytulać, nawet jeśli nie chcesz być całowany i przytulany – zapewniła, biorąc go za rękę.

– Dobrze – zgodził się Bubber.

– Chodźmy.

Stanovich powitał ją w drzwiach. W holu budynku, w którym pracował na co dzień Maxon, panował teraz półmrok.

– Strażnik przy wejściu zadzwonił i uprzedził mnie, że przyjechałaś – wyjaśnił. – Chodźmy, tędy.

Złapał ją za ramię, a ona złapała za ramię Bubbera. Ruszyli przed siebie i przeszli do części budynku, której nigdy wcześniej nie widziała. Stanovich otwierał kolejne brązowe metalowe drzwi, a potem poprowadził ich schodami w górę. Sunny zatrzymała się na podeście i machnęła na Stanovicha, sygnalizując mu, żeby dał jej chwilę.

– Jak widzisz, jestem w ciąży, Stan – wyjaśniła. – Nie mogę już galopować po schodach tak jak dawniej.

– Ach, prawda – powiedział.

Stanovich stał przy niej, nerwowo postukując w poręcz. Miała przed sobą siwowłosego, dziarskiego i żwawego mężczyznę. Mógł być w wieku jej ojca, ale mógł też równie dobrze okazać się czterdziestolatkiem. Jego twarz przedstawiała się mniej więcej w ten sposób: gęste wąsy i grube okulary, głęboko osadzone oczy, krzaczaste brwi i duże uszy. Zawsze nosił koszulki

polo oraz czarne lub granatowe spodnie. Należał do starej gwardii NASA i uchodził za prawdziwego profesjonalistę. Maxon bardzo go szanował, a co za tym idzie, Sunny również miała o nim bardzo dobre zdanie. Lubiła go. Mieszkał w Newport News razem z żoną i dziećmi.

– Dobrze, chyba udało mi się odetchnąć – powiedziała wreszcie Sunny. Kiedy zauważyła swoje odbicie w oknie, uświadomiła sobie, że Stan nie odniósł się w żaden sposób do problemu jej włosów... a raczej ich braku. Zastanawiała się, czy jest zbyt roztargniony, czy po prostu Maxon już wcześniej mu o tym mówił. Może puścił któregoś wieczora farbę, kiedy zmagął się z jakimś trudnym zadaniem albo chodził tam i z powrotem przed tablicą szczelnie pokrytą matematycznymi formułami? Może powiedział: „Hej, moja żona jest łysa. No dobrze, wracajmy już do tego robota”.

– Bubber, wszystko w porządku? – zapytał Stan, który zamierzał ruszyć dalej po schodach.

Bubber, wpatrując się w betonowe bloki na ścianach, uniósł kciuk w górę. Stan wspiął się po schodach i otworzył kolejne metalowe drzwi.

– To moje królestwo – oznajmił. – Zapraszam. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

– Jak to, czy okoliczności nie są dostatecznie radosne? – zapytała Sunny. – Okazało się, że oni żyją, odzyskaliście łączność. Wyjdą z tego cało.

Stan milczał przez dłuższą chwilę. Szli teraz nieco wolniej szarym korytarzem.

– Stan – powiedziała Sunny, chwytając go za ramię i zatrzymując się. – To dobre wieści, prawda?

– Sunny, nie chcę, żebyś się denerwowała. Ale musisz znać prawdę.

– Jaką prawdę?

– Prawda jest taka, że oni wciąż mogą nie wrócić – powiedział Stan, po czym odchrząknął, przyłożył dłoń do twarzy i wygładził wąsy. Sunny złapała się na tym, że próbowała rozszyfrować ten gest w taki sam sposób, jak zrobiłby to zapewne Maxon. Czy Stanovich starał się chronić ciężarną kobietę? A może wyolbrzymiał zagrożenie? Albo po prostu drażniły go wąsy?

– Co? – zapytała, ledwo łapiąc oddech.

– Meteoroid spowodował więcej szkód, niż początkowo sądziliśmy, kochanie. Kiedy wreszcie udało nam się odzyskać łączność, w Houston rozpoczęto proces diagnostyczny. Sytuacja nie wygląda najlepiej. Nie wiem, jak możemy im stąd pomóc bez systemu nawigacyjnego, którego potrzebują, żeby ustalić kurs, dotrzeć na powierzchnię Księżyca, wystrzelić raketę... To po prostu nie-realne.

Wydawało się, że Stan zaraz się rozplacze.

– Maxon świetnie się spisał, udało mu się naprawić system łączności. To było coś niesamowitego. Ale to może być ostatnia okazja, żeby z nim porozmawiać, kochanie. Właśnie dlatego wezwaliśmy cię tu w środku nocy. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Czy udało im się połączyć z modułem z robotami? Czy chociaż tyle zdołali zrobić?

– Tak – odpowiedział Stan. – Udało im się połączyć z modułem transportowym, na którego pokładzie znajdowały się roboty. Nie mam pojęcia, w jaki sposób tego dokonali, bo wydawało się, że to niemożliwe. Ale udało się. Niestety obawiam się, że nie mogą liczyć na wiele więcej.

– Nie – odparła Sunny. – Nie wierzę w to. Nie wierzę, że on miałby tam dotrzeć, a potem zginąć.

Stan położył dłoń na klawiszu. Za wzmocnianą szybą Sunny zobaczyła ludzi. Usłyszała ich głosy.

– Meteoroid był czymś, czego nikt nie przewidział – powiedział Stan. – Nie możesz winić za to Maxona. Niczego nie mógł zrobić.

– Ale Maxon potrafi wszystko przewidzieć – zaprotestowała, pospiesznie mijając Stana i otwierając drzwi. – Chcę z nim porozmawiać. Chcę z nim natychmiast, kurwa, porozmawiać.

Znaleźli się w ogromnym pomieszczeniu. Jedną z jego ścian pokrywały zasłonięte okna. Były tam ławki oraz stoły usłane wiertłami, kawałkami metalu, piłami laserowymi i fabrykatorami. Wiszący na ścianie plakat informował: „Właśnie tutaj dzieje się cała magia!”. Angela Phillips już tu była. Siedziała na starej, brudnej drewnianej ławeczce przed ogromnym srebrnym monitorem. Oczywiście dotarła tu jako pierwsza. Mieszkała w Hampton – tak zrobiłaby każda rozsądna osoba, której mąż pracował w Langley.

Sunny zażądała, żeby zamieszkali w Norfolkku ze względu na tamtejszą operę i muzeum sztuki. Zasiadała w radach obu tych instytucji, wykorzystując pieniądze Maxona do tego, by wkupić się w społeczną stratosferę tego starego miasta. Głupia, głupia, głupia. Wszystkiego żałowała. W którym zaułku mroźnego kosmosu zginie Maxon? Czy rakieta uderzy w powierzchnię Księżyca? A może zdążą przemierzyć połowę drogi powrotnej do domu, zanim zabraknie im powietrza? A może Maxon zabije wszystkich na pokładzie? Czy to możliwe? Zobaczyła swojego męża uwięzionego na pokładzie rakiety, pod kolejnymi powłokami, w skafandrze, w wierzchnim kombinezonie – aż do samego jego wnętrza, do miejsca, w którym oddychał. Był silny i wytrzymały, jego tętno nigdy nie wzrastało powyżej pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Lekarze nie potrafili wytłumaczyć tej niewiarygodnej cechy.

W pomieszczeniu przebywali też inni ludzie. Mężczyzna, który przyszedł do nich kiedyś na kolację razem ze swoją zaniedbaną żoną, zbliżył się teraz do Sunny. Najwyraźniej nie był na tyle zdenerwowany, żeby nie zwrócić uwagi na jej łysą głowę.

– Sunny – powiedział. – Wszystko w porządku? Czy ty... czy to rak?

Zamilkł, ale Sunny mocno uściśnęła jego dłoń i puściła do niego oko.

– Cześć, Jim. Zadzwoniliście do mnie tak wcześniej, że nie zdążyłam uczesać swoich włosów, więc po prostu postanowiłam ich nie zakładać.

Nie roześmiał się, zresztą ona sama też tego nie zrobiła. Angela zauważyła ją i dała jej znak, żeby podeszła. Bubber tymczasem bawił się na podłodze metalowymi stożkami, rytmicznie się przy tym kołysząc. Cały monitor wypełniała twarz Freda Phillipsa. -Angela, blondynka o wąskich ramionach i delikatnym, dziewczęcym głosie, wyciągnęła dłoń i złapała Sunny za rękę.

W głośnikach odezwał się tymczasem Fred:

– Kochanie, powiedz coś. Powiedz cokolwiek.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparła Angela. – Wszystko się ułoży. Wrócisz do domu, zanim się obejrzysz.

– Wcale nie – oznajmił Fred, patrząc w ekran błędnym wzrokiem. – To akurat nieprawda. Powiedz mi coś innego, cokolwiek. Powiedz na przykład, co dzieci jadły dziś na śniadanie.

– Dzieci teraz śpią, Fred – powiedziała Angela. – Zostawiłam je u matki.

– Chcę zobaczyć swoje dzieci! – zawołał Fred dławiącym się głosem. Widzieli go na ekranie. Zakrył usta dłonią i potrząsnął głową. – Do cholery, Angie, dlaczego ich nie zabrałaś? – Załkał.

Ponieważ transmisja odbywała się z lekkim opóźnieniem, trudno im się było porozumieć. Przerywali sobie, potem z kolei długo czekali, aż któraś z nich się odezwie, później znów ktoś zaczynał coś mówić, a druga osoba czekała. „Czy właśnie tak to jest, kiedy twój mąż bez przerwy mówi?”, zastanawiała się Sunny. Ciągłe odzywanie się i milknięcie. Sunny usłyszała w tle jakiś głos, który nie należał do Maxona:

– Weź się w garść, Phillips.
– Fred, przyjechała już Sunny – odezwał się Stanovich, stając za Angelą. – Czy możesz zawołać doktora Manna? Dziękuję.

– Jasne, Stan – powiedział Fred. – Proszę, Geniuszu, czas zapłakać i umrzeć.
Angela wstała, a jej miejsce na krześle stojącym przed drewnianym biurkiem zajęła Sunny. Wydawało się, że Fred uniósł się w powietrzu i opuścił swój fotel. Po chwili nadleciał Maxon. Sunny siedziała bez ruchu, obserwując, jak w kadrze pojawiła się jego głowa. Wpatrywała się w niego, chłonęła widok szerokich, mocnych rysów jego twarzy, jego cudownych ust, uszu, loków... Widziała go bardzo wyraźnie i to sprawiło, że zachciało jej się płakać. Uśmiechnął się swoim charakterystycznym, oficjalnym uśmiechem, po czym nachylił się lekko, zaglądając w ekran. Sunny zobaczyła, jak na jego twarzy miejsce oficjalnej miny zajął nagle wyraz pełen tęsknoty – tak właśnie wyglądał, kiedy czuł prawdziwy głód. Ujrzał jej łysą głowę.

– Cześć, kochanie – powiedziała. – Co się dzieje?
– No cóż, pewnie będę musiał w pierwszej kolejności zjeść Phillipsa – oznajmił Maxon.
– Tak? – zapytała.
– Tak, Gompers to strasznie miły facet, a Tom Conrad jest zrobiony z silikonu, więc...
– Skup się, Maxon. Skup się.

Wyciągnęła dłoń w kierunku monitora i dotknęła linii jego nosa, zarysu policzków i szczęki. Milczał. Chciała zmusić go do tego, żeby ją zobaczył, żeby potwierdził, że widzi to, co miał widzieć. Chciała powiedzieć mu, co powinien mówić, zapisać mu to, podać mu kartkę papieru wypełnioną literami, które naprawdę mógłby zrozumieć. Milczał. Czy dotarła do niego jej wiadomość? Czy przekazała mu wszystko, czego potrzebował, żeby przetrwać? Chciała powiedzieć: „Maxon, Kocham cię, przepraszam, że byłam tak gównianą żoną. Zmienię się. Jestem już gotowa znowu być dla ciebie dobra i dawać ci to, czego potrzebujesz. Proszę cię, nie umieraj”. Maxon dalej milczał.

Sięgnęła po leżącą na biurku kartkę papieru, złożyła ją na pół i napisała grubymi, wyraźnymi literami: „PRZEPRASZAM”. Podniosła kartkę i zasłoniła nią sobie twarz. Kiedy ją opuściła i spojrzała Maxonowi w oczy, miała już pewność, że zrozumiał.

– Sunny, czy chcesz, żebym wrócił do domu? – zapytał.
– Tak – odpowiedziała pewnym głosem. – Chcę, żebyś wrócił do domu.
– Dobrze. Świetnie – odparł. – Daj Bubbera.

Sunny podniosła Bubbera z podłogi i posadziła go sobie na kolanie. W obu piąstkach ścisnął gładkie metalowe stożki. Wydawał rytmiczne odgłosy i nie przestawał się kołysać. Wiedziała, że jego umysł błądzi gdzieś daleko.

– Hej, kolego – powiedział Maxon. Bubber nie podniósł głowy. – Co tam masz?
– Pokażesz tatusiowi swoje stożki? – poprosiła Sunny. – Powiedz tacie, co trzymasz w rękach.

Bubber podniósł stożki w górę, ale nie spojrzał w monitor. Dalej cicho brzęczał i popiskiwał, wydając odgłosy rodem z filmu science fiction.

– Bubber, spójrz tam, gdzie pokazuje ci mamusia – poprosiła Sunny, ale Bubber nie chciał podnieść wzroku. – Przykro mi – powiedziała.

Zobaczyła, że Maxon pochylił się i po coś sięgnął. Trzymał coś na kolanach, a jego brwi i głowa kołysały się w przód i w tył.

– W porządku. Bubber świetnie wygląda – zapewnił Maxon.
– On wie, że tu jesteś – odparła Sunny. – Po prostu...

Maxon też trzymał teraz coś w rękach. W swoim notatniku napisał na czystej kartce

słowa: „KOCHAM CIĘ”. Kilukrotnie poprawiał litery, tak żeby mogli je odczytać. Przyłożył kartkę do klatki piersiowej, do serca.

– Bubber – poprosiła Sunny, zbliżając usta do jego ucha. – Naprawdę zależy mi na tym, żebyś spojrział tam, gdzie pokazuje mamusia. Po prostu spójrz w miejsce, które wskazuje palec mamusi.

Bubber podniósł wzrok i zerknął w tamtą stronę, po czym znowu opuścił głowę, oparł się na Sunny i wrócił do zabawy stożkami. Sunny uśmiechnęła się do Maxona i powiedziała:

– Zobaczył cię.

Ale Maxon nie opuszczał kartki. Sunny zrozumiała, że słowa, które zapisał, były adresowane także do niej. Usiłowała zapamiętać ten obraz, tak żeby móc już zawsze do niego wracać: Maxon na ekranie, w swoim białym golfie, trzymający tę kartkę przy swoim sercu.

– Muszę już iść, Sunny – uprzedził. – Nie wiem, co powiedzieć. Ale zamierzam tym czymś wylądować.

– Maxon – wtrącił się Stanovich. – To zbyt niebezpieczne. Nie dasz rady tego zrobić.

– Muszę wyłączyć to ustrojstwo, Stan. Trzymaj się.

Ekran zrobił się czarny. W tej samej chwili z gardła Bubbera wydobył się głęboki jęk. Sunny wiedziała z doświadczenia, że dźwięk ten stanowił zapowiedź ataku, być może naprawdę gwałtownego ataku, a z pewnością takiego, którego nie powinni oglądać obcy ludzie. Chciała jak najszybciej zabrać stąd synka, pozwolić mu wrzeszczeć, wygiąć się w łuk z pianą na ustach i uderzać w nią piąstkami na korytarzu. Najpierw jednak musiała wyrwać mu z rąk metalowe stożki.

– Nie, kochanie – powiedziała. – Nie, nie. Wszystko w porządku. Wszystko w porządku. Zaczęła rozchyłać mu palce, usiłując wydobyć stożki.

– Musimy iść – ponagliła. – No chodź, Bubber, odłóż to.

Popelniła jednak błąd. Krzyk stał się jeszcze głośniejszy. Bubber, czerwony na twarzy, rzucił się na ziemię, zalewając się łzami i przyciskając stożki do ciała. Tarzał się po podłodze, kopiąc wszystko, co znalazło się na jego drodze, do czasu, aż wpadł pod biurko, gdzie po prostu utknął. Sunny podbiegła do niego. Ledwo się ruszała i ciężko oddychała. Wiedziała, że trudno jej będzie teraz zająć się Bubberem. Gdyby próbował uciekać, nie miałyby nawet siły go podnieść. Była zbyt słaba i ledwo trzymała się na nogach. Zamierzała właśnie kucnąć i powiedzieć coś do Bubbera, ale Stan położył jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Pozwól mu zatrzymać stożki. Możecie tu trochę posiedzieć.

– Bardzo przepraszam – powiedziała. – To jest...

– Sunny, naprawdę, nic nie szkodzi. Sam mam chłopca z zespołem Aspergera. To samo Rogers, który tam siedzi. To znaczy on sam ma autyzm, a nie jego dzieciak.

– Naprawdę? – zapytała.

– Naprawdę – odparł Stan. – Można powiedzieć, że to u nas rodzinne. To częsta sprawa w naszej rodzinie NASA.

Sunny i Bubber spędzili resztę nocy w biurze Stanovicha w Lang-ley. Sunny przeniosła sobie koc i poduszkę do holu, żeby choć trochę się zdrzemnąć, a Bubber został w biurze razem z pozostałymi pracownikami. Był zachwycony, bo mógł spokojnie się bawić częściami robotów, dotykać maszyn i absolutnie z nikim nie rozmawiać.

Tymczasem na pokładzie rakiety Maxon przedstawił pozostałym astronautom swój plan. Zamierzał wylądować rakieta na Księżycu. Gompers miał jednak wątpliwości.

– Sam nie wiem, Mann – powiedział. – Spróbujemy to zrobić, ale tylko dlatego że nie widzimy innego rozwiązania.

– Hej, Geniuszu, kto powiedział, że możesz wykonywać moją pracę zamiast mnie? – zapytał Phillips.

– Zamknij się, Phillips – przerwał mu Gompers. – Masz jakiś inny plan?

– Phillips – uprzejmie zwrócił się do niego Maxon. – Oczywiście, że mogę wykonywać twoją pracę zamiast ciebie. Gdybym nie mógł wykonywać twojej pracy i pracy wszystkich innych członków załogi, nie byłoby mnie tu.

Phillips wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Bez urazy, *sir* – dodał Maxon, zwracając się do Gompersa.

– Nic nie szkodzi – zapewnił Gompers. – Miejmy nadzieję, że masz rację.

To, co zrobili, żeby począć drugie dziecko, trwało tylko kilka minut. Wydarzyło się to pod peruką i pod kołdrą. Maxon uważał, że nadeszła na to odpowiednia pora, i tym razem Sunny już nie protestowała. „Masz rację – powiedziała. – Czas na kolejne dziecko”. Zrobili to świadomie, wiedząc, że coś jest nie tak z Bubberem, że coś jest nie tak z Maxonem, że coś jest nie tak z Sunny, że coś jest nie tak z jej matką i że coś jest nie tak z wszystkimi innymi. Zrobili to, wiedząc, że na skutek ich wysiłków powstanie najprawdopodobniej coś wadliwego, coś, co i tak będą musieli kochać mimo tych wad – a może właśnie ze względu na nie. W szafie z drewna cedrowego Sunny trzymała pojemniki z podpisem: „Macierzyństwo”. Wiedziała, że dziewczyna, która stała się blondynką, wszystkim się zajmie. Mieli zastąpić samych siebie, Sunny i Maxona. Mieli zrobić to, czego oczekiwała od nich ewolucja.

Ale ciąża dziewczyny, która stała się blondynką, przeobraziła się nagle w ciążę dziewczyny, która od zawsze była łysa. I nagle cała jej pewność wyparowała. Wszystkie zasady przestały obowiązywać, mapa wyblakła. To było dziecko Maxona i Sunny – i wszystko mogło się wydarzyć. Nie było żadnych oczekiwań, które dałoby się logicznie uzasadnić. Dziecko mogło okazać się cudem.

Następnego ranka Sunny odebrała telefon ze szpitala. Poinformowano ją, że jej matka zmarła w nocy.

Zawsze, kiedy rozmawia się o życiu i śmierci, mimo woli pojawia się patos. Nic nie zostaje przemilczane. Wszystko, co ukryte, wychodzi na wierzch, a cały mrok rozlewa się i przenika codzienny język. Mówi się wówczas o ponurych sprawach, bo należy podjąć pewne decyzje. Nie ma co liczyć na subtelność, kiedy trzeba nagle dokonać wyboru między kremacją a pochówkiem, albo zdecydować, czy chce się zajmować tym wszystkim pod wpływem środków uspokajających.

W pewnej chwili, siedząc w szpitalu przy małym, niewygodnym biurku – zapomniała nazwiska panińskiego swojej matki. Właśnie wtedy zrozumiała, że zaczyna tracić nad sobą panowanie. Nadal jednak podpisywała kolejne dokumenty, nadal poruszała długopisem po kartkach papieru. Czy na co dzień, w normalnych okolicznościach mamy często do czynienia z patomorfologiem? Nie. Czy mamy jakikolwiek powód, by wypowiedzieć słowo „-autopsja”? Nigdy.

Jako sieroty jesteśmy zupełnie sami. Nikt na Ziemi na nas nie patrzy, kiedy prosimy: „Spójrz na mnie!”. Nikt nie chroni nas przed zapomnieniem, nie wyciąga rąk i nie mówi: „Stój”. Dotarliśmy tak daleko otoczeni opieką – a teraz musimy nagle iść dalej całkowicie bezbronni. Ponieważ Sunny była w ciąży, musiała strzec się przed takimi myślami. Musiała chronić dziecko przed cierpieniem. Kiedy więc jej własny okręt popłynął dalej pod wiatr, a okręt jej matki zatonął i zniknął z horyzontu, musiała pozwolić mu odejść: bez fajerwerków, bez reflektorów, bez trąbek. Prawie niezauważalnie.

Sunny zrezygnowała z pochówku. Zdecydowała, że ciało matki zostanie skremowane. Tym wszystkim miał się zająć pracownik domu pogrzebowego, ona zaś podpisała wszystkie dokumenty, które uprawniały go do odebrania ciała. To przekazanie miało się odbyć gdzieś głęboko w trzewiach szpitala. Sunny wiedziała, że jej matka opuści budynek tylnymi drzwiami. Nie wiedziała, jak będzie w tamtej chwili wyglądała, ale nie wątpiła, że to wszystko będzie przerażające.

Pogrzeb mógłby się odbyć w hrabstwie Yates. Zjawiliby się na nim wszyscy przyjaciele Emmy. Pogrzeb mógłby się też odbyć w Wirginii. Ale Sunny nie była teraz w stanie zajmować się pogrzebem. Wiedziała, że jej matka poprosiłaby: „Zrób to, co dla ciebie najlepsze, kochanie. Zrób to, co musisz zrobić. Wszystko mi jedno”. Dlatego Sunny zdecydowała się na kremację. To wszystko wydawało jej się tak niewiarygodne, że miała ochotę poprosić właściciela zakładu pogrzebowego o sprawdzenie, czy jej matka rzeczywiście nie żyje. Miała ochotę zamontować kolorowy guzik wewnątrz pieca kremacyjnego: „Jeżeli żyjesz i chcesz zapobiec omyłkowej kremacji, NACIŚNIJ TUTAJ”. Umieranie było przecież tak powolnym procesem. Może wbrew opinii lekarzy jeszcze wcale nie dobiegło końca. Może nadal nie wygasły wszystkie synapsy, może wciąż dałoby się wskrzesić ducha, który wypowiedziałby słowa: „Dobra robota, Sunny. Jesteś wspaniała. Naprawdę świetnie sobie radzisz”.

– Jak się pani czuje? – zapytała pielęgniarka.

Sunny wręczono dwa czarne długopisy, którymi miała podpisać wszystkie dokumenty. Długopis i zapasowy długopis. Ale pierwszy długopis działał bez zarzutu.

– Wydaje mi się, że skończyłam – powiedziała Sunny. – Tak, myślę, że skończyłam. Śmierć jest czymś makabrycznym. Nie ma w sobie nic romantycznego. Rozkład –

zarazem okrutny i łagodny – zaczyna się niemal natychmiast. Sunny, wychowana na farmie na prowincji, doskonale знаła śmierć. Widywała martwe ptaki, koty, sarny. Kiedyś znalazła też na pastwisku martwego konia. Kopła go raz za razem i krzyczała: „Żyj! Żyj! Żyj, do cholery!”. Któregoś roku zaczęła nawet hodować jagnię w ramach projektu realizowanego przez lokalny klub edukacyjny. Nie zdawała sobie sprawy, co się z nim ostatecznie stanie. Nu zbudowała psią budę, którą Sunny co tydzień dekorowała świeżymi kwiatami. Nad drzwiami namalowały napis „Kwiatuszek”. Karmiła jagnię z ręki, czesała je i doznała głębokiego szoku, kiedy w ostatni dzień corocznego targu jagnię zostało sprzedane rzeźnikowi. Od tamtego czasu znienawidziła jagnięta. „Myślałam, że wiesz – powiedziała jej matka. – Byłam przekonana, że wiesz, co to oznacza”.

Inne dzieci – należał do nich także Maxon – co roku hodowały zwierzęta, które potem sprzedawano na aukcji. Co roku, odkąd skończył dziewięć lat, Maxon hodował na tę okazję świnkę. Jedyńm wyjątkiem był rok, kiedy on miał jedenaście lat, a świnka z niewyjaśnionych przyczyn zdechła w czerwcu. Maxon zawsze ukrywał zarobione w ten sposób pieniądze w pniach drzew i w rozmaitych schowkach rozrzuconych po miasteczku. Tylko on znał ich dokładną lokalizację. Samodzielnie kupował zwierzę, opłacał jego utrzymanie i prowadził drobiazgowo rachunki, zapisując wszystkie wydatki. Wreszcie nadchodził trwający zwykle około tygodnia targ. Maxon trzymał się z pozostałymi chłopcami w podartych dżinsach i koszulach w kratkę. Ich wytarte buty stukwały o betonową wylewkę chlewu, kiedy schodzili z drogi gruntowej prowadzącej przez plac targowy. Młodszy chłopcy byli miniaturowymi wersjami starszych chłopców. Z roku na rok stawali się coraz bardziej małowówni, na ich twarzach pojawiał się stopniowo rzadki zarost, zaczęli nosić czapki z daszkiem, a z ich szyj wystrzeliwały nagle jabłka Adama.

Po tym, jak przygoda z jagnięciem zakończyła się bolesną porażką, Sunny przestała hodować zwierzęta. Co roku jechała jednak na targ razem z Maxonem i dotrzymywała mu towarzystwa. Okoliczne dzieciaki przesiadywały w tamtejszych chlewach. Opierały się o płyty ze sztachet, żuły gumę i wzajemnie się popychały. Na terenach targowych znajdowały się też stajnie, w których dziewczęta godzinami sprzątały najmniejsze nawet grudki końskich obchodów i dekorowały boksy wstążkami, żeby zdobyć nagrodę dla najlepszej stajennej. Były tam obory, w których potężnym wołom starannie zaplatano ogony. Ale to właśnie w chlewach młodzież dyskretnie podawała sobie piersiówki, a jedno nieodpowiednie spojrzenie mogło doprowadzić do szturchnięć i głośnych kłótni. Chłopcy pachnieli potem, dziewczęta związywały włosy w kucyki i dawały się od czasu do czasu łapać za piersi, co owocowało niekiedy dzikimi harcami.

Świnie są brudne i tarzają się w błocie. Ich obecność staje się często impulsem do fantazji o cielesności. Prezentowanie świni na miejscowym targu jest przedsięwzięciem dość ryzykownym, a ogromna ulga, która potem następuje, przyprawia zwykle o zawrót głowy. Świń nie da się nigdy do końca wyszkolić, niezależnie od tego, jak wiele czasu się na to poświęca – a zwierzęta te są niekiedy równie agresywne co dzikie psy. Każdej grupy dzieci, krążących po arenie z kijami w rękach i prezentujących publiczności swoje świnię, strzegła grupa czujnych ojców, którzy dzierżyli wielkie płyty ze sklejki. Za pomocą takich płyt rozdzielano zwykle świnię, które się na siebie rzucały. Najczęściej dochodziło przy tym do rozlewu krwi, a tego typu atrakcje przyciągały tłumy gapiów. Dzieci, które zdobywały trofeum publiczności, poruszały się nisko na nogach, przykucały przy swoich świniach i wpatrywały się w sędziego jak koty. W jednej kieszeni nosiły zwykle szczotkę, w drugiej butelkę z wodą – i zawsze były gotowe odciągnąć świnię długim kijem, w razie gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Maxon nigdy nie zdobył głównej nagrody w żadnym z konkursów, bo nie potrafił nawiązać kontaktu wzrokowego z sędzią.

To był ostatni dzień jarmarku. Maxon miał lada chwila wyjechać na studia. Dostał

stypendium z Instytutu Technologicznego w Massachusetts, a Emma Butcher opłaciła mu pokój i wyżywienie. Miał osiemnaście lat. Sunny przez cały dzień czuła niepokój i nie chciała spędzać czasu z resztą dzieciaków, zwłaszcza z uczniami ostatniej klasy. Siedzieli więc z Maxonem na płocie otaczającym arenę, na której rozgrzewały się zwykle konie i która sąsiadowała z areną główną, gdzie jeźdźcy przygotowywali się do występów. Podczas zawodów nawet najmniejszy błąd oznaczał natychmiastową dyskwalifikację – wystarczyło jedno muśnięcie kopyta o przeszkodę podczas skoku, by jeździec musiał pożegnać się z marzeniami o zwycięstwie. Wygraną gwarantowała jedynie czysta, absolutnie bezbłędna jazda. Nie było drugiego miejsca. Maxon przyglądał się spokojnie koniom, a jego skóra ciemniała w promieniach sierpniowego słońca. Siedząca przy nim Sunny nieustannie się wierciła, kopała płot i kciukiem pogłębiała dziurę po sęku.

– Maxon, dziwnie się czuję, jestem strasznie zdenerwowana – wyznała w pewnej chwili, patrząc spod przymrużonych powiek na odkrytą trybunę, znajdującą się za zakurzoną areną. Widziała tam swoją matkę i Nu, które siedziały obok siebie pod parasolką.

– Co się dzieje? – zapytał mechanicznie.

– Chodźmy na spacer – zaproponowała. Zsunęła się z płotu, otrzepała spodnie obiema dłońmi, wyjęła z kieszeni kapelusz i włożyła go na głowę.

Ruszyli przed siebie, trzymając się za ręce. Minęli arenę, przystanęli na chwilę, żeby przepuścić galopujące konie, a potem ruszyli do bramy. Sunny pomachała swojej matce, która lekko się wyprostowała, a potem odwróciła się, odprowadzając ich wzrokiem. Kręciła przecząco głową, ale Sunny tylko jeszcze raz do niej pomachała, po czym ruszyła przed siebie. Minęli kolejne place targowe, przyczepę z zapasami żywności dla ochotniczej straży pożarnej, mały stragan z watą cukrową, królikarnię i wielką halę, w której oceniano kompozycje kwiatowe i rękodzieło. Przeszli obok szopy, w której wystawcy trzymali swoje traktory, kosiarki, siano oraz tarcicę – po czym wkroczyli do lasu.

Szli w milczeniu. Powoli wspinali się pod górę, coraz wyżej i wyżej. Maxon dotrzymywał Sunny tempa i cały czas trzymał ją za rękę – ani za mocno, ani za słabo. Gdyby się nie zatrzymali, wkroczyliby na czyjeś świeżo skoszone pole, więc Sunny stanęła nagle w środku lasu. W dole, za ich plecami, rozciągały się hale i areny targowiska. Dotarli niemal na szczyt wzgórza. Wokół nich brzęczały cykady. Otaczały ich wyrastające z ziemi skały, zupełnie takie jak te w lesie koło ich domu.

– Zatrzymajmy się na chwilę – poprosiła. – Chciałabym ci coś pokazać. Zanim wyjedziesz.

– Co takiego? – zapytał Maxon.

Wydawał jej się taki dojrzały, taki autentyczny. Wyglądał jak prawdziwy mężczyzna. Wiedziała, że kiedy wyjedzie na studia, nadal będzie się zmieniał, jego kości policzkowe jeszcze bardziej się uwydatnią, jego oczy jeszcze mocniej zagłębią się w oczodołach. Zdjęła kapelusz i położyła go na kamieniu. Maxon stał bez ruchu, sztywny i wyprostowany. Podarte dzinsy wisały mu na biodrach, a koszula w kratkę, opinająca mu się na łopatkach, niczym nie różniła się od koszul wszystkich pozostałych chłopców odwiedzających targ. W kieszeni dzinsów miał nóż. W kieszeni koszuli – złożony przewodnik z harmonogramem wydarzeń na każdy targowy dzień. Sunny dała mu znak, żeby nie ruszał się z miejsca, po czym zdjęła sandały i położyła je obok kapelusza. Czowała pod stopami wilgotny chłód poszycia leśnego, ciemną ziemię ukrytą pod sosnowym igliwem. Zsunęła dzinsy i stanęła przez Maxonem w niebieskim T-shircie i majtkach w kwiatki.

– Może powinieneś teraz usiąść – powiedziała.

Usiadł. Skrzyżował nogi, a dziura w dzinsach na jego kolanie powiększyła się. Położył

dłonie na udach. Co myślał w tamtej chwili? Czego się spodziewał? Sunny wielokrotnie wyobrażała sobie tę scenę. Nie była pijana. Nie zwariowała. Robiła to, co musiała zrobić – dla niego. Jej matka mogła uczyć go podawać ludziom rękę i wyrażać żal. Ale to do niej należało nauczenie go wszystkich innych rzeczy. Wiedziała, że jej matka nie pozwoli im się pobrać. Maxon miał wyjechać na studia, miał należeć do innej dziewczyny, którą tam wkrótce pozna. A Sunny musiała go przygotować. Powtarzała sobie z przekonaniem, czując na nogach delikatny powiew wiatru, że robi to dla niego. Nie byłoby dobrze, gdyby wyruszył w świat, nie mając pojęcia, czym jest kobieta. Sunny wiele o tym czytała i omówiła wszystkie szczegóły z Renee, która od dwóch lat uchodziła za ekspertkę w tych sprawach. Wcześniej, w Bon-Ton, była już blisko osiągnięcia celu, ale pamiętała tamten dzień jak przez mgłę i – jak wyznała później Renee – nic się wtedy między nimi nie wydarzyło. Dzisiaj jednak musiało się coś zdarzyć. Była głęboko przekonana, że to jej ostatnia szansa.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła. – Nie martw się.

Pochyliła się i ściągnęła majtki, które następnie złożyła i rzuciła na swoje sandały. Kiedy po chwili odwróciła się i spojrzała na Maxona, zobaczyła, że mocno zacisnął szczęki. Podeszła do niego.

– Tak to wygląda – powiedziała. – Tak wyglądam. Tak wyglądają dziewczyny.

Pomyślałam, że powinieneś jakas zobaczyć, zanim wyjedziesz.

Maxon milczał. Sunny zbliżyła się i stanęła przed nim.

– Podaj mi swoją dłoń – poprosiła. – Pokażę ci. Zaczynasz w ten sposób. Głaszczesz delikatnie, od zewnętrznej strony. Możesz przejechać ręką po całych nogach, a potem tu, w górę.

Zdjęła koszulkę. Nie miała na sobie stanika. Z miejsca, w którym siedział, Maxon nie mógł jej dosięgnąć, więc zaprowadziła go na jedną ze skał, zrzuciła z niej część liści i gałęzi, a następnie się położyła. Skała grzała ją w plecy. Wbijało jej się w skórę kilka mniejszych kamieni, które po chwili wyjęła i odrzuciła na bok. Wtedy zrobiło jej się wygodnie, a porośnięta mchem skała niemal tuliła jej pupę, tak jakby została stworzona właśnie w tym celu. Maxon ukląkł przy niej jak przy ołtarzu.

– Przestań się modlić – powiedziała, a on się roześmiał. Oboje się roześmiali. Powietrze wibrowało wokół nich. – Śmiało – dodała. – Zaczynaj mnie dotykać. Wszędzie, tylko nie tam. Tak jakbyś próbował lekko mnie muskać. Delikatnie.

Czekała na odczucie, które miało nadejść zgodnie z zapowiedzią Renee: lekkie pieczenie. Zamiast tego poczuła jednak, jakby w głębi jej ciała coś się nagle uniosło i zaczęło pulsować. Była jak bańka mydlana, która poszybowała w górę, chcąc wyjść jego palcom na spotkanie.

– Dobrze – powiedziała, po czym rozłożyła nogi. – A teraz spójrz. Nie martw się i nie myśl o tym zbyt długo. Wszystko w porządku. Chcę, żebyś to zrobił.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak na nią patrzy. Coś w jej ciele nagle zadrżało i zaczęło ją laskotać, coś ścisnęło się i naprężyło pomiędzy jej biodrami. Wyobrażała go sobie, jak Maxon marszczy brwi i bada ją w skupieniu, tak jakby była płatkiem śniegu, mechanizmem albo wiewiórką, która złapała się we wnyki. Otworzyła się palcami, tak żeby mógł dokładnie obejrzeć wszystkie części jej ciała. Powiedziała mu, do czego służy każda z nich. Pokazała mu, gdzie dotykać i jak poruszać dłonią. To było jak czytanie instrukcji obsługi jakiegoś urządzenia wyjętego przed chwilą z opakowania. Czytała mu ją, on trzymał kartkę, ale oboje byli ślepi i składali poszczególne elementy w kształt, którego nie mogli przewidzieć. Poczuli się tak, jakby w jej wnętrzu została uwięziona chmara pszczoł, które szalały pod jej mostkiem, stopniowo kierując się ku pachwinom. Usłyszała, jak Maxon wziął gwałtowny oddech, ale jego ręka nadal robiła to, co nakazała mu Sunny – twarda skóra na jego dłoniach lekko na nią napierała, a jego druga ręka gładziła delikatnie jej ciało.

– Och, Maxon, zrób to jeszcze raz – poprosiła, z trudem łapiąc oddech. – Rób to bez przerwy, tak wolno, jak potrafisz, tak długo, jak zdołasz. Idealnie.

Zapomniała o skale, na której leżała, zapomniała o targowis-ku, zapomniała o przerażeniu, jakie budziła w niej myśl o jego nieobecności, zapomniała o jego wyjeździe, o jego małżeństwie z inną kobietą, o jego oddaleniu, śmierci i twarzy jej własnej matki, która wypowiadała słowa: „Nie, nie, nie. Tylko nie Maxon. Nie on!”. W tamtej chwili była tam wyłącznie z nim, zamknięta w przestrzeni między jego dłonią a sobą samą. I wtedy poczuła jego usta na swojej piersi, poczuła, jak twardo w nią wszedł, podczas gdy jego dłoń nadal poruszała się zgodnie z jej instrukcjami, poczuła, jak całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz, dreszcz, który przeszedł także przez nią. I nagle wszystko z niej uleciało, te wszystkie rzeczy, których zamierzała go nauczyć, ta jedna ważna lekcja zamknięta pomiędzy ich ciałami i jednocześnie przez nich przyswajana. Zamknęła go w sobie, przyciągnęła go do siebie, zapłakała za nim, i kazała mu przysiąc, że nigdy, przenigdy jej nie opuści.

Sunny stała przy biurku w swoim domu w Wirginii. Teczki leżały przed nią na krześle. Odsunęła książki, kalendarz, podpórki, telefon i ramkę ze zdjęciem. Zamknięta na klucz szuflada znajdowała się na górze, po prawej stronie. Sunny trzymała w ręku siekiere, którą znalazła w garażu. Nie wiedziała, skąd ta czerwona, niemal groteskowa siekiera się tam wzięła. Może Maxon używał jej w ogrodzie. Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że była ostra.

Sunny uderzyła siekiere w blat biurka. Ostrze zagłębiło się w fornirze. Nie odskoczyło, nie ześlizgnęło się i nie osunęło. Sunny nie żartowała. Na blacie powstała gruba rysa. Raz jeszcze podniosła siekiere wysoko nad głowę i raz jeszcze gwałtownie ją opuściła. Oczywiście była ostra. Maxon nie należał do osób, które trzymałyby w domu tępą siekiere. Mógł mieć sekretną szufladę, ale na pewno nie tępą siekiere. Sunny uderzyła po raz kolejny – i jeszcze raz. Ostrze roztrzaskało blat biurka. Pojawił się otwór na tyle duży, by mogła wsunąć palce do środka. Podważyła błyszczącą warstwę forniru, a następnie za pomocą siekiery poszerzyła otwór. Wreszcie włożyła dłoń do szuflady. W środku leżały papiery.

Położyła narzędzie przy biurku i przez otwór w zdemolowanym blacie wyjęła trzy koperty. Na pierwszej, dużej i szarej, znajdowało się imię „Sunny”, zapisane pismem Maxona. Drugą podpisano „Maria”. Trzecia koperta, nieduża i biała, nie miała żadnego adresata.

Sunny odwróciła się, wytarła twarz i mocno ścisnęła koperty w dłoni. Poczuła dalekie echo skurczu przepływające przez jej ciało i oparła pupę na roztrzaskanym blacie. Najpierw otworzyła kopertę z napisem „Sunny”. W środku znajdowały się jej zdjęcia bez peruki. Nie były to zdjęcia pornograficzne ani nawet erotyczne. Po prostu nie nosiła na nich żadnych peruk. Sunny uśmiechnęła się mimowolnie, oglądając je po kolei. Kiedy przeprowadzili się do Wirginii, usunęła wszystkie ślady, które mogłyby zdradzić, że kiedyś nie miała włosów. Spaliła wszelkie dowody na ogrodowym grillu. Nie wiedziała, że Maxon uchronił te zdjęcia przed czystką, ale oto miała je przed oczami. Uratował je. Sunny poczuła kolejny skurcz. Czy od poprzedniego minęło pięć minut? A może trzy?

Potrząsnęła głową i otworzyła grubą kopertę z napisem „Maria”. Wewnątrz znajdowały się fotosy z filmu *Metropolis*, w tym również oryginał plakatu w stylu art déco z 1927 roku. Kiedyś te skarby zdobiły ściany ich gabinetu w Chicago, ale także one padły ofiarą czystki. Choć w przeciwieństwie do własnych zdjęć Sunny nie przejmowała się nimi na tyle, żeby osobiście nadzorować ich zniszczenie, zażądała, żeby je usunąć – ostatecznie i na zawsze. Maria była w filmie kobietą przekształconą w robota, w szufladzie zaś znajdowały się wyłącznie fotosy, które przedstawiały ją jako metalową maszynę. Była w gruncie rzeczy łysym robotem z piersiami. Sunny mimowolnie się uśmiechnęła. No cóż, Maxon ukrywał w biurku pornosy z robotami, ale przynajmniej chodziło o łysą kobietę o kształtach zbliżonych do ludzkich, nie zaś

o robota przypominającego R2-D2.

Sunny poczuła silne napięcie w dole brzucha. Jej ciało przeszył nagle ból, gwałtownością przypominający błyskawicę. Chwyliła się za brzuch obiema rękami i zwinęła się wokół dziecka. Czuła, jak napięte były jej mięśnie tam w dole. Ból rozszedł się po ciele Sunny, rozlał się po jej plecach, a ona zaczęła jęczeć i kołysać się w przód i w tył. Niania wzięła samochód Maxona i zabrała Bubbera na basen. Sunny rozważała przez chwilę, czy nie powinna zadzwonić do szpitala, ostatecznie jednak zrezygnowała.

Postanowiła, że kiedy otworzy trzecią kopertę i przejrzy jej zawartość, położy się, napije wody, włączy CNN i spróbuje oderwać myśli od dziecka. Gdy niania wróci, pojedą razem do szpitala. Sunny mogła przecież na nią poczekać. Skurcz stopniowo słabł, ręka ściskająca brzuch powoli się rozluźniła, a Sunny wzięła głęboki oddech. Ogarnęła ją ulga i zupełnie zapomniała o bólu. Zastanawiała się, czy naprawdę przed chwilą go czuła, czy może sobie to wszystko wyobraziła.

Wsunęła palec pod pieczęć na najmniejszej białej kopercie i przełamała ją. W środku znajdowały się dwie kartki papieru, zapisane oficjalnym, pełnym zawijasów pismem jej matki. Pierwszy list adresowany był do Maxona, a drugi do Sunny. Najpierw przeczytała ten drugi.

Najdroższa Sunny,

w Birmie panowały straszne upały. Jestem ciekawa, czy to pamiętasz. A mimo to nigdy nie było Ci gorąco, nigdy się nie pociłaś. Wydaje mi się, że to za sprawą włosów ludzie wyglądają zwykle na spoconych. Kolejna korzyść związana z Twoją łysą głową. Ludzie z plemienia Czin uwielbiali Cię, wszyscy chcieli przynosić Ci prezenty. Staralam się wyrzucić wszystkie te rzeczy, kiedy wyjeżdżaliśmy, ale Nu zachowała większość z nich i przywiozła je do Stanów. To przepiękne przedmioty. Leżą na strychu w naszym starym domu na farmie. Może pewnego dnia zechcesz je rozpakować i obejrzeć z Bubberem oraz ze swoim drugim dzieckiem.

Mieszkając w Birmie, pragnęłam pogrzebać się żywcem albo wyparować. Ale nagle pojawiłaś się Ty i te pragnienia zniknęły. Zrobiłam to, co robiłam, bo chciałam Cię uratować, uchronić Cię przed życiem w świecie Twojego ojca. Uważałam, że Birma Cię zadusi. Bałam się, że jako przedstawicielka innej rasy, a do tego łysa i na domiar złego będąca jeszcze dzieckiem fanatka religijnego, staniesz się tak dziwna, że nigdy nie zdołasz odkryć swojej prawdziwej tożsamości, odnaleźć swojego „ja”. Teraz obawiam się, że może tym właśnie byłaś: łysym białym dzieckiem mieszkającym u podnóża birmańskich gór. Jak potoczyłoby się Twoje życie, gdybyśmy nie wyjechały? Nie wiem. Może powinnam była pozwolić Ci się o tym przekonać.

Nie przepraszam jednak za to, co robiłam. Zależało mi przede wszystkim na Twoim szczęściu. Tylko tego zawsze pragnęłam. Odkąd się urodziłaś, byłam przede wszystkim matką, a wszystko, co robiłam, robiłam właśnie dla Ciebie. Nikt inny się nie liczył. Wiem, że uważasz, że robisz to samo, i przepraszam, że pomstowałam na Ciebie przez tę przeklętą perukę. Jestem po prostu wdzięczna losowi za te wszystkie lata, kiedy jej nie nosiłaś.

Proszę, nie szukaj Chandrasekhara i jego magicznego napoju. To zwykły oszust, który wykrał część wyników badań Twojego ojca. W pewnym momencie próbowałam się z nim nawet spotkać i go powstrzymać, ale nasi prawnicy powiedzieli mi, że to bez sensu. Udało mu się odtworzyć niewielki fragment tego, co opracował Twój ojciec – a i tak okazało się to nieskuteczne. Gwarantuję ci, że ten środek by nie zadziałał. Może stałoby się inaczej, gdyby Twój ojciec mógł dłużej nad nim pracować i rozwijać swoją recepturę. Ale zginął, zanim zdążył to zrobić. Przepraszam Cię za to wszystko.

Twoja kochająca matka

Sunny rzuciła kartkę na podłogę i natychmiast zaczęła czytać drugi list.

Drogi Maxonie,

niedługo zabije mnie to, co toczy od pewnego czasu moje ciało. Jest jednak coś, o czym musisz powiedzieć Sunny po moim odejściu. To ja doniosłam na jej ojca komunistycznym władzom w Birmie. To przeze mnie został zabity. Proszę, powiedz jej o tym dopiero po mojej śmierci. Wybierz odpowiedni moment, kiedy będzie się dobrze czuła i kiedy nie będzie miała pustego żołądka. Powiedz jej o tym spokojnie, pewnym i opanowanym tonem, z neutralnym wyrazem twarzy. Później dodaj, że jest Ci przykro, i mocno ją obejmij. A potem daj jej mój list.

Kochająca matka

– Jesteś morderczynią – powiedziała Sunny na głos. – Jesteś morderczynią.

Przypomniała sobie idealną twarz swojej matki, tę młodą, bladą twarz, którą widywała na zdjęciach z Birmy – twarz, na której malował się absolutny spokój. Przypomniała sobie ciało swojej matki na farmie, sposób, w jaki stała, ściskając w rękach miotłę, szczotkę do włosów albo pakiet listów. Przypomniała sobie, jak wyglądała jej matka, kiedy przyszedł list informujący o tym, że Maxon został przyjęty na studia w Instytucie Technologicznym w Massachusetts. Przypomniała sobie głód i tęsknotę malujące się w oczach jej matki, kiedy ta patrzyła na nią znad okularów i mówiła: „Sunny, możesz zrobić ze swoim życiem, cokolwiek zechcesz. Bądź szczęśliwa. Bądź wolna”.

I wtedy odeszły jej wody.

Sunny wyszła z domu. Popołudnie wibrowało i brzęczało wokół niej, sól obecna w powietrzu drażniła jej skórę, liście odbijały promienie słoneczne i lekko ją oślepiały, a cała dzielnica zaciskała się wokół niej jak mięsień brzucha reagujący na ból. Złapała się poręczy i chwiejnym krokiem dotarła do schodów, po czym zeszła po nich z trudem, pokonując stopień za stopniem. Wiedziała, że mimo skurczu musi się dalej poruszać, nie może się zatrzymać, żeby nie pogrzyźć się w panice, która się pod nim skrywała. Z jej macicy coś wyciekało. Kiedy postawiła stopę na chodniku, kropelka spłynęła po jej udzie. Sunny gwałtownie złapała powietrze. Brzuch coraz mocniej zaciskał się wokół dziecka i miała wrażenie, że jej kręgosłup zaraz pęknie. Wydawało jej się, że ktoś przykłada nóż do jej pleców i wbija go w jej ciało raz za razem. Krztusiła się, ale nie mogła odkaslnąć. Usiłowała się lekko pochylić, żeby przynieść ulgę swojemu kręgosłupowi. Z całej siły wczepiała się w poręcz. Pomyślała, że ktoś powinien szepnąć jej coś do ucha, poprosić, żeby równo oddychała. W przeciwnym razie zaraz zemdleje. Po chwili jednak skurcz ustąpił.

Sunny opuściła dom, w którym mieszkała. „To dom potworów – pomyślała. – Mieszkamy w nim i produkujemy kolejne potwory”. Równie dobrze mogły się tam znajdować dzwonnica i kraty w oknach. Równie dobrze dom mógł skrywać kamienne lochy pełne szkieletów i belkoczącą ciotkę zamkniętą na strychu. Powstałby o nich sitcom. Jeżeli intryga miała się sprzedać, wszyscy musieli się dowiedzieć o tym, że są potworami. Do tej pory Mannowie się ukrywali, trzymali wszystko w tajemnicy. Babcia morderczyni. Ojciec robot. Matka dziwadło. Niebezpieczny syn. A córka? Kto to mógł wiedzieć? Teraz zaczną pisać o nich artykuły w gazetach.

Potrzebowała pomocy. „Potrzebuję pomocy”, pomyślała. Była tak czerwona, spocona i wyczerpana, że nie mogła pójść do swoich przyjaciółek. Potrzebowała kogoś silniejszego, kogoś, kto na pewno przyjdzie jej z pomocą. Nie mogła przecież wyjść na ulicę i położyć się na ziemi. Nikt nie zgodziłby się jej zabić. Nie mogła wrócić do domu i wpełznąć pod łóżko, a następnie zapłakać: „Chcę do mojej matki!”. Nie mogła zacząć łkać: „Maxon, pomóż mi!”. Jedyną osobą, która wydawała się wystarczająco oddana, silna i godna zaufania, by jej pomóc, był Les Weathers. To właśnie w kierunku jego eleganckiego, zadbanego domu Sunny ruszyła teraz chwiejnym krokiem.

W dniu, w którym Bubber przyszedł na świat, wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. W środku nocy obudził ją skurcz, gwałtowny i uporczywy. Zanim nadszedł kolejny, zdążyła wziąć prysznic, a przed następnym zdołała założyć perukę. Wreszcie pociągnęła Maxona za ramię.

– Już czas – powiedziała, tak jak to robią zwykle kobiety w filmach i serialach. – Maxon, już czas.

Natychmiast się obudził, czujny i skoncentrowany.

– Dobrze. Pójdę po matkę – odparł.

– Co? Naprawdę musimy to robić? – zapytała Sunny. – Nie możemy po prostu jechać do szpitala?

Maxon przetarł twarz i włożył spodnie.

– Przyjechała tu specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak dziecko przychodzi na świat. Nie sądzisz, że chciałaby pojechać do szpitala, skoro zaczęłaś rodzić? Tak to się zwykle odbywa.

– Jest środek nocy. Ona na pewno śpi.

– Potrzebujemy jej – powiedział Maxon.

Sunny zamilkła. Czowała, że coś dziwnego dzieje się w jej macicy, czowała stopę dziecka uderzającą w jej brzuch, tuż pod żebrami. Chciałaby mieć matkę przy sobie, bo zawsze dodawała jej otuchy. Bała się jednak, że jej matka znowu będzie krytykowała jej perukę. Zwalczała ją od samego początku, odkąd przyjechała tu, zobaczyła Sunny na lotnisku i zapytała: „Kim jesteś?”.

– Och, w porządku, niech ci będzie – odparła Sunny. – Idź po nią. A ja tymczasem się przygotowuję.

Sunny przykleiła brwi i rzęsy, zrobiła sobie makijaż, włożyła pidżamę i jedwabny szlafrok, a następnie usiadła i spojrzała na swoje odbicie w lustrze w łazience. W przeszłości doświadczała czasem chwil, w których czowała, że naprawdę żyje, zamiast oglądać film, w którym występuje, albo opowiadać fabułę książki, której jest główną bohaterką. To jednak nie była jedna z takich chwil. Czowała się tak, jakby unosiła się centymetr nad swoim ciałem, niczym duch, który nie może porozumieć się ze swym materialnym odpowiednikiem. Ostrożnie wstała. Wszystko wyglądało tak, jak powinno.

– Czy ona pojedzie z nami? – zapytała, kiedy Maxon wrócił do ich sypialni i zaczął zapinać guziki koszuli.

– Tak, pojedzie z nami. Już wstała.

– Teraz dodajesz: „Idę po samochód”. A potem upuszczasz kluczyki na podłogę. Albo nie, niech pomyślę. Po prostu nie możesz znaleźć kluczyków – oznajmiła Sunny, stojąc w drzwiach i reżyserując odcinek *Kocham Lucy*, którego Maxon najwyraźniej nie oglądał.

– Przecież mam kluczyki – wyjaśnił Maxon. – Jak się czujesz? Chcesz, żebym cię zaniósł?

– O tak, doskonale – odparła Sunny. Skurcze zdążyły tymczasem osłabnąć. – Proponujesz, że mnie zaniesiesz, ale ja odmawiam. Mówię, że to wszystko jest absolutnie naturalne. Absolutnie naturalne. Dodaję, że kobiety robiły to od zarania dziejów. A potem wpadasz w ścianę.

Ruszyli wszyscy do audi Maxona. Matka Sunny usiadła z tyłu, za Sunny, po czym położyła dłonie na jej ramionach. Kiedy Maxon mknął pustymi ulicami w kierunku szpitala, Sunny cicho stękała i popłakiwała, ilekroć ból rozdzierał jej ciało. Jednocześnie nie czowała jednak narastające podekscytowanie na myśl o tym, że już niedługo zobaczy dziecko i upewni się, czy na pewno nic mu nie dolega, czy zostało zrobione prawidłowo. Miała wrażenie, że jedzie właśnie odebrać jakąś nagrodę. Że wkrótce na własne oczy zobaczy wynik swojej ciężkiej pracy. Ilekroć zaczynała płakać, matka ścisnęła jej ramiona. Kiedy dotarli do szpitala, Sunny wymiotowała do wiadra.

– Niedobrze mi! – powiedziała z płaczem.

– Wszystko w porządku – zapewniła ją Emma. – Świetnie ci idzie. Tylko ta peruka. Z pewnością możesz...

– Nie waż się jej zdejmować, mamó – warknęła Sunny, przez której ciało przetaczał się właśnie kolejny skurcz. Chwyciła wiadro i znowu wymiotowała, a na jej zębach pojawiła się żółć i piana. – Nie dotykaj mnie. Zaraz każę ci stąd wyjść.

Po chwili zjawił się lekarz, który zapytał Sunny, jak się czuje. Poprosiła o znieczulenie zewnątrzoponowe. Poprosiła też o ręcznik i lusterko, po czym zaczęła przecierać twarz, poprawiać rzęsy i mierzyć czas dzielący kolejne skurcze. Znowu wymiotowała, choć miała już pusty żołądek. Pokój zdawał się wirować wokół niej, a kiedy już się zatrzymywał, musiała sprawdzać, czy nikt nie zdjął jej peruki. Upewniała się też, czy matka wciąż przy niej czuwa. Maxon wybiegł na korytarz.

– Wszystko w porządku, tatusiu? – zapytała pielęgniarka.

– Nie – odparł Maxon. – Muszę stąd wyjść.

Lekarz przeprowadził tymczasem badanie ginekologiczne.

– Ona chce znieczulenie zewnątrzoponowe – powiedziała matka. – Proszę spełnić tę prośbę.

Po chwili zjawił się inny lekarz, który kazał Sunny usiąść i pochylić się do przodu. Wbił igłę w jej kręgosłup i uwolnił środek, który znieczulił całą dolną część jej ciała. Natychmiast przestała odczuwać skurcze. Przestała cokolwiek odczuwać. Skończyły się również wymioty. Jej ciało się poddało, przestało sygnalizować swoją obecność. Uspokoiło się. Sunny zamknęła oczy.

– Zimno mi. Zawołaj Maxona – poprosiła matkę. – Powiedz mu, że przestałam już wymiotować.

Emma wyszła na korytarz i wróciła po chwili z Maxonem. Sunny trzymała już torebkę na kolanach i poprawiała właśnie makijaż i fryzurę. Miała podciągnięte kolana, włosy rozrzucone na poduszce i zastanawiała się, czy na pewno jest gotowa, żeby zostać matką. Wskazała leżące na szafce lusterko.

– Maxon, weź tamto lusterko. Stań w nogach łóżka i przytrzymaj je przez chwilę.

– Kochanie – powiedziała Emma – przecież ono służy do tego, żeby oglądać moment wychodzenia dziecka i widzieć jego wyłaniającą się główkę.

Sunny doskonale wiedziała, do czego służy lusterko. Zdecydowała jednak, że najpierw musi zobaczyć matkę dziecka i upewnić się, że matce dziecka nic nie dolega. W lusterku zobaczyła leżącą na poduszkach kobietę ubraną w szpitalny szlafrok i mającą lada chwila wydać na świat niemowlę. Kobieta miała zaczerwienioną twarz, a oczy wyskakiwały jej z orbit. Była pod każdym względem taka, jakiej potrzebowało dziecko. Sunny spojrzała w lusterko pod takim kątem, żeby zobaczyć też swoją matkę, jej długie jasne włosy starannie uczesane w kok, brwi o idealnym kształcie i jedwabną chustę na szyi. Spojrzała na odbicie swojej matki w lusterku, a matka spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Sunny głęboko westchnęła i opadła na poduszki. Matka wyciągnęła dłoń, tak jakby zamierzała dotknąć jej głowy, ale ostatecznie cofnęła ją i zamiast tego pogłaskała córkę po ramieniu. Maxon opuścił lusterko.

Dwie godziny później nadal wyglądała nienagannie. Maxon zasnął w fotelu, a pielęgniarka zgasiła światła w pokoju, radząc Sunny jak najwięcej odpoczywać. Kazała jej też przygotować się do parcia, bo skurcze stały się równe i wkrótce miało nadejść rozwiązanie. Przekłuto worek owodniowy i wbito w ciało Sunny mały, wygięty drucik, który umieszczono pod głową dziecka, żeby monitorować jego tętno. Inne urządzenie mierzyło częstotliwość skurczy. Sunny widziała, jak igły mkną po kartce, rysując coś na papierze, który wydobywał się ze stojącej przy jej łóżku maszyny. Czuła, jak jej brzuch twardnieje, kiedy igła się podnosi, i rozluźnia się, kiedy igła opada. Tak jakby to właśnie igła poruszała mięśniami zamiast niej. A przecież było dokładnie odwrotnie.

Sunny nie wiedziała, czy powinna przeć, bo nie miała pojęcia, jak powinna się czuć podczas parcia. Z roztargnieniem szturchnęła się w łydkę, ale nic nie poczuła. Nie mogła ruszyć nogami. Usiłowała zasnąć.

Po jakimś czasie wrócił lekarz, który zbadał ją i oznajmił, że jest gotowa, by przeć. Zapaliły się światła, a Maxonowi kazano stanąć przy jej głowie i liczyć. Matka stała obok niego i trzymała Sunny za rękę. Wszystko było na swoim miejscu, wszystkie części układanki zaczynały do siebie pasować, a mimo to Sunny czuła się tak, jakby unosiła się w powietrzu, odlatywała, oddalała się od samej siebie. Usiłowała znaleźć jakieś zaczepienie, zarzucić kotwicę i przycumować się do własnego ciała, ale okazało się to zbyt trudne. Unosiła się więc coraz wyżej i wyżej, nie mogła tego w żaden sposób kontrolować, tak jak dzieje się to w chwili, gdy wypływamy na powierzchnię basenu. Czuła się tak, jakby we własnym ciele trzymały ją dotąd

tylko nogi, a po tym, jak straciła w nich czucie, zaczęła się swobodnie unosić, zupełnie niezależnie od własnej woli. Czy balony się nie boją, wędrując w górę, sunąc po niebie nad parkingiem przed sklepem spożywczym? Czy wiedzą, dokąd mają w takiej sytuacji lecieć?

– W porządku – powiedział lekarz. – Wiesz, co robić. Będziemy przeć równocześnie ze skurczami. Przemy, licząc do dziesięciu, a potem odpoczywamy i czekamy na kolejny skurcz.

– Skąd będę wiedziała, kiedy zacząć przeć? – zapytała Sunny, która była teraz gdzieś bardzo daleko. – Nic nie czuję.

– Będę obserwował wskaźniki – wyjaśnił lekarz, wskazując na igłę jeżdżącą po papierze – i uprzedzę cię, zanim nadejdzie skurcz.

Sunny skinęła głową. Ścisnęła dłoń matki, ścisnęła też dłoń Maxona – byli jak kotwice, które pozwalały jej utrzymać się we własnym ciele. Mocno się w nich wczepiła, po czym zaczęła przeć z całych sił, usiłując wyrzucić dziecko ze swojego brzucha. Ale mimo tego wysiłku część jej ciała nadal unosiła się w powietrzu, pomiędzy ich złączonymi rękoma. Wisiała w górze, ponad ich głowami. Sunny słyszała ich głosy. Wydawało jej się, że o czymś dyskutowali, że najzwyczajniej w świecie skorzystali z okazji, żeby odbyć rozmowę.

– Maxon – powiedziała Emma. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Tak? – zapytał Maxon.

– Chodzi o twój projekt. O badania, które obecnie prowadzisz. To niesamowicie interesujące.

– Tak – potwierdził Maxon.

– Przyj – poprosił lekarz. – Dobrze, a teraz wszyscy liczymy! Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, -dziesięć!

– I zależy im na tym, żebyś to wszystko nadzorował, prawda? Czy oni nie chcą, żebyś poleciał na Księżyc? – Matka przemawiała słodkim, uspokajającym tonem. Trzymała Sunny za rękę, ale zdawała się skupiać wyłącznie na Maxonie.

– Tak – potwierdził Maxon. – Ale Sunny tego nie chce. Powiedziała mi o tym.

– Wydaje mi się... – zaczęła matka. Zamilkła i odezwała się dopiero po chwili. – Wydaje mi się, że powinieneś lecieć na Księżyc. Właśnie ty. Powinieneś to wszystko nadzorować.

– Sunny się nie zgodziła. Sunny tego nie chce – powtórzył -Maxon.

– Sunny nie wie, czego chce – odparła matka. – Nie wie, czego potrzebuje. Rozumiesz?

Maxon milczał. Sunny, unosząc się w powietrzu, czekała, aż jej mąż zabierze głos, zaprotestuje. „Powiedz coś! – chciała zawołać. – Powiedz jej, że nie chcesz. Powiedz, że tego nie zrobisz”.

– Mój wyjazd jest dla Sunny ważny? – zapytał Maxon.

– No cóż, jest ważny nie tylko dla Sunny, ale i dla całego świata – odrzekła jej matka uprzejmym, pełnym troski tonem. – Twoja wyprawa na Księżyc jest ważna dla całego świata. Ale w pewnym sensie to Sunny najbardziej jej potrzebuje. Nie sądzisz? Może jednak powinieneś się zgodzić?

Sunny mocno zaciskała powieki pod wpływem wysiłku, jakiego wymagało od niej parcie. Nie widziała, czy Maxon zmarszczył brwi, czy zrobił taką minę, jaką zwykle robił, kiedy rozważał czyjeś słowa. Unieś brwi choćby odrobinę. Przechylił głowę na bok.

– Nie zgadzam się – odparł Maxon.

„Świetnie”, pomyślała Sunny.

– No cóż, a ja uważam, że ona tego potrzebuje – powiedziała matka. – Głęboko w to wierzę. I sądzę, że jeżeli nie polecisz, wyrządzisz jej wielką krzywdę.

Maxon znowu zamilkł. Czy spuścił wzrok i patrzył na nią, na swoją żonę, w której był taki zakochany? Czy widział ją, kiedy tak leżała na szpitalnym łóżku, ukryta pod swoimi

włosami? Nie, nie chciała, żeby leciał. To było zbyt niebezpieczne. Ale po sposobie, w jaki ścisnął jej dłoń, domyśliła się, że powoli pokiwał głową, rysując w powietrzu łuk podbródkiem, poruszając nim w górę i w dół, żeby pokazać, że się zgadza. Żeby pokazać, że zaakceptował ten pomysł.

– Zgadzam się – powiedział Maxon.

Sunny odniosła wrażenie, że pośród całego tego odrętwienia coś w jej ciele nagle się zmieniło. Pokój gwałtownie zawirował, a kiedy wstrzymała oddech i znowu zaczęła przeć, poczuła napięcie tam w dole. To, co do tej pory unosiło się w powietrzu, w jednej chwili opadło i zanurzyło się z powrotem w jej ciele, w jej krwi, w jej kościach, w napięciu wokół jej bioder.

– Tak – oznajmił lekarz. – Widzę główkę. Świetnie ci idzie, Sunny. No już, tato, licz. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć! I odpoczynek. A teraz licz!

I tak to się właśnie odbyło. Maszyny podpowiadały wszystkiemu lekarzowi, ten zaś mówił Sunny, kiedy przeć. Mówił też Maxonowi, kiedy liczyć do dziesięciu. Po jej twarzy nie spływała ani jedna kropla potu, w trakcie całego tego procesu nie odkleiła się jej ani jedna rzęsa. Mocno wczepiała się w dwie dłonie, które ją podtrzymywały. Nagle otworzył się kształt matki i wynurzył się z niego idealny kształt dziecka. Bubber był śliski, silny, głośny i duży. Miał rude włosy. Tak jak wszystkie normalne matki, które kochają swoje normalne dzieci, Sunny zakochała się w nim bez pamięci. Wiedziała, że nigdy nie powie: „To nie wyszło zbyt dobrze”. Nigdy nie powie: „Coś jest nie tak z moim dzieckiem”. Nigdy nie powie: „Nie sprawdziłam się jako matka”. Czuła się za nie odpowiedzialna. Zabiłaby dla Bubbera bez chwili wahania.

Słyszała, jak jej matka rozmawiała o czymś z Maxonem, ale to wspomnienie odeszło w niepamięć razem ze wspomnieniem bólu. Po chwili ten obraz zatarł się niemal zupełnie i Sunny zastanawiała się już tylko: „Czy matka i Maxon naprawdę rozmawiali o Księżycu, kiedy rodziłam Bubbera? A może to wszystko mi się przyśniło?”

Powinna była zdjąć wtedy perukę. Powinna była wyrzucić ją przez szpitalne okno albo spalić. Powinna była pozwolić, żeby wszystko się zmieniło. Powinna była powiedzieć matce: „Tak, w tej sprawie miałaś rację, ale w tamtej sprawie nie miałaś racji”. Powinna była zapamiętać tamtą cichą, straszną rozmowę, przedyskutować ją z nimi. Zedrzyć warstwy swojego macierzyństwa i krzyknąć: „Jestem tutaj! Żyję! Ty nie musisz wysyłać go na Księżyc, a ty nie musisz tam lecieć”. Ale zamiast tego wróciła z Bubberem do domu, położyła go w jego idealnym pokoju, karmiła idealnym pożywieniem, zapisała do idealnego przedszkola i nieustannie się potykała na wyboistej ścieżce, która ostatecznie doprowadziła ją tutaj: do miejsca, w którym znalazła się bez męża, bez matki, bez syna, bez włosów. Do miejsca, w którym stała się po prostu wielkim, rozpadającym się ciałem przedzierającym się przez rozgrzaną, opustoszałą dzielnicę, mającą wchłonąć jej krwawe resztki.

Chwiejnie wspinała się po schodach prowadzących do drzwi Lesa Weathersa. Pokonywała z trudem stopień za stopniem, jak ameba tocząca się w kierunku podwodnej jaskini. Wieniec na drzwiach zniknął – i nie został zastąpiony żadną inną świąteczną ozdobą. Bezpieczny wybór. Wyciągnęła rękę i trzykrotnie uderzyła miedzianą kołatką. Nikt nie odpowiedział. Nadszedł kolejny skurcz i uderzył w nią ból kręgosłupa tak mocny, tak gwałtowny, że łzy spłynęły jej po policzkach. Po chwili zaczęła znowu walić kołatką w drzwi, robiąc przy tym hałas, który z pewnością słyszano na całej ulicy. Wreszcie drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Nie były zamknięte.

Pierwszym pokojem, do którego wkroczyła Sunny, okazał się salon. Przy oknie stała półkolista ławeczka, znajdował się tu także kominek, którego gzymsy zdobiły świece w wysokich świecznikach i zdjęcia w drewnianych ramkach. Na środku salonu stał okrągły stół z marmurowym blatem, na nim zaś duży bukiet zasuszonych kwiatów.

– Les Weathers! Pomocy! – zawołała. Może był na górze?

Sunny zamierzała właśnie przejść do kolejnego pomieszczenia, ale przystanęła na chwilę, z jedną nogą zawieszoną w powietrzu, podpierając się na oparciu fotela. Zatrzymała się, bo zobaczyła ogromny roztrzaskany telewizor, leżący na podłodze ekranem do dołu. Poczuła, jak zamiast kolejnego skurczu przez jej brzuch przebiegł dreszcz niepokoju. Może Les Weathers został obrabowany, a sam leżał w tej chwili na górze postrzelony w plecy i powoli umierał? Może powinna wyjść stąd jak najszybciej, ratować siebie i dziecko? Ale dokąd miała pójść? Była zwierzęciem rozpaczliwie potrzebującym jaskini, w której mogłoby się schronić. Była grzesznicą, która potrzebowała zbawienia. Była zdesperowaną kobietą, która potrzebowała twardego, silnego mężczyzny. Zresztą w salonie panował taki porządek... Powłócząc nogami, przeszła do tylnej części domu i po chwili dotarła do kuchni.

Kiedyś mogło to być wspaniałe, eleganckie, czarno-białe pomieszczenie z przeszklonymi szafkami i drewnianym parkietem ułożonym w jodełkę. Teraz jednak panował tu straszliwy chaos, a każdą powierzchnię pokrywały przedmioty. Na podłodze widniały kałuże mętnej wody. Sunny odwróciła się i spojrzała na lodówkę. Na jej drzwiach wisiał magnes z hasłem: „Nie chcę pracować! Chcę po prostu walić w bęben przez cały dzień!”. Obok niego zobaczyła pocztówkę z wizerunkiem Garfielda, który skarżył się: „Nienawidzę poniedziałków”. Na blacie leżał pogruchotany telewizor, a obok niego dostrzegła resztki czegoś, co mogło być kiedyś melonem. Dwie z szafek zostały całkowicie roztrzaskane, a wewnątrz jednej z nich, pośród odłamków szkła, leżał telefon.

Sunny zaczęła wspinać się po schodach, wołając co jakiś czas:

– Les Weathers! Wszystko w porządku? Pomocy!

Wiedziała, że poród już się zaczął. Jej ciałem wstrząsały konwulsje. Ale przecież Les Weathers mógł leżeć na górze i się wykrwawiać. Może właśnie umierał. A może tak naprawdę wcale tu nie mieszkał? Może to była tylko przykrywka? W tym domu musiał mieszkać ktoś inny, jakaś zła wersja Lesa Weathersa, ktoś, kto nie pracował w telewizji, nie dbał o porządek i nie miał złotych włosów. A może Les Weathers był tak naprawdę robotem, który mieszkał w swoim samochodzie, wylączył się po wieczornych wiadomościach i nigdy nie wchodził do tego niby-domu, do tego popadającego w ruinę budynku? Sunny wspinała się nerwowo po kolejnych stopniach, które skrzypiały pod jej ciężarem. Poręcz wyginała się złowieszczo i trzeszczała.

Wreszcie dotarła na górę i ruszyła przed siebie korytarzem. Wkroczyła do wypełnionej pudełkami łazienki, gdzie zobaczyła zwisającą bezwładnie, wyrwaną ze ściany umywalkę. Przeszła do garderoby i zapaliła światło. Znalazła tam starannie rozwieszony garnitur. Znalazła pudełko ze starymi, eleganckimi butami, takimi, jakie mógłby nosić jakiś starszy pan. Spędziła tam dobrych kilka minut, leżąc na boku podczas kolejnego skurczu, zwijając się z bólu i zalewając podłogę płynem owodniowym. Wiedziała jednak, że musi iść dalej bez chwili zwłoki. Musi za wszelką cenę ustalić, co się stało z Lesem Weathersem. Dokąd poszedł? Kim tak naprawdę był? Czy ten dom należał do kogoś innego, kogoś dziwnego, do jakiegoś przerażającego brata bliźniaka? Do innego Lesa Weathersa?

Wyszła z garderoby i znalazła się w drugiej łazience. Każdą powierzchnię przykrywała tu zaschnięta skorupa brudu. Wannę pokrywał wosk, który musiał wypłynąć ze świec rozstawionych wokół całej jej krawędzi – rozlał się między butelkami szamponów, wyciekł na kafelki i zastygł. Wanna była tak brudna, że wyraźnie odznaczały się w niej dwa ślady stóp. „On musi tu siadać – pomyślała. – Umieszcza swoje stopy na tych śladach! Zapala świece! Staje na tej podłodze. Czy ta skorupa brudu powstała wtedy, gdy opuściła go żona? Czy ślady stóp pojawiły się w dniu, w którym wyjechała?” Na krawędzi zlewu leżała niebieska szczoteczka do zębów, a obok niej do połowy wyciśnięta tubka pasty Aquafresh.

Sunny przeszła do sypialni, gdzie na podłodze odkryła kolejny ogromny telewizor z płaskim, roztrzaskanym ekranem. Pomieszczenie wypełniały sterty gazet i książek, rozrzuconych ubrań i pudełek. Znajdowała się tu również stara komoda, na której leżał stos pościeli. Ogromne łóżko było uszkodzone. Nogi w jego górnej części złamały się albo zostały spod niego wykopane, w związku z czym materac gwałtownie opadał w dół, w kierunku ściany, przy której leżała poduszka.

Na poduszce Sunny dostrzegła zagłębienie w kształcie głowy. Obok poduszki leżała dzisiejsza gazeta. Dzisiejsza! Nawet w krytycznej sytuacji, w jakiej się znalazła, Sunny musiała przyjąć do wiadomości, że w czasie gdy sama oddawała się kolejnym wieczornym rytuałom, odklejała brwi, zdejmowała perukę i odkładała ją na toaletkę po kolejnym bezpiecznym dniu – Les Weathers, prezenter kanału informacyjnego, przebywał zaledwie trzy domy dalej, śpiąc do góry nogami. Les Weathers, ten ostatni bastion normalności, mężczyzna o kwadratowej szczęce, idealnej cerze, donośnym głose i charakterystycznych gestach, spał do góry nogami w domu, w którym w dramatycznych okolicznościach dokonało żywota całe stado ogromnych telewizorów. Nie było żadnego straszego bliźniaka. Nie było tajemniczego robota. Les Weathers był równie prawdziwy co ten dom. Les Weathers okazał się po prostu kolejnym szaleńcem. Sunny nie mogła powstrzymać ataku śmiechu. Śmiała się, wyglądając przez okno, patrząc na ich dzielnicę i myśląc o absurdzie całej tej sytuacji. Wszystkie te żony śliniły się na jego widok, a on w tym czasie kąpał się w pokrytej brudem wannie.

Śmiała się do czasu, aż nadszedł kolejny skurcz. Kiedy wreszcie minął, wróciła na korytarz. Musiała go znaleźć. Może siedział w piwnicy? Może właśnie wysiadał ze swojego lexusa, zatrzasnął drzwi i szedł w jej stronę? Les Weathers. Człowiek jakby wycięty z okładki czasopisma. Nagle z trzeciego piętra dotarł do niej jakiś odgłos. Postawiła stopę na pierwszym ze schodków prowadzących na strych.

Znalazła go w pomieszczeniu, które musiało kiedyś być pokojem dziecka. Piękne zasłonki otaczające łóżeczko pokrywała gruba warstwa kurzu. Les siedział na fotelu bujanym. To właśnie skrzyknięcie tego fotela usłyszała wcześniej Sunny. Łóżeczko było puste, ale cały pokój wypełniały przedmioty świadczące o obecności dziecka: pudełko pieluch, szafka z małą lampką, wiklinowy stół z miejscem do przewijania, duży fioletowy nosorożec. Les wciąż miał na sobie strój, w którym występował w telewizji, ale zdjął marynarkę i krawat, rozpiął też rękawy koszuli. Po chwili odezwał się niskim głosem:

– Witaj, Sunny. Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, tak, wszystko porządku – wykrztusiła Sunny. – Wracalam właśnie do domu.

– Przepraszam, że nie zszedłem na dół, żeby ci otworzyć.

Sunny zauważyła, że Les Weathers płakał.

– Nic nie szkodzi – zapewniła.

– Dom wygląda strasznie, prawda? – zapytał.

– Nie wygląda najlepiej – odpowiedziała Sunny. Podeszła do okna, ale zanim zdążyła przez nie wyjrzeć, poczuła gwałtowny ból zaciskający się wokół jej pleców i padła na kolana, zwalona z nóg przez kolejny skurcz. Usiłując złapać oddech, poddała się i pozwoliła spazmowi przetoczyć się przez swoje ciało. Pochyliła się lekko i chwyciła za dywan, usiłując choć trochę odciążyć kręgosłup, a jej twardy jak skała brzuch musnął podłogę. Les Weathers zerwał się z fotela i ukląkł przy niej, mocno ją pod-trzymując.

– Ona umarła, wiesz? – jęknął. – Przykro mi. Ona umarła. Umarła w brzuchu Teresy.

Teresa była jego żoną. Zwijając się z bólu, Sunny poczuła nagle ukłucie strachu, którego miejsce zajęła po chwili gwałtowna potrzeba ucieczki. Bała się Lesa Weathersa. Bała się o Lesa Weathersa.

– Teresa nie odeszła ode mnie z dzieckiem. Odeszła, kiedy dziecka już nie było. Ono zmarło. Zmarło w jej brzuchu. Usiłowaliśmy to ukrywać...

Sunny przetoczyła się na bok i zwinęła się wokół swojego żyjącego dziecka. Les Weathers wyrzucił ręce w górę.

– Tak to właśnie wygląda! – zawołał. – Tak to właśnie wygląda, Sunny! Próbowaliśmy, ale tak to właśnie wygląda!

Kiedy tylko minął skurcz i Sunny mogła się znowu poruszać, zaczęła się czołgać. Doczołgała się do drzwi, chwyciła framugę i podniosła się, a następnie wytoczyła chwiejnym krokiem na korytarz. Zjeżdżała ze schodów na pupie, jak dziecko uczące się chodzić, przemierzając stopień za stopniem. Pragnęła tylko wrócić do swojego bezpiecznego domu i zamknąć za sobą drzwi. Ale kości jej miednicy zgrzytały i chrzęściły, a ona czuła, że jeżeli będzie poruszała się zbyt szybko, rozpadnie się na tysiąc kawałków.

– Musisz znowu jechać do lekarza?

– Nie czuję się najlepiej – wyjęczała. – Później porozmawiamy.

Wysoki i silny Les natychmiast znalazł się przy niej. Ale w jego wnętrzu tkwiło martwe dziecko. Szalał, niszczył cały dom, żeby je z siebie wydostać, lecz ono nadal tam było. Złapał Sunny za ramię i pomógł jej zejść ze schodów, a na jego idealnej twarzy malowały się troska i niepokój.

– Czy mogę zawieźć cię do szpitala?

Sunny wpatrywała się w niego w milczeniu. W jej oczach wyglądał jak gargulec.

Wydawał się koszmarnym błędem popełnionym przy obliczeniach. A przecież stał tam przed nią, całkowicie bezbronny, jak zwykły człowiek. Taki sam człowiek jak cała reszta, jak wszyscy pozostali mieszkańcy domów w tej okolicy. Nawet jej domu. Był zwykłym człowiekiem. Czy każdy ukrywa w swoim domu wannę ze śladami stóp? Czy każdy ma pokaleczoną dłoń, łysą głowę albo garb Quasimoda?

– Nie, nie – powiedziała. Wiedziała, że jeżeli tylko zdoła wydostać swoje trzeszczące, naprężone ciało, wydostać się za drzwi, zejść po schodkach, minąć jedną płytę chodnikową, potem następną, a potem cztery kolejne, znajdzie się na skraju swojego ogródka. Czuła się tak, jakby jej biodra miały się zaraz rozdrzeć, jakby jej miednica płonęła. Chciała dotrzeć do swojego domu, zanim nadejdzie kolejny skurcz. Wreszcie znalazła się na ganku. Wiedziała, że płyn owodniowy wycieka z niej na beton, ale zamknęła oczy i z mozołem sunęła dalej przed siebie, a Les szedł za nią.

– Sunny, nie chcesz, żebym cię zaniósł?

– Nie – odmówiła stanowczo, ciągnąc swoje ciało przez ogród Lesa.

Było jej głupio, że poznała prawdę, że odkryła jego tajemnicę. Żałowała tego, ale nie mogła cofnąć czasu. W jakim momencie mówi się osobie, która śpi do góry nogami: „To nic takiego. Żaden powód do wstydu”? Czy to nie powód do wstydu? A co z waleniem głową w ścianę? A co z morderstwem?

– Zadzwoń po karetkę – powiedziała. – A potem wracaj do domu. Nic mi nie jest.

Sunny raz w życiu była świadkiem upokorzenia Maxona, ale nigdy mu się do tego nie przyznała, więc nie miał o tym pojęcia. Stało się to długo po śmierci jego ojca. Bracia nadal traktowali go jak parobka, a ich matka nie próbowała temu w żaden sposób zapobiec. Czasem musiał się z nimi bić, czasem udawało mu się uciec. Ale czasem musiał robić to, co mu kazali. Zdarzały się dni, kiedy nie odpowiadał na wołania Sunny, a ona wiedziała, że albo spadły na niego jakieś niespodziewane obowiązki, albo miał nieusprawiedliwioną nieobecność – tak czy inaczej nie mógł się z nią spotkać.

To był właśnie jeden z takich dni – ciepły sierpniowy dzień. Sunny skończyła trzynaście lat i podobnie jak Maxon rok wcześniej, miała po wakacjach pójść do szkoły średniej. Postanowiła wybrać się na samotną przejażdżkę. Było gorąco, a gzy ani na chwilę nie dawały jej spokoju. Cwałowała przez jakiś czas po drodze gruntowej, a potem pozwoliła Pocketowi samodzielnie wyznaczać trasę. Kucyk szedł drózkami uczęszczanymi wyłącznie przez sarny i jelenie i przemierzał łąki, na których mógł przystawać i swobodnie skubać żywakost i mięte. Kiedy Sunny miała już dość jego głośnego chrupania i postanowiła schronić się przed słońcem, kazała mu zawrócić i zmusiła go do cwału. Pomknęli przez las w kierunku domu. Pędzili przed siebie, a jej włosy i jego grzywę rozwiewał przynoszący ukojenie wiatr. Gzy zniknęły, a ich miejsce zajęły stada komarów.

Promienie słońca przebijały się przez korony drzew, malując plamy światła na paprociach. Nagle Sunny usłyszała krzyk. Nikogo nie widziała, ale kazała kucykowi zwolnić. Wołała pozostać niezauważona. Po chwili dostrzegła pomiędzy drzewami niewielką grupkę ludzi, którzy krzyczeli coś w kierunku dziury w ziemi. Najwyraźniej byli zbyt zajęci sobą, żeby zwrócić na nią uwagę. Nie wiedziała, czy natychmiast odwrócić się i uciekać, czy podkraść się jeszcze bliżej i sprawdzić, co robią. Ostatecznie pozwoliła Pocketowi iść dalej. Jego kopyta miękko opadały na wilgotną ziemię, wydając stłumione, ciche odgłosy.

Po chwili zobaczyła wyraźniej trzech młodych mężczyzn, którzy stali wokół sterty kamieni i wrzeszczeli coś w jej kierunku. Z wnętrza sterty kamieni dobiegł głos, głos, który błagał ich i zaklinał. Nagle zrozumiała, że ma przed sobą braci Maxona, a ta sterta to tak naprawdę studnia. Wszystko wskazywało na to, że zmusili go, by wszedł do środka i opuścił się na dno.

Wiejskie studnie nie są idealnymi mechanizmami i zdarza się niekiedy, że zapycha je piasek albo rdza. Istniały metody oczyszczania studni, które nie wymagały przetrzymywania ludzi w lodo-watej górskiej wodzie, ale najwyraźniej bracia Maxona nie dostrzegali wad tej metody. Musieli oczyścić studnię, sprawić, by znowu zaczęła być użyteczna, i zupełnie ich nie obchodziło, że Maxon może przy tej okazji zamarznąć. Oddalili się o kilka kroków od studni, starając się zachowywać możliwie cicho, i udawali, że wrócili do domu. Tłumili śmiech i poklepywali się porozumiewawczo. U wylotu studni leżał sznur, który nie był do niczego przywiązany. Maxon nie miał szansy się stamtąd wydostać. Ciąg-nięcie za sznur nic by mu nie dało.

Sunny zamarła, słysząc jego dobiegający z głębi studni krzyk. Mógł tam przecież umierać. Mógł tracić resztki rozumu, odchodzić od zmysłów. Poczwała, jak narasta w niej gniew. Chciała mu pomóc, ochronić go. Mogła przynajmniej zawołać: „Jestem tu, Maxon! Jestem tu!”, a on wiedziałby, że nie został sam, uwięziony w studni, zanurzony w wodzie po samą szyję. Miała świadomość, że Maxon cierpi, uwięziony tam na dole, w zimnie. Ale mimo to milczała,

trzymając luźno nogi i pozwalając kucykowi prowadzić się przez las. Wiedziała, że jeżeli bracia ją zauważą, sytuacja Maxona tylko się pogorszy. We dwoje i tak nie zdołaliby obezwładnić tych trzech silnych mężczyzn. Sunny wierzyła, że Maxon nauczy się kiedyś bić, a bracia nie będą już mogli go gnębić. Na razie jednak stanowili niepokonaną armię.

Wreszcie bracia chwycili za linę i zaczęli go wyciągać. Najpierw ze studni wynurzyła się jego głowa, ciemna i mokra – a potem reszta ciała. Stał przed nimi, ociekając wodą. Bracia byli wściekli. Najwyraźniej zadanie nie zostało wykonane. Zaczęli obradować i rozważać, co zrobić dalej. Co jakiś czas machali w kierunku Maxona, tak jakby był kluczem francuskim albo wiertłem, on zaś stał przed nimi i dygotał z zimna. Sunny widziała ich, ale nie słyszała ich głosów, docierały do niej tylko pojedyncze dźwięki, strzępy słów i głośny rechot. Maxon miał na sobie jedynie bokserki. Sunny widziała każdą kość na jego ciele, jego spiczaste obojczyki, jego wystające kości biodrowe, guzki na jego plecach. To ciało, ociekające wodą i zmarznięte, przesłaniane co chwila przez korony drzew, które mijala – było dla niej czymś niesamowicie ważnym. Maxon rozcierał się z całych sił, próbując się choć trochę rozgrzać. Ta scena zrobiła na Sunny ogromne wrażenie. Nigdy nie zapomniała tego widoku.

Wreszcie bracia odwrócili się w jego stronę. Skończyli debatować i kazali mu wracać do studni. Maxon błagalnie potrząsał głową. Po chwili spróbował dać nura w bok, ale jeden z braci chwycił go za nadgarstek. Maxon wydał rozpaczliwy okrzyk, odgłos przypominający skowyt rannego psa. Ten dźwięk zmroził jej krew w żyłach. „Nie!” – zawołał. A potem krzyknął jeszcze: „Nie, nie”. I: „Proszę!”.

Sunny z trudem łapała oddech. Chciała zawołać: „Maxon, bieg-nij!”, a on przybiegłby do niej, wskoczył na jej kucyka i puściłby się galopem przed siebie, oddalając się od niebezpieczeństwa. Mogła go uratować, ochronić, rozgrzać te zmarznięte kości, przyciskając się do niej podczas ucieczki, te chłodne ramiona obejmujące ją w pasie, biodra uderzające o nią na siodle i moczące tył jej koszulki. Ale nic nie powiedziała. Nic nie zrobiła. Pozwoliła, żeby ta scena zniknęła za jej plecami, żeby wszystko zakryły korony drzew, a hałasy zostały zagłuszone przez śpiew ptaków i brzęczenie cykad. Jej kucyk był przecież za mały nawet dla niej. Gdyby wsiadł na niego Maxon, doszłoby do absolutnie groteskowej sceny, a Pocket najprawdopodobniej nie zdołałby ich unieść. Sunny nie miała białego rumaka. Nie była dzielnym rycerzem. Jedyne, co mogła zrobić dla Maxona, to nigdy nie wspomnieć o tej scenie, nigdy nie przyznać się do tego, że słyszała tamte krzyki, że widziała, jak bardzo został upokorzony, jak rozpaczliwie dygotał w środku lasu. Nie powiedziała mu też, jak dziwne pożądanie rozbudził w niej widok tamtego zmarzniętego, mokrego ciała. Później, jesienią, zjawiała się w planetarium, wzięła go w ramiona i pocałowała go w blasku gwiazd.

Sunny weszła chwiejnym krokiem do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zamknęła wszystkie zamki, zasunęła zasuwkę. Nie zamierzała nikomu otwierać. Postanowiła, że jeżeli ktokolwiek zechce się tu dostać, będzie musiał przepalić drzwi pochodnią albo podważyć je widłami. Kiedy wreszcie znalazła się w środku, padła na kolana pod wpływem kolejnego skurczu. Zaczęła pełznąć w kierunku salonu. Dotarła na skraj ich perfekcyjnego dywanu. Milion węzłów na każdym centymetrze kwadratowym. Dywan kosztował osiemnaście tysięcy dolarów. Miał tyle węzłów, ile jest gwiazd na niebie – zachwalał sprzedawca, żwawy, dziarski Marokańczyk. Maxon zwrócił mu uwagę, że to kiepska analogia. W tym wypadku chodzi o gęstość, a nie o ilość, lepiej zatem mówić o pręcikach i czopkach siatkówki. To zdecydowanie trafniejsze porównanie.

Kiedy Bubber był jeszcze niemowlęciem, Sunny przykryła ten dywan plastikową matą, chroniącą przed plamami. Nieustannie poprawiała matę, wygładzała jej rogi, potem ją wymieniła, a wreszcie przeniosła ją na górę, salon zaś kompletnie porzucili. Stał się kaplicą, świętą kryptą

mieszczkańskości, miejscem wiecznego spoczynku dla kryształów, indyjskich rzeźb i srebra. Ściany pełne gablot, lśniące przedmioty. Muzeum o zaledwie pięcioletniej historii. „To nie do zniesienia – pomyślała. – Nie dam rady”.

Kołysała się, podpierając się na rękach i kolanach. Czuła dziecko. Czuła, jak schodziło coraz niżej. W pewnej chwili w jej brzuchu coś się nagle przekreśliło, nastąpił jakiś dziwny przewrót i Sunny zrozumiała, że niemowlę zaraz przyjdzie na świat. W środku, w ciemności, wszystko było na swoim miejscu. Nie istniała żadna komunikacja między światem zewnętrznym a tym, co było wewnątrz jej brzucha, ale w łonie Sunny trwał właśnie proces, którego nie mógł zatrzymać ani przyspieszyć żaden narzucony z zewnątrz grafik. Zsunęła majtki i odrzuciła je na bok. Skurcze następowały teraz jeden po drugim, przetaczały się przez nią, bombardowały ją, wywracały na nice.

Oparła czoło na dywanie i zaczęła przeć, a parcie przyniosło jej wreszcie lekką ulgę. Dzięki parciu poczuła się nieco lepiej. Wiedziała, że nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Nie miała żadnego planu awaryjnego. Jeżeli musiała rozedrzeć się na strzępy, to zrobi to samodzielnie. W umyśle Sunny coś nagle przeskoczyło. Zalała ją świadomość, że „to się właśnie dzieje”. Wyrzuciła z głowy wszystkie inne myśli, wszystkie chaotyczne refleksje – i wreszcie została tylko Sunny, surowa, krwawiąca istota w podciągniętej do pasa cytrynowej jedwabnej sukience z wysoką talią, istota ociekająca potem, unosząca pośladki w górę i usiłująca wreszcie eksplodować.

Pośród tego bólu, pośród krwi i gorąca nagle przyszło zrozumienie. Pojęła, że choć się nie nadaje i choć jest łysa, jest jedyną matką w okolicy. W ciemności, w miejscu, w którym zaciskały się wszystkie mięśnie i w którym dziecko przekreśliło się przed chwilą, rozpaczliwie kopiąc – nie miało żadnego znaczenia, kto jest łysy ani kto się nie nadaje. Było tam tylko ciało i dziecko wewnątrz tego ciała. Ciało, które starało się, jak tylko mogło. „Przepraszam – zwróciło się ciało do dziecka. – Jestem łysa. Popełniałam straszne błędy. Niemal wszyscy twoi dziadkowie nie żyją przeze mnie. Na pewno wielokrotnie przyniosę ci wstyd. Wielokrotnie coś spieprzę. Ale jestem twoją matką i będę się starała ze wszystkich sił. Kimkolwiek jestem, cokolwiek mogę zrobić, jestem jedyną matką, jaką masz. To ja. I właśnie wydaję cię na świat”.

Zalała ją kolejna fala skurczy. Sunny ostatkiem sił wczepiła się w zasłony. Owinęła miękki materiał wokół nadgarstków i oparła się, kołysząc ciałem, skręcając się z bólu i jęcząc. Zasłony trzymały się mocno na karniszu, ale jej umysł powoli słabł. Znalazła się poza czasem, poza bólem. Może stało się to na skutek wszystkiego, co wydarzyło się do tej pory w jej życiu, a może to doświadczenie dotyczyło każdej rodzącej samotnie kobiety. Sunny czuła, jak jej ręce zaciskają się na zasłonach, czuła pieczenie, czuła narastające napięcie pomiędzy nogami. Parła, parła, parła całym ciałem, napierając ze wszystkich sił, od gardła aż po uda. Nagle jednak znalazła się gdzieś z boku i zobaczyła przed sobą dziwną fioletową mgiełkę. Zaczęła widzieć rzeczy, których widzieć nie mogła: ujrzała swoje dziecko i życie, które je czekało.

Zobaczyła śliczną długonogą sześciolatkę o twarzy w kształcie serca i jasnorumych warkoczach lśniących w promieniach słońca. Dziewczynka miała włosy w takim samym kolorze jak Bubber. Trzymała w rękach bambusowy kijek i z niezwykłą wprawą sterowała maleńką żaglówką po stawie w paryskim Ogrodzie Luksemburskim. Mocny wiatr rozpryskiwał kropelki wody wokół fontanny i szeptał w koronach buków. Łódki sunęły szybko po wodzie, niektóre niemal się na niej kładły, tak jakby miały się lada chwila wywrócić do góry dnem. Ale rudowłosa dziewczynka co jakiś czas przykładła swój bambusowy kijek do kostki darni na pokładzie jasnyniebieskiej żaglówki i lekko ją odpychała, uważnie śledząc każdy jej ruch. „Naprawdę świetnie jej to idzie – pomyślała Sunny. – Jest prawdziwą ekspertką, widocznie często to robi”. „Mam na imię Emma” – zwróciła się dziewczynka do małego chłopca, który stał obok niej.

Emma.

Zobaczyła radosną, pełną życia dziewięciolatkę galopującą na kasztanowym kucyku po łące porośniętej żywokostem i miętą. Palce zanurzyła w gęstej grzywie zwierzęcia, a bosymi stopami uderzała go co jakiś czas w jego boki, żeby mknął jeszcze szybciej. Dziewczynka miała teraz jasne włosy, które sięgały jej do brody i falowały na wietrze. Śmiała się i odsłaniała perłowo białe zęby, mocno ściskając kucyka kolanami. Sunny czuła, że zaczyna brakować jej powietrza. Wiedziała, że musi wypchnąć z siebie to dziecko. Galopowała przez łąkę, a wiatr uderzał w jej twarz. Ciało z całych sił spychało ją w dół. Pomknęła wzdłuż ścieżki, która biegła równoległe do linii drzew. To były lasy Maxona. Zostań na łące, dziewczyno.

Znowu zobaczyła dziewczynę, teraz już starszą, na pokładzie rakiety zmierzającej na Księżyc. Spała na swojej koi, z rękami zarzuconymi nad głową, nadgarstkami opartymi o ścianę i wysoko uniesionym podbródkiem, tak jakby walczyła z jakimś niewidzialnym ograniczeniem, jakimś pasem krępującym jej brzuch albo drutem wbijającym jej się w głowę. Miała na sobie biały trykot. Sunny widziała, że jego rękawy są odrobinę za krótkie, że jest nieco za szeroki w pasie. Dziewczyna leżała pod cienkim, plastikowym nakryciem. „Obudź się – pomyślała Sunny. – Chciała-bym z tobą porozmawiać. Czy pamiętasz, jak się rodziłeś? Czy wszystko się w końcu ułożyło? W którym momencie miałaś już pewność, w którym momencie pomyślałaś: Ja żyję! A ta kobieta to moja matka!”

Dziewczyna rosła dalej. Teraz miała już dwadzieścia lat i żegnała się ze swoją rodziną na Księżycu. Oni wszyscy tu byli: Sunny, Maxon i Bubber. Sunny uśmiechała się i machała do dziewczyny, a po jej policzkach spływały łzy. Maxon i Bubber stali spokojnie tuż obok siebie, nieruchomi jak dwa posągi. Bubber był teraz równie wysoki jak jego ojciec. Mieli na sobie skafandry kosmiczne i obserwowali całą tę scenę z powagą. Dziewczyna podeszła do nich, po kolei ich ucałowała i mocno przytuliła, a potem wsunęła rękę pod pachę Bubbera, starając się go rozbawić. Sunny zobaczyła, jak Bubber otacza siostrę ramieniem i mocno ją przytula. „Nie wyjeżdżaj – miała ochotę powiedzieć. – Bubber cię potrzebuje. Ja też cię potrzebuję”.

Zobaczyła, jak dziewczyna przyjmuje na Ziemi ludzki kształt, jak żyje ludzkim życiem, zakochuje się, nawiązuje przyjaźnie. Dziewczyna od czasu do czasu odwiedzała Księżyc, ale nigdy tam nie zamieszkała. Wszyscy za nią tęsknili. Sunny też czasem do niej przylatywała, ale nie potrafiła zapomnieć o Księżycu. Zawsze widziała go na niebie. Sprawiał, że miała bardziej krytyczny stosunek do swojej córki. Sprawiał, że czuła niepokój. Zawsze ostatecznie wracała, ale dziewczyna nigdy jej nie towarzyszyła. Jej miejsce było tu, na Ziemi. Sunny wiedziała, że tak musi być. „Wyjdź już, Emmo. Chcę cię wreszcie poznać, chcę zacząć spędzać z tobą czas. Czekam na ciebie. Pomogę ci dotrzeć do tamtego punktu. Będę po twojej stronie. Cokolwiek się stanie”.

Widok pokrytej kurzem powierzchni Księżyca nie zrobił na Maxonie wrażenia. Nie istniało pustkowie tak wspaniałe i majestatyczne, by odwrócić jego uwagę od misji. Chciał jak najszybciej wylądować roboty i zabrać się do pracy. Wrażenie zrobił na nim jednak kanał lawy, potężna szczelina przecinająca powierzchnię Księżyca. Kanał ten ciągnął się przez wiele kilometrów. Według hipotez stanowił kiedyś część prehistorycznego wulkanu, teraz jednak stał się zwykłym kanałem podziurawionym jaskiniami i ukrytym przed meteoritami i promieniami Słońca. Udało im się wylądować tak sprawnie, tak blisko miejsca, do którego mieli pierwotnie dotrzeć, że Maxon odnalazł go bez trudu. W tej właśnie chwili czuł, że triumfuje. „Miałem rację – pomyślał. – Miałem rację. Oto i on”. Na tym właśnie polega różnica między zwycięstwem a porażką. Ludzie wylądowali. Ludzie skolonizują Księżyc.

Podczas gdy Phillips i pozostali astronauty kręcili się po okolicy, pozostawiając na powierzchni swoje ślady i znaki orientacyjne, Maxon ciągnął za sobą moduł transportowy. Przy

tak słabej grawitacji transportowanie dużej skrzyni pełnej robotów matek okazało się niezwykle proste. Poradził sobie z tym samodzielnie i pomyślał, że mógłby powiedzieć: „Chłopcy, zostańcie tu i wypierście majtki, które zapaskudziliście ze strachu, a ja sam już dokończę tę misję”. Ale nie powiedział tego. Czasem lepiej nic nie mówić.

Maxon nie pomyślał: „No proszę, ta nieszczęsna drobina zrehabilitowała się. No proszę, udało jej się przetrwać. No proszę, ten żaloszny maleńki kroczek w kosmos pozwolił nam zapuścić korzenie, znaleźć punkt oparcia we wszechświecie. To pierwszy krok, który wykonaliśmy”. Nie pomyślał: „Widzisz, wszechświecie? Pieprz się. Dotarliśmy tu”. Fred Phillips wyznał mu, że tak właśnie pomyślał. Maxon jednak myślał tylko o szerokości i długości geograficznej, na których się znajdowali, i o tym, że wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Nie było to ani bardziej przejmujące, ani mniej widowiskowe. Było dokładnie takie, jak wyglądało w jego planach.

Maxon dotarł z robotami do jaskini, której położenie ustalono za pomocą ultradźwięków. To właśnie w tym miejscu geologowie postanowili zbudować przyszłą kolonię. Maxon przeciągnął moduł transportowy na zaplanowane miejsce, a następnie stanął przy nim i otworzył główny właz. W kanale lawy panowała ciemność. Ciemność i chłód. Maxon miał na sobie ciepły skafander kosmiczny. Czy pamiętał, jak został siłą wepchnięty do studni i jak rozpaczliwie krzyczał, błagając, żeby go stamtąd uwolniono? Czy kanał lawy obudził w nim wspomnienie lęku, który wtedy czuł? Nie. Nie rozbudził. Studnie dawno już zniknęły z jego pamięci.

Czy pamiętał, jak został wypchnięty z łona matki, jak przeleciał z jednego ciemnego kanału do następnego? Czy pamiętał wszystkie lata nieporozumień, dezorientacji i natręctw? Czy czuł, jak kanał lawy napiera na jego ciało, każe mu iść naprzód, w dół, ku zakończeniu jego misji? Czy dziecko w łonie matki rozumiało swojego ojca, który przebywał teraz w kanale lawy, uruchamiał roboty, montował kamery i całymi godzinami pracował w ciemności? A może dziecko wiedziało tylko tyle: Nadszedł już czas, żebyśmy wyszli.

O ustalonej godzinie Phillips i Conrad wyciągnęli Maxona z kanału. Miał zmiażdżony kciuk i był głodny, ale wszystkie działania mające na celu rozpoczęcie w imieniu całej ludzkości budowy księżycowej kolonii zakończyły się powodzeniem. Roboty warkotały i terkotały pod powierzchnią Księżyca, wydobywając niezbędne materiały, tworząc swoje dzieci, ucząc je chodzić, poruszać się, eksploatować złoża i tworzyć własne dzieci. Przez dziesięć lat świat miał obserwować dzięki zamontowanym przez Maxona kamerom, jak stopniowo powstaje kolonia. Za dwanaście lat Maxon miał wrócić tu ze swoim synem Bubberem – świeżo upieczonym absolwentem Instytutu Technologicznego w -Massachusetts – i otworzyć służbę powietrzną. Wszystko okazało się dokładnie takie, jakie pozostawił.

Sunny trzymała na rękach swoją córkę i wycierała krew z jej twarzy. Leżały razem na dywanie – Sunny na plecach, a dziecko na jej klatce piersiowej. Każdy oddech wydawał jej się małym, wolnym od bólu cudem. Nie było płaczu, nie było nożyczek, nie było wagi, nie było jodyny. Dziecko leżało i mrugało, przyciśnięte do serca matki, opatulone czerwonym jedwabnym szalem z półki na kapelusze. Sunny czuła ulgę tak ogromną, że byłaby gotowa natychmiast zasnąć, ale wiedziała, że na zewnątrz wybuchło prawdziwe zamieszanie. Słyszała sygnał karetki przed domem, słyszała pełne niepokoju głosy. Nie chciała, żeby Bubber się przestraszył, kiedy wróci z nianią z basenu. Nie wstając z podłogi, zaczęła sunąć w kierunku drzwi, poruszając się ostrożnie, tak żeby nie przeszkadzać zawiniątku, które trzymała na piersiach. Gdy wreszcie dotarła do drzwi, podniosła rękę, odsunęła zasuwkę i nacisnęła klamkę. Zobaczyła Rache i Jenny, stojące na ganku. Tak jakby czekały, aż im otworzy, gotowe wejść do środka i zjeść z nią śniadanie albo napić się margarity. Najzwyczajniej w świecie czekały, aż im otworzy.

– Spójrzcie – powiedziała Sunny, lekko opuszczając chustę, żeby pokazać im twarz

dziecka. – Przyszła już na świat.

– Sunny – rzekły kobiety. Jej przyjaciółki. – Sunny, ona jest -cudowna. I wygląda dokładnie tak jak ty.

Podziękowania

Dziękuję mojemu mężowi Danowi Netzerowi i mojej przyjaciółce Andrei Kinnear za to, że pomagali mi zrozumieć Maxona, tłumaczyli mi jego świat i napisali wszystkie równania, dowody i fragmenty kodu pojawiające się na kartach tej książki. Podzieliłam się z wami mglistym pomysłem, który wy z zadziwiającą skutecznością przełożyliście na język matematyki.

Dziękuję mojej agentce Caryn Karmatz Rudy i mojej redaktorce Hilary Rubin Teeman za to, że przedstawiły mi tak konkretną wizję tej książki. Kiedy myślę o tamtym pierwszym szkicu, który wam na początku pokazałam, aż trudno mi uwierzyć, ile pracy włożyłyście w to, żebyśmy mogli cieszyć się z efektu końcowego.

Dziękuję Sarze Gruen i Karen Abbott, których wsparcie, mądrość i przepełnione miłością zachęty miały dla mnie ogromne znaczenie podczas pisania tej książki.

Dziękuję swoim pierwszym czytelnikom, do których należą: C. J. Spurr, Bekah James, Kate Bazylewicz, Heather Floyd, Kristen DeHaan, Sherene Silverberg, Patricia Richman oraz Veronica Porterfield.

Dziękuję Grudniowym Matkom, Niezależnym Tkaczkom i wszystkim współtowarzyszkom z Edukacji Domowej w Norfolku – dziękuję wam za to, że podnosiłyście mnie na duchu, i za to, że dostarczyłyście mi tak wielu inspirujących przykładów wspaniałego macierzyństwa.

Dziękuję Susannah Breslin, która nie pozwalała mi spocząć na laurach, nieustannie wybudzała mnie ze snu macierzyństwa i w efekcie uczyniła mnie kimś lepszym.

Dziękuję Joshilyn Jackson, która była moją zagorzałą orędo-w-niczką. Bez niej ta opowieść nigdy nie przekształciłaby się w -książkę.

Przypisy

[1] Specjalny opatrunek poliuretanowy (przyp. tłum.).

[2] W Birmie lewą rękę uznaje się za nieczystą, dlatego nie należy nikogo nią dotykać. Nie powinno się też dotykać niczyjej głowy, którą uważa się za najważniejszą część ludzkiego ciała – taki gest uchodzi za obraźliwy (przyp. tłum.).

[3] Rudyard Kipling, *Mandalay*, przeł. Maciej Słomczyński (przyp. tłum.).